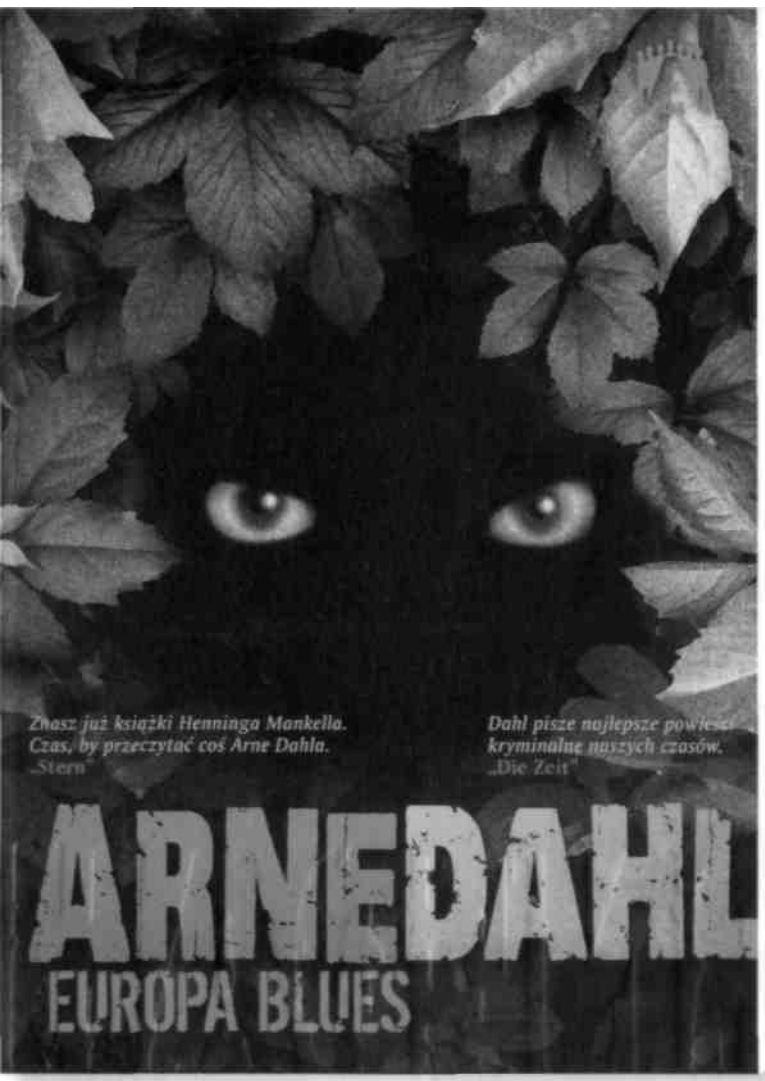


ARNE DAHL
premiara styczeń
2012



NA SZCZYT GÓRY



NA SZCZYT GÓRY

przełożyła
Dominika Górecka

Tytuł oryginału: *Upp till toppen av berget*
Projekt okładki: *Michał Korsun* Redakcja:
Lech Staszkiel Redakcja techniczna: *Zbigniew*
Katafiasz Korekta: Redaktornia.com

Zdjęcie wykorzystane na okładce ©
Asia Burrill

© Arne Dahl 2000

Published by agreement with Salomonsson Agency.

All rights reserved © for the Polish edition by MUZA
SA, Warszawa 2011 © for the Polish translation by
Dominika Górecka

ISBN 978-83-7495-326-9

Warszawskie Wydawnictwo Literackie
MUZA SA Warszawa 2011

1

NICZEGO nie widziałem.

Paul Hjelm westchnął głęboko. Całym sobą.

- Niczego nie widziałeś?

Próbował przyciągnąć go wzrokiem, ale chłopak patrzył nieprzejednanie w dół.

Nieprzejednanie? Kiedy ostatnio użył tego słowa? Czy zdarzyło mu się to kiedykolwiek wcześniej?

Poczuł się staro.

- Zacznijmy od początku - powiedział ze spokojem. - Za twoimi plecami wybuchła bójka, ale ty niczego nie widziałeś. Dobrze zrozumiałem?

Cisza.

Hjelm znów westchnął. Oderwał kłykcie od stołu, wyprostował plecy i rzucił okiem w stronę koleżanki, która stała, opierając się o ponurą betonową ścianę. Gdy ich spojrzenia się spotkały, poczuł, jak ścierają się w nim sprzeczne uczucia. Z jednej strony relegowanie do wydziału spraw przemocy śródmiejskiej komendy rejonowej i niekończąca się seria aktów zwykłej, codziennej przemocy. Z drugiej - powrót do Sztokholmu jego ulubionej partnerki, Kerstin Holm.

Pierwszym, co przypadło w udziale temu doświadczonemu duetowi na okoliczność reaktywacji, była bójka w pubie.

Paul Hjelm westchnął kolejny raz i zwrócił się w stronę nieskorego do współpracy świadka.

- I ani razu nie obejrzałeś się za siebie?

Młodzieniec uśmiechnął się blado, jakby na wspomnienie czegoś.

- Ani razu.
- A to dlaczego?

Oczy chłopaka po raz pierwszy spoczęły na nim. Były jasno-niebieskie. Patrzyły na niego z nieoczekiwaną przenikliwością, jakby ich właściciel miał zamiar powiedzieć coś zupełnie innego, niż powiedział:

- Bo czytałem.

Paul Hjelm spojrzał na niego z niedowierzaniem.

- Hammarby rozgrywa u siebie mecz z Kalmarem, zakończony remisem, dwa do dwóch, i ląduje na ostatnim miejscu w lidze krajowej, a ty siedzisz w miejscówce Baj en Fans i czytasz? W Młynie, wypełnionym po brzegi sfrustrowanymi kibicami Hammarby, siedzi dwudziestoletni Per Karlsson i czyta książkę. Wyjątkowo *ciekawym* wybór miejsca na lekturę w samotności, muszę przyznać.

Per Karlsson uśmiechnął się znowu, w ten sam subtelny, ledwo dostrzegalny sposób.

- Gdy przyszedłem, było jeszcze spokojnie - powiedział tylko.

Hjelm wysunął krzesło i opadł na nie całym ciężarem swojego ciała.

- Teraz to już naprawdę się zaciekawiłem. Jaka książka wciągnęła cię do tego stopnia, że nie tylko udało ci się zignorować krzyki, regularne darcie mordy i ścisk, ale również bójkę, podczas której człowiek dostał kuflem w środek głowy i zmarł?
- Zmarł?
- Zmarł. Nie inaczej. Wykrwawił się. Padł trupem. Stracił dwa litry krwi w dwadzieścia sekund. Krew wylała się z niego szerokim strumieniem. Puściły wszystkie żyły. Nazywał się Anders Lundström, pochodził z Kalmaru i z jakiejś niewyjaśnionej przyczyny zawędrował tego wieczoru do Młyna. Bliżej piekła trudno się znaleźć kibicowi drużyny przeciwnika. I jak się można było tego spodziewać, zginął z ręki kibica uzbrojonej w kufel. Z powodu jakiej książki wszystko to uszło twojej uwadze? Cholernie jestem ciekaw.

Per Karlsson był wyraźnie poruszony.

- Raczej nie znasz...

- *Try me* - powiedział Paul Hjelms z nowojorskim akcentem.

Kerstin Holm poruszyła się po raz pierwszy od chwili, gdy Pera Karlssona wprowadzono do pokoju przesłuchań. Podeszła cicho do stołu i usiadła obok Hjelmsa.

- Mój kolega wie o literaturze więcej, niż ci się wydaje. Przy pomnij mi, co takiego czytałeś ostatnim razem, kiedy się wi dzieliśmy, prawie rok temu. Kafkę?

- K - odrzekł dwuznacznie Hjelms.

Kerstin Holm zaśmiała się krótko i gorzko.

Chłopak sprawiał wrażenie, jakby zbili go z tropu. Zakrywające praktycznie całe ciało czarne ubranie w środku lata. Rozczochrane blond włosy. Przyszły intelektualista? Nie do końca. Rozbiegane, jakby skaleczone oczy. Uśmiech błędzący po wargach. Bynajmniej nie student z Frescati. Może wreszcie młody człowiek, który czyta dla własnego rozwoju.

Rarytas.

- Owidiusz - odezwał się rarytas. - *Metamorfozy* Owidiusza.

Paul Hjelms roześmiał się na całe gardło. Nie planował tego.

Ostatnie, co przyszłoby mu do głowy, to śmiać się z Pera Karlssona. A jednak zrobił to. I zdarzało mu się to coraz częściej.

Oznaki zgorzknienia.

Nieprzejeđnany.

Hjelmsa naszło krótkie, na szczęście przelotne, uczucie obrzydzenia do samego siebie.

Usłyszał głos Holm.

- Niewątpliwie zaszła tu metamorfoza. Z udziałem Andersa Lundstroma z Kalmaru. Metamorfoza ostateczna. Przemiana przemian. Paul, która z metamorfoz opisanych przez Owidiusza pasuje twoim zdaniem do losu Andersa Lundstroma? Metamorfoza Orfeusza?

- Pewnie - odparł cicho Hjelms. - Orfeusz rozerwany na strzępy przez tragiczne bachantki.

Per Karlsson spojrział na nich, jakby wróciła mu świadomość.

- Nie - powiedział. - To nie Orfeusz.

Hjelm i Holm popatrzyli na siebie ze zdziwieniem.

- Sam widzisz - powiedział w końcu Hjelm. - Wiemy już, że twoje niewinne „niczego nie widziałem” to pic na wodę. Kolejna metamorfoza. A teraz powiedz, co widziałeś, Per. Od porzątku. Rozpoczynamy przesłuchanie. Per Karlsson, urodzony siedemdziesiąt dziewięć, zero cztery, dwanaście w Danderyd, zamieszkały w Aspudden, bezrobotny, ukończone dziewięć klas szkoły podstawowej. Zgadza się?

- Tak - westchnął Per Karlsson.

- Mamy dwudziesty czwarty czerwca, godzinę ósmą trzynastą. Co takiego widziałeś w pubie Młyn przy Tjarhovsgatan o godzinie dwudziestej pierwszej czterdzieści dwie dwudziestego trzeciego czerwca? To znaczy wczoraj wieczorem.

Per Karlsson pobałdł. Wbił wzrok w blat stołu, przebierał palcami.

- Nagrywacie to?

- Nagrywamy wszystko od momentu, kiedy wkroczyłeś do tego pokoju. To też.

- No więc kiedy wszedłem do Młyna, w środku nie było zbyt wielu ludzi. Nie miałem pojęcia, że tego wieczoru jest jakiś mecz, gdybym wiedział, tobym tam nie poszedł. Było spokojnie, czytałem. Potem przyszli oni. Pierwszy kibic zjawił się krótko po dziewiątej, potem dołączyli kolejni. Próbowałem czytać. Szło mi całkiem nieźle, potrafię się skupić. Siedziałem trochę dalej, plecami do baru, blisko okna, więc więcej słyszałem, niż widziałem. No ale wiadomo, czasem się obracałem.

- Dlaczego więc twierdziłeś, że niczego nie widziałeś? - zapytała Kerstin Holm.

- Rozumiem, że na pytanie policji odpowiada się teraz z automatu: „Nic nie widziałem”? Do czego to doszło? - rzucił Paul Hjelm.

- W każdym razie taka jest najczęstsza odpowiedź.

- Mam mówić dalej? - wtrącił się Per Karlsson.

- Naturalnie - odpowiedzieli chórem Hjelm i Holm.
- Jalm i Halm, słynna para amerykańskich komików.
- Grupa sześciu, może siedmiu członków Bajen Fans usłyszała, że stojący przy barze czterej kolesie mówią ze smalandzkim akcentem. Uczepili się ich. Smalandczycy twierdzili co prawda, że mieszkają w Sztokholmie i kibicują Hammarby, ale było słyhać, że się boją. I że kłamią. Ci z Bajen to wyczuli. Zrobili się bardziej agresywni. Dwóch Smalandczyków prysnęło. Dwóch zostało. Zrobiło się nieprzyjemnie. Jacyś inni kolesie z Bajen próbowali załagodzić sytuację. Pewnie widzieli, co się święci. Jeden ze Smalandczyków próbował uciec, potracił stojącego z tyłu kibica, ten upadł. Przycisnęli chłopaka do baru, a ten, co upadł, podniósł się, złapał za kufel i rąbnął nim w głowę Sma-landczyka.
 - Widziałeś to?
 - Niezupełnie. Czasem tylko zerkalem. Ale słyszałem. Obróciłem się, gdy doszedł mnie huk. Okropny odgłos. Nie jak dźwięk rozbijanego szkła, raczej jak dźwięk rozbijanej czaszki. Ja pierdole, czaszka, żyły. Obróciłem się zaraz po tym, jak dostał szkłem. Wokół niego zrobiło się pusto. Przyciskał ręce do twarzy. Krew płynęła mu przez palce, w dół, po ramionach. Kurwa. Potem upadł, kompletnie bez czucia, prosto na podłogę. Kolesie z Bajen zwinęli się natychmiast. Wybiegli po prostu przez drzwi. Chłopak, który to zrobił, trzymał wciąż w ręku uchwyt kufła, był cały we krwi. Zanim ochrona zablokowała drzwi, zwiąło mnóstwo ludzi. Potem zjawiła się policja. Drugi Smalandczyk klęczał na podłodze, próbując koszulą tamować rzekę krwi, pomagał mu jakiś kibic Hammarby, tak mi się zdaje, ale wyglądało to beznadziejnie. Krew była wszędzie.
- Per Karlsson zrobił się biały jak kreda.
- Hjelm i Holm starali się uporządkować to, co usłyszeli.
- Sporo widziałeś, jak na kogoś, kto niczego nie widział - stwierdził Hjelm.
 - Daruj sobie - uciął Per Karlsson.

- Zwiało mnóstwo ludzi? - zapytała Hołm. - Kibice Hammarby?
- W większości. Ale nie tylko.
- Ilu?
- Patrzyłem głównie na... ofiarę...

Ofiara.

Hjelm drgnął.

- Może kilkunastu. Pierwszy wybiegł sprawca.

Sprawca.

Pseudoterminologia, która wkradała się do języka, pozbawiając konkretnego człowieka jego indywidualnych cech. Świadek. Ofiara. Sprawca.

- Z uchwytem kufła w dłoni? - zapytała Holm.
- Tak - potwierdził Per Karlsson.
- Takim jak ten? - zapytał Hjelm, podnosząc torebkę z uchwytem kufła w środku. Był cały zakrwawiony. Krew rozmazła się i zakrzepła na ścianach torebki.

Per Karlsson zmarszczył nos i kiwnął głową.

- Znaleźliśmy to na Folkungagatan. Najwyraźniej pobiegł za róg, minął hotel Malmen i wejście do metra na Medborgarplatsen. W rejestrze nie ma jego odcisków palców. Liczymy więc na twoją pomoc w zidentyfikowaniu... sprawcy. Może słyszałeś, żeby mówili, dokąd mógł się udać.
- Nie - odparł Per Karlsson.
- Cofnijmy *się* trochę - powiedziała Kerstin Holm. - Ile osób zdążyło uciec, zanim ochroniarze zablokowali drzwi? Wspominałeś o kilkunastu kibicach, ale też o innych ludziach?
- Tak mi się zdaje. Zniknęli ci, którzy siedzieli przy stole obok drzwi. I jeszcze paru gości.
- Jak pewnie rozumiesz, szukamy świadków, którzy nie są związani z żadną ze stron. To znaczy, że ci przy stole obok drzwi to nie byli kibice?
- Nie, siedzieli tam, gdy jeszcze trwał mecz. Ale dzieliło nas kilka stołów. Szybko się zapełniły. Było ich pięciu. Teraz, gdy

o tym myślę, wydaje mi się, że jeden z nich został. Ogolony na łyso. Z blond wąsami.

- Zniknęli więc po... zabójstwie?
- Tak mi się zdaje.
- Jak wyglądali? Jak koledzy z pracy?
- Można tak powiedzieć. Nie widziałem zbyt dobrze. Chyba ze sobą nie rozmawiali.
- Nie rozmawiali? A *co*, czytali *Metamorfoz*!/ Owidiusza?
- Darujcie sobie. Przecież macie jednego z nich. Tego łysego. Jego zapytajcie.
- Dobra. A reszta? Siedziałeś tuż przy oknie i prawej ścianie, patrząc od strony baru. Grupa, o której mówimy, siedziała najdalej na lewo, po drugiej stronie wejścia. Co ze stolikami pomiędzy?
- Tak jak mówiłem, zajęły się jeszcze przed pojawieniem się kibiców. Z tego, co pamiętam, wszystkie miejsca były zajęte, z wyjątkiem mojego stolika. Dosiedli się. Kilku z nich udało się potem zwiać.
- A przy oknie wychodzącym na Tjarhovsgatan? To w jego stronę siedziałeś zwrócony, prawda?
- Grupa dziewczyn. Zajęły oba stoliki w samym rogu. Wyglądało to na wieczór panieński. Ostatnia faza. Miały dosyć mocno w czubie, przeżyły szok. Wszystkie zostały na miejscu. Ledwo się, kurwa, trzymały na nogach.
- A reszta? Ci tuż obok ciebie? Przy ścianie z prawej strony?
- Nie wiem. Nie pamiętam.
- Nie pamiętasz? Ciekawe, bo resztę jakoś pamiętasz?
- Przykro mi, nie wiem. Możliwe, że ktoś tam siedział. Nie patrzyłem w tę stronę.
- Dobra. A za plecami? W kierunku baru? Przecież kilka razy się obracałeś?
- Przy jednym ze stolików siedział samotny mężczyzna. Gapił się na mnie. Tuż przy barze. Dwa metry wzrostu. Około pięćdziesiątki. Wyglądał na geja. Na pewno macie jego nazwisko.

Nie uciekł. Znajdował się najbliżej uczestników zdarzenia. Reszty nie pamiętam zbyt dobrze. Została jeszcze grupa takich kulturalnych trubadurów. I dwie pary w średnim wieku. O stolikach pośrodku nie wiem nic.

Per Karlsson zamilkł. Milczeli również Hjelm i Holm. Po chwili odezwała się Holm:

- Może czas na podsumowanie? Narysujemy mały szkic. Miejsce zbrodni - bar - leży w głębi lokalu, wzdłuż ściany naprzeciwko drzwi. Potem mamy stoliki pośrodku lokalu. O nich nic nie wiesz, za daleko siedziałeś. Na obrzeżach lokalu wygląda to tak, patrząc od strony baru: na wprost - okna na Tjarhovsgatan; na lewo - drzwi, obok drzwi - jedyny stół biegnący podłużnie; przejście, a potem trzy razy trzy dosyć duże stoły, ty siedziałeś przy środkowym najbardziej na prawo, ze wzrokiem skierowanym w stronę okna. Nim krótko po dziewiątej do środka weszli kibice, na miejscu były następujące osoby: rząd stołów wzdłuż okna: dziewczyny świętujące wieczór panieński przy dwóch stolikach na prawo; stół przy oknie najbliżej drzwi...?
- Tego nie wiem. Ktoś tam siedział, ale kto - nie pamiętam. Na pewno zostali.
- Rząd środkowy, to znaczy *rząd* stołów, w którym ty siedziałeś?
- Najdalej na prawo, jak już mówiłem, nie wiem. Potem ja - a później siedmiu, ośmiu kibiców. Przy stole na lewo ode mnie grupa studentów, tak mi się zdaje.
- A rząd najbliżej baru?
- Chryste. No dobra. Pierwszy stół, najdalej na prawo, najbliżej baru: dwie pary i ten gej, co się na mnie gapił. Drugi stół: grupa trubadurów, cztery osoby. Trzeci stół - nie mam pojęcia. I jeszcze stolik z boku przy drzwiach: pięciu mężczyzn, z których czterech dało nogę.
- W porządku. Kolej na sprawcę.

Hjelm poczuł się dumny z siebie, że wypowiedział to słowo bez zająknięcia.

- Prawdę mówiąc, najlepiej zapamiętałem kibiców - powiedział Per Karlsson. - Jeden z nich miał zwiniętą opaskę, biało-zieloną kratka. Sprawca miał jasne, mocno zniszczone włosy sięgające ramion. Widziałem go właściwie tylko od tyłu. Miał też chyba mały wąsik. Taki w typie mechanika samochodowego, jeśli wiecie, co mam na myśli. W Danderyd, gdzie się urodziłem i wychowałem, wzięliby go za koleś z południowych dzielnic. Typowy koleś z Farsty.

Hjelm i Holm nie odrywali od niego wzroku.

- Ksenofobia, wiem. Teraz sam mieszkam na południu. Bezrobotny i bez wykształcenia, na południowych przedmieściach. Ksenofob, ale tak mnie wychowano.

- Jeszcze coś - powiedziała Kerstin Holm. - Pójdiesz ze mną do portrecisty. Pracuje teraz na komputerze, więc zajmie to tylko chwilę.

Wstała. Per Karlsson również. Była od niego wyższa, przebiegło Hjelmowi przez myśl.

- Nie masz nic więcej do dodania, Per? - zapytał.

Per Karlsson potrząsnął głową i spojrzał na niego spode łba. I znów ta sama szczegółna, paradoksalna przenikliwość.

- W takim razie dziękuję za pomoc.

Zniknęli.

Zniknął również Paul Hjelm. Zanurzył się w spekulacjach. Per Karlsson. Urodzony w Danderyd dwadzieścia lat temu. Danderyd, a mimo to bez matury. Bezrobotny, a mimo to siedział w cieszącym się złą sławą pubie na Söder i czytał starożytną klasykę. Co z nim było nie tak? Nie wiedział. Outsider w szkole? Wyrzucony z firmy ojca? Sprowadzony do parteru, ale na najlepszej drodze, żeby się podnieść? Zbuntowany syn? Uparciuch? Były nałogowiec? Zakuty łeb?

Nie.

Wszystko, tylko nie to, pomyślał Paul Hjelm. Na pewno nie zakuty łeb. Przynajmniej tyle wiedział, choć tak właśnie sam się czuł.

Zdegradowany do nudnej sprawy zabójstwa kuflem.

Paradise lost.

Nie, nie zakuty łeb. Wręcz przeciwnie, niezwykle spostrzegawczy. Ale teraz musiał przestać o nim myśleć. Czekał ich ciąg dalszy przesłuchań skacowanych świadków. Per Karlsson miał trafić do innych banków pamięci niż jego własne. Jedyne, co miało po nim zostać, to jego zeznanie.

Hjelm ziewnął, myśli biegły dalej. Długie miesiące w śródmiejskiej komendzie rejonowej. Wydział do walki z przemocą. Bergsgatan. Najbardziej tymczasowy pokój, od którego równie tymczasowo został uwolniony. Należał do policjanta o nazwisku Gunnarlov, który obecnie przebywał na zwolnieniu lekarskim i którego telefon Hjelm odbierał zawsze ze słowami: „Paul Hjelm z telefonu Gunnara Lóva, słucham”. Dopiero gdy odwiedził go dawny kolega Gunnarlova, pytając na wejściu o Nissego, zrozumiał, dlaczego za każdym razem, gdy podnosił słuchawkę, odpowiadała mu cisza. Najwyraźniej jego rozmówcy potrzebowali dojść do siebie, po tym jak usłyszeli jego dziwną wymowę nazwiska „Gunnarlóv”. Sam się zdziwił, gdy któregoś dnia sprawdził je w książce telefonicznej i zobaczył czarno na białym: nie „Gunnar Lóv”, jak sądził, tylko „Nils-Egil Gunnarlóv”, Nisse.

To trochę tak jakby chcieć dać swojemu dziecku na imię Heroína. Przypomniała mu się sprawa rodziny z Gnesty. Heroína Lindgren. Z jakiegoś powodu ich wniosek został odrzucony przez odpowiedni urząd, napisali więc tonę listów do lokalnych gazet, wypowiadając wojnę państwu opiekuńczemu.

Gunnarlov przebywał na zwolnieniu lekarskim, ponieważ w godzinach pracy znalazł się w placówce Föreningsbanken przy Stureplan, do której wpadła rozsierdzona czternastolatka uzbrojona w taker, domagając się, tu cytat, „całej kasy na ladę”. A to takery nie są na prąd?, pomyślał Gunnarlóv i podszedł do dziewczyny, żeby zwrócić jej uwagę na ten drobny szczegół. Odpowiedziała mu trzydziestoma zszywkami prosto w twarz. Jakimś cudem żadna nie uszkodziła mu oka. Pierwsze, co rzekł, gdy już

odzyskał świadomość, to: „A to takery nie są na prąd?”. Żona spojrzała na jego zabandażowaną głowę zaczerwienionymi od płaczu oczami i odparła: „Niektóre można naładować”.

Przygody dobrego Nilsa-Egila Gunnarlóva.

Nisse w krainie czarów.

No cóż, historia Paula Hjelm była tylko trochę zabawniejsza. Z historii o Nissem dało się przynajmniej wyciągnąć kilka zaskakujących wniosków.

Kerstin Holm wróciła. Była zajęta przeglądaniem notesu.

- Właśnie tak wygląda rzeczywistość - rzucił szorstko Paul Hjelm.

- W Göteborgu było podobnie.

- Odbyt Szwecji.

- Co tam mruyczysz? - powiedziała Kerstin Holm swoim łagodnym góteborskim.

- A nie, wybacz. Nic, nic. Mówili coś o tym w mediach kilka tygodni temu. Nagranie na automatycznej sekretarce Black Army przed wielkim finałem Gnaget-Blavitt na góteborskim Ulle-vi. Niezdrowe połączenie sztokholmskiego zadufania z nienawiścią kibiców.

- Mamy więc powtórkę z rozrywki. Sztokholmskie zadarte nosy i nienawidzący się kibice. Tym razem to poważna sprawa. Widziałeś go?

- Andersa Lundstróma z Kalmaru? Tak. Okropny widok. Z głowy została mu papka. Nie wiedziałem, że kufel może spowodować takie obrażenia.

- Dlaczego? Jaki był powód?

Paul Hjelm popatrzył na Kerstin Holm. Łączące ich wspomnienia sprawiały, że żadne spojrzenie nie było niewinne.

- Mówisz serio? - zapytał półserio.

- Tak. Właśnie tak. Nie żartuję. Skąd się bierze ta przemoc?

Westchnął.

- Jak by ci to powiedzieć. Teraz przynajmniej obserwowaliśmy to wszystko z bardzo bliska. Przez ponad pół roku. Szara

codzienna przemoc w City. To nie zachęca do bycia filantropem. Wróciłaś na dobre, Kerstin?

- Grałam gościnnie. Wiesz, co się dzieje z piłkarzami, którzy grają gościnnie. Coś jest z nimi nie tak. Ale znów gram w swojej drużynie.

- A więc na dobre? Jak ci było w domu?

- Teraz to jest mój dom, przynajmniej tyle wiem na pewno. Tylko tyle.

- A cała reszta? W porządku?

- Właśnie tak. W porządku. Ani mniej, ani więcej. Pod kontrolą. Można byłoby sobie życzyć czegoś więcej...

- Skądś to znam. Tak zwany kryzys czterdziestolatka. „Że co? Na tym koniec? Nic więcej się nie wydarzy?” Sama wiesz.

- Tak mi się zdaje.

- Wyciągnijmy z tego, ile się da. Pracujemy znów razem, więc rozwiążemy sprawę, którą media zdążyły już nazwać zabójstwem w Młynie. Dobra?

Kerstin Holm zaśmiała się cicho i włożyła porcję snusu pod górną wargę.

- A to co takiego? - spytał Hjelm, wskazując palcem.

- Nowy rozdział - powiedziała Kerstin Holm, nie zmieniając miny. Potem podążyła innym tropem, tropem wydarzeń z przeszłości. - A co z resztą? Byłam w kontakcie z Gunnarem, wydaje się, że u niego wszystko w jak najlepszym porządku.

- No tak, nasz stary, dobry Gunnar Nyberg... Tylko on został tak naprawdę w Rikskrim*. W nagrodę za to, że odmówił udziału w ostatniej części pogoni za mordercą z Kentucky. Wylądował w centrum pedofilskiej erupcji. Pedo University.

- Już go widzę - uśmiechnęła się Kerstin, przeglądając swój mały notatnik. - Dopiero co udało mu się odzyskać kontakt ze swoimi dziećmi i rocznym wnukiem i nagle ląduje w samym środku wirtualnego świata pedofilów. Para buch, koła w ruch.

Rikskrim - Wydział Kryminalny Komendy Głównej Policji.

- Nie inaczej.

Dwa obrazy na dwóch siatkówkach. Tak podobne, że aż trudne do rozróżnienia. Rozsierdzony olbrzym z głową w bandażach, ganiający za pedofilami w niebieskiej poświacie policyjnego światła.

- Cóż - westchnął Hjelm. - Reszta odbywa swoje małe kary. Zła krew wraca.

- Mieliśmy już tak nie mówić.

- Racja. Nigdy więcej.

- A reszta?

- Od rozpadu Drużyny A nie mieliśmy zbyt dużo kontaktu. Wylądowałem na zesłaniu w komendzie rejonowej. „Telefon Gunnara Lóva”. Pokuta. Myślę, że to mnie winili bezpośrednio za tę historię z mordercą z Kentucky. Jan-Ok>v posłużył za kozła ofiarnego.

- Masz z nim jakiś kontakt?

- Nie. Zniknął. Przymusowa emerytura. Emerytowany inspektor kryminalny Jan-01ov Hultin. Wydaje mi się, że przestał nawet grać w piłkę. Koniec sagi o drewnianonogim Hulanie. Söderstedt i Norlander wylądowali w wojewódzkim wydziale do spraw przemocy, a Chavez postawił na edukację.

- Wyższa Szkoła Policyjna?

- Tak. Ścieżka kariery się rozwija. Są jeszcze kursy na inspektora? Jeśli tak, to właśnie na takim był.

- No proszę. A nasze pokoje? „Centrum dowodzenia”?

- Zdaje się, że posadzili tam administrację.

Przez chwilę patrzyli na siebie w ciszy. Tyle razem przeszli... Na moment ich dłonie spotkały się w szybkim uścisku. Na więcej nie mogli sobie pozwolić. Czekają ich dużo pracy. Kerstin Holm przejrzała notes, a Paul Hjelm - mizerny protokół przesłuchania nocnej zmiany. Spojrzeli na szkic Młyna.

- Czekają tam na zewnątrz - powiedziała Kerstin i westchnęła.

- No dobra. Dawać mi tu następnego - odparł Paul i westchnął.

2

NIEBO.

Kiedy widział je po raz ostatni?

W Szwecji jest pięćdziesiąt siedem zakładów karnych z ponad czterema tysiącami miejsc. Podzielone są na sześć klas bezpieczeństwa, z czego klasa F to placówki otwarte. Klasy A-E stanowią placówki zamknięte. Najlepiej strzeżone są więzienia typu A, trafiają do nich najbardziej niebezpieczni przestępcy. W Szwecji są takie dwa: Hall i Kumla.

Przyglądał się niebu w całej jego okazałości. Bez krat. Spojrzał na zamykającą się za nim bramę, przez chwilę czuł się, jakby opuścił swoje ciało, złączył się z niebem i patrzył na równinę rozciągającą się pod nim, usianą czworobocznymi zielonymi, brązowymi i żółtymi kwaterami równinę Narke. Więzienie wyglądało jak dwa kwadratowe pola wśród wielu innych kwadratów.

Nie było widać murów.

Rozmyła je perspektywa.

Wylądował.

Na twardym gruncie.

Ze stopami na ziemi.

Obejrzał się kolejny raz. Przejmująco zimne mury. Nic poza tym. Nic, co by zza nich wystawało. Same mury. Szare. Szare mury.

Ruszył. W kącikach ust igrał uśmiech.

Podszedł do ciężarówki. Czekala na niego. Warkot. Dźwięk wolności. Wolność jak ciężarówka w kolorze zielony metallic.

Zatrzymał się. Stał jeszcze przez chwilę. Lekki, ciepły powiew wiatru w środku lata, na świeżo ogolonych policzkach. Słońce. Poranny skwar. Patrzył, jak w oddali migocze asfalt.

Spojrzał w stronę samochodu. Wystające ręce. Pomachał. Jeszcze żadnego dźwięku. Dźwięki go nie dochodziły. Ruchy tam w środku. Jak płód. Jajko chwilę przed wykluciem. Zakonserwowane ruchy. Przyszłe wydarzenia. Wiele szybkich kroków zebranych w jeden punkt.

Pierwszy krok. Otwiera portfel. Kilka marnych banknotów. Trzy czterdzieści za godzinę w ramach podstawowego wynagrodzenia. I jeszcze niewielka płytka. Wyglądająca jak kieszonkowy kalkulator.

Wyjmuje. Przez chwilę waży w dłoni. Kieruje ją w stronę samochodu.

Gesty ustają. Dźwięk znika, jeszcze zanim do niego dotarł. Ruchy przyszłości ustają.

Jeden lekko wystający guzik. Czerwony. Jakby się świecił.

Wcisną, uśmiecha się słabo i wsiada do samochodu.

Słup dymu zza więziennych murów.

Wysoko, w górę, do samego nieba.

Już nie tylko mury.

Gdy ciężarówka się rozpędza, dźwięk wciąż jeszcze jest w drodze.

- A WIĘC zasiadasz w zarządzie Bajen Fans?

Mężczyzna miał około trzydziestki i mrużył oczy, jakby raziło go światło w zaciemnionym pokoju przesłuchań. Mimo ewidentnego kaca nie przestawał być czujny. Jakby nie opuszczało go poczucie, że siedzi na ławie oskarżonych.

- Tak - odpowiedział w końcu. - Członek zarządu.

- Czym tak naprawdę jest Bajen Fans? - zapytała Kerstin Holm.

- Z całą pewnością nie organizacją przestępczą.

- Nikt tak nie twierdzi. Nie da się jednak ukryć, że jeden z członków Bajen popełnił straszliwą zbrodnię w ulubionej knajpie kibiców Hammarby, i to w obecności co najmniej jednego członka zarządu Bajen Fans. To chyba zrozumiałe, że pytamy.

Wydawał się dosyć markotny. Milczał. Spojrzał na Hjelma, który robił, co mógł, żeby nie było widać, że śpi.

- Coś tam wiem - powiedział Hjelm. - Niezależne stowarzyszenie kibiców. Powstałe z Hammarbyklacken na początku lat osiemdziesiątych.

- Otóż to - powiedział mężczyzna z nieskrywaną dumą. - Organizujemy wyjazdy na mecze i dysponujemy lokalem klubowym na Grafikvagen, otwartym w czwartki wieczorem i od dwóch do pół godziny przed każdym meczem u nas. To my pilnujemy, żeby sprawy n i e wymknęły się spod kontroli. Za pewniamy obywatelom tego szarego kraju jedyny karnawał w roku, przez co już na samym wstępie łądujemy na liście podejrzanych.

- To nie wy jesteście podejrzani. To ty jesteś podejrzany, Jonasie Andersso z Enskede, ty osobiście. Jesteś podejrzany o ukrywanie tożsamości zabójcy z Młyna.
- Zabójcy z Młyna...
- Przydomek nadany przez „Aftonbladet” dobrze-wiesz-komu. Jonas Andersson z Enskede spojrzął bez wahania na Hjelma.
- Kurwa, przecież to ja próbowałem tamować krew, przyciskając koszulę do jego zmiażdżonej czaszki. Już wtedy wiedziałem, że nam się dostanie. Polowanie na czarownice.
- Widziałeś sprawcę?
- Nie.
- Gdzie byłeś?
- W grupie przy ścianie niedaleko drzwi. Panował harmider, było pełno ludzi, niczego nie widziałem.
- Niczego nie widziałeś?

Hjelm nie silił się na oryginalność. Już czwarty raz dzisiaj zadał to pytanie. Kerstin Holm zobaczyła, jak rzuca ręcznik, i przechwyciła upuszczoną pałeczkę w sztafecie. Dokładnie w takiej kolejności.

- Nie utrudniamy sobie - powiedziała, podsuwając kartkę przed oczy Jonasa Anderssona z Enskede. - Tu jest szkic Młyna. O której przyszedłeś i co gdzie widziałeś?
- Stałem tutaj, przy tej ścianie, gdzie są drzwi, razem z dziesiątką innych osób, które miały na oku miejsca siedzące trochę bardziej w rogu. Przyszliśmy jakiś kwadrans po dziewiątej, już trochę wstawieni. Staliśmy tam, podpierając ściany.
- Okej. Czy ci przy barze już tam byli?
- Przy barze panował ścisk. Nie wiem. Przysięgam, że nie wiem. Było tłoczno, mroczno i głośno. W oparach porażki. Dwa do dwóch z Kalmarem, i to przed własną publicznością. Gwarantowane ostatnie miejsce. Wszyscy byli dosyć przybici. I nagle na kilka sekund zrobiło się zupełnie cicho. Jakby w tej masie utworzył się otwór. A pośrodku leżał on. Ze zmasakrowaną głową. Podbiegłem, żeby pomóc temu chłopakowi docisnąć koszulkę.

Miękko pod spodem. Cholernie nieprzyjemne uczucie. Widziałem tylko, jak jakaś grupa pędzi do drzwi.

- Jakaś grupa?
- No tak. Co najmniej dwadzieścia osób wymknęło się, zanim bramkarze w ogóle zareagowali. Pewnie zaćpali.
- Dwudziestu kibiców?
- Nie tylko. Ktoś wyszedł nawet po zamknięciu drzwi przez bramkarzy. Pewnie ich jakoś przekonał. Ale nie widziałem zbyt dobrze.
- To, *co* widziałeś, to było jak napór fali na drzwi?
- Można tak powiedzieć. Trochę to dziwne. Zwykle ludzie reagują jak tamte wystraszone panienki w rogu. Krzyk i panika. A oni po prostu się zwinęli.
- Okej. Czy możesz nam opisać, jak to wyglądało, wspomagając się tym szkicem?

Jonas Andersson wziął wdech i jęknął głośno. Potem zaczął wodzić niezdarnie palcem po szkicu. Zaczął od rzędu stołów przy oknie.

- Panienki przy dwóch stolikach w rogu. Dwie z nich dostały napadu paniki. Trzeci stolik, najbliżej drzwi: grupa informatyków. Wszyscy zostali na miejscu. Kolejny rząd: pośrodku kilku kibiców obok jakiegoś drobnego kolesia, który siedział z książką. *Ze wzrokiem* wbitym w tekst. Z jednej strony, pod ścianą, grupa jugoli. Z drugiej strony, najbliżej nas, jakieś kujony. Potem, w rzędzie najbliżej baru, dwie pary, które zajęły ten sam stolik, i Sten-bogen. Stolik obok: moczymordy. Tuż przy nas mieszane towarzystwo. I jeszcze stolik przy drzwiach, obok nas, grupa twardzieli, nie skini, ale prawie. Zwali. Z wyjątkiem jednego.
- Teraz się skup. Grupa twardzieli. Ilu ich było?
- Staliśmy obok, próbowaliśmy do nich zagadać, ale nie odezwali się ani słowem. Siedzieli cicho, a gdy tylko znaleźliśmy się zbyt blisko, odpychali nas. Jeden z nich słuchał nawet muzyki. Ale nie ten, co został. Łysy. Z wąsami. Pięciu. Było ich pięciu. Jeden został.

- A dalej? Stenbógen? Trunkowi?
- Ale oni zostali. Macie ich. Stenbógen to najodważniejszy gej w Szwecji. Zawsze gapi się na kibiców. Zdażyliśmy się przyzwyczać. Tym razem gapił się na tego drobnego kolesia z książką. O moczymordach nic nie wiem, ale byli dosyć typowi. Zapici przedstawiciele świata kultury, po uszy zakochani w swojej dzielnicy. Od trzydziestu lat nie zrobili niczego dla kultury.
- A „grupa jugoli” obok chłopaka z książką?
- Trzech, czterech jugoli. Jugosłowian. Rozmawiali. Chłopak z książką siedział tuż obok. I był spychany w ich stronę przez kibiców.
- Skąd wiesz, że to byli Jugosłowianie?
- Tak wyglądali. Zmyli się. Co do jednego.

Kerstin Holm zamilkła. Przekazała pałeczkę. Przejął ją Hjelm.

Był gotów.

- Chcesz powiedzieć, że grupa „trzech, czterech jugoli” ruszyła w stronę wyjścia, gdy tylko Anders Lundström dostał kuflem w głowę?
- No tak. Coś tam knuli, widać było gołym okiem.
- Sporo widziałeś jak na kogoś, kto niczego nie widział - stwierdził Hjelm. Towarzyszyło mu poczucie deja vu.
- Zasiadam w zarządzie - odparł Jonas Andersson, podnosząc wzrok. - Staram się zawsze mieć ogląd sytuacji. Naprawdę mi przykro, że nie widziałem tego co trzeba. Nawet nie wiecie, jak bym chciał dorwać tego gnojka. Zniweczył lata ciężkiej pracy.

- Moczymordy - wyrwało się Paulowi Hjelmowi na widok czterech przykurzonych jegomościów z wytartymi rękawami marynarek, rozwianymi grzywkami i posiwiałymi brodami różnej maści.
- Co proszę? - zdziwił się ten z prawej.
- Nie dosłyszałem? - zawtórował mu ten z lewej.

Ich siedzący pośrodku koledzy wyglądali jak wypchane po amatorsku kukły. Hjelm zebrał myśli, usiłując zatuszować wpadkę.

- Czy któremuś z panów udało się zaobserwować to, czego dopuściły się siedzące przy barze moczymordy wczorajszego wieczoru w pubie Młyn?
- Niestety w owym czasie i miejscu mieliśmy kilka pilnych spraw do omówienia - odezwał się ten z lewej.
- Czy wolno spytać, co to były za pilne sprawy?
- Naturalnie - odrzekł ten z prawej. Po czym powinien nastąpić ciąg dalszy.
- Tak zwane pytanie retoryczne - rzucił ten z lewej.

Siedzący pośrodku pochylili się ku sobie. Wyglądało, jakby za chwilę miały im pęknąć szwy, a zawartość wysypać się na zewnątrz.

- Pełna koncentracja - powiedział Paul Hjelm.
- Należymy do Klubu Przyjaciół Vreeswijka - wyjaśnił ten z prawej. - Mieliśmy zebranie roczne.
- Naszą misją jest otwarcie muzeum Cornelisa na Medborgarplatsen - powiedział ten z lewej. - Wierzymy, że uda nam się przekonać muzułmanów, by śpiewali *Kurę Agdę* w minarecie.
- *Adieu, Felicia* - zawołał środkowy z prawej.
- *Mały blues Lassego* - odpowiedział środkowy z lewej.

Po czym znowu popadli w otepienie.

- Społeczeństwo wielokulturowe - odezwał się ten z lewej z błyskiem wizjonera w oku.
- Widzieliście cokolwiek?

Środkowy duet znowu odzyskał świadomość.

- *Grymasy...* - powiedział trzeźwo środkowy z lewej.
- *...i telegramy* - uzupełnił równie trzeźwo środkowy z prawej.
- Czy mam przez to rozumieć, że wczorajszego wieczoru w Młynie widzieliście grymasy i telegramy? - zapytał Paul Hjelm, a myśl o emeryturze jeszcze nigdy nie była mu tak bliska. Jednak wspomnienie żółto-czerwonej koperty z informacją o nowym

systemie emerytalnym, która niedawno trafiła do skrzynki szeregowca w Norsborgu, skutecznie go ostudziło. Przeliczył się co do liczby zer na koncie. Jak i cała reszta jego pokolenia.

Środkowy duet pochylił się nad stołem, przerywając tym samym daremne rozmyślenia o emeryturze.

- Tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty szósty - odezwał się środkowy z lewej, jakby zdradzał wielką tajemnicę.
- Nietościgniona płyta - odezwał się środkowy z prawej dokładnie w ten sam sposób.
- Moje morale podskoczyło z radości, słysząc ambitne plany dotyczące wymiany partnerów przy stoliku obok - odezwał się ten z lewej, na co środkowy duet opadł, jakby ktoś puścił podtrzymujące go sznurki.
- A moje morale podskoczyło z radości, słysząc wielokulturową rozmowę, która miała miejsce przy stoliku obok - odezwał się ten z prawej.
- Można zapytać, czy wiedzą panowie, dlaczego ich tu poprosiliśmy? - zapytał Hjelm, rozglądając się w poszukiwaniu Kerstin. Najwyraźniej zbiegła z pola walki.
- Ależ proszę.
- Proszę się nie kępować.
- Czy wiedzą panowie, dlaczego ich tu poprosiliśmy? - zapytał bez zająknięcia Paul Hjelm.
- Nie do końca - przyznał ten z prawej. - Pogodziliśmy się z tym, że raz na jakiś czas jesteśmy przesłuchiwanymi przez policję. Takie są konsekwencje naszej społecznej roli.
- *Outsiders* - wyjaśnił z powagą ten z lewej i pokiwał głową.
- To znaczy, że nie wiecie, że wczoraj w Młynie zginął człowiek?

Zamilkli. Lepiej nie dało się tego nazwać. Wymienili między sobą spojrzenia nad głowami wyrzuconego poza nawias duetu pośrodku.

- Naturalnie zrobimy wszystko co w naszej mocy, żeby wesprzeć państwa w ich działalności. Niemniej jednak wspomniane wydarzenie uszło niestety naszej uwadze.

- Tuż obok nas siedziały dwie lekko podstarzałe pary pochłonięte rozmową o wymianie partnerów. A tuż za nimi miała miejsce wymiana kulturowa.
- Stąd nasza radość. Cieszyło nas, że w późny środowy wieczór Młyn dał schronienie amatorom lektury i muzyki.
- Owidiusz. Ślepy król, który zamordował swoją żonę.
- A potem matkę. Kluczowa postać światowej kultury.
- Jak rozumiem, mają panowie na myśli Edypa i Orestesa - powiedział Paul Hjelm.
- Otóż to. Albo Owidiusza, jak też go się nazywa.
- Lokalne odmiany.
- A amatorzy muzyki?
- Cały stolik zasłuchany był, kto wie, może w koncert jazzowy? Ktoś tam miał słuchawki.
- Rozpoznałem ten sposób słuchania. Pełen skupienia. Tak się słucha tylko jazzu. Albo ballad. Cornelisa.
- *List z kolonii* - rozpromienił się środkowy duet, by po chwili znów odpłynąć.

Hjelm spojrział na nich po kolei, od lewa do prawa. Nie mógł się skoncentrować. Jęknął cicho i utkwiał wzrok w leżących przed nim notatkach. „Wymiana kulturowa”, nabazgrał ktoś. Nie rozpoznawał już nawet własnego pisma.

- Dlaczego rozmowę, która miała miejsce za dwiema parami, nazywacie „wielokulturową”? - wydusił.
- Niewątpliwie byliśmy świadkami konwersacji obywatela Szwecji z przyjaciółmi z Południa, powiedzmy Turkami.
- Albo Baskami.
- Baskami? - zdziwił się Hjelm.
- Coś w ten deseń. Równie dobrze mogli to być Hindusi. Albo południowi Mongołowie.
- Obie strony mówiły łamanym angielskim. Docierały do nas fragmenty rozmowy.
- Angielskim? Siedzieli przy chłopaku z książką?
- Otóż to. Ale potem zniknęli.

- Gdy doszło do zabójstwa - uzupełnił Hjelm.
- Które niestety uszło naszej uwadze. W każdym razie nagle wszyscy zniknęli. Pamiętam, że krzyczały jakieś kobiety. Do wymiany partnerów nie doszło, bo obie panie dostały ataku hysterii. Niewykluczone, że powinno to być zwrócić naszą uwagę.
- Niewykluczone - pozwolił sobie powiedzieć Hjelm. Niewykluczone, że powinno to prowadzić do chwilowej refleksji.

- No tak, widziałem go.

Kerstin Holm i Paul Hjelm spojrzeli na siebie, po czym skierowali podwójnie skupione spojrzenie na zgołoną głowę z rzadkim wąsem w kolorze blond.

- Widziałeś go? - zdziwiła się Holm. - Za ledwie wczoraj wieczorem w Młynie twierdziłeś coś innego. Nocnemu patrolowi z Södermalm powiedziałeś, cytuję, „Niczego nie widziałem”.
- Zrobiło się późno, a ja byłem zmęczony i lekko wstawiony. Koledzy już wyszli. Zostałem, żeby zapłacić. To była moja kolej. Trochę się wściekłem, że utknąłem w Młynie, a oni poszli dalej, więc nie myślałem jasno. Potem miałem jednak chwilę, żeby się zastanowić. Widziałem go.

Łysy miał około trzydziestki, nosił dosyć szykowny jasny garnitur i żółty krawat i był prawdziwą górą mięśni. Hjelm zastanawiał się, czy rękawy marynarki nie skrywają kolekcji więziennych dziar. Przejrzał papiery i znalazł wyciąg z rejestru karnego. Carlstedt, Eskil, 700217-1516, urodzony w Brommie, sprzedawca, zamieszkały na Kungsholmen. Był czysty. Nawet przepisów drogowych nie złamał ani razu.

Żadnych tatuaży.

- Okej - powiedziała Kerstin Holm. - Co widziałeś?

Eskil Carlstedt zrobił krótką przerwę, wciągnął powietrze tak, jak bokser wacha amoniak, i wystartował:

- Zajęliśmy stolik najbliżej drzwi. Siedziałem plecami do ścian, z widokiem na bar. Przyszliśmy dosyć wcześnie, około wpół

do ósmej. Krótko po dziewiątej pojawili się pierwsi kołesie z Bajeru Lekko skwaszeni, ale nie agresywni. Część zajęła ostatnie wolne miejsca obok chłopaka z książką. Reszta zebrała się wokół naszego stolika. Potem przyszli oni. Sześciu, może siedmiu. Trochę się wyróżniali. W powietrzu czuć było agresję, że tak powiem. Stanęli przy bliższym końcu baru. Potem zjawili się kolejni, stanęli na drugim końcu. Między nimi - Smalandczycy. Czwórka. No i się zaczęło. Jeden z nich uderzył lekko tego najwyższego Smalandczyka w twarz zwiniętą flagą. Od razu stamtąd zwiął z kolegą. Ale dwóch zostało. Zrobiło się gorąco. Któryś ze Smalandczyków przewrócił jednego z kibiców. Ten podniósł się powoli. I nagle po prostu uderzył. Właśnie płaciłem. Koledzy już wyszli, nie widziałem dokładnie, bo zasłaniała mi kelnerka. Ale widziałem go, jak ucieka. Trzymał w ręku ucho od kufla, miał dżinsową kurtkę, koszulkę Bajen Fans i taki sam szalik. Niezbyt wysoki, jasne tłuste włosy i mały wąsik.

- Taki jak twój? - zapytał Hjelm.

Eskil Carlstedt spojrział na niego urażony.

- Skąd - powiedział w końcu. - Zupełnie inny. Wąsik chłopca ze wsi. Wąsik mechanika samochodowego. Upaprany snusem. Zachodził lekko na brodę.

- Rozpoznałbyś faceta, gdybyś go zobaczył?

- Chyba tak.

- - Ilu was było? Ale gdy bramkarze zablokowali drzwi, zostałeś

- Pięciu. tylko ty?

- Koledzy wyszli już wcześniej. Pewnie czekali na zewnątrz. Mieliśmy iść dalej. Zostałem, żeby zapłacić. Tak jak mówiłem.

- Tak jak już wielokrotnie mówiłeś - powiedziała Kerstin Holm. - Co to byli za ludzie?

Eskil Carlstedt rozłożył ramiona, rzucił szybko okiem na zegarek, przeciągając dłonią po ogolonej głowie.

- Koledzy. Sprzedawcy. Czasem wychodzimy razem w tygo dniu. Na panienki.

- I żeby posłuchać muzyki - dodał Paul Hjelm.

Carlstedt jęknął.

- Muzyki? Sorry, ale ile to jeszcze zajmie? Siedzę tu już od kilku godzin, trochę mi się spieszy.

- Jak wynika z jednego z zeznań, siedzieliście w ciszy, nie zamieniwszy nawet słowa, i co najmniej jeden z was miał w uszach słuchawki.

Carlstedt zamilkł i spojrzał na niego. Spod grzywki - gdyby takową miał. Z namysłem. Widać było, że nad czymś się zastanawia.

- Dobra, dobra, już wiem, o co chodzi. Kalle pogrywa w kapeli rockowej. Catwalks. Karl-Erik Bengtsson. Słuchaliśmy demo. Są naprawdę niezli. Moim zdaniem mają kontrakt w kieszeni.

- Wszyscy słuchaliście?

- Nie bardzo rozumiem, co to ma wspólnego z zabójstwem.

- Wszyscy słuchaliście?

- Tak. Mieliśmy tylko jeden odtwarzacz, więc słuchaliśmy po kolei.

- Czyli przekazywaliście sobie słuchawki?

- Tak. Zajęło nam to trochę czasu, więc niewiele gadaliśmy.

- A pozostali? Możemy się z nimi skontaktować?

- Oczywiście. Tyle że oni nie są świadkami. Byli już na zewnątrz, gdy to się stało.

- Jak już mówiłeś. Pamiętasz coś jeszcze?

- Na przykład? - westchnął Eskil Carlstedt i spojrzał demonstracyjnie na zegarek.

- Na przykład kto jeszcze był w lokalu. Szukamy świadków.

- Kurwa, tam było pełno ludzi. Dobra, już dobra. Co mi tam. Stali głównie kibice. Zanim weszli, wszyscy goście siedzieli. Przy barze było pusto, ale wszystkie krzesła były zajęte. Z wyjątkiem tych obok chłopaka z książką. Klapnęli na nich kibice, którzy weszli jako pierwsi. Wieczór panieński przy stoliku przy oknie. Obok nich, najbliżej nas, grupa młodych rekinów biznesu albo koleś z IT. I chłopak z książką. Dwie pary w średnim wieku,

które wyglądały na nagrzane. Gapiący się gej. Grupka trubadurów. A najbliższe mieszane towarzystwo, chyba studenci.

- Nikt poza tym? - zapytała Kerstin Holm.

Hjelm spojrzał na nią z zaciekawieniem.

- Nie, o ile pamiętam. Jakichś trzydziestu kibiców. Połowa z nich prysnęła, jeszcze zanim zjawili się bramkarze.

- Twoim zdaniem powinniśmy szukać świadków wśród kibiców Hammarby?

Eskil Carlstedt zaśmiał się pod nosem.

- Co najmniej dziesięciu z nich było o krok od miejsca zda

rzenia. Ale pewnie i tak nic nie powiedzą.

Hjelm wstał i pochylił się, zapierając się o stół.

- Jeszcze dwie kwestie, zanim pobiegiesz na to swoje spotkanie. Pierwsza: udasz się do portrecisty i pomożesz mu sporządzić portret pamięciowy sprawcy. Druga: zostawisz nazwiska i dane kontaktowe do twoich czterech kolegów w recepcji na rytarzu. W porządku?

- W porządku - westchnął Eskil Carlstedt i spojrzał na zegarek.

Siedzieli w ciszy, błędząc po sobie wzrokiem. Lub tylko błędząc wzrokiem. Kilka lat temu kochali się ze sobą. Jeden jedyny raz. W Malmö. W czasie intensywnej pogoni za tak zwanym Łowcą Rekinów. Największy - i na dobrą sprawę j e d y n y - sukces Drużyny A. Media okrzyknęły ich bohaterami. Zespół skryzalizował się jako „jednostka specjalna Rikskriminalen do zwalczania przestępczości o charakterze międzynarodowym”. A potem zjawiał się morderca z Kentucky. Romans zamienił się w przyjaźń. Głęboką przyjaźń. Byli razem w Stanach. Pracowali z FBI, byli nazywani Jalm & Halm, jak drętwa para komików z teatru różności. Szło im całkiem nieźle. Rozwiązali starą zagadkę. Zatrzymali poszukiwanego seryjnego mordercę. Potem podjęli złą decyzję i historia Drużyny A dobiegła końca. Zła krew wraca.

Przecież mieli już tak nie mówić.
- Zrobmy sobie przerwę - zaproponował Hjelms. - Jest pora lunchu. Możemy wyjść i powiedzieć: przykro nam, przyjdźcie jutro. Wściekną się, ale nikt nie będzie nam robić z tego powodu wyrzutów.

Spojrzał w jej oczy. Uważnie. Próbował zobaczyć, co naprawdę myśli. Pozwoliła mu na to. Patrzyła na niego w ten sam sposób.

- Nie - powiedziała.
- Nie - powiedział.

Najwyraźniej potrafili zobaczyć, dokąd biegną myśli drugiego. I nie dotyczyło to tylko bójki w barze.

Kerstin Holm wcisnęła guzik interfonu. Do środka wszedł wysoki, szczupły mężczyzna około pięćdziesiątki. Ubrany w dres, jakby trafił tu prosto z kempingu.

- Sten Bergmark, tak? - odezwała się Kerstin Holm, wyciągając rękę na powitanie. W odpowiedzi szarmancko cmoknął powietrze nad jej dłonią. Z Hjelmem przywitał się bardziej po męsku. Aż za bardzo, pomyślał Hjelms, gdy po chwili poczuł ból.
- Stenbogen - wyjaśnił Sten Bergmark. - Zaliczony pełen skład Baj en.

Najwidoczniej spojrzeli na niego ze zdziwieniem, bo próbując ułożyć swoje dwumetrowe ciało między krzesłem a stołem, dodał:

- Nie wiedzą, że mam na imię Sten*, ale ich zdaniem jestem twardy jak kamień. Dwie pieczenie przy jednym ogniu, można powiedzieć.
- A więc lubisz gapić się na kibiców? - zapytała Holm. - A oni nie mają z tym problemu?
- Zakładam, że to przemawia do ich utajonego homoseksualizmu. Takiego, który zawsze unosi się w powietrzu, gdy mężczyźni spotykają się w swoim gronie.

Sten (szw.) - kamień, *bóg* (szw.) - gej.

- Miałeś któregoś z nich?
- Więcej, niż przypuszczasz, policjantko.
- Tym razem nie gapiełeś się na kibiców, prawda?
Olbrzym zaśmiał się.
- Przyznaję, że tym razem potrzebowałem bardziej intelektualnej strawy. Lub przynajmniej pseudointelektualnej. Pewnie było widać, że potrzeba stała się nagląca. Wiecie zapewne, że najniebezpieczniejszą cechą homoseksualizmu jest jego ponadklasowy charakter?
- Mieszkasz na Östermalm i jesteś dyrektorem Urzędu Patentowego.
- Który najczęściej spotyka się z kibicami z Bagarmossen i Ragsved.
- A ten pseudointelektualista?
- Chłopak z książką.
- Ale dlaczego pseudo?
- Nie był wiarygodny. Jakby obnosił się z wykształceniem, którego tak naprawdę nie posiada. Nie tylko ja się na niego gapiełem, jak to elegancko określiłaś, policjantko. Wyjątkowo smaczny kąsek. Nie macie przypadkiem jego adresu?
- Nie tylko ty?
- Skądże - powiedział Sten „Stenbógen” Bergmark. - Przez cały czas obserwowała go grupa gejów w typie macho.
- Gejów w typie macho?
- Teraz to już zachowujesz się jak mój psychoanalityk, policjantko. Za pięćset koron za godzinę powtarza wszystko, co powiedziałem.
- Z tą małą różnicą, że ja nie zarabiam pięciuset koron na godzinę.
- Stolik przy drzwiach. Jak mam ich opisać? Podstarzali skini. Szwedzi czystej krwi. Mięśniaki. Pięciu.
- I wszyscy oni gapili się na chłopaka z książką?
- Trzech z nich. Tych plecami do ściany. Dwóch siedziało plecami do lokalu. Oni się nie gapili. Z oczywistych względów.

- Jesteś pewien, że chodziło im o chłopaka z książką?
- Instynktownie wyczuwam konkurencję. Poczułem się zazdrosny. Kto się połasi na węgorza, skoro ma na wyciągnięcie ręki pięć steków wołowych?
- Kto jeszcze siedział na linii ich wzroku?
- Na Boga, policjantko. *7 only had eyes for him.*
- Zastanów się.

Sten Bergmark znieruchomiał. Miał przed oczami całą scenę.

- Siedziałem przy stoliku najbliżej baru. Grupa podstarzałych przedstawicieli świata kultury obok mnie dyskutowała o tym, która z ballad Cornelisa powinna być śpiewana w niezbudowanym jeszcze minarecie po drugiej stronie Bjórns tradgard. W polu widzenia miałem jeszcze dwie pary, które bez najmniejszego skrępowania dzieliły się ze sobą swoimi fantazjami seksualnymi. Za nimi, obok naszego czytelnika, pod ścianą, siedziało kilku zagranicznych dżentelmenów rozmawiających po angielsku ze Szwedem, który był odwrócony do mnie plecami. Powinni coś widzieć. Podobnie jak grupa studentów po drugiej stronie chłopaka z książką, najbliżej tego, który się gapił. I być może niektóre z zawianych pań przy oknie.
- Hmm - zamyśliła się Kerstin Holm.
- Hmm - zamyślił się Paul Hjelm.

Stenbógen założył ręce za szyję i odchylił się na krześle.

- Szanowna władzo! Czy nie spotkaliśmy się tutaj, żeby po rozmawiać o zabójstwie?

•

ARTO Söderstedt przyrzekł sobie, że nie będzie jeździć samochodem. Prywatnego nie miał, a służbowy brał wyjątkowo rzadko. Po przejechaniu ponad dwustu kilometrów w to wyjątkowo słoneczne - wbrew prognozom pogody - przedpołudnie, gdy jego służbowe volvo opuszczało żyzne równiny Narke, nie potrafił już dłużej się oszukiwać. Za kółkiem czuł się znakomicie.

Ponieważ udzielał się w stowarzyszeniu, którego ambicją było drastyczne ograniczenie ruchu samochodowego w centrum miasta, zwłaszcza na Södermalm, a już nade wszystko na Bondegatan, przy której mieszkał ze swoją liczną rodziną, refleksji tej towarzyszyło poczucie lekkiego zawstydzenia.

Zsunął lekko nogę z gazu, zmienił bieg i spojrzął w stronę fotelu pasażera, na którym przewoził paszę dla konia. Wór siana.

Wbił w niego palec. Wór ani drgnął. Wbił jeszcze mocniej. Wór ożył. Chwycił się machinalnie za kaburę.

Viggo Norlander obudził się.

Na prawym rękawie skórzanej kurtki widoczny był okazały, zaschnięty kleks dziecięcej kaszki. Arto Söderstedt roześmiał się na całe gardło.

- Mam w domu piątkę - powiedział dźwięcznie po szwedzku z fińskim akcentem. - Cała piątka ulewała na moje ramię. A mimo to nigdy, powtarzam: nigdy, nie wyglądałem tak żałośnie jak ty, i to już po pierwszej nocy.

- Stul pysk - burknął Viggo Norlander, próbując się wyprostować. Z wnętrza jego ciała dobiegły ich niepokojące dźwięki.

Ostatnia noc była wyjątkowo dziwna. Manodepresyjna. Nagłe przeskoki ze skrajnego szczęścia w stan klęski żywiołowej.

Jego pierwsza noc z dwutygodniową córką.

W ogóle cała ta historia była dziwna. Jak ze snu. Miał skończone pięćdziesiąt lat, z czego czterdzieści osiem przeżył w celibacie, jeśli nie liczyć wczesnego małżeństwa, które ciągnęło się przez diabelnie długi miesiąc i które na długo obrzydziło mu kontakty z płcią przeciwną. Kontakty z własną płcią nie mieściły się w jego obrazie świata. Był zwykłym szarym policjantem, najbardziej szarym z możliwych, ograniczonym banalnym zbiorem reguł dotyczących zachowania i sposobu bycia.

Zmarły za życia, jak myślał o sobie, wspominając dawnego Viggo Norlandera.

I nagle poczuł, że ma dosyć. Jego wciśnięta w kąt dusza eksplodowała, a on sam wyruszył do Estonii na jednoosobową wendetę, którą zakończył przybity do podłogi przez lokalną mafię.

To była najlepsza chwila w jego życiu.

Odtąd nic już nie było takie samo.

Wyrzucił smutne urzędnicze garnitury, pozbył się brzuszka i przeszczepił sobie włosy. Zaktualizował garderobę, odnalazł swój styl i dał nura w nocne życie Sztokholmu, nie gardząc przy tym towarem gorszego sortu. Nie odmówił żadnej kobiecie w potrzebie. Nie żeby sam przez to cierpiał.

Jedną z tych przygód zapamiętał szczególnie. Jesienią, w czasie intensywnej pogoni za mordercą z Kentucky, próg jego mieszkania przekroczyła kobieta niewiele od niego młodsza, której - co dało się zauważyć - przyświecał jeden jedyny cel: zostać zapłodnioną. Już po kwadransie była z powrotem na Banerga-tan. Gdy uśmiechnęła się do niego w drzwiach, widział po niej, że cel został osiągnięty.

Dopadły go deliryczne wizje, w których jego syn, laureat Nagrody Nobla, odnajduje go, starego glinę, w hospicjum, żeby podziękować za swoje nadludzkie zdolności umysłowe.

Wizja ta nie do końca się sprawdziła. Dziewięć miesięcy później w progu jego mieszkania stanęła kobieta z zalanym rzygo-winami zawiniątkiem i powiedziała:

- To twoja córka.

Viggo Norlander wyciągnął dłoń i przedstawił się:

- Viggo Norlander.

Dama wyciągnęła dłoń i odpowiedziała:

- Astrid Olofsson.

Po czym odezwał się Viggo Norlander:

- Wejdź do środka. Dama

odpowiedziała:

- Dziękuję.

I Astrid Olofsson weszła, i to nie tylko do jego zasiedziałego kawalerskiego mieszkania z trzema pokojami przy najspokojniejszym odcinku Banergatan, ale również do jego życia. Zresztą nie sama. Czwartym wypowiedzianym przez nią zdaniem było:

- Jak damy jej na imię?

Co ciekawe, Viggo Norlander nawet przez sekundę nie wątpił, że mówiła prawdę. Poczul, jak ogarnia go błogi spokój. To znaczy, że nie mylił się, biorąc jej uśmiech dziewięć miesięcy wcześniej za znak udanego zapłodnienia. Jego fantazje na temat syna noblisty nie były pierwszym objawem starczej demencji. Naprawdę został ojcem. Czul to, to była czysta biologia. Zupełnie jakby sam był w ciąży.

Poza tym córeczka, która nagle znalazła się w jego ramionach, przypominała go tak bardzo, że nie było mowy o żadnych wątpliwościach. Ta sama pociągła twarz, jakby siła ciężkości była największa gdzieś w okolicach brody. Ta sama księżycowa gęba, jak swego czasu wyraził się tajemniczo Arto Soderstedt.

- Charlotte - brzmiała trzecia wypowiedziana przez Viggo Norlandera kwestia.

Nie wiedział nawet, skąd mu to przyszło do głowy.

Wszystko wydarzyło się zaledwie przed dwoma tygodniami. Od tego czasu spotykali się codziennie. Dobrze mu było z tą niezapowiedzianą obecnością Astrid. Z miejsca też uzależnił się, uzależnił w prawdziwym sensie tego słowa, od owej małej istoty o księżycowej gębie.

A teraz miał za sobą pierwszą noc sam na sam z małą Charlotte. Noc pełną nadziei i zwątpienia. Na pożegnanie zostawiła mu słusznego rozmiaru kleksa na skórzanej kurtce. Nie miał siły nic z tym zrobić, w końcu przez całą noc nawet na chwilę nie zmrużył oka. Wyszedł na Banergatan i wsiadł do służbowego volvo, którego mimo licznych upomnień nie miał zamiaru oddawać. Nie zdziwił go nawet widok Arto Söderstedta za kierownicą. Usiadł obok i z miejsca przeobraził się w wór siana udekorowany ptasią kupą. Zasnął już w trakcie pierwszych minut rozmowy.

- Coś się stało w Kumli - powiedział Söderstedt. - Jedziemy tam w charakterze kryminalnych z Komendy Głównej. Stare czasy. Z czym do mnie dzwoniłeś? Opieka nad chorym dzieckiem? Charlotte jest chora?
- Ona nie, ale ja tak.
- Więc lepiej będzie, jeśli ja poprowadzę. Choć jak wiesz, nie prowadzę samochodu.
- Dobranoc.

I Arto Söderstedt poprowadził. Tak to było można nazwać. Jako że Viggo Norlander zamienił się w wór siana, Söderstedt musiał jeszcze zająć się nawigacją. Trzymał kierownicę nieprzywykłą do tego jedną ręką, a drugą przytrzymywał mapę. Nie było lekko. Wyszukał Kumlę w indeksie *Samochodowego atlasu Szwecji*. W odpowiedzi dostał „44 8E 2”. Gdy tak stał w niekończącym się korku przy Norrtull, ta nieprzenikniona kombinacja cyfr i liter wydała mu się szczególnie bezlitosna. Kiedy w końcu zrozumiał działanie systemu, okazało się, że znaleziona przez niego Kumla jest małą wioską z kościołem na południowy wschód od jeziora Takern w Óstergötland. Jak przez mgłę przypomniła mu się podobna

sytuacja w trakcie ostatniego dochodzenia, pomyślał, że to jakaś inna Kumla, i otworzył z powrotem indeks. By uniknąć zamknięcia się atlasu podczas przewracania strony, lewym udem przycisnął otwartą książkę do kierownicy, co w znacznym stopniu utrudniło mu zrobienie zakrętu. Kolejnych pięć Kumli. Westchnął i sprawdził wszystkie po kolei. Wreszcie znalazł „6110F I”. E18 przez Vastercts i Órebro. Akurat gdy minął Jarva Krog i zjazd na E18. Sprawdził E4 dalej na północ, próbując nie tracić rezonu. Całe szczęście Viggo spał. To się dopiero nazywa mieć szczęście. Skreślił przy Kiście, strata czasu była niewielka. Nikt niczego nie zauważył. Czuł się znakomicie. Nic tak nie poprawia humoru jak skorygowana potajemnie wpadka. W efekcie znakomicie również prowadziło mu się samochód, którym właśnie podjechał pod budkę strażnika przy zakładzie karnym Kumla.

- Dzień dobry - powitał ich strażnik.

Tylko nie mów „stul pysk”, pomyślał Söderstedt z największym spokojem.

- Stul pysk - powiedział Viggo Norlander.

Strażnika wyraźnie bardziej to zaskoczyło, niż zdenerwowało. Spojrzał ze zdziwieniem na ich legitymacje.

- Komenda Wojewódzka Policji w Sztokholmie? To nasi nie wystarczą?

- Jesteśmy z wydziału kryminalnego Komendy Głównej - wyjaśnił Söderstedt. - Chwilowo w wojewódzkiej. Chodzi o eksplozję - dodał.

Strażnik zadzwonił w kilka miejsc i dostał potwierdzenie. Brama się otworzyła.

- Nie możesz mówić „stul pysk” do każdego, kto się do ciebie odzywa - powiedział Söderstedt, zdejmując z lubością nogę ze sprzęgła. - To niezbyt zrównoważona strategia życiowa.

- Stul pysk - odparł Viggo Norlander.

Zaparkowali samochód we wskazanym im miejscu, minęli liczne kontrole i wkroczyli do wnętrza bunkru Kumli. Przeszli przez ołowianoszare korytarze, choć możliwe, że pomalowane

na całkiem inny kolor. Wskazano im drzwi biura dyrektora więzienia. Siedział na skórzanym krześle obrotowym za pustym, wypolerowanym na glanc biurkiem i wyglądał tak, jak wyglądają dyrektorzy zakładów karnych rodzaju męskiego. Szczególne połączenie urzędnika, pracownika socjalnego i zawodowego oficera.

Był czwartek dwudziestego czwartego czerwca, godzina 10.22, dzień przed wigilią nocy świętojańskiej.

Wciąż jeszcze mieli nadzieję, że spędzą ją z rodziną.

Dyrektor wstał, żeby się przywitać.

- Co już wiecie? - zapytał lakonicznie.
 - Niewiele - odpowiedział równie lakonicznie Söderstedt. - Tyle tylko, że wygląda to na sprawę wagi państwowej.
 - Chodzi o więźniów klasy A, więc nie może być inaczej. Nie mamy jednak pewności, czy naprawdę doszło tu do przestępstwa.
- Opieka nad chorym dzieckiem - pomyślał głośno Norlander.

Dyrektor spojrział na niego, a w jego oczach malowało się postanowienie, że od tej chwili będzie rozmawiać tylko z Söderstedtem. Tak też się stało.

- Dziś rano w jednej z cel doszło do wybuchu silnego ładunku. W celi tej przebywał więzień, właśnie zeskrobujemy go ze ściany. Na chwilę obecną nie wiemy, jak do tego doszło, co to był za ładunek, jak został uaktywniony et cetera, et cetera. Więzień nazywał się Lordan Vukotić, jeśli coś wam to mówi.

Söderstedt zastanowił się. Norlander nawet nie próbował.

- Raczej nie - powiedział Söderstedt. - Wzięliśmy ze sobą dossier, ale... - kaszlnięcie - ..nie mieliśmy chwili, żeby się z nim zapoznać. Domyślam się jednak, że chodzi o narkotyki?
- Obrót narkotykami i pobicia. Skazany na osiem lat, z czego odsiedział trzy. Wzorowe zachowanie. Kształcił się na adwokata od spraw handlowych i wkrótce miał skorzystać ze swojej pierwszej przepustki.

- Vukotić... Z kręgu Nedicia?

Dyrektor kiwnął ciężko głową.

- Oczywiście, że z kręgu Rajko Nedicia. Jeden z jego czołowych dilerów. Ale Vukotić nigdy się do tego nie przyznał. Ani razu nie wymówił nazwiska Nedicia. To ten rodzaj lojalności, która opłaca się, gdy już stąd wychodzisz.

- Nedić nigdy nie siedział, prawda?

- Nigdy. A jeszcze do dzisiaj był na najlepszej drodze, żeby dorobić się osobistego adwokata. Przepadło. W tej chwili zdrapowane są jego resztki ze ścian celi.

- Co się stało? Czy oprócz niego ktoś jeszcze został ranny?

- Precyzja, z jaką mamy tu do czynienia, każe nam podejrzewać przestępstwo. Perfekcyjnie podłożony ładunek wybuchowy. Wysadził w powietrze jedynie celę Vukoticia, sąsiednie cele nie ucierpiały. W jednej z nich, tak na marginesie, siedzi wasz stary znajomy. To znaczy znajomy Drużyny A.

- Drużyna A nie istnieje - burknął Norlander.

- Wtedy istniała. Z tego, co zrozumiałem, byliście cholernie dobrzy. Najlepsi. Nigdy natomiast nie zrozumiałem, co stało się z tym mordercą z Kentucky.

- Nie ty jeden - powiedział Söderstedt sennym głosem. - Nasz stary znajomy?

- Nazywa się Goran Andersson. Kolejny wzorowy więzień.

Söderstedt i Norlander nie mogli się nie roześmiać. Dawne czasy.

- To on jeszcze żyje? - zdziwił się Norlander.

Potem nie odezwali się już ani słowem. Wyszli za dyrektorem na korytarz w eskorcie dwóch barczystych strażników i pomaszerowali do innej części bunkra. Ściany były tu jakby bardziej szare. W końcu minęli ostatni, niemal pokazowy, punkt kontroli i znaleźli się w samym centrum świętości. Wokół ani jednego więźnia. Odgradzony długi betonowy korytarz i cierpki zapach palonej gumy, palonego plastiku i palonego ciała dochodzący z miejsca, w którym panowało zamieszanie. Technicy kryminalistyczni

biegali w tę i z powrotem. Masywne drzwi były szeroko otwarte i wyglądały na nietknięte. Czarne jak smoła, ale nietknięte. Gruby policjant w cywilu stał oparty o ścianę, paląc niedbale skręconego papierosa. Rozmawiał z dobrze ubranym, wysportowanym mężczyzną, na którego widok Söderstedtowi od razu włączyła się lampka ostrzegawcza. Sapo.

Dyrektor zatrzymał się, żeby dokonać oficjalnej prezentacji. Przywitali się męskim uściskiem dłoni.

- Arto Söderstedt i Viggo Norlander z Komendy Głównej. Bernt Nilsson z Sapo. I Lars Viksjó z lokalnego wydziału kryminalnego.
- Pierwszy na miejscu - pochwalił się grubas.
- Co już macie? - zapytał Söderstedt, zaglądając przez drzwi. Pokój był smoliście czarny, a jego wnętrze zmienione nie do poznania. Makabryczne akwarium głębinowe. Gigantyczny jeżowiec mógł być tak naprawdę łóżkiem, a wybijały koral telewizorem. Oblepiające ścianę algi mogły być szczątkami człowieka. Technicy zajęci byli zdejmowaniem ze ścian resztek Lordana Vukoticia. Pakowali je do starannie opisanych torebek i umieszczali w niebieskiej plastikowej skrzyni oznaczonej błazeńskim napisem: „puzzle dla obducenta”. Söderstedt domyślał się, że stoi za tym lekarz sądowy Qvarfordt - to z pewnością do niego należało ułożenie tych puzzli. Nigdzie wśród torebek i szuflad nie dojrzał napisów w rodzaju „materiał wybuchowy” albo „mechanizm zapłonowy”.
- Sami jesteśmy zdziwieni, że tak mało - odezwał się w końcu Bernt Nilsson z Sapo. - W tej chwili nie da się nawet ustalić podstawowych faktów. Zwykle dosyć szybko wiadomo, jakiego rodzaju materiał wybuchowy został użyty, ale w tym wypadku technicy tylko rozkładają ręce.

Söderstedt podrapał się po podrażnionej słońcem skórze; skutek dziury w rękawie. Nie tolerował zbyt dobrze słońca.

Potem obrócił się w stronę pochłoniętego pracą technika, który najwyraźniej jednak r o z k ł a d a ł tylko ręce.

- Nic nowego?
- Nic a nic - powiedział technik, nie przerywając skrobania. Söderstedt odwrócił się ostentacyjnie do spasionego Larsa Viksjó z wydziału kryminalnego policji w Narke.
- Macie jakiś scenariusz wydarzeń?
- Viksjó przerzucił kartki notatnika.
- Wpół do siódmej budzenie, o siódmej śniadanie. Praca od wpół do ósmej dla wszystkich, którzy się nie uczą. Vukotić kształcił się na adwokata do spraw handlowych. Dlatego przebywał w celi, a nie w zakładzie pracy. Podobno „odpuścił sobie” śniadanie, co by oznaczało, że od wczoraj w ogóle nie wychodził z celi. Nie wiemy tylko, na ile to „odpuścił sobie śniadanie” jest wiarygodne.
- Dyrektor zrobił zatroskaną minę.
- Nie liczymy ludzi na śniadaniu - wytłumaczył przeproszającym tonem.
- Kto powiedział, że Vukotić „odpuścił sobie śniadanie”? - zapytał Söderstedt. Viksjó przekartkował nerwowo notatnik.
- Strażnik - odezwał się w końcu. - Erik Svensson.
- Okej, mów dalej.
- Wybuch nastąpił o godzinie ósmej trzydzieści sześć. Najwyraźniej wszyscy skazani z tego korytarza się uczą, bo żaden nie poszedł do pracy. Ale ładunek był wyjątkowo precyzyjny i nie uszkodził ścian. Czterech więźniów z sąsiednich cel zostało natomiast odwiezionych do szpitala z powodu uszkodzenia słuchu.
- Raczej trudno będzie ich przesłuchać - rzucił mimochodem Norlander i przeciągnął palcem po czarnej jak smoła ścianie. Stojący obok technik spojrział na niego z wyrzutem. Czarna maź oblepiła czubki palców. Obrzydliwe uczucie. Zgliszcza komórki - i to w podwójnym znaczeniu.
- Czy to możliwe, że sam coś majstrował? - Pytanie Söderstedta nie było skierowane do konkretnej osoby. - Może dlatego nie pojawił się na śniadaniu?

- Trudno mi to sobie wyobrazić - odezwał się dyrektor.
- Choć to tylko moja subiektywna ocena.
 - Jak to?
 - Vukotić był typem więźnia, który za kratkami prowadzi się wzorowo, głównie dlatego, że chce stąd jak najszybciej wyjść.
 - I awansować na doradcę prawnego bossa narkotykowego Rajko Nedicia.
 - Niewykluczone. Nie mieliśmy złudzeń, że dzięki nam wróci do uczciwego życia. Lepsze prawo handlowe niż ciężkie rozboje. Coś trzeba wybrać.
 - Ramię prawa niedaleko sięga - powiedział Söderstedt i powtórzył gafę Norlandera. Czarna maź przykleiła się do palca.
- Jak wiadomo - dodał i podrapał się osmolonym palcem po oparzeniu. Westchnął głęboko i się zamyślił.
- Dla odmiany obudził się Viggo Norlander.
 - Macie tu jeszcze jakichś ludzi Rajko Nedicia? Z kim zadawał się Lordan Vukotić?
 - Nikt nie przyznaje się do kontaktów z Nediciem - odrzekł Bemt Nilsson z Sapo, jakby w głowie miał centralny rejestr przestępców. - Ale siedzi tu jeszcze kilku jugoli w podobnym typie. Zoran Koco, Petar Klović, Risto Petrović.
 - Ta trójka to wspomnianych „kilku jugoli w podobnym typie” - podsumował Söderstedt.

Bernt Nilsson rzucił mu spojrzenie, które przypominało bardziej pchnięcie sztyletem.

- Nie wiem, czy w ogóle z kimkolwiek się z a d a w a ł - powiedział dyrektor. - Zwykle trzymał się z boku.

Norlander przejął dowodzenie:

- Będziemy potrzebować, raz: pokoju przesłuchań, dwa: strażników, zwłaszcza Erika Svenssona, trzy: sposobu, by przebić się przez hałas w uszach sąsiadów, cztery: „kilku jugoli w podobnym typie” i pięć: gorącej linii z technikami i lekarzem sądowym. Jak rozumiem, dyrygują Qvarfordt i Svenhagen?

Wszyscy zebrani obserwowali z niedowierzaniem tę nagłą przemianę sterty siana. Po chwili Bernt Nilsson kiwnął sztywno głową.

- Panowie - odezwał się oficjalnym tonem Norlander, zajęty rozkruszaniem niemowlęcego kleksa na cienkie białe płatki. -Jutro jest wigilia nocy świętojańskiej. Zamierzam spędzić ją z moją nowo narodzoną córką, a nie z aferzystami z Kumli. Bierzmy się więc do roboty.

Spojrzał raz jeszcze na wypaloną celę. Nie powinien był.

W tej samej chwili jednemu z techników udało się odłupać zwęgloną grudkę ze ściany celi. Ważył ją w rękę, obracając na wszystkie strony. W którymś momencie obrócił ją tak, że spojrzała prosto na Viggo Norlandera.

Tak, grudka naprawdę spojrzała. W mazi czegoś bliżej nieokreślonego tkwiło bowiem oko. Nietknięte. Jakby wciąż widziało.

Miał wrażenie, że patrzy na niego z wyrzutem.

- Z porcelany - powiedział technik i uśmiechnął się szeroko.

5

PRZERWA na kawę.

Był czwartek, tuż po lunchu, a oni pili już trzecią tego dnia kawę. Wypiją jeszcze trzy. Potem rozejdą się do domów, żeby świętować noc świętojańską.

Co w praktyce oznaczało dalsze picie kawy, pomyślał Gunnar Nyberg i zajął do pełnego kubka.

Kawa dla ascetów, jak mówił Ludvig Johnsson.

Johnsson pozwalał sobie jeszcze na bułkę wiedeńską. Co najmniej cztery dziennie. Był chudy jak patyk.

- Taka przemiana materii - wyjaśniła Sara Svenhagen dwa tygodnie temu, a dokładnie w sobotę dwunastego czerwca tuż po wpół do trzeciej, w czasie przerw na kawę tropiciele pedofilów, tym razem w Cafe Plaža przy Norrmalarstrand.
- Twoja popsuła się w czasach, gdy byłeś Misterem Szwecji - ciągnęła dalej pouczającym tonem. - Anaboliki rozregulowały ci system. Ludvig to zupełnie przeciwieństwo. Ciało maratończyka. Biegając, zapomniał o żalobie. Sześćdziesiąt kilometrów tygodniowo.
- Żalobie? - zdziwił się Nyberg i spojrzał z żalem na przysługującą mu bułkę wiedeńską. Był właśnie na restrykcyjnej diecie, a mimo to wciąż bułki wiedeńskie, bułeczki z cynamonem, biszkopty i ciasteczka z lukrem przyklejały się do jego niezgrabnych palców.

Sara Svenhagen spojrzała na niego ze zdziwieniem. Odpowiedział jej tym samym. Była zachwycająca. Miała około trzydziestki, fala połyskujących złotem włosów w kolorze ciemnego

blondu spływała na cienkie ramiączka czarnej koszulki, które rysowały się na lekko piegowatej, muśniętej słońcem skórze.

To prawda, na myśl o Sarze uderzał w liryczne tony. Powtarzał sobie, że nie miało to podtekstu erotycznego, w końcu dzielilo ich dwadzieścia lat. Nie, tu nie chodziło o pożądanie. Była jego aniołem stróżem, świetlistą postacią, która przychodziła na ratunek, gdy człowiek zbyt długo patrzył w mroki ludzkiej duszy.

Tym właśnie zajmowali się tropiciele pedofilów z Rikskrim. Codziennie sięgali ludzkiego dna, zwykle rodzaju męskiego, nurzając się w najgorszym z możliwych bagien. Nawet się nie domyślał, że może istnieć coś równie obrzydliwego.

Dla Gunnara Nyberga był to niezwykle czas; po raz pierwszy coś wreszcie zaczęło się układać.

Jako jedyny z Drużyny A wyszedł z ostatniego śledztwa z honorem, chociaż była to wewnętrzna sprawa, która pod żadnym pozorem nie miała ujrzeć światła dziennego. Kłapa została zatrzaśnięta i leżała gdzie trzeba. Ale w oczach kierownictwa policji nad jego głową unosiła się aureola i z pewnością by awansował, gdyby tylko myślał, że Wielki Głina został inspektorem, nie wydawała się aż tak niedorzeczna. Zresztą i tak odmówił, głównie po to, żeby komendant główny policji nie musiał niepotrzebnie kręcić. Zatem bez awansu. Ale nowe, stymulujące zadania - bardzo chętnie.

Tym oto sposobem człowiek, którego jakiś pismak z „Gazety Policyjnej” nazwał Wielkim Gliną, trafił do cieszącej się uznaniem jednostki Rikskrim, zajmującej się pornografią dziecięcą. To znaczy przed ekran komputera. A przecież dopiero co zaczął wszystko od nowa, po latach spędzonych w odmętach żalu. Dopiero co pogodził się z tymi, z którymi - jak mu się zdawało - nie dało się pogodzić. Ze swoimi dziećmi. I była żoną. Świadcami i ofiarą najgorszego postępu w jego życiu. Nie mógł zapomnieć, jak uderzył żonę. Minęło ponad dwadzieścia lat, a jednak każdego dnia widział okragłe ze zdziwienia oczy dzieci i zalaną krwią 46

brew żony. Śpiewając basem w chórze kościelnym w Načka, śpiewał o swoim bólu.

W końcu jednak zdecydował się na pierwszy krok. Gunilla już dawno temu wyszła ponownie za mąż i zamieszkała w Udde-valli. Z Bengtem. Wybrał się tam na drżących nogach. Właśnie sprzedali dom i kupili domek letniskowy na Orust. To tam się spotkali. Wyglądała całkiem inaczej. Rozkwitła. Zaskakująco mocna w gębie drobna kobieta, która nie dość, że mu wybaczyła, to jeszcze tak go spiła, że przepłakał całą noc. Żałosna góra mięsa. Od razu lepiej się poczuł. Potem odwiedził córkę Tanję w Uddevalli. Wyszła za mąż i robiła karierę. Na dzieci miał jeszcze przyjsć czas. Tym razem jakby większy dystans, ale i tak był zadowolony.

Bez wątpienia najlepiej poszło mu z synem Tommym, który mieszkał w Ósthammar w Roslagen, był rolnikiem i miał synka o imieniu Benny. Spotykał się z nimi przy każdej możliwej okazji. Rachunki za benzynę poszybowały w górę. Niewiele go obchodziło, że jego stary, wysłużony renault pali jak smok. Zamierzał rozpieszczać wnuka. Koszty nie grały roli.

Otworzył się nie tylko na świat dzieci, ale też na świat kobiet. Nagle, po dwudziestu latach kwarantanny, zaczął patrzeć na kobiety jak na istoty seksualne. Przyglądał się im z daleko posuniętą ostrożnością, ale już bez wyrzutów sumienia. I właśnie wtedy musiał zmienić perspektywę. I to o sto osiemdziesiąt stopni.

Dzieci i seks.

To, co zobaczył, było dla niego szokiem i Sara z Ludvigiem kilkakrotnie znaleźli go opadłego na klawiaturę i kompletnie rozbitego. Wkrótce otrząsnął się i przystąpił do działania. Po rozpadzie Drużyny A jego nowy zespół był czarnym koniem Rikskrim. To był ich czas. Po okresie ciągnących się w nieskończoność dochodzeń nawiązali bliskie kontakty z kolegami z zagranicy. Zanim dołączył do nich Nyberg, podjęli współpracę z piętnastoma krajami dowodzonymi przez brytyjski National

Crime Squad i włączyli się do międzynarodowej akcji Operation Cathedral, która rozpracowywała wielką sieć pedofilską w Internecie. Pierwsze zadanie Nyberga pod koniec października miało wyjątkowo niesmaczną nazwę: Pedo University. W maju zeszłego roku policja amerykańska zapoczątkowała międzynarodową akcję Operation Sabbatical, a pod koniec października współuczestniczące kraje przystąpiły do zdecydowanego działania. Na swoim podwórku reszta grupy zajmowała się tropami i powiązaniem, jakie codziennie wypływały w sprawie dwudziestodwuletniego pedofila z Örebro, największego od lat prześladowcy dzieci.

Posuwali się więc do przodu. Gunnar Nyberg po raz pierwszy czuł, że robi coś naprawdę ważnego. Ratował dzieci. Również w czasie wolnym. Od roku prowadził cieszące się coraz większą popularnością pogadanki na temat dopingu w sztokholmskich szkołach. Za darmo, ku zdziwieniu dyrektorów szkół.

„Kto lepiej niż on poznał negatywne skutki działania anaboli-
ków?”

I chociaż całymi dniami przyglądał się z bliska najbardziej obrzydliwej odmianie ludzkiego pożądania, uważał, że jego życie wcale nie wygląda najgorzej. Nadspodziewanie dobrze, biorąc pod uwagę sprawę mordercy z Kentucky.

Wodził wzrokiem po jeziorze Malaren. Połowa czerwca, lato w pełni. Pogoda wciąż nie mogła się zdecydować, ale akurat teraz wyszło słońce, a Riddarfjarden zamieniło się w posmarowaną świeżym masłem kanapkę garniowaną żaglami we wszystkich kolorach tęczy. Wreszcie dało się oddychać, częściowo dzięki zamknięciu ruchu pojazdów. Most Vasterbron zatkał się z powodu gęstniejącej masy biegaczy.

Gunnar Nyberg spojrzął ponownie na Sarę Svenhagen. Z jej miny wyczytał, że powiedziała coś, o czym już dawno zdążył zapomnieć.

- Przepraszam, co mówiłaś?

- Ludvig dosłownie zabiegał żałobę po rodzinie. Nie wiedziałeś? Kilka lat temu stracił bliskich w wypadku samochodowym.
- O cholera. Zawsze wydawał mi się taki... beztroski...
- To tylko maska. Biega, żeby żyć. Dosłownie. Każdego dnia. Żona i dwóch synów, jedno pstryknięcie palcami. Byli, i już nie ma.
- Pracowaliście już wtedy razem?
- Tak, chociaż nie tutaj. Wtedy policja jeszcze nie rozumiała, czym tak naprawdę jest dziecięca pornografia. Jak bardzo jest powszechna. Pracowaliśmy w wydziale kryminalnym komendy sztokholmskiej. Był moim mistrzem, chyba mogę tak to nazwać. To Ludvig zbudował jednostkę do spraw pedofilii. I mnie w to wciągnął.
- Mnie również, jak się domyślam.
- Właśnie, przecież wy się znacie - powiedziała Sara. - Skąd? Teren zamknięty. Ledwo rozpoznawalny po dwóch dekadach katuszy. Przeszłość. Ten czas. Czas sterydów. Teraz mógł na niego wejść.
- Chodziliśmy razem do szkoły policyjnej. Nie byliśmy bliskimi przyjaciółmi. Mieszkaliśmy w tym samym pokoju. Ale na szcze drogi się rozeszły. On został dobrym policjantem, a ja złym. Nawet nie wiedziałem, że stracił rodzinę.
- Czas leczy rany - powiedziała Sara, kładąc dłoń na jego dłoni. Uśmiechnął się. Poczł, że krzywo. Uśmiechnął się krzywo i spojrzł na siedzących przy stole. Pili kawę. Pięciu tropicieli pedofilów. Jego nowa Drużyna A.
- Jej szef, robiący błyskotliwą karierę inspektor Ragnar Hellberg, znany jako Party-Ragge, wstał nagle z miejsca ze słowami:
 - Zaraz tu będą.
- Wyszli z Cafe Plaža i przycisnęli się przez ciżbę ludzi spacerujących po Norrmalarstrand. Nyberg mógł wreszcie bez wyrzutów zostawić bułkę czyhającym na okazję wróblom.
- Gdy udało im się dotrzeć do biało-niebieskiej policyjnej taśmy, nadbiegła czołówka maratonu. Głosy protestu skutecznie

uciszała podtykana pod nos policyjna legitymacja. Nyberg słyszał o przypadkach zawieszania w obowiązkach kolegów, którzy posługiwali się legitymacją po służbie. Najwyraźniej jednak nie zaprzętało to głowy Hellbergowi.

Czołówka maratonu gęstniała. Nyberg stał z otwartymi ze zdziwienia ustami, a gdy minęła ich setka uczestników, powiedział:

- Niby jak go rozpoznamy?
- Sam zobaczysz! - zaśmiała się Sara.

Rzeczywiście. Nie dało się go nie zauważyć.

Ludvig Johnsson biegł z policyjnym kogutem na głowie. Gdy ich mijał, pomachał zadowolony w stronę wydzierających się na całe gardło rozbawionych tropicieli pedofilów.

Inspektor Ragnar Hellberg schylił się pod białą-niebieską plastikową taśmą i prześlizgnął się między maratończykami. Ruszyli w ślad za nim. Zamachał bez skrępowania w stronę nadciągających porządkowych, którzy na widok legitymacji zatrzymali się w połowie kroku, przepuszczając grupę policjantów przybyłych tu z misją specjalną. Pobiegli truchcikiem w górę Polhemsgatan.

- Co teraz? - wysapał Gunnar Nyberg, którego ciało nie zostało stworzone do truchtania.
- Teraz to się dopiero zdziwi. Biegniemy na Fleminggatan
- powiedziała Sara.

Zdążyli w ostatniej chwili. Na ich widok Ludvig Johnsson zaśmiał się głośno i pokazał palcem na niebieskie światło.

- Ten cholerny kogut waży chyba z parę kilo - zaśmiał się inspektor Ragnar Hellberg, gdy Johnsson zniknął im z pola widzenia.

Wreszcie mogli się odprężyć i napić kolejnej kawy. Przy drugim okrążeniu na Norrmalarstrand Johnsson nie wyglądał już tak świeżo, a za drugim razem przy Fleminggatan biegł już bez koguta. Nigdy się nie dowiedzieli, co się z nim stało.

Zajęli miejsca w podstawionym specjalnie dla nich radiowozie. Ruszyli na syrenie w kierunku stadionu, gdzie chcieli

przywitać swojego bohatera, każdy z niebieskim światłem na głowie.

Gunnar Nyberg nie czuł się komfortowo z tym migającym na głowie światłem. Było krótko przed piątą i próbował za wszelką cenę bawić się równie dobrze, jak zdawała się bawić reszta towarzystwa, i nie myśleć, że to właśnie dla nich zrezygnował z weekendu z wnukiem Bennym w Ósthammar.

Nagle w cieniu historycznej wieży zegarowej na sztokholmskim stadionie zobaczył swojego cienkiego jak nitka kolegę z lat młodości w serdecznym uścisku cudownej Sary Svenhagen. Wtedy zrozumiał.

Fale zniknęły. Sara Svenhagen ostrzygła się. Wyglądała jak ktoś zupełnie inny. Wciąż była ponętna, w tej kwestii nic się nie zmieniło, ale ponętna w odmienny sposób. Być może bardziej intrygujący. Już nie postać świetlista, tylko człowiek. Ze wszystkim, co to oznacza.

- A tobie co strzeliło do głowy? - wypalił Nyberg.

Cienki jak patek Ludvig Johnsson zajęty był pochłanianiem trzeciej tego dnia bułki wiedeńskiej i nie wyglądał, jakby cokolwiek rozumiał. Ale Sara rozumiała. Uśmiechnęła się słabo.

- Odnowa - powiedziała tylko.

Gunnar Nyberg zajął do nietkniętego kubka z czarną kawą. Nie wiedział, co powiedzieć. Osobiście miał dosyć zaczynania od nowa.

Chociaż zostały jeszcze kobiety...

Ludvig Johnsson usadowił się na wąskim krześle na wąskim chodniku przed kawiarnią o sympatycznej nazwie „U Anniki”, na Kungsholmsgatan blisko budynku policji.

- Gunnar, a ty ciągle z tą kawą dla ascetów? - zapytał.

Johnsson był do bólu wytrenowany; wypielęgnowaną łysinę otaczał wianuszek ciemnych włosów, jak u mnicha. Miał na sobie jasny płócienny garnitur, beżową koszulę i zielonkawy krawat. Wyglądał na dziesięć lat młodszego od Nyberga, chociaż

byli w podobnym wieku, czyli przed pięćdziesiątką. Widok za-
dbanego mężczyzny opychającego się śmieciowym żarciem po-
wodował u Nyberga najgłębsze cierpienie.

Dziwnie było znów zobaczyć Ludviga Johnssona. Przez krótki
czas dwadzieścia pięć lat temu byli sobie naprawdę bliscy. Chodzili
razem do szkoły policyjnej i praktycznie się nie rozstawali. Już
wtedy obowiązywał podział: Gunnar był królem siłowni, a Ludvig
- bieżni. Gunnar został Misterem Szwecji i niezbyt sympatycznym
gliną z Norrmalm, uzbrojonym w kij bejsbolowy. Ludvig przeniósł
się na prowincję i został przyjemnym dzielnicowym w
Vanersborgu. A teraz znów się spotykali. W charakterze pedoglin,
jak swego czasu nazwał ich nieostrożnie jeden z tabloi-dów.
Zaskakująco niewiele się zmieniło. Obaj stracili rodziny, każdy na
swoją stronę, teraz odnaleźli się po drugiej stronie przepaści. Znów
raczej z powodu różnic niż łączących ich ewentualnych
podobieństw. Ludvig był szybki, sprawny, elegancki, europejski.
Gunnar był duży, silny, wojowniczy i na wskroś szwedzki.

- Nie mam wyboru - powiedział Gunnar Nyberg. - Od drugie-
go w kolejności Wielkiego Gliny dzieli mnie wciąż dwanaście kilo.

Ludvig Johnsson zachichotał.

- A tak, czytałem. Rozmawiali z tobą wcześniej?

- Ktoś zadzwonił z pytaniem, czy wciąż ważę sto trzydzieści
dziewięć kilo. Zaprzeczyłem: sto czterdzieści sześć. Na tej
właśnie rozmowie opierał się artykuł. Wielki Glina.

- No dobra - przerwał nagle Ludvig Johnsson, uderzając się w
kolana maratończyka. Czas już, kurwa, na noc świętojańską.
One to go. Niech pedofile spoczywają w pokoju. Chociaż
przez tych kilka dni. Jakie macie plany?

- Spotkam się z wnukiem - odparł bez wahania Nyberg. - Będę
tańczył wokół drzewka majowego w Ósthammar.

- Muszę odpocząć - powiedziała Sara Svenhagen. - Odespać.
Zbyt długo już pracujemy na najwyższych obrotach.

- Planuję odnowę - wyznał tajemniczo Ludvig Johnsson.

Nagle usłyszeli głos dobrze znany na Kungsholmsgatan:

- Kogo to ja widzę! Wielki Głina, słowo daję!

Na tle szarej fasady budynku policji zarysowała się postać krótko obstrzyżonego mężczyzny, średni blond, ubranego w czerwony T-shirt, dżinsy i sandały, z czerwonym wypryskiem na policzku. Nyberg zadał sobie trud i wstał, wyciągając w jego stronę ręce. Mężczyźni objęli się. Gdy Nyberg wypuścił go ze swoich ramion, nowo przybyły wyglądał, jakby właśnie wydostał się z uścisku anakondy.

- Szanowni tropiciele pedofilów - zaśmiał się Nyberg. - Poznajcie bohatera z Hallundy. Duma kierownictwa policji, Paul Hjelm. Ludvig Johnsson i Sara Svenhagen.
- Serwus - powiedział Johnsson.
- Cześć - odezwała się Svenhagen.
- Cześć - sapnął Hjelm, powoli odzyskując powietrze w płucach.
- Gratuluję ostatniej akcji. Dobrze się spisaliście.
- Dzięki - odparła Svenhagen. - Coś tam dorzucili nam do pensji.
- Nareszcie, wypadałoby dodać - powiedział Johnsson.
- Czym się teraz zajmujesz? - Nyberg poklepał Hjelma po plecach. - Gdzie wylądowałeś? Komenda rejonowa?
- W samym środku codzienności, można powiedzieć. W tej chwili zajmuję się niejakim mordercą z Młyna, może obito się wam o uszy? Prawdziwy geniusz wśród kryminalistów.
- Bójka w barze? - zdziwił się Nyberg. - Czy tylko ja mam wrażenie, że jesteś trochę... nadkwalifikowany?
- Nie mów tak - powiedział Hjelm. - Coś z tego będzie. Pracuję z Kerstin.
- Właśnie - ucieszył się Nyberg. - Moja dawna koleżanka z pokoju. Miała wrócić. Czyli pracujecie razem? To chyba dobrze?
- Nawet bardzo dobrze. Wyszedłem po kanapki do tej ekskluzywnej kawiarni i jedziemy dalej z przesłuchaniami. Jest ciekawiej, niż się tego można było spodziewać.

- Może wpadniesz do Ósthammar na noc świętojańską? Będę u syna, ma na imię Tommy.
- Dzięki, ale nie da rady. Mam wrażenie, że młodzi mają już coś w planach. Wynajęliśmy znów domek na Dałaró.
- Dobra, lepiej kup już te swoje zabójcze kanapki - odezwał się Nyberg - inaczej grozi ci reprimenda od Kerstin.

Hjelm wszedł do środka, kupił kilka dobrze skomponowanych kanapek i ruszył w kierunku budynku policji, machając na pożegnanie.

Choć tak naprawdę był gdzieś indziej.

W innym miejscu i czasie.

A dokładnie w pubie Młyn o godzinie 21.42 poprzedniego wieczoru.

Zatrzymał się na Kungsholmsgatan. Przed nim piętrzył się zespół budynków policyjnych. Gdyby poszedł w prawo, trafiłby prosto do Rikskrim przy Polhemsgatan. Skręt w lewo oznaczał spacer przez cienisty park, ominięcie eleganckiej bramy do komendy wojewódzkiej od strony Agnegatan i wyjście na Bergsgatan, skąd do śródmiejskiej komendy rejonowej prowadziło znacznie bardziej skromne wejście.

Na prawo oznaczało dawne złote czasy.

Na lewo - rzeczywistość.

Nie do końca rozumiał, dlaczego stoi na rozstaju i nie potrafi wybrać. Zupełnie jak Herkules w wierszu Stiernhielma.

Dopiero teraz zdecydował się nazwać to, co w czasie tych kilku godzin w czwartek tuż przed nocą świętojańską unosiło się nienazwane w pokoju przesłuchań. Widział to w spojrzeniu Kerstin, za każdym razem, gdy patrzyli na siebie, żeby sprawdzić, czy nie myli ich intuicja.

Tak, to było zwykłe morderstwo w centrum miasta. Ale czy tylko?

A może ich marzenia o prawdziwej zbrodni kazały widzieć coś jeszcze za tym łajdackim zabójstwem kibica?

Paul Hjelm stał przez chwilę na rozstaju dróg. Czuł na sobie uważne spojrzenie Nyberga. W końcu zaakceptował stan obecny i skręcił w lewo. Wrócił do śródmiejskiej komendy rejonowej do wydziału do spraw przemocy i do szarych, ale brutalnych przestępstw. Coś mu jednak mówiło, że metamorfoza jest już bardzo blisko.

«

6

W BRZUCHU nie burczało. Ryczało. Trochę jak w dżungli, przez którą wędruje samotny Indianin i nagle ku swemu przerażeniu słyszy to, o czym wie, że słyszy się to tylko jeden jedyny raz w życiu.

Pod sam koniec życia.

Ryk tygrysa.

W tym wypadku tygrysem była niezbyt groźnie wyglądająca policjantka w wieku plus trzydzieści pięć, a Indianinem poczerwieniały od płaczu mieszkaniec Kalmaru, który nie skończył jeszcze dwudziestki. Jego życie raczej nie dobiegło końca.

Natomiast życie jego najlepszego przyjaciela - owszem. Skończyło się wczoraj wieczorem. Dwudziestego trzeciego czerwca o godzinie 21.42 w Młynie przy Tjarhovsgatan na Södermalm.

Kerstin Holm tęskniła za Paulem Hjelmem. Ale jeszcze bardziej - musiała przyznać - za kanapkami, które obiecał przynieść.

W brzuchu zaryczało kolejny raz. Jeszcze bardziej morderczo.

Nie zwróciło to jednak uwagi Johana Larssona z Kalmaru. Siedział zalany łzami. Zagubiony. Niczego nie rozumiał. Nic a nic. Czterech kumpli z Kalmaru wybrało się do Sztokholmu, żeby kibicować swojej drużynie piłkarskiej, Kalmarowi FF, która niespodziewanie zaczęła osiągać sukcesy w lidze. Byli w doskonałych humorach. W środę dwudziestego trzeciego czerwca o godzinie 19.00 zajęli miejsca na widowni stadionu, a potem dopingowali swoją drużynę do końca. Wynik był całkiem niezły: 2:2. Wciąż w doskonałym humorze znaleźli znaną im ze słyszenia knajpę Młyn przy Medborgarplatsen. Słyszeli, że nie można

wiedział, co jest w środku. Hjelm usłyszał to, zamachał kolejny raz torbą i dostał natychmiastową odpowiedź od tygrysa zamieszkałego w podbrzuszu. Uniósł zaciekawiony brwi.

- Dziwy natury - powiedział, opadł na krzesło i zaczął przeglądać notatki Kerstin. „Siedmiu koleś”, przeczytał. „Ślepa nie nawiść”. „Trzech dominujących, zabójca poboczna postać”. „Ten, który pomagał (Jonas A.): cholernie wściekły. Na nas, że tam przyszliśmy. Na zabójcę, że wszystko spieprzył”. „Anders popchnął go tylko po to, żebyśmy mogli wymknąć się za Hjallem i Steffem”. „Kompletne zaskoczenie”. „Te ich lodowate spojrzenia, jakby za nimi nic nie było”. „Wszyscy zniknęli. Natychmiast”.

To wszystko.

Hjelm spojrzął na Johana Larssona z Kalmaru. Bujał się na krześle jak małe dziecko.

Tak zwana bezsensowna przemoc.

Zemdliło go.

Potem spojrzął na nowy rysunek. Leżał obok wcześniejszych dwóch. Trzy sporządzone niezależnie od siebie portrety pamięciowe sprawcy. Podobne, a mimo to różne. Autorstwa Pera Karlssona, Eskila Carlstedta i Johana Larssona.

Zaniedbane półdługie włosy w kolorze średni blond, mały wąsik, który zachodził kilka milimetrów za kąciki ust, niebieskie oczy. Tyle miały wspólnego. Ale już kształt twarzy, nosa, oczu, wszystko to różniło się w sposób zasadniczy. Nie dało się stworzyć jednego spójnego portretu dla mediów.

Hjelm przysunął rysunek Eskila Carlstedta do oczu Johana Larssona.

- A więc tak wyglądał?

Larsson spojrzął do góry, poczerwieniały od płaczu. Ciekło mu z nosa. Hjelm podał mu chusteczkę, nie wypuszczając rysunku z ręki. Minęła chwila, zanim mężczyźnie udało się skupić na nim wzrok. Kiwnął głową. Opadła z powrotem. Hjelm wziął do ręki rysunek Pera Karlssona.

- A więc tak? - zapytał.
- Młody Smalandczyk spojrział kolejny raz w górę.
- Dokładnie tak - powiedział.
- Hjelm westchnął, wypuszczając z ręki rysunek.
- Jak bardzo byłeś pijany?
 - Dostyc.
 - Czy w lokalu działo się coś jeszcze, co przykuło twoją uwagę?
- Kerstin spojrzała badawczo na Paula. Odpowiedział jej tym samym. Gdy zwrócili się w stronę młodego chłopaka, przyglądał się im badawczo.
- Widziałem tylko to.
- Wypuścili go.
- Spojrzeli na siebie i rozdarli torbę z kanapkami.
- Kolesie z IT - wykrztusił Hjelm, z ustami pełnymi mozza-relli i szynki parmeńskiej.
 - Rozmawiałam z nimi, gdy ciebie nie było. Szybko poszło. To nie byli informatycy, tylko maklerzy giełdowi. Siedzieli najbliżej drzwi i niech mnie piorun strzeli, niczego nie widzieli. Z wyjątkiem uczestniczek wieczoru panieńskiego. Odnoszę wrażenie, że mieli w planach małe pukanko z przyszłą panną młodą i jej zalanymi w trupa koleżankami.
 - Te panie nie miały nic do dodania, tego możesz być pewna. Na tyle, na ile potrafię ocenić, nie miałyby nic przeciwko takiemu obrotowi sytuacji. Co oznacza, że cały rząd przy oknie, stolik z maklerami giełdowymi i dwa stoliki świętujących wieczór panieński to całkowicie bezwartościowi świadkowie.
 - Jedyne, co maklerzy mogli powiedzieć, to że „przebiegło mnóstwo ludzi, a panusie zaczęły krzyżeć”. Obie grupy były, nazwijmy to, zbyt napalone i pijane. Podobnie zresztą jak ta „podwójna para”, oni rzeczywiście przyszli do Młyna z zamiarem zamienienia się partnerami. Nigdy wcześniej się nie spotkali, wymienili się tylko kilkoma erotycznymi mailami, w których podzielili się fantazjami na temat grupowego seksu i seksu z nieznanym. Biorąc pod uwagę stopień zamroczenia



alkoholowego, mieli nikłe szanse na ich zrealizowanie. Za bardzo napaleni i za bardzo pijani. Wszyscy, co do jednego - choć było dopiero za dziesięć dziesiąta. Paniusie, kolesie z IT i podwójna para.

- Zajmijmy się tymi, którzy powinni być n a j m n i e j napaleni i pijani.
- Ale z drugiej strony najbardziej zajęci.
- Czyli obsługa. Kelnerki czy bramkarze?
- Teraz to się nazywa selekcjonerzy. Kogo przetrzymamy?
- Wpuść kelnerki.

Wciśnięcie guzika. Po krótkiej rozmowie z recepcjonistką do środka weszła grupka ślicznotek w trochę bardziej wymięto-szonej wersji. Razy pięć. Opadły na krzesła i uderzyły w lament. Zrobił się harmider jak w klatce z małpkami.

- Oczywiście bardzo nam przykro, że musiałyście czekać - odezwał się grzecznie Hjelm, próbując nie dać się zamroczyć nadmiarem piękna. - Musimy przesłuchać wiele osób, jest dopiero dziesięć po drugiej, więc żadna z was nie spóźni się do pracy. Młyn stoi jeszcze zamknięty.
- To znaczy, że wolno n a m otworzyć lokal? To nie jest miejsce zbrodni?
- Zabezpieczyliśmy wszystko, co należało zabezpieczyć, więc droga wolna. *Business as usual*. Założę się, że przyjdą tłumy. Nie ma to jak darmowa reklama w mediach. Tony Olsson też bez trudu znajdzie wydawcę.
- Tony Olsson? - zapytały chórem kelnerki.
- Zabójca policjanta, który kilka dni temu wrócił do kraju z Kostaryki - wyjaśnił Hjelm. - I nie przyznaje się do winy.
- A co to ma z nami wspólnego? - nie wytrzymała jedna z dziewczyn.
- Nic - westchnął Hjelm. - Która z was stała za barem, gdy to się wydarzyło?
- Ja - odezwała się drobna ciemnowłosa kobieta około trzydziestki. - Karin Lundbeck - dodała rutynowo.

- Co widziałaś?
- Niedużo. Stałam na drugim końcu baru i przyjmowałam zapłatę za duże zamówienie. To było dosyć skomplikowane i się nie spieszyłam.
- Również z obawy o siebie? - wtrąciła Kerstin Holm.
- Naturalnie - odparła Karin Lindbeck, rozkładając ręce.
- A więc czułaś, że robi się niebezpiecznie? - spytał Hjelm.
- Można tak powiedzieć... Coś wisiało w powietrzu.
- Obsługiwałaś sprawcę?
- Chyba tak. Stał bardziej z tyłu, był niższy niż reszta, tak mi się przynajmniej zdaje. Drugoplanowa postać. Nie przyciągał spojrzeń.
- Czy to któryś z tej trójki? - Paul Hjelm rozłożył na stole trzy portrety pamięciowe.

Barmanka Karin Lindbeck spojrzała na portrety. Szybko, rutynowo. Zdążyła sobie wyrobić pamięć do twarzy.

- Raczej nie.
- Żadnego podobieństwa?
- Tylko włosy i wąsy.
- Możesz nam dać coś lepszego?
- Tak sądzę.
- I nigdy wcześniej go nie widziałaś?
- Możliwe, że widziałam kogoś z tej grupy. Ale nie jego. Tak mi się przynajmniej teraz zdaje.
- Karin, pomożesz potem w sporządzeniu portretów. Pamiętasz coś jeszcze?
- Smalandczycy. Niepozorna grupka, do której bardzo szybko dotarło, że gorzej nie mogli trafić. Ale i tak za późno. Ten, co zginął, wydawał się miły. To on zamawiał.
- Dobra, dziękujemy. Reszta z was pracowała więc tego wieczoru jako kelnerki. Macie podział stolików?
- Tak - odpowiedziała najstarsza z nich, tleniona blondynka w wieku około czterdziestu pięciu lat. - Ja miałam okno. Wieczór panieński i kolesie z giełdy. Flirtowali bez najmniejszego

zażenowania. I pili na umór. Miałam z nimi sporo roboty. Gdy to się stało, byłam na zapleczu. Kiedy wyszłam, on już nie żył.

- Dalej.
 - Byłam w rogu - odezwała się inna. - Niczego nie widziałam, niczego nie słyszałam.
 - Krótko i zwięźle, ale pewnie nie do końca zgodnie z prawdą.
 - Byłam w środkowej części sali. Tam się niewiele działo. *Business as usual.*
 - Dalej.
 - Miałam środkowy rząd - powiedziała młoda dziewczyna o azjatyckich rysach. - Najbliżej drzwi siedziało kilku studentów, gadali o egzaminach z antropologii społecznej, tak mi się zdaje, potem chłopak, który udawał, że czyta, a dalej grupa południowych Europejczyków w towarzystwie Szweda. Mówili po angielsku.
 - Nie słyszałaś przypadkiem, o czym rozmawiali?
 - Staram się nie podsłuchiwać.
 - Ale o egzaminach z antropologii społecznej słyszałaś?
- Azjatka wydawała się lekko zakłopotana.
- Przypomnij sobie - powiedział Hjelms. - Coś przecież słyszałaś.
 - Coś negocjowali. To nie byli kumple. Wręcz przeciwnie, tak sądzę. Nie ufali sobie. Próbowali znaleźć jakieś rozwiązanie.
 - Rozwiązanie czego? Zastanów się.
 - Nie mieliśmy czasem rozmawiać o morderstwie? Nic nie widziałam. Stałam odwrócona plecami.
 - Odpowiedz na pytanie.
 - Nie, nie wiem. Może chodziło o miejsce spotkania. Nie przypominam sobie.
 - Ale uciekli, gdy tylko zaczęła się bójka? Cała grupa? Wyszli, nie zapłaciwszy rachunku?
 - Za napoje kasujemy od razu. Nie mieli rachunku do zapłacenia. Ale to prawda, szybko się zwinęli.

Hjelm zastanowił się. Coś nieokreślonego zastukało mu pod czaszką.

- Nie mieli rachunku. No jasne, kurwa. Nie mieli rachunku do zapłacenia! - ryknął.

Kelnerki spojrzały na niego podejrzliwie.

- Która z was miała rewir przy wejściu? Która obsługiwała stolik przy ścianie obok drzwi?

- Ja - odezwała się najmłodsza z kelnerek, krótko ostrzyżona, mocnej budowy dziewczyna.

- Kto tam siedział i co się działo?

- Pięciu poważnych i spokojnych mężczyzn.

- Sprzedawcy?

- Niezupełnie. To znaczy nie wydaje mi się. Sądząc po tym, jak wyglądali, można się było spodziewać kłopotów. Ale nic się nie stało. Wręcz przeciwnie. Praktycznie ze sobą nie rozmawiali. Siedzieli cicho i czemuś się przyglądali.

- Pięciu gejów w typie macho, którzy gapili się na drobnego kolesia z książką - powiedział wyraźnie Hjelm.

- To nie na niego się gapili. Na coś dalej.

- Słuchali muzyki?

- Raczej nie. Jeden miał w uchu słuchawkę, ale to wyglądało raczej na, niech pomyślę, aparat słuchowy.

- I ta słuchawka nie krążyła dokoła stołu?

- Nie, miał ją tylko jeden z nich. Siedział plecami do lokalu.

- I nie wypili zbyt dużo?

- Najwyżej po piwie.

- I jeden z nich nie został, żeby zapłacić rachunek?

- Nie, nie. Oni też nie mieli rachunku do zapłacenia. Ale jeden z nich został. Ogolona na zero głowa i wąsy.

- A pozostała czwórka nie wyszła przed zabójstwem?

- Nie, zwinęli się jako pierwsi. Gdy tylko rozbił się kufel. Jeden z nich pokazał palcem tego, co został, i coś powiedział. Wtedy tamten usiadł i czekał.

- A więc celowo zostawili Eskila Carlstedta?

- Jeśli tak się nazywa, to chyba tak. Właśnie próbowałam przyjąć zamówienie od grupy kibiców. Ciężko szło. Ja również stałam plecami do... zabójcy...

Hjelm próbował złapać spojrzenie Holm. Siedziała, kreśląc coś zawzięcie w swoim notesie. W końcu podniosła wzrok. Był skupiony.

- Wyjdziemy na chwilę? - zaproponował Hjelm.

- Okej. Ale mam do ciebie jeszcze jedno pytanie - powiedziała Holm, wskazując na Azjatkę. Hjelm dojrzał, że podkreśliła w notesie słowo „udawał”. - Dlaczego powiedziałaś, że chłopak z książką u d a w a 1, że czyta?

- Słucham?

- Dobrze słyszałaś.

- Nie przewrócił ani jednej strony.

- Co w takim razie robił?

- Nie wiem. Myślał. Albo słuchał.

Wyszli na korytarz.

- Patrol do Eskila Carlstedta, natychmiast - powiedział Hjelm.

- Mieszka tu, na Kungsholmen.

- Powinniśmy byli zareagować na tę gadkę o muzyce, kasetę z demo, jego reakcję na nasze pytanie - stwierdziła Holm.

- Niech go diabli.

- I jego ciotkę też.

Holm pobiegła, żeby wysłać patrol do Carlstedta. Hjelm wrócił do kelnerek.

- No cóż, moje panie - powiedział, przeciągając się. - Po potrzebujemy jeszcze możliwie najbardziej szczegółowych opisów wspomnianych południowców, Szweda i tej czwórki, która się działa przy stoliku przy drzwiach.

Najstarsza z kelnerek podniosła się gwałtownie z krzesła.

- Czym wy się w końcu zajmujecie?! - krzyknęła.

- Nie mam zielonego pojęcia - odparł zgodnie z prawdą Paul Hjelm.

Trzech postawnych bramkarzy w klasycznym stylu wyglądało jak małpki, które niczego nie chcą widzieć, niczego nie chcą słyszeć i niczego nie chcą mówić.

Chociaż nie do końca.

Mówili bowiem całkiem sporo. Choć tylko o tym, jak bohatersko zablokowali drzwi, mimo że tylu ludzi chciało wyjść. Można było odnieść wrażenie, że byli niczym nieustraszeni żołnierze ONZ, którzy własnym ciałem bronią jakichś nieszczęśliwych przed ludobójstwem.

- Biorąc pod uwagę, że co najmniej dwadzieścia osób zdążyło uciec, zanim zareagowaliście, trudno to nazwać błyskawiczną akcją - stwierdził ze spokojem Hjelm.

Spojrzeni na niego.

- Między szatniami a lokalem są drzwi - odezwał się najstarszy z nich urażonym głosem. - Nie słyszymy wszystkiego, co się dzieje w środku.
- Musieliśmy opanować rozwrzeszczaną kolejkę do klubu - dodał największy z nich. - Banda imigrantów.
- Imigrantów?! - wydarł się Hjelm. Gołym okiem było widać, że mężczyzna zdecydowanie częściej używał słowa „czarnuchy”.
- Mimo to wpuszciliście do środka ze trzydziestu pijanych kibiców, z których jeden okazał się mordercą.
- Wiemy, jak się z nimi obchodzić - powiedział trzeci.
- Ach tak - rzucił Hjelm kąśliwie, lecz się opanował. - Nie mogliście zareagować trochę szybciej, gdy dwudziestu chłopów wybiegło jednocześnie z klubu?
- Robi się wtedy straszny ścisk, trudno się przecisnąć w przeciwnym kierunku.
- Jakkolwiek patrzeć, nasza praca polega na wpuszczaniu ludzi do środka, a nie na w y p u s z c z a n i u na zewnątrz.
- Nie wiedzieliśmy przecież, co tak naprawdę się stało. Nie możemy tak po prostu zatrzymywać ludzi, którzy wychodzą z klubu.
- Kto właściwie opuścił klub?

- Mężczyźni. Sami mężczyźni. Głównie kibice, ale też kilku starszych pakowaczy.
- Pakowaczy? To znaczy robotników pakujących towary?
- Takich, co pakują na siłowni. Normalnych pakowaczy już nie ma.
- Jacyś... imigranci?
- Możliwe, że było tam również kilku cza... panów o ciemniejszym kolorze skóry - odezwał się największy z nich. - Tak mi się zdaje.
- Ale wy to już wszystko wiecie - powiedział najstarszy. - Przecież mieliście tam swojego człowieka.

Hjelm spojrzał zaskoczony na Holm. Holm spojrzała zaskoczona na Hjelm.

- Swójego człowieka? - zapytali chórem. Nie zabrzmiało to zbyt profesjonalnie, ale jak ukryć zdziwienie?
- No przecież - odparł ten największy. - Udało nam się przecisnąć i zablokować wewnętrzne drzwi. Nie zdążył wyjść. Wcisnąłem go do środka. Wtedy pokazał legitymację i wyslizgnął się.
- Legitymację? - zaśpiewał chór.
- Legitymację policyjną.

Siedzieli bez słowa. W końcu odezwała się Kerstin Holm:

- I nie wydało ci się dziwne, że policjant chce wyjść po tym, jak doszło do przestępstwa?
- Skąd mam, kurwa, wiedzieć, jak pracujecie.
- Pamiętasz, jak wyglądał?
- Był chaos, delikatnie mówiąc. Jakiś chłopak leżał w kałuży krwi. Ludzie darli mordy, napierali na drzwi. Zobaczyłem, że wymachuje w powietrzu legitymacją, więc go wypuściłem.
- Na wolność - westchnął Paul Hjelm.

VIGGO Norlander był szybki jak błyskawica. Rozpierała go energia. Szykował się do skoku.

Ktoś z zewnątrz mógłby go wziąć za policjanta z przerostem ambicji, który za wszelką cenę pragnie rozwiązać skomplikowaną zagadkę morderstwa. Przewodził, ustawiał, dociekał. Prowadził przesłuchania, ciskał gromy, brylował.

Arto Söderstedt nie był zewnętrznym obserwatorem. Był obserwatorem sceptycznym. A Viggo Norlander nie był policjantem z przerostem ambicji, który za wszelką cenę pragnie rozwiązać zagadkę morderstwa. Był świeżo upieczonym ojcem z przerostem ambicji, który za wszelką cenę chce spędzić noc świętojańską ze swoją córką.

Söderstedt nie przywiązywał się zbytnio do tej myśli. Przypomniały mu się wszystkie noce świętojańskie na służbie, zapłakane oczy synów i córek, i zazdrościł Norlanderowi determinacji. Tak zdeterminowany to on nigdy nie był.

Z drugiej strony jego ojcostwo nie było równie niezwykle. Wręcz przeciwnie, czuł się jak wyjątkowo zwykły ojciec. Wszystkie pięć ciąż Anji przebiegło bez większych komplikacji, dzieciaki wyskakiwały średnio tydzień przed terminem lub tydzień po, tryskające zdrowiem i kredowobiałe. Nie było wątpliwości, kto jest ojcem. Chyba że w szafie u Söderstedtów siedział inny kredowobiały Fin, który wychodził z ukrycia, gdy tylko małżonek udawał się do komendy policji.

Albo do sądu. Niezwykłość Söderstedta nie miała bowiem nic wspólnego z życiem rodzinnym. To jego ścieżka kariery była nietypowa. I tajemnicza.

Jako młody chłopak bez trudu przebił się przez fiński system edukacji prawniczej, i to w rekordowym tempie, został młodym zdolnym w renomowanej kancelarii i w wieku dwudziestu pięciu lat zaczął bronić męty społeczne. Dobrze sytuowane męty społeczne. Tych, których stać było na zatrudnienie renomowanego adwokata takiego jak Arto Söderstedt, aby uciec przed długim ramieniem prawa. I odlać się na nie bez najmniejszego zażenowania, jak pies odlewa się na latarnię.

W końcu poczuł, że ma dosyć. Zrzucił z siebie garnitury Hugo Bossa i krawaty Armaniego, oddał porsche na złom, wypowiedział swoje fińskie obywatelstwo, uciekł przed nadmiernym zainteresowaniem do Szwecji i został policjantem. Towarzyszyło mu uparte przekonanie, że system da się zmienić tylko od środka.

Było popołudnie, słońce powoli zachodziło za mury Kumli, a on siedział w towarzystwie mętów społecznych innego rodzaju. Tych, których n i e stać było na zatrudnienie renomowanego adwokata w typie Arto Söderstedta, aby uciec przed długim ramieniem prawa.

Nie do końca o to mu chodziło.

Za to Viggo Norlander czuł się jak ryba w wodzie. Nie zważając na hierarchię, wskazał wyższemu stopniem Bern to wi Nilsso-nowi z Sapo i Larsowi Viksjo z komendy wojewódzkiej w Narke ławkę dla słuchaczy. Czy raczej była to ławka rezerwowych?

Uniósł swoją tryskającą energią, księżycową twarz znad leżącej przed nim sterty papierów i spojrzał na zgromadzonych w zimnej salce przesłuchań.

- Sprawdźmy, czy uda nam się podsumować, zanim go wypuścimy - jego pytaniu nie towarzyszył znak zapytania. - Strażnik Erik Svensson widział, że Lordan Vukotić leży w łóżku po pobudce o wpół do siódmej. Przykryty stertą prześcieradeł Vukotić oświadczył, że nie czuje się najlepiej, i zapytał, czy może darować sobie śniadanie, na co dostał pozwolenie. Gdy o godzinie ósmej trzydzieści sześć wybuchła bomba, był w celi, której nie opuścił od minionego wieczora. Czy możemy wysunąć z tego jakieś wnioski?

Ostatniemu pytaniu towarzyszył ewentualny znak zapytania.

- Niewykluczone, że istnieje związek między odmową pójścia na śniadanie a wybuchem - odezwał się Bernt Nilsson. - Ale co by to było? Czy rzeczywiście majstrował pod prześcieradłem przy jakiejś bombie, która przypadkowo się spierniczyła i eksplodowała?
- Ręce na kołderkę - wtrącił Arto Söderstedt. Spojrzeli na niego tak, jak się patrzy na śpiewającego orangutana w sukience balowej.
- Inne możliwości? - rzucił chłodno Norlander.
- Za mało wiemy - westchnął Söderstedt. - Mógł mieć tysiąc powodów, żeby nie pójść na śniadanie. Może rzeczywiście źle się poczuł. Może po raz pierwszy w życiu Lordan Vukotić mówił prawdę. Leć dalej.

Norlander polecał.

- „Kilku jugoli w podobnym typie”, Zoran Koco, Petar Klović i Risto Petrović, trzyma język za zębami. Cała trójka należy do klanu wpływowego dilerka Rajko Nedicia, podobnie zresztą jak Vukotić, tu nikt sam z siebie niczego nie powie. Czy któryś z was odniósł wrażenie, że coś wiedzą?

Cała trójka pokręciła głowami.

- Wyglądali na dosyć wystraszonych - przyznał Nilsson.
- Nawet taki osławiony zbrodniarz wojenny jak Klović wydał się zaniepokojony. Vukotić stał naprawdę blisko nietykalnego Nedicia, tyle przynajmniej wiemy na pewno. Był jego, nazwijmy to, prawą ręką, i ta prawa ręka została odcięta w samym sercu Kumli. Być może jesteśmy świadkami wojny o władzę w narkotykowym biznesie. Być może tak właśnie myślał Klović i chłopaki. Chociaż nic bezpośrednio na to nie wskazuje.

Söderstedt spojrzął spode łba na Bernta Nilssona. Nie pasował do jego, być może odrobinę niesprawiedliwych, wyobrażeń człowieka z Sapo. Żadnych spiskowych teorii dziejów, żadnej bezwzględnej tajemnicy zawodowej, nic z tych starych głupstw, które o mały włos nie utopiły pierwszej sprawy Drużyny A.

Sprawy Łowcy Rekinów. Może naprawdę coś się zmieniło w Sapo. Ale czy to nie była daleko idąca spiskowa teoria dziejów?

- Zbrodniarz wojenny? - zapytał tylko.

Nilsson spojrział na niego.

- Wiemy, że Klović był strażnikiem obozowym w Bośni - powiedział. - Bośniacki Serb. Powinien tak naprawdę trafić przed Trybunał Haski, ale najwyraźniej to nie wystarczyło, żeby go oskarżyć. Również Petrović był zamieszany w czystki etniczne. Ale w Chorwacji. W wykonaniu Serbów. W szeregach Rajko Nedicia byłych wrogów łączy wspólna miłość. Miłość do broni.

- A więc Nedić nie ma nic przeciwko zbrodniarzom wojennym?

- To w końcu doskonała siła robocza. Że tak powiem, już wyszkolona. Nedić jest w Szwecji od jakichś trzydziestu lat, przyjął obywatelstwo szwedzkie już w latach siedemdziesiątych, ale zdaje się mieć liczne kontakty z grupami paramilitarnymi na wszystkich frontach byłej Jugosławii. Podobno stamtąd dostają część narkotyków.

- Ale w tym wypadku możemy odłożyć jugoli na półkę?

- Chyba tak. Tym razem straty są po ich stronie.

- No więc - kontynuował Norlander - nie mamy zbyt wielu informacji. Przepytaliśmy więźniów, żeby dowiedzieć się, czym Lordan Vukotić był zajęty poprzedniego wieczoru, ale nikt nic nie wie. Wygląda na to, że dyrektor zakładu karnego miał rację: koleś naprawdę trzymał się z boku. Zjadł obiad o wpół do piątej. Nie wiemy, co się działo do zamknięcia celi o wpół do ósmej. Przez trzy godziny. Więźniowie z sąsiednich cel mówią tylko...

- Co - przerwał Söderstedt.

- Co? - zdziwił się Norlander.

- A więźniowie z sąsiednich cel mówią tylko: co?

Wielki Lars Viksjó roześmiał się na całe gardło. Bernt Nilsson i Viggo Norlander zmarszczyli brwi. Söderstedt uśmiechał się ukradkiem; kusiło go, żeby podrażnić się trochę z Norlanderem. Trochę mu namieszać.

Na Norlanderze nie zrobiło to jednak najwyraźniej wrażenia. Ciągnął dalej, już bardziej w swoim stylu:

- Nie wiedzą nic oprócz tego, że nagle pękły im bębni. „Puff”, i po wszystkim.
- Jeden został - odezwał się Bernt Nilsson. - Co powiecie na spotkanie po latach?

Söderstedt i Norlander spojrzeli na siebie. Spotkanie po latach? Bez słowa wpuścili Gorana Anderssona do środka. Przyglądali mu się w milczeniu. Jego długie ciało zapakowane było w zgniłozielony kombinezon. Na stopach miał parę schodzo-nych sandałów Birkenstocka. Jego twarz się zmieniła. Zamiast schludnego urzędnika bankowego o nienagannej fryzurze siedział przed nimi - nie potrafili znaleźć odpowiedniego słowa - myśliciel? Rozczochrane jasne włosy, zaniedbany zarost, który wyglądał jak przyklejony do twarzy, i jasnoniebieskie spojrzenie - kryształicznie czyste. Jedyne, co zaburzało obraz skończonego artysty, to dwa lekko zakrwawione waciki wystające z uszu.

Leonardo da Vinci, pomyślał Söderstedt.

Peter Dahl, pomyślał Norlander.

Prawda była pewnie gdzieś pośrodku.

Ilu ludzi zabił ten człowiek?

Pięciu? Sześciu?

- Cześć - przywitał się Goran Andersson. - Gdzie się podział Hjelm?

Potrzebowali chwili, żeby zrozumieć, że nie ma na myśli kasku dla rowerzystów*.

- Już razem nie pracujemy - powiedział Söderstedt.

- Co? - zdziwił się Goran Andersson.

Söderstedt zachichotał. „A więźniowie z sąsiednich cel mówią tylko: co?”

- Słyszysz cokolwiek?! - krzyknął.

Hjalm (szw.) - hełm, kask.

Andersson również zachichotał.

- Wystarczy, jeśli będziesz mówił trochę głośniej. Podobno pęknięte bębniaki da się wyleczyć, ale po pierwsze potrzeba do tego czasu, a po drugie zostają rany, które już na zawsze zniekształcają odbiór dźwięków.
- Jak tam twoja rodzina? - zapytał głośno Söderstedt.
- A dziękuję - odpowiedział Andersson równie głośno, jakby miał w uszach słuchawki. - Jójje ma prawie dwa lata. Widzieliśmy się tylko tutaj. Ojciec z Kumli.
- Twój syn ma na imię Jójje?
- Tak naprawdę nazywa się Jorge. Być może to najjaśniejszy Jorge na świecie.

Söderstedt i Norlander spojrzeli na siebie zaskoczeni.

- Jorge? - powiedzieli chórem.
- Na cześć człowieka, który uratował mi życie. Jorge Chavez. I Paul. Na cześć Hjelma. Paul Jorge Andersson. Tych dwóch policjantów wyrwało mnie z ciemności. Ciąg dalszy należy do Jójje. I Leny, oczywiście. Czeka na mnie. Dźwiga mnie wciąż na swoich wątłych ramionach.
- To ci dopiero - odezwał się Söderstedt. - Dalej rzucasz lotkami do tarczy?
- Nigdy więcej - odparł ze spokojem Goran Andersson.
- Opowiadaj - przerwał Viggo Norlander.

Andersson przeniósł ze spokojem swoje jasne oczy na Norlandera.

- A to nie ty zostałeś ukrzyżowany? - zapytał.

Norlander spojrział instynktownie na okrągłe blizny na dłoniach. Stygmaty.

- Mów.
- Niewiele mam do powiedzenia - powiedział Goran Andersson.
 - Śniadanie, potem z powrotem do nauki, bum. Wyjątkowo nieprzyjemne uczucie, gdy krew leje ci się z uszu. Lekko mistyczne.
- Masz celę obok Lordana Yukoticia?

- Miałem. Wydaje mi się, że zamknęli ten sektor. Nie wiem, gdzie będę spać tej nocy.
- Czego się uczysz? - zapytał Söderstedt.

Oczy zwróciły się ponownie na jasnoskórego Fina szwedzkiego pochodzenia.

- Dostrzegam pewną rozbieżność między waszymi sferami zainteresowań - powiedział łagodnym tonem.
- Można tak to nazwać - odrzekł równie łagodnie Söderstedt.
- Studiuję historię sztuki. Gdy skończę, zacznę malować. Teoria i praktyka złączą się w nierozdzielalną całość.
- Trzymasz się z boku, Vukotić też trzymał się z boku - powiedział Norlander. - Być może to tworzy swego rodzaju więź. Widziałeś go rano?
- Nie. Zwykle spotykamy się na śniadaniu. Ale nie dzisiaj.
- Był wczoraj na obiedzie o wpół do piątej. Zdaje się, że potem nikt go nie widział. A ty?
- Musisz zrozumieć, że siedzę w swojej celi. Nie robię nic innego. Jem w stołówce, na kilka minut jestem wypuszczany na dziedziniec, uczę się w swojej celi. Nic więcej.

Söderstedt rozejrzał się wokół. Czy tylko on wyczuł, że słowom Gorana Anderssona towarzyszył lekki przytyk?

- Nie odpowiedziałeś na pytanie - rzucił tylko.

Andersson zamilkł. Siedział nieruchomo. Zupełnie tak jak wtedy, gdy czekał na swoje ofiary. Chociaż nie do końca. Wzruszył ramionami.

- Gdybym był kimś innym, niż jestem teraz, uznałbym to za doskonałą okazję do negocjacji. Wówczas, moi drodzy, zapytał bym, czy nie czas już na kolejną przepustkę albo przynajmniej wydłużone godziny odwiedzin.

W surowym pokoju przesłuchań zrobiło się cicho. Cztery pary oczu skierowały się na rzekomo zmienione spojrzenie mordercy.

- Ale się zmieniłem - powiedział. - Chwilę przed zamknięciem usłyszałem ciche jęknięcie na korytarzu. Stłumione, jakby

przez zęby. Wyrzałem i zobaczyłem Lordana Vukoticia, jak wlecze się do swojej celi.

- Jak to wlecze? - zapytał Norlander.
- Spojrzał w stronę mojej celi. Na twarzy nic się nie zmienił, ale było widać, że jest poważnie ranny. Ugiwały się pod nim nogi. W jego oczach zobaczyłem śmierć.
- I nic nie zrobiłeś?
- Nienawidzę tego świata. Wciąż nie potrafię zrozumieć, jak się tu znalazłem. Nie chcę mieć z tym światem nic wspólnego. Skoro nie chciał sprawy zgłosić, dlaczego miałbym robić to za niego?
- Nie zmieniłeś się aż tak bardzo - odezwał się Söderstedt.
- Jak w takim razie tłumaczysz sobie fakt, że ranny Vukotić został wysadzony w powietrze następnego dnia? - zapytał Norlander.
- To chyba oczywiste - powiedział Goran Andersson, przeciągając dłoń po rzadkiej brodzie. - Ktoś chciał zatrzeć ślady.

Ślady spustoszenia.

Blisko wpół do szóstej otrzymali pierwszy wstępny raport od techników kryminalistycznych i lekarza sądowego. Długa, ciągnąca się w nieskończoność płachta papieru wysunęła się z prymitywnego faksu w niewielkiej salce przesłuchań w zakładzie karnym w Kumli.

Lekarz sądowy Qvarfordt poskładał swoją obdukcyjną układankę. Viggo Norlander nie potrafił zapomnieć o zeskrobanym ze ściany oku. Patrzyło na niego z wyrzutem, gdy siedział zajęty czytaniem raportu.

- Nie wiem, jak oni to robią - odezwał się w końcu - w każdym razie udało im się ustalić, że Lordan Vukotić miał pękniętą śledzionę, złamaną lewą piszczel i oba ramiona wyrwane ze stawów. W jego stanie wybuch mógł przynieść już tylko ulgę.

- Raczej więc nie dłużej przy żadnym mechanizmie wybuchowym pod kołdrą - powiedział Bernt Nilsson.
- Z całą pewnością - odezwał się Söderstedt sponad drugiego protokołu, sporządzonego przez techników kryminalistycznych. - Znalaziono mikroskopijny detonator. Zdalnie sterowany. A materiał wybuchowy to rodzaj płynu. Wiedzą tylko tyle, że jest hiperaktywny.

Czterech policjantów różnego pochodzenia i o różnych charakterach trawiło jednocześnie tę informację. Korpulentnemu Viksjó, który, jak się tego można było domyślić, miał wyrobiony aparat trawienny, przypadło podsumowanie:

- Lordan Vukotić dostał wczoraj wieczorem porządne lanie. Wraca ukradkiem do celi i nie udaje się na śniadanie, żeby nie wyszło na jaw, że ktoś spuścił mu manto. Po czym zostaje rozerwany na tysiąc kawałków za pomocą wyjątkowo skomplikowanego mechanizmu wybuchowego. Jak mamy to rozumieć?
- Albo to banał - odezwał się Bernt Nilsson. - Jakiś tchórz zaznajomiony z technikami wybuchowymi przy byle okazji spuszcza mu lanie i dokonuje kolejnej zbrodni na zasadzie klina. Ucisza ofiarę, która jednocześnie jest jedynym świadkiem.
- Albo nie banał - dokończył Söderstedt. - Dwa pytania. Dlaczego Vukotić próbuje ukryć, że został pobity? I dlaczego, mimo że milczy, zostaje zamordowany?
- W końcu nie jest tu sam - stwierdził Nilsson. - Jest prawą ręką Rajko Nedicia i ma tu co najmniej trzech mięśniaków z byłej Jugosławii w charakterze ochrony. Dlaczego nie zwraca się do nich?
- Bo to p r z e d nimi się ukrywa - kiwnął głową Norlander.
- Tylko dlaczego?
- Bo puścił farbę - kiwnął głową Söderstedt. - Bo był torturowany i sypanął.
- Nedicia - kiwnął głową Viksjó.

Na koniec dołączył jeszcze Bernt Nilsson, tak że kiwający głowami kwartet był w końcu w komplecie.



- I właśnie o tym mieliśmy się nie dowiedzieć. Właśnie dlatego usunięto go w tak radykalny sposób. Nie docenili technicznych kompetencji policji.
- Tylko dlaczego wybrali taki skomplikowany i najwyraźniej drogi ładunek?
- Jest bardzo m a ł y, to niezwykle efektywny płyn i mikroskopijny detonator, a tylko taki można przesmuglować do zakładu karnego o zastrzonym rygorze. Do tej pory jeszcze nikomu nie udało się wnieść za mury bomby wodorowej. Söderstedt westchnął i zamachał w powietrzu faksem.
- Pozwolicie, że zacytuję głównego technika kryminalistycznego Brynolfa Svenhagena: „Perły rzucone przed wieprze”.

8

GLÓWNY technik kryminalistyczny Brynolf Svenhagen miał córkę, Sarę. Sara pracowała w zespole Rikskrim do spraw pornografii dziecięcej. Pokoje zespołu Rikskrim do spraw pornografii dziecięcej stały w tej chwili puste. Puste, co nie oznaczało, że nikt nie pracował. Pracowała córka głównego technika kryminalistycznego Brynolf a Svenhagena.

W domu.

Dwóm kolegom, znajomym z okresu młodości, Gunnarowi Nybergowi i Ludvigowi Johnssonowi, powiedziała (i w ciemnościach pokoju cytowała samą siebie): „Muszę odpocząć. Odespać. Zbyt długo już pracujemy na najwyższych obrotach”. Tylko druga połowa tej wypowiedzi była zgodna z prawdą. Skłamała. Pewnie można by to nazwać białym kłamstwem.

Przeciagnęła dłonią po ściętych na zapałkę jasnych włosach, nie przerywając klikania myszką. Spędzi tak jeszcze wiele godzin. Przynajmniej tyle wiedziała.

Nie rozpoznawała samej siebie.

Kolejny raz zobaczyła swoje odbicie w ekranie komputera i kliknęła automatycznie ikonkę „Ulubione” w Internet Explorerze. Została przekierowana na stronę dla pedofilów.

Na ekranie komputera ukazał się mały chłopiec.

Wstała i zaczęła chodzić po dwupokojowym mieszkaniu na Surbrunnsgatan. Czy to dlatego ścięła swoje długie złote fale?

Żeby upodobnić się do ofiary?

- A tobie co strzeliło do głowy? - ryknął Gunnar Nyberg, gdy siedzieli w kawiarni, popijając kawę i łapiąc promienie czerwonego słońca.

No właśnie, Saro, co ci strzeliło do głowy? - zapytała samą siebie. Potrzeba identyfikacji z ofiarą? Czy podświadomie czułaś, że jesteś zbyt daleko od tej koszarnej rzeczywistości? Że pracujesz na odległość? Że twoje będące w ciągłym użyciu narzędzie pracy - komputer - sprawia, że wiecznie znajdujesz się w cyberprzestrzeni? Że przydaje ono tym wszystkim okropnościom blasku odrealnienia? I tym samym je łagodzi?

Odległość była rzeczywiście spora. Miała spokojne, beztroskie, może trochę szare i zgodne z zasadami patriarchy dzieciństwo o policyjnym zabarwieniu. Surowy Brynolf nie wymagał, żeby jego dzieci mówiły czterema językami w wieku czterech lat, by komponowały symfonie w wieku lat ośmiu, żeby grały profesjonalnie w tenisa, mając lat dwanaście, ale żeby znały podstawy pracy technika kryminalistycznego. Wpuszczał dzieci do drobiazgowo wysprzątanego przez żonę pokoju, kazał im się rozejrzeć, a potem wyjść do toalety i poczekać, aż pozwoli im wrócić. W tym czasie w pokoju zachodziła jakaś zmiana, a dzieci z pomocą empirii i logiki miały określić, jakiego była ona rodzaju. Sara widziała wtedy, że jest szczęśliwy, co zdarzało mu się bardzo rzadko. Zwykle nie był ani dobry, ani zły, ani przyjemny, ani nieprzyjemny, tylko po prostu surowy. Jak przystało na patriarchę w starym stylu.

Nie - powodu, dla którego była wobec siebie tak surowa, próżno było szukać w dzieciństwie. Z drugiej strony jeszcze mniej wierzyła, że wytłumaczeniem wszystkiego są geny. Nie było genu gliny, który wymuszał na niej konkretne rozwiązania. Ani też genu empatii, który sprawiał, że udzielało jej się cierpienie wykorzystywanych dzieci. I naturalnie nie było również - chociaż codziennie spotykała się z tego rodzaju opiniami - genu pedofilii, za sprawą którego tylu mężczyzn obnażało swoje genitalia na oczach małych dzieci i wahało używane pieluchy. Choroba

- owszem - odrębna rzeczywistość najbardziej groteskowej choroby. Ale nie genetyka - żadnych genów pedofilii. Nie chciała w to wierzyć.

Nie, powodu, dla którego obcięła włosy, nie rozumiała tak samo jak powodu, dla którego harowała dniami i nocami. Wiedziała tylko, że musi brnąć dalej, do przodu, że za wszelką cenę musi zgłębić tę sprawę do końca, że nie pozwoli, aby z powodu jej własnego lub czyjś lenistwa ucierpiało kolejne dziecko, skoro można temu zapobiec. To była jej siła napędowa. Każde, nawet najmniejsze przeoczenie było równoznaczne z winą. I dlatego właśnie dokładała sobie coraz więcej pracy. „Zbyt długo już pracujemy na najwyższych obrotach” - to stwierdzenie było więcej niż prawdziwe.

Nocami powracał ten sam koszmar. Nie miała się nim z kim podzielić. Nie z szefem, imprezowiczem Ragnarem Hellbergiem, nie z mentorem, będącym w wiecznym biegu Ludvigiem Johnssonem, nawet nie z nowym kolegą, z którym nawiązała wyjątkowo dobry kontakt, misiem Gunnarem Nybergiem.

Nie, tym nie dało się podzielić.

Nigdy nie uda jej się tym podzielić.

Jest noc. Na słabo oświetlonej sali porodowej leży kobieta. Jej twarz spowija ciemność. Jej ogromny brzuch błyszczy - jakby świecił się od środka. Widać, że coś się w nim rusza. Życie. To, co najświętsze. Dotyka ostrożnie brzucha. Gaśnie światło. Gaśnie wąty płomień życia. Spada na nią cień. Czuje, jak przesywa ją ból. Próbuje krzyknąć, ale nie jest w stanie. Głos grzęźnie w gardle. Już tylko cień, mężczyzna, penis. Bóle nasilają się, zlewają. Cień wchodzi w nią. Gwałci ją w trakcie porodu. I już samo to wystarczyłoby, żeby umrzeć kilka razy. Ale na tym nie koniec. Nagle zdaje sobie sprawę z najgorszego. Nie o nią tu chodzi. Ona jest tylko instrumentem, przeszkodą, którą trzeba pokonać. Gdy członek dotyka dziecka, umiera.

I budzi się. W chwili śmierci.

Przymknęła oczy.

Gdzie jest granica szaleństwa?

Kiedy tak naprawdę widziało się zbyt wiele?

Nie skończyła jeszcze trzydziestki, a widziała już wszystko.

Jeden i tak dosyć kiepski związek skończył się z chwilą, gdy Ludvig Johnsson przeniósł ją do zespołu tropicieli pedofilów. Od tego czasu nawet się nad tym nie zastanawiała. Co więcej, nie wiedziała, czy wciąż potrafi uwierzyć w taką bliskość. Była sama. Chciała być sama.

Zatrzymała się przez chwilę przy oknie wychodzącym na Surbrunnsgatan. W domu naprzeciwko zapaliły się pierwsze światła. Jedna po drugiej, otwierały się przed nią intymne sfery.

Sara Svenhagen nie chciała ich widzieć.

W jakiś sposób jej nie wystarczały.

Wróciła do komputera, kątem oka zobaczyła chłopca odbijającego się w ekranie, wyszła z Intranetu do Internetu i kliknęła „Ulubione”.

W zakładce o niewinnej nazwie „Ulubione” znajdowały się adresy setek stron pedofilskich, jedna gorsza od drugiej.

Spojrzała na zegar. Jeszcze dwie minuty i dwanaście sekund.

O ile miała rację. O ile rzeczywiście udało jej się złamać kod.

Szwedzka strona. Na jej trop naprowadziła ją japońska policja. Pokazywała się przez kilkanaście sekund co drugi tydzień, a potem znikwała bez śladu. Jeszcze nikomu z policji nie udało się jej uchwycić. Wszystko wskazywało na to, że zawierała książkę adresową, adresy wielkiej międzynarodowej sieci, której członkowie wymieniali się między sobą zdjęciami. O ile to prawda, lista miała wyświetlić się na stronie, która z kolei miała wyświetlić się o godzinie 19.36.07 w czwartek dwudziestego czwartego czerwca. Za minutę i czterdzieści osiem sekund. Jedno kliknięcie w link na stronie, która zniknie po najwyżej piętnastu sekundach, i cała lista zapisze się na twardym dysku.

Tajemniczy kod został znaleziony w czasie nalotu na należące do pedofila mieszkanie w Nassjón. Trafił na jej biurko, ponieważ uznano go za niemożliwy do złamania; wciąż nie cieszyła się

pełnym zaufaniem swojego przełożonego, inspektora Hellberga. Pracowała na własną rękę. Nie brała prawie żadnych nadgodzin. Wiele poświęciła, żeby złamać kod. I nagle się udało. Tak jej się zdawało. Taką miała nadzieję. Był to dosyć prosty kod z kluczem. Jeśli miało się klucz, drzwi otwierały się na oścież, z tajemniczego kodu z Nassjő wypełził adres internetowy i dokładna godzina.

Nawet Johnsson i Nyberg nie wiedzieli, czym tak naprawdę się zajmuje.

19.35.40. Dwadzieścia siedem sekund.

Siedziała jak skamieniała. Palec wskazujący, który opierał się lekko na przycisku myszki, nawet nie zadrżał. Teraz albo nigdy. Drugiej szansy nie będzie.

Zobaczyła słabe kontury świecącego wewnętrznym światłem brzucha.

Wpisała adres, www i tak dalej. Szybki powrót myszką na podkreślony link. Stan najwyższej gotowości. Zegar odmierzał czas. 19.36.00.

Siedem, sześć, pięć, cztery, trzy.

Dwa.

Jeden.

Zero.

Powrót.

I nagle. Strona domowa. Skromna. Nieprzenikniona.

Za sprawą jednego linku.

Najechała kursorem. Klik.

Zapisać na dysku?

No jasne.

Dysk zafurkotał lekko. Lista znalazła się w bezpiecznym miejscu.

Strona zniknęła.

Sara Svenhagen odchyliła się na krześle. Uśmiechnęła się słabo. Na tyle mogła sobie pozwolić.

Wielki brzuch zabłysnął w ciemności.

W GÓRĘ i w DÓŁ, do przodu i do tyłu. I od początku.

Jak wahadło zegara. Tik-tak.

Pięciu, sześciu chłopaków w wieku od dziesięciu do dwunastu lat jeździło na desce w Bjórns tradgard. Z parkowej ławki przyglądało im się dwóch policjantów po przejściach.

Kiedy Paul Hjelm odwiedzał ostatnim razem Bjórns tradgard, było to najbardziej zaniedbane miejsce w mieście. Arena walki ćpunów i pijusów. Teraz bliżej mu było do oazy. Elegancka kawiarenka Viva Espresso, bujna zieleń, plac zabaw i rampa dla deskorolkowców. A już niedługo pierwszy meczet w mieście.

To dopiero metamorfoza, pomyślał Paul Hjelm.

I na tym nie koniec. Zmieniła się cała okolica Medborgarplatsen. Tu było teraz serce Söder. Teren wokół skrzyżowania Gótgatan i Folkungagatan był nie tylko zagłębieniem klubowo-kawiarnianym o opinii najbardziej niebezpiecznego w mieście, do którego z marszu trafiają przyjezdni, lecz również miejscem pod tym względem najbardziej zagęszczonym. W odległości pięciu minut spacerem od stacji metra na Medborgarplatsen znajdowało się nie mniej niż sześćdziesiąt pięć klubów. Przy legendarnym już kiosku na rogu Gótgatan i Tjarhovsgatan zawsze kręciło się mnóstwo ludzi. Po drugiej stronie Gótgatan, w przeciwległym rogu Medborgarplatsen, swoje parasole wystawiła luksusowa restauracja London New York. A po drugiej stronie Medborgarplatsen wiły się kolejki do wiecznie pełnego klubu o nieco bardziej swojskiej nazwie Snaps.

Teoretycznie rzecz biorąc, sporo ludzi musiało wiedzieć, jak dwudziestu mężczyzn wybiegło nagle z oddalonego o kilkanaście metrów Młyna. Zadanie ich odszukania zostało przydzielone komendzie rejonowej z Södermalm. Raczej nie należało ono do stymulujących.

Co jednak mogli wiedzieć potencjalni świadkowie? Jak grupa gości wybiega z baru i pędzi dalej? W tych okolicach nie było to nic nadzwyczajnego. Komendę rejonową czekała ciężka praca.

Hjelm westchnął i próbował policzyć ludzi. Nie ruszając się ze swojej ławki, na obrzeżach Bjórns tradgard, naliczył ich lekko pięćdziesiątkę.

Ponieważ od przesilenia letniego dzieliły ich tylko dwa dni, wciąż jeszcze było jasno. Była ósma wieczorem, a słońce świeciło jak w środku dnia. Powietrze zdawało się składać głównie z tlenu, zapachy lata przywodziły na myśl wieś, a ptaki ćwierkały wesoło i zgodnie z naturą. Promienie słońca odbijały się w oknach wzdłuż Bjórns tradgardgand. Na placu zabaw wciąż biegało mnóstwo dzieci, za którymi uganiali się zdyszani rodzice. Chłopaki z deskami zostaną tu pewnie do chwili, gdy zapadnie ciemność.

Nie było nic, co by sugerowało, że niespełna dobę wcześniej, zaledwie kilka metrów stąd, wykrwawił się człowiek.

Ludziom nie udzielił się strach przed zabójcą z Młyna, choć popołudniowe gazety robiły, co mogły, żeby wzniecić panikę. Najwyraźniej wszyscy mieli już dosyć paniki.

Miniona wiosna należała do wyjątkowo krwawych. Minęły najcięższe natowskie naloty na Jugosławię - osiemdziesiąt dni nieustannego bombardowania. Wojna na odległość. Położono kres czystkom etnicznym w Kosowie. Rozpoczęła się wędrówka uchodźców do zaminowanych rodzinnych wiosek. Dwóch amerykańskich licealistów uczciło rocznicę urodzin Hitlera, faszerując swoich szkolnych kolegów rozmaitym żelastwem. Rodzice rozkładali ręce. Dwudziestodwulatek ze szwedzkiego Óreb-ro okazał się jednym z najgorszych pedofilów w historii kraju.

Świadczyły o tym nagrania wideo gwałtów w jego wykonaniu, imponujący zbiór filmów, zdjęć i adresów stron internetowych. W ciągu kilku dni miał rozpocząć się proces, jednak już teraz było wiadomo, że pedofil trafi na zamknięty oddział psychiatryczny. I jeszcze zabójstwo policjantów w Malexander. Trójka sprawców trafiła wreszcie za kratki. Trzech młodych mężczyzn o nazistowskich poglądach zastrzeliło z zimną krwią dwóch policjantów z Ostörgötland. Jeden z nich był weteranem wojennym z Bośni. Drugi strzałami do gliny uwieńczył swoją karierę aktorską. Grał w niezłej sztuce 7:3 Larsa Norena, w której trzech mężczyzn w obecności biernego pisarza głosi ze sceny pochwałę czystek etnicznych, wywołując tym zamieszanie na stronach szwedzkich dodatków kulturalnych. I tylko tam. Po strzałach w tył głowy w Malexander oburzył się już cały kraj, obwiniając za wszystko teatr.

Wyjątkowo dziwna wiosna.

Kerstin Holm obróciła się na ławce.

- Co na to rodzina? - zapytała.
- Są na Dalaró - powiedział Hjelm. - Mogę się włączyć całymi nocami. Zabawić się w Młynie ze starą znajomą.
- Na wszystko przyjdzie czas - uśmiechnęła się Kerstin Holm. - Co u nich?
- W porządku. Danne ma już za sobą najgorszy okres dojrzewania. Ma siedemnaście lat i chce zostać policjantem, uwierzysz? Pozostaje tylko mieć nadzieję, że mu minie. Tova skończyła piętnaście i jest pod każdym względem nie do wytrzymania.
- A... Cilla?

Paul zaśmiał się cicho i spojrział na Kerstin. Zmrużyła oczy. Zobaczył małe obwódki wokół źrenicy, które zdradzały obecność soczewek kontaktowych. Górna warga wyglądała, jakby Kerstin dostała od kogoś po twarzy. Ale była tylko ofiarą firmy Gothia Snus Spółka Akcyjna.

- W porządku, dzięki. Cilla jest teraz kierowniczką oddziału. Rehabilitacja w szpitalu w Huddinge. Normalne godziny pracy. A w tej chwili długi, skrzętnie uzbierany urlop.

Przez chwilę milczeli. Wspomnienia straszły niczym duchy. Takie raczej w rodzaju przyjaznego duszka Labana. Albo Cas-pera. Najmilszego ducha na świecie.

Przywoływali te wspomnienia w pełni świadomie. I bez goryczy. W końcu odezwała się Kerstin Hołm.

- Czy powinniśmy czuć się winni, że nie do końca koncentrujemy się na mordercy z Młyna?
- Przecież cały ten czas przestrzegaliśmy reguł sztuki. A teraz jesteśmy w... trakcie prywatnego śledztwa. Poza godzinami pracy.
- Więc nie weźmiemy nadliczbówek?
- To zależy, do czego dojdziemy.

Kerstin westchnęła głęboko i wyciągnęła ramiona na boki. Musnęła palcami włosy na jego karku.

- Pozostaje mieć nadzieję, że tego lata nic więcej się nie wydarzy - powiedziała, choć widać było, że nie wierzy we własne słowa.
- Musieliby wystraszyć się olimpiady policyjnej. World Police and Fire Games. Impreza jest za kilka dni. Spotkasz starych znajomych z Drużyny A.
- Czy wypada nie rozumieć, dlaczego wszyscy tak się tym podniecają?
- Nie wypada. W końcu jesteś policjantką.

Roześmiali się.

- To wymysł Amerykanów - powiedział Hjelm. - Po raz pierwszy w Europie spotkają się policjanci z całego świata, strażnicy więzienni, celnicy i strażacy, żeby stanąć ze sobą w szranki. Obstawiam, że boks przyciągnie najwięcej bandziorów. Kto by sobie odpuścił widok lejących się gliniarzy.

Z podmuchem zimnego wiatru nastał wieczór. Szybko się ochłodziło. Wyostrzyły się zmysły. Orientowały się na cel.

- Czas powiedzieć to, co nie zostało powiedziane - odezwała się Kerstin.

Ponieważ schrzanił jedyną konkretną rzecz, która była do zrobienia, czyli zatrzymanie Eskila Carlstedta, nie zostało im już nic konkretnego do roboty. Barmanka Karin Lindbeck stworzyła portret pamięciowy mordercy z Młyna, który wydawał się bardziej wiarygodny niż pozostałe trzy. I ten przekazali mediom. Od razu trafił na pierwsze strony gazet. Co jeszcze mogli zrobić? Wszystkie komendy rejonowe zaangażowane były w pościg za kibicami Hammarby. Morderca z Młyna należał teraz do nich. Było to pod każdym względem śledztwo regionalne.

Spędzili całe popołudnie na odsłuchiwaniu kaset z przesłuchań. Co tak naprawdę słyszeli? Ich uwagę przyciągnęły te same fragmenty.

- Jak myślisz, ile grup jest w to zamieszanych? - zapytał Hjelm.
- Dwie czy trzy?
- Instynkt podpowiada mi, że trzy - odparła Holm. - Ale na tę trzecią mam za mało argumentów. Zastanawia mnie, czym tak naprawdę zajmował się Per Karlsson. Czytał Owidiusza i niczego nie widział. Mimo to widział całkiem sporo. Nie skupiał się na książce, co do tego nie ma wątpliwości. Słyszał i widział wszystko, z wyjątkiem grupy najbliższej niego, która mówiła po angielsku prosto w jego ucho. To wciąż jednak za mało. On nie uciekł po zabójstwie. No więc dwie. Dwie grupy.
- Dwie grupy. Jedna siedzi przy stoliku pod ścianą obok drzwi. Druga - przy środkowym stoliku najdalej pod ścianą naprzeciwko.
- Pierwsza składa się z „gejów w typie macho”, „podstarzałych skinów”, „szwedzkich mięśniaków”, po których „można się było spodziewać kłopotów”. Druga to „trzech, czterech jugoli” albo „prawdopodobnie południowych mongoli” zajętych angielskojęzyczną „międzykulturową wymianą” ze Szwedem
- prawdopodobnie to on wy dostał się na zewnątrz, wymachując policyjną legitymacją.
- W angielskojęzycznej grupie daje się wyczuć „podejrzliwość”
- „negocjują”, możliwe, że wybór „miejsca spotkania”. Trzech,

czterech „południowych Europejczyków” w trakcie negocjacji z - prawdziwym lub fałszywym - szwedzkim policjantem. Najwyraźniej nie zdają sobie sprawy z obecności pięciu Szwedów czystej krwi, którzy, jak wszystko na to wskazuje, ich obserwują. Nasz znajomy Stenbógen na pytanie o chłopaka z książką powiedział: „Przez cały czas gapiła się na niego grupa gejów w typie macho”. Kelnerka powiedziała: „To nie na niego patrzyli, tylko gdzieś dalej”. A dalej mamy tylko tę naszą „międzynarodową wymianę”.

- I jeszcze słuchawka.
- I jeszcze słuchawka. Dochodzi do zabójstwa. Reagują instynktownie. Wiedzą, że za chwilę będzie się tu roić od glin. No więc dają nogę. Obie grupy mieszają się z uciekającymi kibicami Hammarby. W środku zostaje po jednym z każdej grupy. Czy możemy założyć, że „policjant” czeka, żeby nie było widać, że ucieka z „jugolami”? Jeśli tak - jest dalece prawdopodobne, że naprawdę jest policjantem. Lub przynajmniej kimś, kto ma wgląd w pracę policji. Wie, że okoliczności morderstwa będą szczegółowo sprawdzane. Postanawia wyjść pod sam koniec, gdy nie ma już „jugoli”. Ale decyduje się zbyt późno. Do bramkarzy nagle dociera, że muszą zrobić coś więcej, niż tylko bronić Młyn przed „imigrantami”. Przez krótką chwilę „policjant” wazy za i przeciw. Czy warto zaryzykować i pokazać legitymację? Czy lepiej zostać na miejscu i sklecić jakąś zgrabną wymówkę? Zrobić to, co powinien zrobić policjant, i opanować sytuację. Jego reakcja sugerowałaby, że wiele mógłby na tym stracić. Nie chce ryzykować. Macha blachą przed oczami zestresowanego bramkarza i wymyka się. Nie zostaje zidentyfikowany. Podejmuje słuszną decyzję.
- Z grupy Szwedów czystej krwi zostaje jeden. Chce uciekać jak cała reszta, ale nagle otrzymuje rozkaz, żeby zostać. Dlaczego? Co pierwsze ci przyszło do głowy, gdy zobaczyłeś Eskila Carlstedta?

Hjelm zadumał się. Mężczyzna z ogoloną głową i cienkimi blond wąsami wchodzi do pokoju przesłuchań. Ma około



trzydziestki, dosyć elegancki jasny garnitur i żółty krawat, typowy mięśniak. Hjelmski zastanawia się, czy pod rękawami marynarki nie kryje się imponująca kolekcja więziennych tatuaży.

- Racja. Eskil Carlstedt był przynętą. Pewnie cała piątka wyglądała równie podejrzanie. Ale tylko Carlstedt nie miał kartoteki. Został i w ten sposób odciągnął naszą uwagę od grupy, która, jeśli się dobrze zastanowić, zachowywała się cholernie podejrzanie. Nie rozmawiali, nie pili, gapili się, słuchali. Strzał w dziesiątkę: przez chwilę naprawdę daliśmy się nabrać, że byli grupą sprzedawców, którzy wyszli się napić i poderwać dziewczyny, i jeszcze słuchali demo kapeli rockowej. Ta chwila wystarczyła, żeby Carlstedt rozplątał się we mgle. A z nim reszta. Wykazał się świetną znajomością reguł gry jak na kogoś bez kartoteki.
- Mieli noc na ustalenie strategii. Carlstedta zatrzymała policja, złożył krótkie zeznanie, że nic nie widział, zostawił nazwisko i adres i wrócił do nas następnego ranka. Jego zeznanie zmieniło charakter. Było dobrze wyćwiczone. Speszył się tylko raz, gdy spytaliśmy go o słuchawkę. Ale i z tego zgrabnie wybrnął.
- Nazwiska czwórki kolegów, które nam podał, były oczywiście zmyślane. Żaden z nich nie istnieje w doczesnym świecie. Przez cały czas zerkał na zegarek. Mieli się spotkać i razem prysnąć. Wystarczy, że wyjdzie z komendy, a dalej jakoś to będzie. No to grał w naszą grę, stworzył jakiś lewy portret pamięciowy i wymienił cztery nazwiska, których i tak nikt nie miał sprawdzić przez najbliższych kilka godzin. I przepadł. A teraz cała grupa zebrała się, żeby... No właśnie, żeby co?
- Obie te grupy zachowują się wyjątkowo profesjonalnie. Tak naprawdę nie popełnili żadnego poważnego przestępstwa. Nikogo nie zabili kuflem.

Podnieśli się jednocześnie z ławki. Na Bjórns tradgard kładł się powoli zmierzch. Plac zabaw opustoszał. Tylko deskorolkowcy jeździli wciąż do góry i w dół, do przodu i do tyłu, raz za razem. Jak zegar z wahadłem.

- Sprawdzimy? - zapytał Paul Hjelm. - A może to tylko zwidy dwójki sfrustrowanych byłych kryminalnych z Komendy Głównej, którzy nie potrafią się zadowolić bójką w barze?
- Może wkrótce znów nimi zostaniemy - kiwnęła głową Ker-stin Holm.

Nie mieli daleko. Młyn był jednym z ostatnich prawdziwych szwedzkich pubów. W zeszłym roku stuknęła mu dziewięćdziesiątka. Nigdy wcześniej nie doszło tu do morderstwa. Zbudowany w pierwszej dekadzie dwudziestego wieku w miejscu, gdzie mieściła się Piwnica Hamburg, owiany legendą bar, w którym skazani na śmierć jedli swój ostatni posiłek i wypijali strzemiennego przed przewiezieniem na wzgórze szubienicze przy Johanneshov.

Zupełnie jak Anders Lundström z Kalmaru.

Bramkarze rozpoznali ich i wpuścili poza kolejką, w której stali „uciążliwi imigranci”. Wewnętrzne drzwi otworzyły się i weszli do lokalu. Kelnerki dygnęły.

W środku było naprawdę pełno. Na zewnątrz piękny letni wieczór, a w zadymionym wnętrzu niemiłosierny ścisk. Spojrzeli na prawo, w stronę stołu, przy którym siedział wtedy Eskil Carlstedt z kolegami. Popatrzyli na bar, gdzie Anders Lundström z Kalmaru spotkał się ze swoim przeznaczeniem. Zerknęli na środkowy stół, gdzie siedzieli Per Karlsson z Owidiuszem. I precyzyjnie się powoli do stołu pod przeciwległą ścianą. Gdzie miała miejsce kulturowa wymiana.

Grupa dziesięciu, może dwunastu dwudziestolatków siedziała ściśnięta wokół jednego ze stolików. Śmiali się, palili papierosy i pili piwo. Wyglądało, jakby się dobrze bawili. Podobało im się, że znaleźli się w tak medialnym miejscu. Centrum wydarzeń.

Hjelm pomyślał, że siedemdziesiąt pięć procent spośród nich marzy o tym, żeby zostać prezenterem telewizyjnym. Średnia krajowa.

- Cześć - powiedział i klęknął na podłodze.



Spojrzeni na niego ze zdziwieniem i instynktownie podkurczyli nogi. Dał nura pod stół pomiędzy świeżutkie kobiece uda i podwinięte minispódniczki. Zaczęli protestować, ale zaraz umilkli; najwidoczniej Kerstin pokazała legitymację.

Sezame, otwórz się.

Postanowił wpełznąć głębiej pod stół. Nie trzeba było. Od razu natknął się na mały mechanizm, tak mały, że z początku nawet go nie

zauważył.

Oderwał go, wypelził spod stołu, podniósł się, strzepnął popiół i snus z kolan i zwrócił się w stronę Kerstin Holm.

Mikrofon zadyndał przed jej oczami.

A zwidy padły bez tchu na podłogę.

10

LEŻĄ w łóżku. Zachodzące słońce połyskuje na ich spoconych młodych ciałach. Cisza po burzy. Pożądanie uspokoiło się. Zaraz znów się przebudzi. Ono zawsze jest gdzieś blisko. Zawsze będzie. I nawet śmierć ich nie rozłączy.

Cisza przed burzą. Tak to się mówi. Zbliżała się prawdziwa burza.

Orkan.

Całym ciałem czuli, że jest już bardzo blisko. Zniknął spokój, zawsze pojawia się tylko na chwilę.

Nagość przeniknięta niespokojnym drżeniem.

Siada na brzegu łóżka. On jest jasny, ona ciemna, i ona widzi wyraźnie, właśnie teraz widzi wyraźnie, jak drgnęła mu dusza. Kolejny raz. Pochyla się do niego. Jej piersi dotykają miękko jego pleców. Wyciąga go ostrożnie z cienia śmierci. Tak jak on robił to z nią już wielokrotnie.

Wie, że on widzi szkolne boisko. Wie, że opuścił swoje ciało. Wie, że widzi chłopca, małego jasnowłosego chłopca, który leży sam na pustym boisku. Wie, że słyszy: „Wstań, a oberwiesz”. Podchodzą kolejno do niego. Stoją przez chwilę. Patrzą. A potem sikają na niego. Po kolei. Z początku tylko chłopcy. Dziewczynki stoją z tyłu, chichoczą. Pojedynczy odważni odchodzą. Ale nikt nie jest na tyle odważny, żeby głośno zaprotestować. Nie przestają. Wciąż jeszcze tylko chłopcy. Szczęście w nieszczęściu. I nagle puszcza ostatnia tama. Podchodzi jedna z dziewczynek. Ma na sobie spódniczkę. Zdążyła już zdjąć rajstopy. Trzyma je w ręku. Powoli kuca nad nim. Sika. Jest ciemna.

Ale właśnie wtedy czuje coś miękkiego na plecach i to go podrywa. Rozluźnia się, unosi i odlatuje. Siedzi na brzegu łóżka i frunie. Wyciąga ręce do tyłu. Przeczesuje palcami czarne włosy.

A ona znowu może się uśmiechnąć.

- Byłam ranna - szepcze przez łyzy. - Byłam martwa. Wy prowadziłeś mnie z królestwa śmierci. Sam wiesz najlepiej.

Siedzą dziwnie spleceni. Wyglądają jak rzeźba. Złączeni na zawsze. Złączeni wieczną miłością.

- O czym marzysz? - pyta go.

To rytuał. Żadne z nich nie może od niego odstąpić. On uśmiecha się i mówi:

- Chciałbym usiąść na werandzie i czytać. Żeby było ciepło i padał deszcz. Żeby krople bębniły o dach werandy, a gdy oderwę wzrok od książki, ziemia parowała w deszczu.

Ona się uśmiecha. Bardzo dobrze to zna. Mówi:

- Wiesz, o czym ja marzę? On się śmieje.

- Nie mam pojęcia.

- Chciałabym usłyszeć śpiew delfinów. Chciałabym zobaczyć, jak pieni się bładoniebieska tafla wody. Jak delfiny bawią się na wolności. Usłyszeć, jak rozmawiają ze sobą, gdy nie tresują ich ludzie.

On obraca się do niej, obejmuje z całej siły, ostatni raz. Wkłada ubranie, wstaje i podchodzi do leżącej na podłodze torby na ramię. Zagląda do środka.

Ona również wstaje, wkłada powoli ubranie, podchodzi do niego i otacza go ramieniem. Zagląda do środka.

W środku leżą dwie czarne robione na drutach kominiarki i dwa matowoczarne pistolety.

Jednym ruchem zapina rozporek.

Wyjmuje kluczyki do samochodu, podrzuca w powietrzu, łapie i patrzy jej w oczy.

- No to do roboty - mówi.

11

MEŻCZYŻNA stoi w miejscu, w bezruchu. Zostawił za sobą wszystko, stoi przy drzwiach samochodu i nie rusza się. W dłoni trzyma teczkę.

Jest ciemno, ale wciąż gorąco. Zupełnie jakby letni dzień się zapomniał, zasiedział.

Jakby wciąż było jasno.

Lato dopiero się zaczęło, a noce zaczęły się już wydłużać. Jest wigilia nocy świętojańskiej, już od kilku godzin, myśli Tydzień zaczął się od letniego przesilenia, a skończy wigilią nocy świętojańskiej.

Jak świętujemy dziś najdłuższe dni w roku?

Bez lilii i jaskrów, bez róż i szaławii, bez słodkiej mięty.

Bez radości serca.

Chciałby już tylko znaleźć się w miejscu, gdzie zimy są krótsze. Niczego więcej mu nie potrzeba.

To na to czeka.

Stoi w bezruchu i patrzy w ciemność.

Nie jest do końca ciemno. Nie w te dni. Nie do końca, nie całkowicie ciemno. Gdy wodzi wzrokiem po zapuszczonych terenach przemysłowych, rozróżnia kontury zapadłych baraków i pordezwiąłyh wraków samochodów.

I wtedy dochodzi go dźwięk.

Gdy słyszy głuchy odgłos eksplozji, wie już, że wszystko prze-
padło. Całe jego życie.


Stoi w miejscu, nie rusza się.

To znaczy, że było aż tak kruche.

Tak cienka była granica.



TM



Tak niepewny był krok na linie.
Gdy dobiega go trzecia salwa strzałów, wsiada do samochodu, wzdycha i odjeżdża. Na wszystko jest już za późno.

Sześciu ludzi. Furgonetka w kolorze zielony metalic pod starą halą fabryczną. Okna zaparowane ciężkimi oddechami i niekontrolowanymi wyziewami ciała.

Jedynie w swoim rodzaju oczekiwanie.

Noc wlecze się niemiłosiernie.

Pięciu ludzi. Prawie nie widać, że się ruszają. Jeden wciąż pstryka palcem wskazującym o kciuk, drugi oblizuje usta, zaraz zrobią mu się zajady, trzeci ciągnie się za nos, czwartemu nerwowo podskakuje kolano, piąty przygryza kciuk.

Szósty nie rusza się wcale. Przykucnął na tyle furgonetki. To spory wysiłek. Po minucie zaczynają drżeć mięśnie. Ale nie jemu. Nie rusza się. Lewą dłoń dociska pistolet maszynowy do lewego uda, z lufą skierowaną do góry. W prawej dłoni trzyma coś, co przypomina kieszonkowy kalkulator. Cienkie i czarne, z lekko wystającym guzikiem. Koloru czerwonego.

Patrzy na zegarek. Potem na mężczyzn. Widzi ich sylwetki na tle nie do końca czarnej nocy. Spod ich grubych czarnych czapek spływa pot. Wszyscy oprócz niego mają czarne. Jego jest koloru złota. Niczym królewska korona.

Po nieruchomych twarzach spływa pot. Są spięte, skoncentrowane. Właśnie tak ma być.

- Trzech na dwór - mówi.

Trzech mężczyzn z tyłu samochodu zaciąga kominiarki, spuszcza na twarze czarne zasłony. W ciemnościach świecą oczy. Odbezpieczają broń i wychodzą. Przywierają do ściany magazynu z podniesionymi pistoletami maszynowymi. Paruje im oddech.

Obserwuje ruch sekundnika. Spokojne, miarowe uderzenia. Krok za krokiem. Minuty nieprzerwanej obserwacji.

Jest równo druga. Druga i jedna sekunda. Dwie. Trzy.

Słyszy pierwsze dźwięki zapowiadające pracę silnika.

Coraz głośniejsze. Wreszcie kiwa lekko głową i zaciąga na twarz złotą zasłonę. Ci dwaj na przednim siedzeniu robią to samo. Ich zasłony są koloru czarnego.

Za magazynem rozświetla się droga, z początku ledwo zauważalnie, potem coraz bardziej i bardziej.

Gdy dostrzega przód mercedesa, naciska czerwony guzik.

Nie wygląda to jak eksplozja. Raczej jakby coś rozświetliło samochód od środka. Wewnętrzny piorun. Dziwnie bezdźwięczny.

Mercedes przejeżdża kilka metrów. Zatrzymuje się.

Tych trzech spod magazynu kieruje się już ku niemu.

Trzech wychodzi z samochodu. Jeden z nich ma na sobie złotą kominiarkę. Nosi koronę i jest tego świadom.

Gdy dochodzi na miejsce, sytuacja jest już opanowana.

Z samochodu wydobywa się dym, ale nic się nie pali. Po bokach samochodu dwóch mężczyzn z rękoma na karoserii. Zostają przeszukani z lufą przy karku. W środku mężczyzna. Na tylnym siedzeniu. Nie żyje. Jego ciało zostało rozerwane przez eksplozję. Z nadgarstka zwisa aktówka na łańcuchu. Jest nietknięta. Pancerna. Ten w koronie kiwa głową w stronę stojącego obok zamaskowanego mężczyzny - najbardziej postawnego z nich wszystkich. Szeroki wyjmując szcypce, zagląda do samochodu i odcina łańcuch. Wynurza się z auta z teczką w dłoni.

Koronowany kiwa głową w stronę szerokiego i wpatruje się w mężczyzn opartych o samochód. Obaj mają zakrwawione twarze. Przez chmurę dymu kieruje wzrok na tego, który stoi dalej. Krew płynie z ciemnej twarzy. Ciemne, zimne, kamienne spojrzenie. Już takie widział. Spojrzenie kogoś, kto zabił tyle razy, że nic już nie ma dla niego wartości. Spojrzenie kogoś, kto wie, że umrze, kto się tego nie boi i komu zależy już tylko na tym, żeby na drugą stronę zabrać ze sobą jak najwięcej ludzi.

Dwa pistolety automatyczne kierują się w stronę mężczyzny przy drzwiach pasażera, dwa w stronę mężczyzny przy

drzwiach kierowcy. Gdy kierowca się obraca, wygląda tak samo jak pasażer. Dokładnie tak samo.

Identyczne spojrzenie pozbawione wszelkiej nadziei.

Koronowany robi wskazujący ruch pistoletem. Szeroki zbliża się na kilka kroków do samochodu, staje w świetle reflektorów. Otwiera wytrychem teczkę. Pistolet zwisa mu na pasku wokół szyi. Szeroki zagląda do środka, a potem szybko podnosi wzrok. W jego oczach widać zawód.

- A to co, kurwa - mówi.

Koronowany podchodzi, krok za nim idzie najniższy z zamaskowanych. Trzy pary oczu patrzą w głąb otwartej teczki.

Chwila nieuwagi.

W tezcze jest klucz i krótkofalówka. I jeszcze jakaś kartka. Koronowany chwyta ją zdecydowanym ruchem ręki.

Gdy odrywa od niej wzrok, dostrzega pistolet w ręku pasażera. Ten strzela mu tuż nad ramieniem. Trafia mężczyznę stojącego za koronowanym dokładnie w otwór, gdzie dwa białe punkty świecą w czarnej kominiarce. Przez chwilę świecą na czerwono. A potem gasną.

Na zawsze.

Później wszystko dzieje się jak w przyspieszonym tempie. Kierowca też jakimś sposobem wyczarowuje broń. Strzela w ich stronę. Nie trafia. Słysząc salwy pistoletów automatycznych.

Szeroki reaguje instynktownie. Nie zdążył wyjąć pistoletu. Rzuca się do ucieczki. Zaciska dłonie na tezcze. Kieruje się ku następnemu magazynowi. Zostały mu już tylko trzy metry. Dwa. Czuje ból w plecach. Jeden. Zero. Jest już za magazynem. Kiedy upada, czuje, że ból minął.

Nic nie czuje. Ostatnie, co widzi, to leżąca przed nim na asfalcie teczka. Cała we krwi.

Potem już nic.

I wtedy wybucha letnia noc. Ekspłduje, jakby lato rozpadło się na tysiąc kawałków.

Krótką wymiana ognia. Cztery pistolety maszynowe na dwa zwykle. Wojenna rutyna nie na wiele się zdała, myśli mężczyzna w koronie. Przy samochodzie leżą dwa ciała.

Słyszy jęk Rozgląda się i widzi kolejnego rannego. Ten zrywa z siebie czarną kominiarkę i wyje. Ma fioletową twarz. Ubranie zalewa się purpurą wokół lewego ramienia. Mężczyzna w koronie pochyla się nad nim i macha na tego niższego.

Niski rusza. Po śladach szerokiego. Skręca za magazynem. Staje jak wryty. Widzi szerokiego zalanego krwią. Widzi kałużę krwi. W kałuży krwi dostrzega prostokątną wyspę.

Odcisk teczki.

A dalej kilka krwawych śladów, coraz mniejszych i mniejszych, aż w końcu pochłania je noc.

Niski klnie. Idzie po śladach do miejsca, w którym znikają, patrzy w ciemność Nic, nigdzie. Tylko jasna letnia noc. Przez chwilę kręci się w kółko z podniesioną bronią. Bez szans. Teczki nie ma.

Postrzelony jęczy. Sweter zaraz zaleje czerwienią. Koronowany spogląda na niego z góry, przymyka oczy i zakleja mu usta grubym kawałkiem taśmy. Źrenice poszerzają się nagle. Wygląda, jakby oczy miały wyskoczyć z orbit.

Niski zatrzymuje się obok mężczyzny w koronie. Zdjął kominiarkę. Ma pobladłą twarz. Kręci głową.

- Nie ma jej - mówi.
- Co ty, kurwa, gadasz?
- Esse nie żyje, a teczki nie ma. Ktoś ją zwinął.
- Jak to? Co? Rozbiec się, szukać!

Zostało ich tylko trzech. Trzech nie bardzo może się rozbiec. Gdzieś z oddali dochodzi ich dźwięk ruszającego samochodu. Rozumieją, że jest już za późno.

Mężczyzna w koronie zatrzymuje się. Zamiera. Przecież nie mogli tego schrzanić.

A schrzaniłi w kilku punktach. Jak to, kurwa, możliwe?

Mija go niski. Kieruje się w stronę dymiącego jeszcze samochodu.

- Może mamy jeszcze szansę - rzuca.

Niski pochyla się nad pasażerem. Mężczyzna kaszle krwią. Z jego ust wydobywają się niezrozumiałe zdania w obcym języku.

- *Frequency?* - mówi niski, przyciskając do jego czoła lufę pistoletu.

Mężczyzna wybucha śmiechem. Śmieje się krwią.

- *Fuck you, asshole!* - charczy.

Potem dostaje kulę między oczy.

Niski zadziera głowę i widzi dymiący pistolet koronowanego. Poblądły i zszokowany patrzy z niedowierzaniem. Wstaje. Otrząsa się. Stoi nieruchomo. Myśli.

- Kartka - mówi w końcu.

Koronowany kiwa głową. Zapomniał o kartce, która leżała w teczce. Kolejny minus w protokole. Rozkłada kartkę. Jest na niej rząd wypisany cyfr. Niski kręci intensywnie głową.

- Racja. Jeszcze nie wszystko stracone.

Koronowany rozgląda się. Kiwa głową. Niski pomaga mu załadować postrzelonego do samochodu.

Przypomina mu się niedawna rozmowa - w więzieniu z mordercą, który studiował sztukę. O różnicy między teorią a praktyką. Wie, że zawałił sprawę. Przez chwilę stoi beczynnie. Potem zdziera złotą zasłonę i wskakuje do furgonetki.

Przyjechali tu w sześciu. Teraz jest ich trzech i pół.

Po drugiej stronie nie został nikt, pociesza się w myślach.

Tylko to się liczy.

Stary, porzewiały datsun jedzie Varmdóleden. Są zdyszani, szczęśliwi, wystraszeni. Ledwo trzymają się drogi. Na szczęście nie ma na niej samochodów. Jest wigilia nocy świętojańskiej, najspokojniejsza noc w całym roku. Zazwyczaj.

Tegoroczna nie była aż tak spokojna.

On jest jasny, ona ciemna, odwraca się i patrzy na nią. Jej cudowne nogi drżą. Kładzie dłoń na jej kolanie. Teraz drży też jego ręka.

- Kurwa - mówi ona. - Kurwa, ja pierdolę. Widziałeś to?

On kiwa głową i przeciąga dłonią po jej nodze w dół, do podłogi. Leży na niej torba na ramię. Z torby wystają dwie kominiarki i dwa pistolety. Nieużywane.

- Nic nie zrobiliśmy - mówi. - Oni sami to zrobili.

- Ja pierdolę - mówi dziewczyna.

Potem przez chwilę jest cicho. Chwila na oddech. Spojrzenie zawraca, wędruje od torby w górę do jej kolan i jeszcze dalej. Do jej łona.

Do teczki ociekającej krwią.

Zalewa go fala szczęścia. Puszczą kierownicę. Samochód jedzie zygzakiem po Varmdóleden.

- Jezu, udało się! - krzyczy, otacza ją ramieniem i daje jej głośnego buziaka.

- Ja pierdolę! - woła dziewczyna i unosi do góry ramiona.

PORNOGLINY krążyły po okolicy w szklistym świetle poranka. Asfalt pachniał rosą. Rosa zwykle nie pachnie, ale o poranku w wigilię nocy świętego Jana pachniała naprawdę. Czują to nawet pornogliny. Chociaż głowy miały zajęte czym innym.

Po nocnej służbie ich mundury przypominały raczej niezmiępane od tygodnia kalesony. A przecież mogli zostać na zapleczu i oglądać filmy wideo z górnej półki.

Pornogliny chętnie oglądały filmy z górnej półki. Na tyle chętnie, że doszło to uszu osób postronnych. Te z kolei powiadomiły tabloidy. I tak powstało niezbyt chlubne określenie „porno-gliny”.

Nocne wydarzenia mogły je wymazać. Taką w każdym razie mieli nadzieję, gdy krążyli po okolicy w szklistym świetle poranka, próbując się przyzwyczaić do nieznanego im widoku.

To powinno usunąć nawet najbardziej uporczywą plamę.

Była dopiero piąta rano, ale zdążyli już odesłać jakieś pięć, sześć samochodów ze starymi znajomymi z tabloidów. Nie bez satysfakcji.

Gdy dostrzegli nadjeżdżający w ich stronę czerwony samochód z kolorowym logo TV4, podeszli demonstracyjnie do biało--niebieskiej taśmy okalającej fragment terenów przemysłowych w Siekli. Tuż za nim warkotało stare czerwone sportowe bmw.

Pornogliny zbliżyły się do samochodu TV4 z dłońmi wyciągniętymi na znak zakazu wjazdu. Ludzie z TV4 nie zamierzali się tak łatwo poddać. Po krótkiej wymianie zdań ktoś z wnętrza samochodu rzucił niemiłe, choć dobrze im znane określenie, na

co odpowiedzieli seria kopnięć w karoserię. Tym sposobem ucieli dyskusję, a czerwony samochód zaparkował obok innych na wskazanym miejscu dziesięć metrów dalej. Wzburzeni ruszyli w stronę stojącego z tyłu bmw. Gdy ze środka wyskoczyła jakaś mała ciemna postać i bez pardonu podniosła biało-niebieską taśmę policyjną, w pornoglinach coś pękło. Dostarczyli i złapali młodego człowieka za kołnierz.

- A ty, kurwa, gdzie, śródziemnomorska krewetko?
- Takimi brykami to tylko czarni jeżdżą. Spieprzaj! I to już!

Jeszcze zanim do ich uszu dotarł głos, zobaczyli, jak usta młodzieńca układają się w złowieszcze słowo.

- Pornogliny?
- Świński kutas! - wydusiły z siebie pornogliny, wzmacniając uścisk.
- Co wy wyprawiacie?! - krzyknął ubrany w dżins mężczyzna, biegnąc w ich stronę z wnętrza odgradzonego terenu. - To inspektor Chavez z Rikskrim. Puśćcie go natychmiast.

Posłuchali. Odeszli, zostawiając go bez słowa.

- To żadna superbryka - odezwał się Jorge Chavez, masując ramiona. - Siedemdziesiąty ósmy rocznik. A ja nie jestem in spektorem.

Jeszcze, dodał w myślach. Ale wtedy po pornoglinach nie będzie nawet śladu. Mężczyzna w dżinsie wyciągnął dłoń ze słowami:

- Proszę im wybaczyć. Mieli ciężką noc. Nazywam się Bengt Akesson, nocna zmiana komendy wojewódzkiej.

Chavezowi udało się wyciągnąć na powitanie swoją obolałą rękę.

- Czy my się znamy? - zapytał.
- Spotkaliśmy się przy okazji sprawy Łowcy Rekinów. Znalazłem Ruska o nazwisku Aleksander Briusow w czasie nalotu na nielegalny salon gier.
- No tak - kiwnął głową Chavez. - Akesson.

Nie miał zwyczaju zapominać ludzi.

Ostatnio jednak nieczęsto z nimi przebywał. Zastąpiły ich podręczniki. Po zaskakującym finale dochodzenia w sprawie mordercy z Kentucky zaliczał kolejne kursy i był prawdopodobnie najlepiej wykształconym policjantem w Szwecji. Przynajmniej w teorii. Ale i praktyki nie zaniedbał. Do zostania inspektorem brakowało mu już tylko roku służby. Roku służby *en masse*.

Niedawno stuknęła mu trzydziestka.

- Słuchaj, Akesson. Wiem tylko, że w środku nocy dostałem dziwny telefon od skądinąd dobrze mi znanego szefa wydziału w zarządzie Rikskrim Waldemara Mórnera, który powiedział, że mam prowadzić dochodzenie w sprawie, cytuję, „niesamowicie brutalnego masowego morderstwa”. Czy mogę prosić o trochę więcej szczegółów?
- Pozwoli pan, że pana oprowadzę - powiedział Akesson i kontynuował, gdy szli naprzód: - Dwie godziny temu, dokładnie o trzeciej osiem nad ranem, zadzwoniła do nas starsza pani, która w środku nocy wyszła na spacer z psem. Powiedziała, że stoi pośrodku rzeźni. Wokół same trupy. Gdy przyjechalśmy na miejsce, było już jasno. Zobaczyliśmy pięciu zabitych. Wszyscy zginęli od strzałów, z wyjątkiem jednego, którego rozerwała bomba. Wciąż jest w samochodzie.

Chavez zajrzał do osmolonego czarnego mercedesa i przeklął zjedzoną po drodze kanapkę. Wyglądało na to, że wpadła do jego żołądka tylko z krótką wizytą. Przez kilka sekund próbował zapobiec jej nagłemu zmartwychwstaniu. Potem znów był policjantem.

Siedzącego na tylnym siedzeniu mężczyznę bez wątpienia rozerwała bomba. Chavez nie miał zamiaru pogłębiać tej obserwacji, to zadanie należało do lekarzy sądowych. Z nadgarstka mężczyzny zwisał fragment odciętego łańcucha.

To mu wystarczyło. Wyprostował się i rozejrzał wokół. Przemysłowa okolica Siekli. Nierówna asfaltowa droga. Czarny mercedes zaparkowany między dwoma barakami. Szyldy: *Warsztat samochodowy Wąsa* na jednym, *Sklep żeglarski* na drugim.

Spojrzał na lewy bok mercedesa. Na ziemi od strony kierowcy leżał mężczyzna z twarzą w kałuży krwi. Kilka kroków dalej zobaczył kolejną kałużę krwi, tym razem bez trupa. Obszedł samochód. Jeszcze dwa ciała. To od strony pasażera było całe podziurawione kulami. Na głowie drugiego została kominiarka. Z otworu, gdzie powinny być oczy, wylewała się lepka, brejo-wata masa.

Ożeż kurwa, pomyślał Chavez i kilka kolejnych sekund poświęcił na utrzymanie kanapki w miejscu.

- Wspominałeś o pięciu? - powiedział do Akessona.

Akesson przeciągnął powoli dłonią po czole. Dopiero teraz Chavez zobaczył, jak bardzo jest blady.

- Ostatni leży tam - wskazał ręką. - Za warsztatem Wąsy.

- Aliteracja jest zawsze na miejscu - powiedział Chavez i ru-

szuł za nim. Akesson nawet nie zwrócił uwagi na ten komentarz. Wyszli za róg magazynu. Leżał tam barczysty mężczyzna w kominiarce. Dostał kulę w plecy. Wokół jego głowy utworzyła się kałuża krwi. Nieregularna plama wokół wielce regularnego prostokąta. Od którego prowadziło kilkanaście coraz bledszych, krwawych śladów stóp.

- Hmm - zamyślił się Chavez niczym Sherlock Holmes. Bra kowało tylko, żeby z kieszeni sfatygowanej marynarki wyjął szkło powiększające.

Chavez i Akesson wymienili między sobą długie spojrzenia.

- No tak - odezwał się pierwszy z nich. - Wyciągnąłeś jakieś wnioski?

- Tak - odparł ten drugi. - Są dosyć oczywiste. Zacznij, to porównamy. Intuicja w starciu z refleksją.

Chavez spojrzał na Akessona z uznaniem i powiedział:

- Dwie bandy. Ci w kominiarkach napadają na tych bez kominiarek. Ci ostatni przyjeżdżają mercem. Mają ze sobą coś na łańcuchu. Prawdopodobnie teczkę. Są w drodze na miejsce spotkania, żeby wymienić ją na coś, o czym nic nie wiemy. Napastnicy wysadzają w jakiś sposób samochód i zabierają teczkę.

Ten z łańcuchem już nie żyje. Odcinają łańcuch. Pozostali dwaj wysiadają z auta. Zostają przeszukani, sądząc po ułożeniu ciała. Potem się komplikuje. Coś się wydarza. Facet z breją zamiast twarzy ginie od strzału jednego z tych przy samochodzie. Potem z kolei giną oni. Kolejna kałuża krwi sugeruje, że trafiony zostaje jeszcze jeden z napastników, ale nie śmiertelnie, bo go tu nie ma. To, że nie zabrali ciała, może oznaczać, że mają gdzieś, czy zostaną zidentyfikowani, co sprawia, że mam złe przeczucia. Na tym nie koniec. Co robi ten człowiek tak daleko za warszatem samochodowym? Kulka w plecy? Znaczy, że ucieka. Ale obrywa. Prawdopodobnie pocisk przelatuje na wylot przez serce. Krew tryska do przodu, przez klatkę. Okej. Czy możemy założyć, że ta krwawa konstelacja wokół niego oznacza, że miał teczkę? Ucieka, żeby chronić teczkę, gdy zaczyna się strzelanina. Po jej zakończeniu napastnicy wyjmują teczkę z kałuży krwi, robią kilka nieporadnych kroków i uciekają.

Akesson spojrzał na Chaveza, uniósł zdziwiony brew i powiedział:

- Stuprocentowa zgodność, sorry. Nie mam nic do dodania. Oprócz tego, że zabezpieczyliśmy ślady ciężarówki, która stała obok najbliższego baraku, za sklepem żeglarskim. I - dodał, patrząc spode łba na Chaveza - że ci z merca mają wyraźnie obce rysy.
- A napastnicy? - zapytał, jakby nie zrobiło to na nim najmniejszego wrażenia. - Odważyliście się zajrzeć im pod kominiarki?

Akesson skrzywił się.

- Nieciekawy widok. Tak, wyglądają bardziej na Szwedów... Chavez popatrzył na niego, jak gdyby chciał coś jeszcze po wiedzieć.

- I...? - zapytał.

- Nie do końca zadowolają mnie te „nieporadne kroki” - dodał w końcu Akesson. - Nie wyglądają na takich, co by robili nieporadne kroki, zwłaszcza we krwi.

Chavez pokiwał głową. Słaby punkt jego historyjki. Natychmiast namierzony.

- Mieli prawo być w szoku. Rzeźnia. Pięć trupów. Jeden po strzelony. Trzech z nich to koledzy - powiedział, próbując przekonać sam siebie.

Zlustrował miejsce makabrycznej zbrodni. Pani z pieskiem powiedziała, że stoi pośrodku rzeźni. Miała rację. Ale coś mu się nie zgadzało. Po placu kręciło się kilku funkcjonariuszy. Poza tym żywej duszy.

- A gdzie, kurwa, technicy? - wybuchnął.
- W drodze z Narke. - Akesson wzruszył ramionami.
- Skąd?
- Z Narke. Taki region.
- Dziękuję - powiedział Chavez.
- Założę się, że mieli kupę roboty z wybuchem w Kumli. Pojechała tam cała jednostka. I twoi koledzy.
- Moi koledzy?
- Söderstedt i Norlander. Przez jakiś czas pracowaliśmy razem w komendzie wojewódzkiej.

Chavez pozwolił sobie na uśmiech. Stał pośrodku rzeźni i uśmiechał się.

- Biali panowie w średnim wieku - powiedział.

Chociaż myślał o czymś innym.

Hm, myślał.

Wybuch w Kumli, myślał.

TEN DOM widziało bardzo niewielu policjantów. Stał nieco z boku, na skraju cienistego lasu mieszanego nad jeziorem Rava-len. W gminie Sollentuna, piętnaście kilometrów na północ od Sztokholmu.

Tak naprawdę widział go tylko jeden policjant. Ale on nie był już policjantem.

Był właścicielem domu. Wreszcie mógł tak o sobie powiedzieć. Ostatnia rata trafiła do banku w dniu, w którym przeszedł na emeryturę. Jakby było w tym jakieś ukryte znaczenie.

Spójrzmy. Sześćdziesięciodwuletni mężczyzna przechadza się po działce, która z góry przypomina cienki nawias biegnący między jeziorem a lasem. Ubrany w hawajską koszulę i przyciasne szorty prowadzi ręczną kosiarkę w górę i w dół pagórka.

Koszenie trawy to syzyfowa praca.

Trawa przecież odrasta.

Jak na policjanta, mężczyzna ten miał defekt. Jak na byłego policjanta. Nie potrafił odróżnić dobrego ziela od chwastu. Co prawda mógł się tego nauczyć, ale nie rozumiał, co tak naprawdę je różni.

Policjant nie powinien mieć takich wątpliwości.

Nie powinien też w tym celu wspomagać się poradnikiem. Powinien wyczuwać to instynktownie.

Właśnie tego mu zabrakło.

Przerwał na moment pracę i przyklęknął przy niewielkiej kępce. Westchnął głęboko i przeciągnął palcami po zielonych źdźbłach.

Chwast czy nie chwast?

Podniósł się i ominął go kosiarką po łuku. Od kiedy przeszedł na emeryturę, wyznawał maksymę *live and let live*.

Kim był, żeby pierwszy rzucić kamień?

Koledzy nie odwiedzali go w domu. Był powszechnie znany jako „człowiek bez życia prywatnego”, zresztą nigdy nikogo do niego nie dopuszczał. Po przejściu na emeryturę złagodził nieco swoje zasady i spotykał się - choć nadal nie w domu - z dawnym kolegą, swoim byłym szefem Erikiem Bruunem z komendy w Huddinge, który również był na wcześniejszej emeryturze, jednak z powodu zawału serca, a nie jak w jego przypadku - okoliczności. Spotykali się co drugi tydzień w Kulturhuset, pili kawę i grali godzinkę w szachy. To Bruun swego czasu podsunął mu Paula Hjelma z Huddinge do powstającej właśnie Drużyny A.

Jego żona, również emerytka, wyszła z domu i włosami nakręconymi na papiloty usiadła na werandzie z filiżanką kawy i gazetą. Pomachała do niego. Pomachał jej w odpowiedzi. Ra-valen połykiwało zachęcająco w porannym słońcu.

Wszystko było jak się patrzy. Pozostawało cieszyć się życiem. Comiesięczne wydatki sprowadzone do minimum. Dodatkowa emerytura. Co miesiąc spore oszczędności na koncie. Działka, którą docenił dopiero po trzydziestu pięciu latach. Może nawet zostawi coś w spadku swoim dwóm dorosłym synom.

Łódka na jeziorze i wędka. Sauna na plaży. Lornetka ornitologiczna zawieszona na drzewie na skraju lasu. Dwa razy w roku podróże zagraniczne z prawdziwego zdarzenia. Tryskająca zdrowiem para na wcześniejszej emeryturze, która ze spokojem mogła przeżyć kolejne dwadzieścia lat. I to w dobrej formie.

Tryskający zdrowiem, jeśli nie brać pod uwagę nietrzymania moczu.

Ale z tym można było sobie jeszcze poradzić. Przyszłość należała do nich.

Były szef byłej Drużyny A, były inspektor Jan-Olov Hultin miał więc powody, żeby być zadowolony z życia. Nie miał natomiast powodu, żeby rozwodzić się nad tym, co się wydarzyło pod

koniec jego kariery. Nie żałował niczego. To prawda, niektóre decyzje były lekko chybione, jednak nie zrobił nic, co by można było nazwać wykroczeniem zawodowym, nic, co by wymagało przejścia na wcześniejszą emeryturę. Nie ten kaliber.

Nie miał się czym zadrećzać.

Nie było nic, co by mogło go dręczyć.

I tak dalej.

Kolejny dzień.

Na chwilę przerwał swoją syzyfową pracę. Żwir na podjeździe zachręścił pod kołami samochodu. Oby nie był to kolejny występny handlarz nieruchomościami, który przyjechał z, tu cytat, „fantastyczną ofertą” kupna działki. Odrzucił z hukiem kosiarkę i ruszył zdecydowanym krokiem pod górę.

Mężczyzna, który wysiadł z błyszczącego nowego saaba, wyglądał ewidentnie na występного handlarza nieruchomościami. Jego lśniące włosy w kolorze blond ułożone były w odporną na orkany fryzurę, która wyglądała jak peruka. Miał brązową od samoopalacza skórę, zadbane ciało, a na przegubie złoty łańcuch do eleganckiego letniego garnituru.

Janowi-01ofovi Hultinowi opadła szczęka.

- Kurwa, JO - wysapał tamten, jakby biegł przez całą drogę, a nie jechał luksusowym samochodem z klimatyzacją. - Masz popsuty telefon? Jakaś baba powtarza, że jesteś poza zasięgiem. Nie zapłaciłeś rachunku?
- Nie jestem JO - powiedział ze spokojem Hultin. - Mam na imię Jan-01ov. I rzeczywiście jestem poza zasięgiem. Nie potrzebujemy telefonu.
- *Włącz go, do jasnej cholery* - powiedział ufarbowany na blond mężczyzna, który nie był występny handlarzem nieruchomościami, tylko szefem wydziału w zarządzie Rikskrim i prawą ręką komendanta głównego policji. Nazywał się Waldemar Mórner, spec od lapsusów słownych.

Waldemar Mórner poślizgnął się na żwirze, przeskoczył z gracją przez obrzeże między żwirem a trawnikiem i uświadomił sobie, że

jego eleganckie włoskie obuwie nie jest wyposażone w wyszukane zabezpieczenia antypoślizgowe. Wylądował na zwilżonej poranną rosą trawie z zadartymi do góry nogami po wykonaniu przewrotki, potoczył się energicznie, nabierając rozpędu, w dół po trawniku aż pod werandę, gdzie jego ciało głucho uderzyło w schody, a telefon wyskoczył z kieszeni i trafił do filiżanki z kawą pani Hultinowej. Mórner wstał, zataczając się, wyciągnął w jej stronę rękę, pudłując o jakiś metr, przeniosło go bokiem przez werandę, wyrzuciło nad barierką i wpadł z pluskiem do jeziora. W tej samej chwili zadzwoniła komórka. Pani Hultin wyłowiła ją z filiżanki z kawą i odebrała ze słowami:

- Telefon Waldemara Mórnera. Chwileczkę, zaraz podejdzie do telefonu.

Wróć.

Nie, nic takiego się nie stało.

Wszystko to rozegrało się tylko w żądnej zemsty wyobraźni Jana-01ova Hultina. Choć Mórner rzeczywiście poślizgnął się, wchodząc na trawnik. W ostatniej chwili złapał się jednak za mocne ramię Hultina.

- O rany - wydusił, otrzepując ramiona. - Jak to dobrze, że w policji są jeszcze filary, na których można się oprzeć.

- Już nie - odparł ze spokojem Hultin.

Miał nadzieję, że nie było widać, jak szybko bije mu serce. Zarazem wiedział, że nie ma się czego obawiać. Jeszcze nikt nigdy nie zajrzał w głąb duszy inspektora Jana-01ova Hultina. Otaczał ją mur spokoju i opanowania, czasem zastanawiał się, czy wciąż jeszcze tam była.

Była.

- Ależ tak - powiedział Waldemar Mórner.

The magic word.

- Ależ tak - ciągnął, nie mogąc wciąż złapać oddechu. - Właś nie że są. Jeśli chcesz. Potrzebujemy cię. Przekonałem KG, może my zacząć od nowa. Spadła nam na barki wyjątkowo paskudna sprawa wielokrotnego zabójstwa.

KG? Kto, kurwa, mówi KG o komendancie głównym policji? Brzmi to jak ze starego kryminału z lat siedemdziesiątych.

- Zacząć od nowa? - zapytał Hultin na głos.
- Przystąpić do działania - wytłumaczył Mórner. - Zrzucić sieci. Wyciągnąć asa z rękawa. Ruszyć z kopyta. Odbezpieczyć tajną broń.

Hultin stał oniemiały w potoku metafor. Jego kolejne pytanie miało dużo skromniejszy charakter:

- Drużyna A?
- Nie inaczej - odrzekł Mórner i zanucił: - *Born to be wild*. Tego już było za wiele. Hultin wbił w niego wzrok.
- W jakiej formie? - wydusił z siebie. Oczywiście ze spokojem.
- W najlepszej - powiedział Mórner, stukając go po przyjacielsku pięścią w ramię; mimo wszystko Hultinowi udało się go zignorować. - W starej, dobrej formie.
- To znaczy w formie wyjściowej?
- Otóż to. Kto ma odwagę wchodzić w drogę staremu wydze?
- W tym samym składzie?
- Chavez zgodził się oddać prowadzenie tej sprawy. Ale tylko tobie. Norlander domaga się spędzenia nocy świętojańskiej ze swoją nowo narodzoną córką. Mały znak zapytania przy Gunnarze Nybergu. Jak wiadomo, pedofilom dobrze się wiedzie. Obiecał jednak, że przyjdzie na spotkanie o dziesiątej.

Nowo narodzona córka? Te słowa nie pasowały do Viggo Norlandera. Jan-Olov Hultin nie skomentował tego jednak głośno. Spojrzał na zegarek. Było dziesięć po dziewiątej. Niewiele czasu na podjęcie decyzji, która mogła na zawsze zmienić jego życie.

- Muszę porozmawiać z żoną.
- Bardzo proszę. Ale nie za długo.
- Mogę pożyczyć komórkę? - zapytał Hultin, wziął do ręki telefon i szedł po zboczu.

Żona wysłuchała go ze spokojem - najwyraźniej była to cecha rodzinna - a na koniec kiwnęła głową i powiedziała kilka słów.

Wszedł do domu, żeby wymienić hawajską koszulę i przyciasne szorty na coś bardziej reprezentacyjnego, co w jego przypadku oznaczało luźną sportową kurtkę, znoszoną liliową koszulę i parę wiekowych granatowych spodni z gabardyny - starych spodni od munduru. Zdażył jeszcze zadzwonić do Erika Bruuna, który wysłuchał go cierpliwie, choć bynajmniej nie ze spokojem. To nie było w jego stylu. Gdy mówił, Hultinowi zdawało się, że widzi, jak podskakuje mu broda, gdy pociąga swoje nieodłączne czarne cygaro, którego za żadne skarby nie pozbawi go żaden zawał serca.

- Jan-01ov, kurwa. Przecież od dziesięciu miesięcy nie marzysz o niczym innym.
- Serio? - Hultin był szczerze zdziwiony.
- No jasne. Krążysz jak sęp wypatrujący kolacji.
- To znaczy *forgiue and forget*?
- Ani *forgbe*, ani *forget*. *Ignore*. Wal ich. Tu nie chodzi o nich, lecz o ciebie. Masz jeszcze tyle do zaoferowania. Wrócisz do drużyny weteranów. Będiesz znowu mógł rozkwaszać łuki brwiowe. Narodzisz się na nowo.

Hultinowi nabiegła ślina do ust. Podziękował i rozłączył się.

- Pocałował żonę w czoło; jeden z papilotów przyczepił się do kołnierza jego kurtki. Z pomocą przyszedł Waldemar Mórner.
- Nie robi to najlepszego wrażenia.
- Na koniec września mamy wykupioną wycieczkę do Grecji - powiedział Hultin, przyglądając się ze zdziwieniem papilotowi w ręce Mórnera.
- Niech cię o to głowa nie boli - odparł Mórner, rzucił papilot za ramię niczym kieliszek do szampana i otworzył szarmancko drzwi saaba. - Do tego czasu będzie już po sprawie.

Gdy inspektor Jan-Ok>v Hultin wsiadał do samochodu, świeciła wokół niego aura. Aura policjanta.

Z POCZĄTKU francuski. Długa, skomplikowana rozmowa po francusku. Dużo lekkich uśmiechów do komórki. Mężczyzna, który stał przy zamkniętych drzwiach wielkiego biura, pomyślał, że nawet gesty zrobiły się jakby bardziej francuskie. Sam mówił ledwie dwoma językami, nauczył się jednak rozróżniać inny język na podstawie zmian w zachowaniu szefa. Na długo zanim usłyszał, że rozpoczęła się nowa rozmowa, widział to po gestykulacji. Teraz ruchy nabrały innego tempa, były wolniejsze, ale jakby bardziej wyraziste, może nawet trochę kanciaste. Najwidoczniej konwersacja toczyła się po niemiecku. Po kilku surowych, śmiertelnie poważnych zdaniach obrała nowy kierunek - widział to po tym, że klatka piersiowa napięła się, plecy wyprostowały, a szczęki zacisnęły. Zrozumiał, że szef przeszedł na hiszpański. Pozwolił sobie rozejrzeć się po pokoju - rozmowy po hiszpańsku zawsze się przeciągały.

Wszyscy z branży znali ten pokój. Tutaj podejmowane były najważniejsze decyzje, tutaj odbywały się największe transakcje. Panoramiczne okno wychodzące na morską zatokę, wielki elektroniczny globus na nóżce przy dębowym biurku w kształcie litery L, na ścianach obrazy Miro nad wysoką lamperią, grube perskie dywany na błyszczącym mozaikowym parkiecie.

Wszystko znamienite, legendarne.

Dobrze wiedział, że gdyby nie okoliczności, nie miałby prawa się tu znaleźć. Ale braki kadrowe zaczęły być odczuwalne.

Znali się od jakichś trzydziestu lat, byli kolegami z dzieciństwa, pochodzili z tej samej wioski w górach. Mimo to nie zdobył

zaufania wielkiego, chyba że jako przyjaciel. Nić łącząca z przeszłością. A jednak bez wahania przystał na przydzieloną mu rolę rezerwowego gracza, substytutu, surogatu. Już samo to było zaszczytem.

Nazywał go „wielkim”. Trudno znaleźć lepsze określenie. Ale nigdy głośno, to by brzmiało zbyt patetycznie. W myślach zawsze jednak nazywał swojego szefa „wielkim”. Jemu samemu nie brzmiało to wcale patetycznie.

Gdy wielki znów zmienił język, stwierdził, że właśnie umiejętność mówienia wieloma językami podziwiał u swojego pracodawcy najbardziej - to stanowiło o jego „wielkości”. Bez niej nie mógłby prowadzić szeroko zakrojonej międzynarodowej działalności.

Nie ze wszystkimi jej aspektami potrafił się pogodzić. Wielki o tym wiedział, prawdopodobnie dlatego nie miał wstępu do wewnętrznego kręgu. Aż do dzisiaj. Gdy już nie było z kogo wybierać.

Gdy właśnie z powodu tych aspektów pojawiły się problemy.

Dobiegły go słowa w znanym mu języku. Gesty stały się bardziej naturalne. Jakby mówił w języku ojczystym.

Szwedzki. Zrozumiał, że po drugiej stronie linii byli „konsultanci do spraw bezpieczeństwa”.

- Tak - odezwał się wielki zza biurka, okręcił na skórzanym fotelu i spojrzał przez panoramiczne okno. - Rozumiem. I oczywiście nie wiecie, gdzie on jest? Nie. Okej. To czyni sytuację, delikatnie mówiąc, niestabilną. Tak, materiał może być już w drodze. Może dojść do katastrofy. Musimy wierzyć w jego pazerność. Tylko to mamy. Musimy wierzyć, że czeka, aż sami opanujemy sytuację. Musimy odzyskać teczkę. To nasz priorytet. Tak, tak, najwyższe obroty. Na razie.

Skórzany fotel obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni. Po raz pierwszy spojrzenie powędrowało w stronę drzwi. Gdy znów zmienił język, jego słowa zostały wreszcie skierowane do mężczyzny przy drzwiach. Był to język, który dawniej miał odwagę nazywać się serbsko-chorwackim.

- Ljubomir - powiedział wielki, przywołując go kiwnięciem ręki. - Żadnych śladów?

Ljubomir przeciął w poprzek ogromny pokój, napotkał surowe spojrzenie i tylko potrząsnął głową.

- A pieniądze są pod kluczem? - ciągnął wielki.

- Tak. Być może błędem było, że Jovan otworzył skrytkę. Teraz, kiedy nie żyje, nie mamy ani klucza, ani danych osobowych. Pieniądze są zamknięte. Możemy już tylko napaść na bank.

Wielki zmarszczył lekko brwi; nie wróżyło to niczego dobrego.

- Co prawda jesteśmy przyjaciółmi z dzieciństwa, Ljubomir - powiedział chłodno - ale pamiętaj, że nigdy, powtarzam: nigdy, nie będziesz mi mówić, co było błędem, a co nie. To jest daleko poza twoimi kompetencjami. Masz robić, *co* mówię. Nic więcej.

Ljubomir spuścił wzrok.

- Masz? - zapytał wielki.

Ljubomir skinął głową i położył torbę na biurku. Otworzył zamek błyskawiczny i wyjął ze środka krótkofalówkę. Wielki rzucił na nią okiem.

- Częstotliwość?

- Ustawiona. Wystarczy włączyć. Wciśnij tylko guzik przy mikrofonie.

Znów to spojrzenie. A potem lodowate:

- Wiem, jak działa krótkofalówka.

Wielki wziął nadajnik do rąk i przez chwilę siedział w milczeniu. Ljubomir pomyślał, że właśnie taka jest jego prawdziwa natura; jakby lodowaty północny wiatr wygładził rysy jego twarzy. Ten, który miał za chwilę przemówić, był kimś innym. Władcą. Panującym. Najstraszliwszym przeciwnikiem, jakiego można sobie wyobrazić.

Wielki nacisnął guzik i kolejny raz zmienił język. Mówił powoli, jakby zależało mu na tym, by zostać zrozumianym. Po szwedzku.

- To wiadomość do tego, kto ukradł moją teczkę. Wiesz, że cię dorwę. I wiesz, co się wtedy z tobą stanie. Żeby zrozumieć jako tako, nie potrzeba więcej niż minimum wyobraźni. Ale nawet najbardziej bujna wyobraźnia nie wystarczy, żeby zrozumieć w pełni. Więc oddaj teczkę. Jeśli się dobrze zastanowisz, pojmiesz, że tak będzie lepiej dla wszystkich.

Potem przeszedł na angielski i powtórzył całą wiadomość. Słowo w słowo.

Ljubomir wzdrygnął się.

Miał nadzieję, że nie było tego po nim widać.

Leżeli w łóżku. On był jasny, ona ciemna, i wreszcie zmorzył ich sen.

Po najdłuższej nocy ich krótkiego życia zasnęli spleceni, zanurzeni w siebie, na zawsze ze sobą złączeni. Przedpołudniowe słońce kładło się na zaciągniętej roletcie i choć w małej kawalerce nie było czym oddychać, nie odsunęli się od siebie. Nie chcieli się rozdzielać.

Nie tak to sobie wyobrażali.

Do mieszkania weszli tanecznym krokiem, wyjęli szampana, zerwali folię, poluzowali druciki i wszystko przygotowali. Ona wyszła do łazienki, żeby wytrzeć teczkę. Nie chcieli, żeby była na niej krew, gdy będą ją otwierać. Wróciła, pocałowali się i położyli teczkę obok kieliszków na stole. On nakrył prawą dłonią korek butelki. Był gotów.

Otworzyła teczkę.

Żadnych banknotów.

Nawet złamanego grosza.

Tylko klucz i krótkofalówka w osobnych kieszonkach.

Korek wystrzelił, rozbijając lustro w holu. Siedem lat nieszczęścia. Rzucił butelką w lustro, żeby dokończyć dzieła. Odpowiedziało im stukanie sąsiadów.

Rozpląkał się.

Ale ona się zastanawiała.

Zdażyła już pograżyć się w myślach. To był zawsze jej jedyny mechanizm obronny.

Wyjęła klucz z kieszonki i obróciła go w palcach. Był na nim wygrawerowany numer. 401.

- Skrytka bankowa - odezwała się. - Skrytka czterysta jeden.
- Skrytka bankowa, do jasnej cholery - jęknął. - Niby gdzie, kurwa? W Kirunie, Paryżu, Gwatemali?
- Możesz dorobić drugi? - zapytała, sięgając po kartkę i długopis. Rzuciła się na łóżko.

Rozpacz powoli mijała. Widział jej determinację, to ona ich tu przywiodła. Hamowała jego autodestrukcję. Przekierowywała ją. Na coś konstruktywnego. Jak już wiele razy wcześniej.

- Przecież wiesz, że mogę - odpowiedział sztywno.
- Możesz zrobić to teraz? - zapytała i zabrała się za spisywanie listy.
- Tak. Mogę.
- No to zacznij.

Wziął klucz i skierował się w stronę garderoby, gdzie miał swój warsztat.

- A ty co będziesz robić? - zapytał jeszcze, zanim otworzył drzwi.
- Spróbuję przypomnieć sobie miasta, w których prowadzi interesy. To nasza jedyna szansa.

Kiwnął głową i zniknął za drzwiami warsztatu. Leżała na łóżku. Pisała. Pracowali tak przez resztę nocy, obok siebie. Na koniec lista i klucz były gotowe. Wreszcie mogli się złączyć. I co to było za złączenie! Jak gdyby ich ciała spotkały się po raz pierwszy. Wszystko, czego doświadczyli w czasie tej najdłuższej nocy ich krótkiego życia, zamieniło się w pożądanie. Formę miłości. A miłość i pożądanie znaczyły to samo.

Zasnęli pogrążeni w sobie. Gdy zasypiała, przed jej oczami przesuwała się lista. W każdym z tych miejsc gwarantowana ucieczka od rzeczywistości. Niemająca końca potrzeba pociesze-

nia, ekstazy, poszerzania granic zmysłów. Jak gdyby darowane nam zmysły już nie wystarczały. Nieskończona potrzeba metamorfozy. Koło się zamykało. Błędne koło. To wszystko jego wina. Środek koła. Wąż dusiciel. A ona znów jest małą dziewczynką. Ten sen ciągle powraca. Zna każdy jego fragment, każdy ruch, każde przesunięcie, ale nie jest w stanie go przerwać. Jakby musiał trwać. Jakby z j a k i e g o s powodu musiał trwać. Przebudzenie w środku nocy. Stary, niewinny sen zostaje przzerwany, już nigdy nie wróci. Już go nie pamięta. Już nigdy nie wróci. Najpierw ledwo słyszalny szelest prześcieradeł. Potem oczy, spojrzenie innego, a może raczej spojrzenie, które nie należy do człowieka. Rozsuwa jej nogi, a ona nie wie, co się dzieje, nie potrafi zrozumieć, nie może zrozumieć, nie ma podstaw, żeby zrozumieć, co takiego wciska się w nią, ale rozumie coś najbardziej podstawowego, że ją zawiódł, że samo Zaufanie zostało nadużyte, że człowiek, któremu powinna móc ufać najbardziej na świecie, potraktował ją najgorzej, jak tylko można. A przecież to dopiero początek.

Pamięta jedynie początek. Tylko on powraca w snach. Cała reszta toczy się sama. Staje się normą. Normą, która sprawiła, że jako pierwsza wyszła z szeregu dziewczynek i nasikała na leżącego na ziemi chłopca.

A to wszystko jego wina. Węza dusiciela.

I właśnie wtedy, w środku snu, słyszy głos. Ten głos. Nagle zdaje sobie sprawę, że w jej śnie ktoś coś mówi. Dawniej były tak straszliwie pozbawione dźwięku, ale teraz słowa przeciskają się przez sen, z jakiegoś innego miejsca, z ciemnego miejsca, to kompletne szaleństwo, bo kiedy otwiera oczy i dochodzi do niej, gdzie jest, rozumie, że głos dobiega z teczki.

A była przekonana, że zmyła z niej całą krew.

Głos mówi:

- To wiadomość do tego, kto ukradł moją teczkę. Wiesz, że cię dorwę. I wiesz, co się wtedy z tobą stanie. Żeby zrozumieć jako tako, nie potrzeba więcej niż minimum wyobraźni. Ale

nawet najbardziej bujna wyobraźnia nie wystarczy, żeby zrozumieć w pełni. Więc oddaj teczkę. Jeśli się dobrze zastanowisz, pojmiesz, że tak będzie lepiej dla wszystkich.

Udaje jej się podnieść i dosięgnąć stołu dopiero, gdy wiadomość zostaje powtórzona po angielsku.

Rozumie, w pełni rozumie. Chce rzucić teczką w stronę potłuczonego lustra, ale budzi się w niej jej jedyny mechanizm obronny. Myśli.

On obserwuje ją z łóżka. Ma szeroko otwarte oczy, nasunął instynktownie na siebie prześcieradło. Daremna obrona. Instynktowna obrona małego chłopca.

- To był on?- pyta po chwili. - Wąż dusiciel?

Ona stoi z teczką uniesioną nad głową. Refleksja walczy z instynktem. Wygrywa. W końcu myśl wygrywa z uczuciem.

- Tak - mówi, kładąc teczkę na stole. - Nie mamy dużo czasu.

On siada na brzegu łóżka, ubiera się.

- Dlaczego jej nie rozwaliłaś? - pyta. - Przecież potrzebujemy tylko kluczy.

- Nie powinniśmy pozbywać się wyjść awaryjnych - mówi ona.

- Z pomocą tego urządzenia możemy się z nim bezpośrednio skontaktować. Gdyby zaszła taka konieczność.

On kiwa głową, próbuje zrozumieć. Dziewczyna wraca do łóżka i zaczyna się ubierać. Bierze listę ze stolika nocnego i przedziera ją na pół. Podaje mu jedną połówkę. On bierze ją do ręki, przygląda się.

- Pamiętasz, jak się będziemy kontaktować? - pyta ona.

On kiwa głową.

- Żadnego kontaktu bezpośredniego - mówi, przyciągając ją do siebie. Po raz ostatni spotykają się pośrodku łóżka. Długi, przerażający pocałunek na pożegnanie. Ostatni bezpośredni kontakt.

Wszystko to, czym są dla siebie.

Wszystko to sprawia ból.

- Pamiętaj, dlaczego to robimy - szepcze on. - Dla delfinów.

Uśmiecha się i przytula ją jeszcze mocniej.

- I dla pary, która unosi się w spadających kroplach deszczu
- mówi dziewczyna i czuje, jak płacz wzbiera w jej gardle.
Stoją w holu. Już czas. Nie chcą. Nie mają wyboru.
- Czterysta jeden - próbuje opanować głos. - Jeśli nie ma skryt ki numer czterysta jeden, to znaczy, że to nie ten bank. Wtedy nie musisz nawet próbować.
- Bierzesz teczkę? - pyta on.
Dziewczyna kiwa głową.
- Puszka Pandory - mówi, uśmiechając się krzywo. Wychodzą samotni w świat. Tak bardzo samotni, jak obiecali sobie, że już nigdy nie będą.

Było ich mniej, niż powinno. Zdarza się, pomyślał, rozglądając się po mrocznej piwnicy. To nie koniec świata, pomyślał. Trzeba liczyć się ze stratami. Podniósł złotą kominiarkę i przyjrzał się jej. Wystawienie pionka, pomyślał. Żeby wygrać, potrzeba ofiar. Pozorne straty.

Ale czy Jocke naprawdę był p o z o r n ą stratą?

Esse to jedno - ale Jocke?

Naciągnął kominiarkę i znów był koronowany.

Wiedział, że za drzwiami świeci już czerwcowe słońce. Ale tu, w środku, panowała zimna, pachnąca piwnicą ciemność. Żadnych okien, nawet jednego otworu. Tylko goła żarówka nad stołem stolarskim, w jedynym miejscu, gdzie coś się ruszało. W fotelu w rogu siedział wielki, krótko ostrzyżony mężczyzna, był zajęty czyszczeniem pistoletu maszynowego. Rogge ciągle czyści pistolet, pomyślał. Jeśli dojdzie do kolejnej strzelaniny, będzie mógł na niego liczyć. Zawsze w pełnej gotowości. Na kanapie obok

- Danne. Na niego też zawsze mógł liczyć. Danne Kaszanka. Ksywa z pierdła. Czarny jak kaszanka. I fioletowa twarz. Jak długo uda im się ciągać go ze sobą? Pocisk przeszedł co prawda na wylot, nie uszkadzając kości ani żadnego ważnego organu, ale

wciąż krwawił. Lewe ramię niesprawne. Może uda mu się kiedyś podnieść broń. Niepewna karta.

I jeszcze Kula przy stole stolarskim. Techniczny geniusz. Mały i nabity. Posługujący się sprawnie bronią. *My mon*, pomyślał, podchodząc do niego i kładąc mu rękę na ramieniu.

Kula siedział pochylony nad krótkofalówką. Była włączona. Obok niej stał oscyloskop. Przez ekran przebiegały fale o różnych kształtach.

- A więc nie jesteśmy całkiem spaleni? - zwrócił się do Kuli.

Kula nie odpowiedział, manewrował tylko dalej pokrętem, aż na ekranie pojawiła się fala, z której najwyraźniej był zadowolony.

- Nie, kurwa - odezwał się w końcu. - Jakoś to będzie. Pod jednym warunkiem.

- Mów.

- Dobra. A Rogge się nie przysiadzie?

- On i tak niczego nie czai.

- Posłuchaj uważnie - powiedział Kula, odchylając się na krześle. - Myślę, że było tak. Obie strony miały teczkę z krótkofalówką w środku. Najwidoczniej nie ufali sobie na tyle, żeby przyjechać z gotówką. Kasa leży w jakiejś skrytce, w końcu w teźce widzieliśmy klucz. Mieli chyba zamiar kontaktować się ze sobą na częstotliwości, którą zapisali na tej kartce, i gdy wszystko zostało ustalone, druga strona miała otrzymać wiadomość, w którym banku znajdują się pieniądze. Nadajnik w teźce to specjalny rodzaj radia policyjnego, widziałem coś takiego już wcześniej. Ponieważ znamy częstotliwość, możemy namierzyć sygnał. Z tej częstotliwości rzadko kto korzysta. Takie nadajniki wysyłają zawsze słaby sygnał nadawczy. Za pomocą tego małego urządzenia możemy go zlokalizować, a tym samym zlokalizować teczkę. Żeby go jednak namierzyć, nie możemy znajdować się dalej niż kilkadziesiąt kilometrów. Muszę je tylko skalibrować, potem możemy zaczynać.

- Pod warunkiem że...?

Kula spojrzał na niego.

- Ze nie wyrzucili radia - dodał ostrożnie.
- Mężczyzna w koronie poczuł, że się skrzywił.
- A po cholere miałoby je zachować? Przecież interesuje ich tylko klucz.
- Wydaje mi się - powiedział z naciskiem Kula - że kimkolwiek byli, zdziwili się tak samo jak my. Wydaje mi się, że będą szukać skrytki. I wydaje mi się, że zatrzymali radio, by nie pozbawiać się żadnych szans. Chociaż - dodał - tak mi się tylko wydaje.
- Mnie to wystarczy - powiedział koronowany. - Jak zwykle.

Fale na ekranie zadrżały. Kula podskoczył i zawołał:

- O kurwa, coś idzie.

Z policyjnego odbiornika radiowego na stole stolarskim dobiegł ich głos:

- To wiadomość do tego, kto ukradł moją teczkę. Wiesz, że cię dorwę. I wiesz, co się wtedy z tobą stanie. Żeby zrozumieć jako tako, nie potrzeba więcej niż minimum wyobraźni. Ale nawet najbardziej bujna wyobraźnia nie wystarczy, żeby zrozumieć w pełni. Więc oddaj teczkę. Jeśli się dobrze zastanowisz, pojmiesz, że tak będzie lepiej dla wszystkich.

A potem jeszcze raz, po angielsku.

Mężczyzna w koronie roześmiał się. Śmiał się długo i głośno. Potem powiedział:

- Pieprzony erudyta. Rozwalę mu ten jego miękki języczek. Obiecuję.

Kula spojrział na niego sceptycznie.

Mężczyzna siedział zupełnie nieruchomo. Wszystko się posypało. Próbował jakoś to na nowo poskładać. Nie potrafił. Nie było sposobu. A miało pójść szybko, gładko i bez hałasu.

Zamiast tego eksplodowała bomba. W najwyższym stopniu fizyczna, widoczna i hałaśliwa. Pięciu zabitych. Nie mógł uwierzyć, że to prawda.

Chciał tylko znaleźć się w miejscu, gdzie zimy są krótsze.

Nie, to nie była do końca prawda. Chciał też wsadzić za kratki człowieka, którego nie dało się wsadzić za kratki. Powstrzymać to, czego wcześniej nikomu powstrzymać się nie udało.

Rozejrzył się po pokoju. Anonimowy pokój. W tej chwili całkowicie anonimowy. Właśnie *to* słowo: anonimowy. Jestem anonimowy, pomyślał. Wszystkie ślady z przeszłości zostały wymazane. To, czym się teraz zajmował, nie miało n i c wspólnego z przeszłością. To była przyszłość.

Która właśnie się posypała.

Nudny biały stół kuchenny. Z plastiku. Wcześniej to byłoby niemożliwe. Teraz wszystko było możliwe. Straszliwa wolność. Nawet to było możliwe.

Wstał po kubek kawy. Ekspres zabulgotał chaotycznie, jak zawsze, gdy dzieło zostaje ukończone. Najpierw chaos, potem wielki spokój.

A spokój oznaczał śmierć.

Nalał kawę, zajął do środka czarnej jak noc filiżanki, usłyszał głos dobiegający go ze stołu kuchennego. Ruszył szybko w jego stronę, rozlewając kawę. Zdecydowanym ruchem ręki otworzył brązową teczkę, z której wysypały się kartki. W środku leżała profesjonalna krótkofalówka, taka, która skanuje jednocześnie dużą liczbę częstotliwości. Usłyszał:

- To wiadomość do tego, kto ukradł moją teczkę. Wiesz, że cię dorwę. I wiesz, co się wtedy z tobą stanie. Żeby zrozumieć jako tako, nie potrzeba więcej niż minimum wyobraźni. Ale nawet najbardziej bujna wyobraźnia nie wystarczy, żeby zrozumieć w pełni. Więc oddaj teczkę. Jeśli się dobrze zastanowisz, pojmiesz, że tak będzie lepiej dla wszystkich.

Cywilizowana brutalność głosu. Okrucieństwo prosto z salonów.

Uderzyły go dwie rzeczy. Łączyły się ze sobą i jakby nie łączyły.

Po pierwsze, że szukali pieniędzy. Co by znaczyło, że sami ich nie mieli. Pewnie je odzyskają, ale to pociągnie za sobą jeszcze

więcej ofiar. A wtedy wszystko znowu będzie możliwe. To jest również wiadomość skierowana do mnie, pomyślał. Brzmiała: „Wiem, że słuchasz. Wytrzymaj, nie rób nic pochopnie, zaczekaj, a dostaniesz zapłatę. Cokolwiek robisz: nie rób nic pochopnie”.

Co takiego sprowokował? Obrzydliwa śnieżna kula ruszyła i nie miał najmniejszych szans, żeby ją zatrzymać. Wtargnie do Sztokholmu, porywając ze sobą wszystko.

Wszystko.

I to właśnie on, nikt inny, wprowadził ją w ruch.

Po drugie - ryzyko. Z początku całkowicie je ignorował. Ale gdy sytuacja zrobiła się chaotyczna, gdy do akcji włączyli się koledzy, gdy wszystko zaczęło się sypać, wówczas sytuacja stała się niestabilna również dla niego. Jego też mogą osiągnąć.

Ubezpieczenie straciło ważność.

Bał się bólu. To wszystko.

Gdy wreszcie przyłożył kubek z kawą do ust, ten był pusty. Czarna jak noc ciecz rozlała się po podłodze i stole.

Nie czas jeszcze opróżniać kielich.

Miał wciąż kilka spraw do załatwienia.

CENTRUM dowodzenia. Nazwa historyczna.

Nudna mała sala wykładowa nic się nie zmieniła. Dawniej służyła jako tymczasowe miejsce zebrań świętej pamięci Drużyny A, „jednostki specjalnej do zwalczania przestępczości o charakterze międzynarodowym”.

Właśnie zmartwychwstała.

Być może również tymczasowo.

Brudnożółte pozbawione okien betonowe ściany, jak rząd sedesów przytwierdzone do ziemi krzesła, które za każdym razem trzeba było najpierw rozłożyć, stół na podium jak katedra w szkole, zwieńczony komputerem starej daty, na ścianie zegar, na którym wskazówka właśnie minęła dziesiątą. I jeszcze dwoje drzwi.

Przez pierwsze z nich wpadały do środka relikty dawnej Drużyny A. Ich krok był niepewny.

Paul Hjelm zjawił się jako pierwszy, jak jakiś podekscytowany wojerysta. Usiadł i przyglądał im się, kiedy wchodzili. Porównywał zewnętrzne obrazy z obrazami wewnętrznymi. Nigdy do końca się nie pokrywały.

Nie inaczej było w przypadku Kerstin Holm, która przyszła zaraz po nim. Choć pracowali ze sobą przez cały miniony dzień, jej widok go zdziwił. Przyglądał się jej ukradkiem, gdy się do niego zbliżała. Fantastyczna kobieta. Ubrana zawsze w klasyczne, proste ubrania, doskonale dopasowane. Para płóciennych spodni. Lekka biała bluzka. Nic więcej. I twarz, która starzała się

lepiej niż niejeden burgund. Każda zapowiedź zmarszczki była zapowiedzią zmiany na lepsze.

Niewykluczone, że nie był do końca obiektywny.

Siadając, spojrzała na niego z uśmiechem, który musiał nazwać dziarskim, choć zawsze był nieufny wobec tego słowa, ostatnio jednak przeszło ono metamorfozę.

- Masz go? - zapytała.

Hjelm skinął głową i wyjął mały mikrofon z kieszonki na piersi jasnoniebieskiej koszuli. Przesunął nim przed jej oczami. Kiwnęła głową. Przesunął kolejny raz. Znowu kiwnęła. I jeszcze raz.

- Dobra, dobra - powiedziała w końcu i zaśmiała się roz bawiona.

Otworzyły się drzwi. Do środka wszedł kredowobiały mężczyzna w koszuli w kratę i jasnym garniturze. Na ich widok rozłożył ręce w geście powitania.

- Moi ulubieńcy - zawołał po szwedzku z fińskim zaśpiewem.

Wstali, żeby przywitać się z Arto Söderstedtem. Nie mógł opanować śmiechu.

- Rozumiem, że wczoraj wszyscy zajmowaliśmy się naszymi brzdącami - powiedział. - Media już ich ochrzciły. Zamachowiec z Kumli i morderca z Młyna. Krótkie sprawy.

- Które teraz ustąpiły miejsca rzezi w Siekli - dodała Kerstin Holm i uśmiechnęła się szeroko.

Drzwi znów się otworzyły. Ukazał się w nich Viggo Norlander. Pod jego oczami rysowały się wyraźne niebieskie cienie. Pasowały jak ulał do różowych stygmatów na jego dłoniach. Pomachał im, usiadł możliwie najbliżej drzwi, a po minucie zasnął. Coraz z nim gorzej, pomyślał Hjelm.

Jako następny wszedł Wielki Głina, Gunnar Nyberg, z kubkiem czarnej kawy.

- Przysłali mnie tu z kawą dla ascetów - zażartował, nie został zrozumiany i usiadł obok głośno chrapiącego Norlandera. - Cześć, Kerstin! - zawołał, machając lekko ręką. - Witaj na froncie.

- Raczej w odbycie! - zawołała w odpowiedzi.

Nyberg zaśmiał się zaskoczony i odstawił kubek z kawą na składany blat krzeselka. Miał tam stać, aż wystygnie. Nie zamierzał go ruszać.

Z toalety doszedł ich odgłos spuszczonej wody. Viggo Norlander wybudził się nagle; znał ten dźwięk doskonale. Czekali, aż skończy lecieć woda z kranu. W końcu otworzyły się drugie drzwi i z prywatnej toalety wyszedł inspektor Jan-Olov Hultin z pieluchą dla nietrzymających moczu na właściwym miejscu.

Przywitał ich spokojnym skinieniem głowy i usiadł za katedrą, kładąc przed sobą grubą stertę papieru.

Kerstin Holm podeszła do niego i postawiła przed nim duży bukiet czerwonych róż. Przez dłuższą chwilę przyglądał się im. W końcu doszukał się karteczki w kolczastych czeluściach. W sali zrobiło się cicho. Zupełnie cicho. Patrzyli na niego. Wyraz twarzy nie zmienił się, ale oczy patrzyły w dół, jakby trochę zbyt długo. Gdy podniósł wzrok, po jego ogromnym nosie potoczyło się kilka łez.

- Dziękuję - powiedział tylko.
- Zrobiliśmy zrzutkę - wyjaśniła Kerstin Holm. - Dobrze cię znowu widzieć.
- Dziękuję - powtórzył, jakby się zaciął. Potem wzdrygnął się i zaczął z innej beczki: - Mamy sporo roboty. Są wszyscy?

Rozejrzeli się po „centrum dowodzenia”. Brakowało jokera. Źródła energii.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi. Energicznie.

Ze też nawet drzwi można otworzyć energicznie, pomyślał Paul Hjelm, przyglądając się zdecydowanym krokom Jorge Chaveza. Usiadł w wolnym rzędzie najbliżej Hultina, obrócił się i pomachał wesoło do wszystkich zebranych, po czym wstał i przywitał się bardziej oficjalnie z szefem operacyjnym Drużyny A.

- Dobrze cię znowu widzieć, Janie-Olovie - powiedział Chavez, ściskając dłoń szefa. Potem usiadł i czekał na swoją kolej.

Hultin marszczył przez chwilę brwi. Potem znów był sobą:

- Pięćdziesiąt minut temu Waldemar Mórner wjechał saabem na żwirową ścieżkę przed moim domem. Miałem zamiar dokończyć koszenie trawy i pierwszy raz zanurzyć się dzisiaj w jeziorze Ravalen, ale zostałem poinformowany o zaistniałej sytuacji. Próbowałem jakoś zapełnić mój pusty bank wiedzy w drodze tutaj, ale prawdę mówiąc, nie wiem nic o tej przeklętej rzeźni w Siekli. Wie za to Jorge. Pozwól więc, że oddam ci głos. Zaczynaj.

Chavez był gotów. Wdrapał się na podium i zabrał za przyczepianie zdjęć do białej tablicy za pomocą magnesów w kształcie biedronek.

- Wybaczcie te owady - powiedział. - Ktoś z magazynu po mylił się przy zamówieniu. Są to w każdym razie zdjęcia robione pod każdym możliwym kątem na terenach przemysłowych Siekli przy Sódra Hammarbyhamnen. I zdjęcie pogładowe z helikoptera. Tutaj. Pięciu zabitych na skutek tego, co wygląda na porachunki w podziemnym światku. Wyjątkowo brutalne, wy padałoby dodać. U jednej z ofiar znaleziono dwadzieścia cztery kule. Tutaj. Inna wyleciała w powietrze, a jej wnętrzności przykleiły się do dachu samochodu. Tutaj.

Zacznijmy jednak od początku. Są dwie bandy. Banda 1: trzech uzbrojonych w pistolety ludzi (oznaczonych od 1A do 1C na tym szkicu); Banda 2: sześciu uzbrojonych w pistolety maszynowe ludzi (od 2A do 2F). Jak wszystko na to wskazuje, Banda 2 napada na Bandę 1 z zamiarem zabrania teczki.

Ten tutaj czarny mercedes, zarejestrowany na wypożyczalnię samochodów w Örnsköldsvik, wypożyczony dwa tygodnie temu przez nieistniejącego Andersa Bengtssona ze Sztokholmu, nadjechał około drugiej w nocy z tej tutaj bocznej drogi na terenach przemysłowych Siekli. W samochodzie siedziało trzech mężczyzn z Bandy 1. Pod samochodem eksplodował precyzyjny ładunek wybuchowy, zabijając mężczyznę na tylnym siedzeniu. Auto przejechało jeszcze kilka metrów, potem się zatrzymało. Siedzący z przodu mężczyźni w wyniku eksplozji odnieśli obrażenia, ale nie śmiertelne. Zostali zmuszeni do opuszczenia

samochodu przez mężczyzn z Bandy 2, którzy nadjechali furgonetką z nowymi oponami Continental - na razie to wszystko, co wiemy. Prawdopodobnie obaj zostali przeszukani przez Bandę 2, najwyraźniej jednak nie dosyć dokładnie, bo już po chwili chwycili za pistolety, zabijając dwóch i raniąc jednego z Bandy 2.

Znalezione na miejscu naboje, kąty, pod jakimi padały strzały, oraz sposób ułożenia ciał sugerują, że użyto sześciu z dziewięciu znajdujących się na miejscu sztuk broni. Nie został użyty pistolet mężczyzny na tylnym siedzeniu, jak również pistolety maszynowe zabitych napastników. Żaden z nich nie zdążył strzelić przed śmiercią; w przeciwnym razie z pewnością by to zrobili. Nie wydaje się, by któryś z obecnych miał opory, żeby używać broni palnej.

Spójrzcie na szkic. Wydaje się, że możemy przyjąć określoną sekwencję wydarzeń. Jeden: samochód wylatuje w powietrze, ginie 1A. Dwa: IB i 1C zostają zmuszeni do opuszczenia samochodu i przeszukani. Trzy: 1A zostaje pośmiertnie pozbawiony teczki, prawdopodobnie przez 2A. Cztery: IB i 1C wyjmują broń. Pięć: IB trafia śmiertelnie 2B strzałem z ramienia, prosto w oko. Sześć: 2A biegnie z teczką w stronę najbliższego baraku, być może dlatego, że teczka uniemożliwia mu wyjęcie broni maszynowej. Siedem: 1C zabija 2A strzałem w plecy. Osiem: IB rani 2C. Dziewięć: 2D, 2E i 2F pięcioma strzałami zabijają 1C. Dziesięć: IB zostaje raniony sześcioma strzałami przez 2C, 2D i 2F. Jedenaście: IB ginie od osiemnastu strzałów oddanych przez 2D z bliskiej odległości. Dwanaście: teczka zostaje wyjęta z kałuży krwi przed 2A i wędruje razem ze zranionym 2C do furgonetki. Trzynaście: furgonetka odjeżdża. Na miejscu zostają: 1A, IB, 1C, 2A i 2B. Raniony 2C ma grupę krwi AB minus. Teczka jest w rękach pasażerów furgonetki, którzy wyszli z tej akcji cało: 2D, 2E, 2F i postrzelonego 2C.

Teraz dopiero robi się ciekawie. Rozumiem, że jesteśmy zgodni co do tego, że chodzi tu o porachunki grup przestępczych?

W takim razie nasze urządzenia do rozpoznawania linii papilarnych powinny rozgrzać się do czerwoności. Tak jednak nie jest. Z pięciu trupów - pozostałych odcisków nie mamy - tylko j e d e n znajduje się w rejestrze. To jeden z napastników z Bandy 2. Ten, który dostał w oko. 2B. Nazywa się Sven Joakim Bergwall, kiblował dwukrotnie, za pierwszym razem w Tida-holm, za drugim w Kumli. Bez wątpienia przestępca pierwszej kategorii. Napady na banki, zabójstwa, usiłowanie morderstwa, ciężkie pobicia i podżeganie do nienawiści na tle narodowościowym.

- Podżeganie do nienawiści na tle narodowościowym? - zdziwił się Hultin, kiedy wreszcie udało mu się wejść w słowo.
- Zdeklarowany neonazista - powiedział Jorge Chavez i odczekał, aż przełkną tę informację. - Był członkiem Białej Aryjskiej Siły, gdy ta jeszcze istniała. Jak również członkiem Partii Rzeszy Nordyckiej, gdy ta jeszcze istniała. I tak dalej. Jego nazwisko pojawia się również w kontekście gangu przebierańców, jeśli go jeszcze pamiętacie. Napady w całym kraju. Militarny styl. Pozostalej czwórki w rejestrze brak. Nikogo z Bandy 1. Ani 1A, ani IB, ani IC - czy też 2A.
- Przez te skróty wszystko mi się miesza - westchnął Gunnar Nyberg. - 2A to był ten, który uciekł z teczką i dostał kulkę w plecy? Ten dryblas?
- Tak - potwierdził Chavez. - Chociaż w porównaniu z tobą to żaden dryblas. Skróty pomagają zlokalizować obecnych i ich ruchy. Cztery typy naboju do broni maszynowej z czterema różnymi cechami. Czterech strzelców. Plus tych dwóch, którzy nie wystrzelili, ale których pistolety zostały na miejscu: 2A, który dostał kulkę w plecy, i 2B, który dostał kulkę w głowę. 2B to Sven Joakim Bergwall. 2B stał sam na prawo od samochodu. 2A podniósł teczkę i znalazł się później przed samochodem, skąd potem pobiegł. Przed samochodem byli również 2D i 2E. Na lewo stali 2C i 2F, 2C postrzelono. 2D i 2F trafili zarówno IB, jak i IC. Co jeszcze z tego widać? Który z nich podchodzi do

rannego mężczyzny i oddaje do niego osiemnaście strzałów? Szaleniec czy przywódca grupy? Intuicja podpowiada mi: szaleniec i przywódca w jednej osobie. Obstawiam, że dowódcą jest 2D. Nic o nim nie wiemy.

- A wybuch? - zapytał Söderstedt.
- No tak, oprócz Svena Joakima Bergwalla to jedyny konkret, jaki mamy. Kilku białych mężczyzn w średnim wieku ściągnęło całe cholerne Państwowe Laboratorium Kryminalistyczne do Narke. Nie było technika kryminalistycznego na służbie, który by nie skrobał ścian w bunkrze Kumli.
- Przejdź do rzeczy - warknął biały mężczyzna w średnim wieku w osobie Norlandera.
- To ten sam ładunek wybuchowy i ten sam mechanizm zapłonowy - powiedział Chavez i zaczął, aż przełknął tę informację, po czym dodał: - Nic nie wiemy na ich temat. Ale są takie same. I jest oczywiste, że jeśli zestawimy informacje o wybuchu w Kumli z informacjami o rzezi w Siekli, to nie wyłania się z tego nic przyjemnego.

Söderstedt i Norlander popatrzyli na siebie wnikliwie. Wzór, pomyśleli jednocześnie.

Kiedy zaczyna wyłaniać się wzór?

Arto Söderstedt poczuł, że wraca do życia. Po raz pierwszy od chwili gdy jechał służbowym autem Norlandera do Kumli. Przekazali go tamtejszym policjantom, a sami wrócili samolotem z Örebro, żeby zdążyć na zebranie o dziesiątej.

Nagle wszystko zaczęło się układać.

- Chcielibyśmy was od kogoś pozdrowić - powiedział. - Wszyst

kich, ale w szczególności Paula i Jorge. Od dwulatkę Paula Jorge Anderssona, nazywanego Jojje.

W „Centrum dowodzenia” zapanowała konsternacja. Söderstedt uśmiechnął się pod nosem. Cenił sobie wprowadzające w konsternację intro.

- To syn Gorana Anderssona - dodał z dramaturgiczną precyzją.

Paul Hjelm i Jorge Chavez wymienili między sobą spojrzenia po raz pierwszy od prawie roku. Czy z dawnego tandemu coś jeszcze zostało? Znali się przecież jak stare konie. Seryjny morderca Goran Andersson ochrzcił swojego syna na cześć policjantów, którzy go zatrzymali. Było to co najmniej dziwne.

Arto Söderstedt mówił dalej:

- Bębenki Anderssona diabli wzięli na skutek wybuchu w Kumli. Wczoraj o godzinie ósmej trzydzieści sześć rano siedział w swojej celi obok Lordana Vukoticia i czytał podręcznik do historii sztuki. Poprzedniego wieczoru widział, jak Vukotić wlecze się do swojej celi z - jak wykazała obdukcja - pękniętą śledzioną, złamaną lewą piszczelą i ramionami wyrwanymi ze stawów. Następnego ranka wyleciał w powietrze i zostały po nim nie kawałki, ale maź, która oblepiła ściany. Niewykluczone, że stoi za tym ten sam człowiek, który jakieś osiemnaście godzin później wysadził mercedesa na terenach przemysłowych Siekli. Co by znaczyło, że mieliśmy rację, ale jednak nie do końca. Czterech policjantów - dwóch z Rikskrim, jeden z wydziału kryminalnego w Narke i jeden z Sapo - wyciągnęło wczoraj daleko idące wnioski, ale i tak spędziło wczorajszą noc nie tak jak trzeba. Założyliśmy, że: Vukotić był torturowany i puścił parę z ust; to dlatego nie chciał się przyznać, że go torturowano, a już najmniej sługusom z Kumli. Może spędził całą noc w celi, próbując nastawić ramiona. Pytanie tylko po co, skoro nazajutrz wyleciał w powietrze. Dlaczego nazajutrz wyleciał w powietrze? To było nasze kolejne pytanie. Doszliśmy do wniosku, że sprawca się domyślał, że jego uczynek wyjdzie na jaw, i zdecydował się zatrzeć ślady. W związku z tym sprawdziliśmy więźniów zaznajomionych z ładunkami wybuchowymi. Spędziliśmy całą noc na przesłuchaniach gości, których nazwisko choć raz wystąpiło w kontekście bomb. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, jak błędnie rozumowaliśmy. Jeśli sprawca rzeczywiście chciał „zatrzeć ślady”, że zacytuje Gorana Anderssona, to znaczy, że nie do końca zdawał sobie sprawę z konsekwencji, torturując Vukoticia. Oczywiście, że sobie zdawał. Wiedział, że Vukotić jest prawą

ręką bossa narkotykowego Rajko Nedicia. Nietykalnego. Był najbliżej prawdopodobnie najniebezpieczniejszego człowieka w Szwecji. Oczywiście, że wiedział, na co się porywa, usuwając z drogi Vukoticia. Za tym wybuchem nie kryje się strach przed zostaniem złapanym. To raczej rzucone wyzwanie. Wiadomość. A ta brzmi: Uważaj, czarnuchu, nadchodzimy! Ale nie tylko to. Również: Pieprzę was, gliny. Mam gdzieś, czy mnie zidentyfikujecie, czy nie. I tak mnie nie dorwiecie!

W Centrum dowodzenia zaległa cisza. Wydawało się, jakby znak cytatu zniknął za jednym machnięciem ręki. Zobaczyli, jak wyłaniają się kontury czegoś paskudnego, ale również pociągająco istotnego.

- No nic - odezwał się Arto Söderstedt. - Widzicie, do czego zmierzam. Do dwóch rzeczy. Po pierwsze: zamachowiec z Kumli to nie człowiek, który siedzi teraz w pierdlu i trzęsie tyłkiem ze strachu, tylko człowiek, który wyszedł z Kumli przy akompaniamencie efektów dźwiękowych. Po drugie: jesteśmy świadkami starcia profesjonalnych bandytów o poglądach nazistowskich, być może nawet paramilitarystów, z jednym z głównych bossów narkotykowych Rajko Nediciem i jego świtą złożoną ze zbrodniarzy wojennych z byłej Jugosławii. Przyznacie, że brzmi to całkiem, całkiem. Co by również tłumaczyło, dlaczego nie możemy zidentyfikować 1A, IB i 1C z Bandy 1. Pewnie trafili tu bezpośrednio z Kosowa. Albo bardziej ogólnie z bałkańskiego kotła.
- I wszyscy trzej zginęli - powiedział na wdechu Jorge Chavez. Aż tak daleko się w swoich przypuszczeniach nie zapędził. Patrzył na kredowobiałego Arto Söderstedta, jak mimochodem wyrzuca z siebie kolejne prawdy. Jeszcze nie skończył. Wymachiwał w powietrzu jakąś kartką.
- Trzymam w ręku faks od dyrektora zakładu karnego w Kumli. Wczoraj rano o godzinie wpół do dziewiątej został wypuszczony jeden z więźniów. Sześć minut przed wybuchem. Odsiedział trzy z sześciu lat wyroku za ciężkie pobicie, zwolniony za dobre

sprawowanie. On również figuruje, jak to się mówi, na obrzeżach organizacji rasistowskich. Spuścił łanie dwóm kurdyjskim wojownikom o prawa obywatelskie w czasie demonstracji w Solna Centrum trzy lata temu. W jednym z samochodów stojących przed centrum kultury kurdyjskiej znaleziono również ładunek wybuchowy, ale nie dało się tego włączyć do aktu oskarżenia. Nazywa się całkiem niewinnie - Niklas Lindberg, ma trzydzieści cztery lata i pochodzi z Trollhattan. Kształcił się na oficera zawodowego, szybko awansował, był kilkakrotnie w siłach ONZ na Cyprze, po czym wstąpił w szeregi francuskiej Legii Cudzoziemskiej. Prawdopodobnie - choć nie mamy na to dowodów - utrzymuje dobre stosunki ze skrajnie prawicowymi organizacjami na całym świecie. Również w Stanach. Obstawiam - jeśli wolno - że Niklas Lindberg to twój 2D, Jorge. Przywódca i szaleniec. Człowiek, który oddał osiemnaście strzałów z bliskiej odległości do rannego.

- Który na dodatek może być zbrodniarzem z byłej Jugosławii - przytaknął Jan-01ov Hultin. - Obraz nabiera ostrości, nawet dla starego emeryta. Sven Joakim Bergwall zrobił próbę generalną w Kumli. Czy mógł się tam spotkać z Niklasem Lindbergiem?
- Nie zetknąłem się wcześniej z nazwiskiem Lindberga - przyznał się bez owijania w bawełnę Chavez, przeszukując kartki. - Ale Bergwall został zwolniony z więzienia miesiąc temu. Niewykluczone, że tych dwóch niestroniących od przemocy neonazistów zgadało się w Kumli. Bergwall zajął się organizacją od zewnątrz, a Lindberg od wewnątrz. Można tak na to spojrzeć.
- Co takiego szykują? - ciągnął Hultin. - W wieczór poprzedzający wyjście z więzienia Niklas Lindberg torturuje Lordana Vukoticia. Musieli raczej wcześniej wszystko zaplanować. Poprzedniego wieczoru. Nie sądzę. Sześciu ludzi w starannie obmyślanym napadzie - to raczej niemożliwe, żeby decyzja została podjęta osiemnaście godzin przed?

- Wydaje mi się - odezwała się nagle Kerstin, mobilizując możliwości głosowe chórzystki - że chcieli mieć stuprocentową pewność.

Kolejny raz w Centrum dowodzenia dało się wyczuć lekką konsternację. Kolejny raz do melodii wkradł się nowy ton, burząc harmonię. Patrzyli na nią, niczego nie rozumiejąc. Wyciągnęła rękę w stronę Paula Hjelma, który bez słowa wsunął w nią miniaturowy mikrofon.

Zawiesiła dłoń w powietrzu, skupiając na niej wzrok wszystkich.

- To coś znaleźliśmy pod stolikiem w pubie Młyn na Tjarkhovsgatan wczoraj wieczorem. Całkiem niepozorne urządzenie podsłuchowe.

- Morderca z Młyna - wybuchnął Gunnar Nyberg, który zbyt długo już siedział cicho.

- A nie - powiedziała Kerstin Holm. - Raczej konsekwencje jego czynu. Z przesłuchań świadków w Młynie wyłonił się nam zupełnie nowy obraz sytuacji. Chwilę po zabójstwie z lokalu ulotniło się sporo ludzi. W tle tego zwykłego, codziennego aktu przemocy miało miejsce coś zupełnie innego. A może powinnam raczej powiedzieć: na froncie.

- Chcieli mieć stuprocentową pewność? - zapytał Jan-Olov Hultin, próbując nadać kształty czemuś, co wydawało się bezkształtne.

- Tak - odparła Kerstin Holm, zbierając siły. - Ostateczne potwierdzenie dostali dopiero w środę wieczorem w Młynie. Wydaje mi się, że na spotkaniu stawilo się wszystkich pięć trupów. To znaczy wtedy nie byli jeszcze trupami.

Patrzyli na nią z niedowierzaniem. Było całkiem cicho.

- Nie wiem - ciągnęła dalej - w którym momencie wyłania się wzór. Dla Paula i dla mnie stało się to dosyć wcześnie. Tak na prawdę nie mieliśmy nic, na czym moglibyśmy się oprzeć, z wyjątkiem tego, co nazywamy węchem. Dopiero teraz coś zaczęło się wyłaniać. Nie wiedzieliśmy co, ale coś się jednak działo

pośród tych wszystkich kibiców. Zęby sprawę trochę rozjaśnić: Banda 1 siedziała tam i podsłuchiwała Bandę 2 za pomocą tego oto urządzenia.

- Ale przecież Niklas Lindberg został wypuszczony dopiero nazajutrz - odezwał się Hultin, próbując nadażyć. Czuł, że zarzewiał, ale czuł też, jak rdza odpada od niego wielkimi płatami. Był u siebie. Nareszcie znów u siebie.
- Zgadza się - powiedziała Kerstin Holm. - Jeśli pójdziemy za tokiem rozumowania Söderstedta, to byli to jego ludzie, ci, którzy później odebrali go z Kumli, być może dowodzeni przez nieboszczyka Svena Joakima Bergwalla. Być może to właśnie Bergwall zachował przytomność umysłu, nakazując zostać jednemu z nich na miejscu zbrodni, aby odciągnąć uwagę od grupy.
- Co możesz powiedzieć o niezidentyfikowanych ofiarach rzezi w Siekli, Jorge? - zapytał Paul Hjelm.
- Pokiereszowani - to chyba najlepsze słowo. Bergwall, 2B, został trafiony w oko, nieprzyjemny widok. Gdyby nie odciski palców, niewiele byśmy zdziałali. To samo dotyczy mężczyzny z samochodu, który wyleciał w powietrze. 1A. Ciemne włosy to jedyne, co możemy stwierdzić na pewno. IB został podziurawiony jak sito. Dwadzieścia cztery strzały. Osiemnaście z bliskiej odległości. O próbie rekonstrukcji twarzy możemy tylko marzyć. 1C wygląda najlepiej i bez wątpienia jest to twarz bałkańska. 2A zarył głę w asfalt. Niewiele z niej zostało. Podsumowując, nie mamy nic, co by się nadawało do pokazania mediom.
- Interesuje nas 2A - odezwał się Hjelm. - Ten olbrzym, który biegł z teczką i dostał kulkę w plecy, i o którym nie ma wzmianki w kartotece. Solidnie zbudowany?
- Bez wątpienia.
- Rzadkie wąsy?
- Tak.
- Ogolony na łyso?

- Tak.
- Paul Hjelm zamilkł. Resztę zostawił Kerstin. Była gotowa.
- Wszystko wskazuje na to, że chodzi o Eskila Carlstedta. Sprzedawcę z Kungsholmen. Rozmawialiśmy z nim dzisiaj rano. I daliśmy się nabrać na jego historyjkę. Puściliśmy go, niczego nie podejrzewając. Kurwa, ale daliśmy ciała.
 - Daj spokój - zaprotestował niespodziewanie Hultin. - Nic na niego nie mieliście. Szukaliście mężczyzny, który rozbił ofierze głowę kuflem. I tak cholernie daleko zaszliście. Jeśli to wszystko prawda. Jeśli to nie dzikie fantazje typowe dla duetu Hjelm i Holm.
 - Pięciu ludzi - ciągnęła Holm, jakby go nie słysząc - przy stoliku przy drzwiach. „Nie skini, ale prawie”. „Podstarzałe ski-ny”. Dają szybko nogę, ale zostawiają na miejscu Carlstedta, tylko jego nazwisko nie widnieje w kartotece. Mają refleks. Carlstedt zostaje krótko przesłuchany przez nocną zmianę w Młynie, ale okazuje dokumenty i odchodzi z nakazem stawienia się na komendzie następnego dnia, celem szczegółowego przesłuchania. Potem spotyka się z tą czwórka, co uciekła, spędzają noc na obmyśleniu najlepszego sposobu, żeby odciągnąć uwagę policji. Ustalają, że Carlstedt powie, że widział mordercę z Młyna. To rzeczywiście odciąga naszą uwagę na tyle skutecznie, że pozwalamy mu odejść i *dolączyć do* swoich nie czterech, ale pięciu kolegów, bo zdążyli już w tym czasie przywieźć swojego bossa Niklasa Lindberga z równin Narke. Teraz są w szóstkę. Czekają, aż zapadnie noc. I to nie z jednego, ale z dwóch źródeł znają czas i miejsce spotkania. Od Lordana Vukoticia z więzienia i od grupy w Młynie, która w dużej części składa się ze zbrodniarzy wojennych z byłej Jugosławii, z Bandy 1: 1A, IB, 1C.
 - Dlaczego, *do cholery*, mieliby siedzieć w Młynie i rozmawiać o miejscu spotkania? - wybuchnął Hultin i poczuł, jak kruszeje okalający go mur spokoju. - To brzmi jak kompletne szaleństwo.
 - Są w to zamieszane dwie strony. Te dwie strony umawiają się w Młynie. W teczce, która ma zostać przekazana, znajdują

się prawdopodobnie pieniądze lub narkotyki. Strony nie mają do siebie zaufania. Spotykają się w neutralnym miejscu, publicznym, by wyznaczyć miejsce przekazania teczek. Mówią po angielsku, ponieważ, jak już ustaliliśmy, są to w większości stosunkowo świeżo importowani zbrodniarze wojenni z Jugosławii. To, jak się domyślam, kolejny powód, dla którego wybierają miejsce publiczne. Druga strona nie ma pewnie ochoty sapać z bandą niepoctych zbrodniarzy wojennych w jakiejś ciemnej uliczce. Wracamy do paki: Vukotić zna już miejsce nocnego spotkania. Tak przynajmniej zakłada Niklas Lindberg. Podejmuje wielkie ryzyko, gdy - wieczór przed wyjściem - torturuje Vukotića wewnątrz murów więziennych. Być może chce potwierdzić to, o czym jego koledzy już za chwilę dowiedzą się w Młynie. Być może robi to po prostu dla przyjemności. Dobrze tak od czasu do czasu poznać się nad czarnym. Żyjemy w pięknym świecie.

- W waszej opowieści brakuje jednej strony - przemówiła aura policjanta, która wciąż otaczała Jana-Olova Hultina. - Tej, która mówiła po angielsku z Bandą 1 w Młynie. Tej, która miała odebrać zaginioną obecnie teczkę. Skąd ona się, kurwa, w ogóle wzięła? Skąd wiemy, że chodzi o teczkę?
- Z odcisku w krwi 2A - wyjaśnił Chavez. - Eskila Carlströma, jeśli to on...
- Carlstedta - poprawił go Hjelm.
- Przypomina kształtem teczkę. Zresztą to najbardziej prawdopodobne.
- Dobra - powiedział Hultin. - Na razie skupmy się na drugiej stronie i rozmowie po angielsku w Młynie.
- Zostawiłam to na koniec - odezwała się Kerstin Holm. - Nie poprawi wam to humoru. Prawdopodobnie chodzi tu o policjanta.

W Centrum dowodzenia dało się słyszeć lekkie westchnięcie. Nie było w nim zdziwienia ani oburzenia, tylko rozczarowanie. W ubiegłym roku centralna komisja dyscyplinarna zwolniła

czterech policjantów pod zarzutem działalności przestępczej. Kolejna czwórka odeszła sama. Dwudziestu jeden policjantów zostało pociągniętych do odpowiedzialności, z czego siedemnastu dostało ostrzeżenie. Holm mówiła dalej:

- Szwedzki policjant. Pokazał legitymację w Młynie, żeby wyjść już po zablokowaniu drzwi przez bramkarzy.
- Nie mogła być sfalszowana? - zapytał Hultin.
- Jasne. Co jednak nie zmienia faktu, że to jedyny Szwed w grupie. I właśnie on wymachuje legitymacją. Poza tym wygląda na to, że jest dosyć dobrze zaznajomiony z procedurami policyjnymi. Nie chciał u t k n ą ć w pubie na przesłuchaniach w sprawie mordercy z Młyna.
- Czas więc już zadać pytanie, o co w tym wszystkim chodzi - powiedział Hultin. - O ile oczywiście weźmiemy serio hipotezy, które od pół godziny krążą wokół głowy porzdewiałego inspektora. Co tu mamy? Wygląda na to, że w centrum stoi boss narkotykowy Rajko Nedić. Ma dostarczyć coś w teczce mężczyźnie, który być może jest szwedzkim policjantem. Co takiego jest w teczce? Pewnie pieniądze, ponieważ każdy policjant wie, jak trudno jest upłynnić narkotyki, nie zostając przy tym namierzonym. Najwidoczniej nie chodzi tu jednak o rutynową zapłatę, ponieważ negocjują miejsce spotkania. To znaczy, że „policjant” się boi. Zatem jednorazowa zapłata. Dlaczego? Czy szwedzki policjant chce się przebić w branży narkotykowej? Przyznacie, że nie brzmi to najlepiej. Szantaż? Czemu nie? Tylko w jakiej sprawie? I skąd sympatyzująca z neonazystami Banda 2 wie, że dojdzie do przekazania? Wiedzą o tym już od jakiegoś czasu, czekają tylko, aż Niklas Lindberg wyjdzie z kicia, ale nie mają pojęcia gdzie i kiedy. I zdobywają tę informację, na dwa różne sposoby, wieczorem w przeddzień dostawy. Tylko skąd w ogóle o niej wiedzą?
- Wydaje się dosyć prawdopodobne, że to działa się już wcześniej i pośredniczył w tym Yukotić - odezwał się Söderstedt.

- Lindberg i Bergwall siedzą w Kumli i podsłuchują poufną rozmowę. Wiedzą, że szykuje się dostawa, ale gdzie? Kiedy? Jak? Może Lindberg, który jeszcze siedzi za kratkami, dowie się potem, że odbędzie się spotkanie w Młynie.

- Sporo pytań - powiedział Paul Hjelm.

- Tak - przyznał Hultin, podnosząc wzrok. - Ale również sporo odpowiedzi, znacznie więcej, niż mogłem marzyć, gdy przeglądałem tych kilka marnych kartek w klimatyzowanym saabie Waldemara Mórnera.

- Co już mamy? - Chavez podjął się podsumowania. Ginał na tle wielkiej białej tablicy. - Trzech z sześciu mężczyzn z Bandy 2. 2A to Eskil Carlstedt, a 2B neonazista Sven Joakim Bergwall. Ci nie żyją. 2D to przywódca Niklas Lindberg. Nie znamy tożsamości postrzelonego 2C oraz 2E i 2F. Jeśli chodzi o Bandę 1, wyślemy odciski palców 1A, IB i 1C do Interpolu - i może jeszcze do władz krajów byłej Jugosławii.

- Został nam materiał wybuchowy - wtrącił Norlander. - Co to za hiperaktywna płynna substancja, którą się detonuje za pomocą elektronicznego mikrozapalnika? Nikt chyba nie ma na to odpowiedzi. Ale to raczej ważne.

- Zapewne - powiedział Hultin. - Zajmiemy się tym. Znowu Interpol. Musimy sporo potwierdzić. Zdejmujemy odciski z mieszkania Eskila Calrstedta i porównamy je z ciałem 2A. Przykładowo. Powinniśmy się poza tym zastanowić, jak mamy traktować Rajko Nedicia. Facet zadaje sobie sporo trudu, żeby działać na legalu. Uczciwy biznesmen. Właściciel restauracji.

- Trzeba z nim porozmawiać - odezwał się Hjelm - choć pytanie kiedy. Kiedy powinniśmy mu ujawnić, co wiemy? Co stracimy lub zyskamy na rozmowie z nim? I tak dalej.

Hultin skinął głową i spojrzął na audytorium.

- Pewnie jesteście ciekawi co dalej? Kwestie kadrowe. Wiecie, co mówili w telewizji. W policji są pustki. Minister sprawiedliwości mówi otwarcie o naszym złym grafiku urlopowym. W wielu miejscach powołano oddziały straży sąsiedzkiej, których

zadaniem jest pilnowanie tego, czego my już upilnować nie jesteśmy w stanie. Nawet jeśli przydzielono nam zadanie specjalne, musimy umieć umotywować, dlaczego siedmiu funkcjonariuszy różnych stopni siedzi tu, zajmując się właśnie tym, a nie czymś innym. Dziś mamy wigilię nocy świętojańskiej. *Zbliża się dwunasta*. Większość kolegów ma wolne i za kilka godzin będzie tańczyć kaczuszki wokół drzewka majowego. Ale nie my. Szykują się nadgodziny, na które Rikskrim wyda kupę kasy. Ktoś ma z tym problem?

- Chciałbym chociaż na chwilę wpaść na Dalaró - odezwał się Hjelm.
- Dzieci czekają na mnie w Skansenie o trzeciej - odezwał się Söderstedt.
- Chciałbym spędzić wieczór z córeczką - odezwał się Norlander.
- Mój syn postawił drzewko majowe dla mojego wnuka w Ósthammar - odezwał się Nyberg.

Milczeli tylko Chavez i Holm.

- Nie ma mowy - stwierdził brutalnie Hultin. - Zaczynamy wszystko od nowa. Nie było nas blisko rok. Ani słowa na temat urlopu, zanim z tym nie skończymy. Nikt was tu nie trzyma. Jeszcze macie okazję wrócić do waszych dotychczasowych za dań, ale już nie za trzy godziny i nie jutro. Musicie naprawdę tego chcieć. O ile zrozumiałem, to również ostatnia szansa, żeby uprawomocnić reaktywowanie Drużyny A. Naprawdę ostatnia. Niestety wygląda na to, że jesteśmy potrzebni. Powtarzam raz jeszcze: jeśli ktoś z was zasmakował w zwykłym życiu policjanta - droga wolna. Ale jeszcze tylko przez chwilę. Jacyś chętni?

Gunnar Nyberg spojrział w górę. Z roztargnienia wziął łyk lodowatej czarnej kawy. O mało co jej nie zwrócił. Sięgał po kawę już odruchowo.

- Nie chodzi o to, że zasmakowałem w zwykłym życiu policjanta - powiedział, z trudem powstrzymując się przed zwmiotowaniem. - To, czym się teraz zajmuję, ma niewiele wspólnego

z normalnością. Jestem w trakcie kilku dochodzeń w sprawie wykorzystywania seksualnego nieletnich. Nie mogę tak po prostu tego rzucić.

- Wiem - odezwał się Hultin. - Śledziłem to, co robicie. Jorge marzy tylko o tym, by porzucić teorię i wrócić do praktyki. Kerstin przyjechała tu prosto z Göteborga. Razem z Paulem wycisnęła, co się dało, ze sprawy mordercy z Młyna. Wygląda na to, że wybuch w Kumli, którym zajmują się Arto i Viggo, można ze spokojem włączyć do sprawy. Wasza piątka dostanie tak jak ja zielone światło. To ty, Gunnar, jesteś naszym brakującym ogniwem. Rzeczy, którymi się teraz zajmujesz poza Drużyną A, są naprawdę ważne. Jak to widzisz?

Nyberg westchnął głośno.

- Nie pijecie tyle kawy - powiedział. Nie wzięli tego za komplement. Dalej wyrażał się jaśniej: - Miałbym oczywiście ochotę włączyć się do kolejnej sprawy na miarę Drużyny A. Zateśniłem już za jazdą bez trzymanki. Najlepiej by było, gdybym mógł, sam nie wiem, przez jakiś czas pracować na pół etatu, nie rezygnując jednocześnie z dochodzeń w sprawie pedofilów. Żeby niczego nie przeciągać. Żeby nie przedłużać ani jednego cierpienia. Jeśli rozumiecie, co mam na myśli.

- Wydaje mi się, że rozumiem - odezwał się Hultin. - I jeśli o mnie chodzi, nie mam z tym problemu. Jeszcze nie zapomniałem, że ty jako jedyny nie pomyliłeś się co do mordercy z Kentucky. Ktoś jeszcze?

Nikt więcej.

Hultin skinął głową i mówił dalej:

- W porządku. Zanim zacznę przydzielać konkretne zadania, powinniśmy poświęcić chwilę, każdy z osobna, żeby zastanowić się, jak powinien wyglądać nasz kolejny krok. Czego powinniśmy się spodziewać? Zakładamy, że teczka jest teraz w rękach Bandy 2. Wszystkie drogi są otwarte. Moglibyśmy przyjąć, że Nedić nie wie, kto ukradł teczkę. Gdyby Vukotić nie wyleciał w powietrze. Ile czasu potrzebuje, żeby się zorientować, że chodzi tu o Niklasa

Lindberga? I co wtedy? Czy dojdzie do wielkiej konfrontacji? I czy możemy założyć, że banda Lindberga zadowolą się teczką? Czy chcą czegoś więcej? Czy sugerują to ich powiązania z neo-nazistami? Czy zamierzają dokonać czystki etnicznej w szwedzkim biznesie narkotykowym? I dlaczego teczka miała trafić w ręce szwedzkiego policjanta? Jeśli były w niej pieniądze, to dlaczego boss narkotykowy Rajko Nedić, który nigdy nie został zatrzymany przez policję, przekazuje policji pieniądze? Czy właśnie dlatego nigdy nie został zatrzymany? I tak dalej. Musimy, po pierwsze, zdobyć więcej informacji na temat tego tajemniczego ładunku wybuchowego; po drugie, ustalić tożsamość 2C, 2E, 2F; po trzecie, odszukać rzekomego policjanta; po czwarte, wyjaśnić, dlaczego Nedić płaci szwedzkiej policji. O ile to prawda. Informujcie mnie, gdy tylko na coś traficie. To tyle. Pracujemy do czasu, aż wieczór wigilijny przejdzie w noc. Żadnych kwiatów pod poduszką, żadnego pędzonego w domu bimbru, żadnych nowo poczętych dzieci. Praca, praca i wyłącznie praca.

PRACA, praca i wyłącznie praca. Tyle że w domu.

Spojrzała na Surbrunnsgatan. Jeszcze nigdy ten fragment jej świata nie wydał się jej tak pusty. Pogoda nie mogła się zdecydować, czasem słońce, czasem deszcz, a niekiedy bardzo dużo deszczu. A ona surfowała. Tyle że w cyberprzestrzeni. Surfowała w sieci.

Za oknem lały się strugi deszczu. Cudowna ulewa. Krótka, intensywna, przejściowa.

Sara Svenhagen niemal zapomniała o lęku, jaki potrafi wywołać długi weekend. Lęku, który winduje w górę liczbę samobójstw, w czasie gdy personel medyczny dostaje dodatek za pracę w święta. Dobrze znany ucisk w okolicach serca. Który mówi: jesteś sam, naprawdę sam.

Nikt cię nie chce.

Wiedziała, że nie powinna się tak czuć. To przecież ona nie dopuszczała nikogo do siebie. Najwyraźniej jednak nie robiło to różnicy. Lęk mimo wszystko się pojawiał. Wgryzał. Mówił niechciane prawdy.

W oknach po drugiej stronie ulicy nie zapaliły się światła. Na ulicy żywej duszy. Przez cały dzień nie słyszała nawet jednego ruszającego samochodu. Miasto opustoszało. Przynajmniej raz to nie Sztokholm będzie w czołówce policyjnych statystyk. Sprawcy i ofiary wyjechali z miasta.

Na wieś.

Mogła świętować noc świętojańską w domu rodziców w Ty-resó. Ale rodzina i tak miała nie być w komplecie. Zawsze to było jakieś pocieszenie. Również dla ojca liczyła się praca, praca

i wyłącznie praca. Z tą tylko różnicą, że główny technik kryminalistyczny Brynolf Svenhagen był w siódmym niebie. Dwa fantastyczne orzechy do złupania. Po pierwsze wybuch w Kumli. Po drugie rzeźnia w Siekli. Oczami wyobraźni widziała, jak surowy szary mężczyzna nabiera rumieńców i rozkwita w kolorach karnawału. Wyobraziła go sobie w spódniczce z pipr i z frędzlami u sutków. Uśmiechnęła się. Ucisk zelżał.

Rozejrzała się po niewielkim mieszkaniu. Nawet je lubiła. Azyl.

Wróciła do komputera.

Od godziny 19.36.07 w czwartek dwudziestego czwartego czerwca pozwoliła sobie na kilka pojedynczych mikrosnów. Osiemnaście godzin temu. To wtedy zapisała listę adresową z dziwnej, znikającej strony w Internecie.

Bez wątpienia była to lista adresowa. Pedofilów. Sieć, która w dużej mierze wydawała się pokrywać ze znanymi już sieciami, ale mimo wszystko była to nowa lista. Żadnych nazwisk, oczywiście, żadnych prawdziwych, rzeczywistych adresów, ale jednak cała seria adresów internetowych, z których część była zupełnie nowa. Miała je wszystkie w głowie. Wypełniały ją po brzegi. Za chwilę mogła wybuchnąć.

Do kolejnego mikrosnu wdarł się natychmiast dobrze jej znany koszmar. Rozświetlony brzuch, cień, członek, który wciskał się w nią, chcąc dotrzeć do dziecka. Była przekonana, że sen pragnął jej coś powiedzieć. Coś naprawdę istotnego. Ale nie rozumiała co. Czuła tylko strach, gdy budziła się w chwili śmierci. Uważała, że sen zbyt dużo zabierał, żeby coś przekazać. Przekaz tonął w horrorze.

Konto mailowe mógł założyć każdy. Hotmail, serwis Microsoftu, należał do ulubionych. Miliony adresów, kończących się na @hotmail.com. Nieograniczony dostęp. Człowiek zawsze jednak zostawiał po sobie ślad - pomimo masek i przebrań był jeszcze numer IP, cyfrowa linia papilarna. Namierzenie go wyłącznie za pomocą adresu poczty mailowej było trudne, ale nie niemożliwe. Nie zawsze było *to* jednak jednoznaczne z namie-

rzeniem konkretnej osoby. Większość pedofilów była na tyle rozgarnięta, żeby nie zakładać konta w domu, tylko na komputerze publicznym, chociażby w Kulturhuset czy Kungliga biblioteket. Trudniej było tu jednak cieszyć się zakazanym owocem. Trudno jest w salonach Kulturhuset masturbować się do zdjęć zgwałconych dzieci. Większość ściągała więc pocztę na publicznym komputerze, zapisywała zdjęcia na dyskietce, a potem cieszyła nimi oczy w domowym zaciszu. To dawało poczucie bezpieczeństwa. Żadnych śladów, poza fizycznymi. O tej i tej godzinie te i te pliki ściągane były z tego i tego komputera. Wystarczyło skojarzyć konkretną osobę z konkretną godziną i konkretnym komputerem, chociaż nie było to takie łatwe. Najłatwiej było złapać fuszerów, którzy co jakiś czas pozwalali, by zawładnęła nimi żądza, i ściągali pliki na komputer domowy, ujawniając tym samym swój numer IP. Zostawiali ślad.

Na razie Sara doliczyła się trzech fuszerów na liście. Całe postępowanie należało do skomplikowanych, wiele ruchów było jednak mechanicznych i mogłaby wykonywać je przez sen, gdyby oczywiście spała. Dzięki skorzystaniu z ogromnych możliwości centralnego komputera policji, Interpolu, Internetu i Intranetu udało jej się - po sprawdzeniu jednej trzeciej listy - rozszyfrować osiemnaście numerów IP. Osiem szwedzkich. Pięć prowadziło do instytucji publicznych. Pozostałe do osób prywatnych w Boden, Lund i Boras.

Powoli miała dosyć cyberprzestrzeni. Co pewien czas na ekranie komputera widziała odbicie małej, krótko ostrzyżonej postaci. Nie myliła jej już z małym chłopcem. To była ona. Rzeczywista Sara Svenhagen. Tak właśnie wyglądała. I nie była żadną wirtualną ofiarą pedofila, ale prawdziwą policjantką. Czas już wziąć sprawy w swoje ręce. Przejrzała listę w poszukiwaniu sztokholmskiego adresu. Na razie nic. Chciała uderzyć bezpośrednio. Fizycznie. Spojrzeć mu prosto w oczy.

I stwierdzić to, co było wiadomo już od bardzo dawna, że pedofil wcale nie uważa, że jest zły. Jak to, przecież jest dobry,

w końcu bierze wrodzoną seksualność dziecka na poważnie, podczas gdy reszta świata go nie rozumie, czyni aseksualnym. Pedofil zwraca dziecku seksualność, której go pozbawiono.

Wszystko to już słyszała. A jednak nie potrafiła tego zrozumieć.

Zastanawiała się, czy lista była wystarczającym powodem, żeby wszcząć międzynarodową akcję na wielką skalę. Czy raczej powinna odczekać kolejne pół roku, żeby uderzyć wspólnie z Amerykanami, Brytyjczykami, Niemcami, Francuzami, Belgami. Co jeszcze mogło się zdarzyć przez te pół roku?

Była to kwestia sumienia, jeszcze zanim została zwerbalizowana, klasyczny dylemat moralny, wciąż jeszcze wirtualny. Jeśli na liście znajduje się rzeczywisty adres w Sztokholmie, pod który Sara Svenhagen może natychmiast jechać, to czy powinna to zrobić? Nie miała wyboru, musiała ważyć zyski i straty. Na złotej szali. Z jednej strony istniało ryzyko, że wirtualny pedofil ze Sztokholmu skrzywdzi kolejne dziecko, z drugiej - że powiadomi resztę sieci, powodując krzywdę kolejnych. Szansa schwytania człowieka dysponującego niezbędnymi jej informacjami wobec szansy schwytania całej sieci.

Gdzieś w trakcie tych wyliczeń Sara Svenhagen zrozumiała istotę ekonomii rynkowej. Wszystko ma swoją cenę. Lub też: wszystko da się wycenić. Naprawdę wszystko. Każdą relację, każdą formę życia. Prowadziła ekonomiczne wyliczenia. To było całkiem proste: plus i minus. Minimalizacja strat. Najmniejsza możliwa strata. Najmniejsza liczba wykroczeń o charakterze seksualnym wobec nieletnich.

To było niesmaczne.

Konieczne, ale niesmaczne.

Wszystko da się wycenić. Ekonomizacja sfery intymnej. Przemiana człowieka z osoby fizycznej w osobę prawną, w osobę wirtualną. Potem już tylko liczba, wartość, kurs akcji.

Nagle dotarło do niej, dlaczego tak naprawdę ścięła włosy.

I właśnie wtedy znalazła rzeczywisty adres IP. W Sztokholmie.

Wydał jej się dziwny. Fatburstrappan 18. Gdzieś w okolicach Söderhallarna.

Rzeczywistość rzuciła się na nią jak jastrząb. Dylemat moralny po dłuższym zastanowieniu okazał się fikcją, lub przynajmniej ona go nie miała. O czymś jednak zapomniała.

O hierarchii.

Było po drugiej. Wokół majowych drzewek tańczyli już ludzie. Piątek. A po nim sobota i niedziela. Dwa dni przy minimalnej obsadzie w mieście. Większość na wsi. Jej zwierchnicy tańczyli kacuszki. Z pewnością również inspektor Ragnar Hellberg. Błazen. Party-Ragge. Ale miała jego numer awaryjny. Na komórkę.

Pytanie, czy chciała się z nim skontaktować. Tak naprawdę nie było pośpiechu. Być może pedofil z Fatburstrappan 18 nie skrzywdzi nikogo w czasie tego weekendu. Tyle że być może nie wystarczało Sarze Svenhagen. Nie uspokajało. Być może wręcz przeciwnie, zamierzał uczcić noc świętojańską prawdziwą orgią ekscesów seksualnych z nieletnimi.

Co powie Hellberg? Może zdążył wychylić już kilka głębszych i siedział teraz z przekrzywioną papierową czapeczką na głowie, wesoło nucąc. Nie znała go zbyt dobrze. Najmłodszy i rzucający dowcipami inspektor, chociaż w wymuszonym korporacyjnym stylu. Bawimy się. To rozkaz. Więc jak, założymy sobie na maraton światła policyjne? Ej, ale wszyscy, dobra? Co prawda gdy było trzeba, naprawdę znał się na rzeczy. Nie potrafiła jednak zapomnieć, w jaki sposób pozbył się Ludviga Johnssona. W końcu to on tak naprawdę zbudował od podstaw cały zespół do spraw pedofilii, ale zarząd Rikspolis wybrał bardziej medialnego Ragnara Hellberga i szybko go awansował. A Hellberg miał parcie na szkło. Party-Ragge, który do dziennikarzy mówił po imieniu i strzelał dowcipami jak z rękawa.

Tak naprawdę niewiele o nim wiedziała. Ani czy ma rodzinę, ani gdzie mieszka, ani czy ma dom na wsi, w którym siedzi teraz, wciskając guziki wyłączanego telefonu. Czy to, że pozwoli

sobie zadzwonić do niego w wigilię nocy świętojańskiej, zatrzaśnie na zawsze przed nią wszystkie drzwi? Czy czekała ją surowa reprimenda z ust zajętych przeżuwaniem śledzia i toastami?

Albo - albo. Zielone albo czerwone. Przez chwilę jeszcze żółte. Zgodnie z normą europejską.

Wystukała numer. Hellberg odebrał praktycznie od razu, jakby czekał na jej telefon. Nie sprawiał wrażenia, że znajduje się w płynącym wódką raj. Ku swojemu zdziwieniu w jego głosie rozpoznała świąteczną depresję.

Czy możliwe, że Party-Ragge siedział tam równie samotny i opuszczony jak ona? Czy cały ten kawalerski image był tylko profesjonalną maską? Czuła się głęboko zdezorientowana, gdy powiedziała:

- Coś znalazłam.
- Pracujesz? - zdziwił się Hellberg, choć bez oczekiwanego jowialnego tonu, który by sugerował, że w tej chwili powinna raczej tarzać się w słomie.
- Tak.
- Ja też.
- Nad czym? - wybuchnęła bez zastanowienia. Ragnar Hellberg nie sprawiał wrażenia osoby, która by zabierała pracę do domu nawet w ciągu tygodnia.
- Cóż... - Miała wrażenie, że się zaśmiał. - Powiedzmy, papierkowa robota. Co takiego znalazłaś, Saro?
- Nową sieć.
- Co? Kod z Nassjó? Wydawał się nie do złamania.
- Tak, kod z Nassjó. Fuszer w Sztokholmie. Fatburstrappan osiemnaście. Ale jeszcze kilku innych. Zastanawiam się, czy powinniśmy zgarnąć go natychmiast, czy zaczekać na resztę i złapać ich za jednym zamachem.
- Są na liście numery międzynarodowe?
- W większości. Ale też Boden, Lund, Boras. Jak do tej pory. Sporo mi jeszcze zostało.
- Ile krajów?

- Na razie trzy. Stany, Niemcy, Francja. Zorganizowanie międzynarodowej akcji zajmie trochę czasu.
 - Racja - zamyślił się Hellberg. - Rozumiem, że chcesz z miejsca przystąpić do działania? Żeby nie padł cień na świętojańskie kwiecie?
 - Tak - przyznała Sara Svenhagen, nie do końca rozumiejąc ową metaforę z kwiatami.
 - No dobra - westchnął Hellberg. - Nie mamy jak przeprowadzić akcji w Boden, Lund czy Boras. Ale tu jest szansa, zgadzam się z tobą. Okej. Dwie sprawy. Po pierwsze musisz na niego jak najwięcej znaleźć. Pod żadnym pozorem nie może skontaktować się z resztą sieci i ich ostrzec. Żadnych rozmów, żadnego adwokata. Możesz rzucić na nowe przepisy. Ale - jak mówię - m u s i s z znaleźć coś w mieszkaniu.
 - Sugerujesz, żebym...
 - Nie, niczego nie sugeruję. Po prostu coś znajdź.
 - A po drugie?
 - To zostanie między nami.
 - Co? Dlaczego?
 - To jest polecenie. Dobra?
 - Nie rozumiem...
 - Dobra?
 - Dobra.
 - Dwóch funkcjonariuszy z komendy rejonowej do wyważenia drzwi. Nie mów im więcej niż trzeba. Załatwię pozwolenie. Jedź bezpośrednio na Sodra station i ich stamtąd zgarnij. Nie dzwoń wcześniej.
 - Nie bardzo rozumiem...
 - Rozumiesz tyle, ile masz rozumieć. Dobra?
 - Dobra - powiedziała zaskoczona i rozłączyła się.
- Wpatrywała się w słuchawkę.
To znaczy, że dostała zielone światło?

NIEKTÓRE ślady jednak zostawały. Zapomniana teczka z fakturami, blankiety i potwierdzenia zamówień. Na ścianach plakaty o charakterze eskapistycznym lub tylko same ich rogi z tkwiącymi w nich zszywaczami. Migawki z rajskich plaż, cudowny krajobraz nietkniętej szwedzkiej prowincji, idylliczne obrazki szkierów, ciągnące się kilometrami tureckie plaże z barami na wyciągnięcie ręki.

Dział administracji musiał szybko zwolnić pomieszczenia na potrzeby Drużyny A; jej członkowie siedzieli w swoich pokojach, nie do końca się w nich odnajdując. Paul Hjelm wyciągnął z tego odważny i dość tendencyjny wniosek: praca w administracji wymaga sporej dawki eskapizmu.

Podobnie zresztą praca policjanta, choć z całkiem innych powodów. Nie był do końca pewien, czy to, czemu oddawał się w czasie wolnym, mogło zostać zakwalifikowane jako eskapizm. Czytał, słuchał jazzu i „grał na pianinie”; zawsze dbał o to, aby przy tym ostatnim nie zabrakło cudzysłowu. Wyczekiwał chwili, gdy dom - a najlepiej cała dzielnica - opustoszeje i dopiero wtedy kładł ręce na klawiaturze. Dawał się ponieść, eksperymentował z odważnymi akordami, sprawdzał granice, naśladował, pozwalał sobie na proste przygrywki, czasem nawet łapał się na tym, że podśpiewuje, trochę jak Glenn Gould. Bo ś p i e w a ć mu się nie zdarzało. Paul Hjelm nie rozumiał dlaczego, ale do śpiewania jakoś nigdy nie potrafił się przekonać. Tu przebiegała granica.

Przy czytaniu nie było natomiast żadnego cudzysłowu. Potrafił przyznać się do tego bez zbędnych wykrętów. C z y t a ł .

I naprawdę nie próbował uciekać, gdy tylko robiło się trudniej, kończyć tam, gdzie instynktownie wyczuwał, że powinien skończyć, ale jedynie brnął dalej przez nieznaną terytoria. Możliwe, że był to rodzaj kryzysu wieku średniego. Nie miał, kurwa, zamiaru umrzeć, nie sprawdzisz jak największej liczby scenariuszy życiowych.

Ostatni był Rilke. Poezja wciąż sprawiała mu kłopot. Przedzierał się przez *Elegie duinejskie*, dziesięć wielkiej urody wierszy, bo czuł, że coś w nich jest, coś absolutnie podstawowego, kluczowego, kontakt z czymś, z czym sam nie miał odwagi się skontaktować - mimo to wciąż nie potrafił do tego dotrzeć.

Piękno bowiem jest jedynie przerażenia początkiem, który potrafimy jeszcze znieść, i podziwiamy je, bo gardzi laskawie naszym unicestwieniem.

Odłożył na bok *Elegie*, ale obiecał sobie, że jeszcze do nich wróci. Teraz wziął do ręki powieść Rilkego z okresu młodości. *Zapiski Malte-Lauridsa Brigge*. Był jak zaczarowany. Nie potrafił znaleźć lepszego słowa. Zaczarowany. Nie mógł się oderwać. Ten cudowny portret dzieciństwa towarzyszył mu w tymczasowym pokoju na komendzie rejonowej, gdy odbierał telefon ze słowami „pokój Gunnara Lóva”, po których zwykle następowała chwila krępującej ciszy, towarzyszył mu, gdy brodził w kałużach w City, próbując zrozumieć, czemu taki a taki nóż musiał trafić między takie a takie żebra. Dopiero w chwili gdy zaczęły wyłaniać się pierwsze kontury sprawy morderstwa w Młynie, uznał, że może odłożyć książkę na półkę. Miał poczucie, że dostrzegł coś dziwnego w drugim planie, czego inaczej nigdy by nie dostrzegł. Pozwalał sobie dziękować za to literaturze. Choć chyba trochę idealizował.

Stosunkom rodzinnym daleko było jednak do ideału. U Dannego skończył się okres buntu. Z kolei zaczęła szaleć Tova. Zupełnie jakby postradała zmysły. Nie miał nawet siły się nad tym zastanawiać. Cilla mocno to wszystko przeżywała, do tej pory miała bardzo dobry kontakt z córką. Teraz matka była najbardziej

żałosną i znienawidzoną istotą na ziemi, przez co Cilla po raz pierwszy poczuła swoje lata. Których bądź co bądź nie było aż tak wiele, ale których obecnie przybywało w zastraszającym tempie, średnio rok dziennie. W tej chwili miała ich dziewięćdziesiąt trzy, a to nie sprzyjało pożyciu małżeńskiemu.

Za głową Jorge Chaveza wisiało zdjęcie z Delf. Wyidealizowany grecki krajobraz. Widoczek przytwierdzony był do ściany połyskującymi na złoto zszywaczami. Głowa Chaveza znajdowała się w komputerze. Podłączona.

- Do twarzy ci - odezwał się Paul Hjelm.

- Co? - odpowiedział Chavez, nie przerywając stukania w klawiaturę.

- Do twarzy ci z Delfami.

Chavez przerwał i spojrział przez ramię. Skrzywił się lekko i zabrał z powrotem do stukania.

- Co u ciebie? - zapytał nagle Hjelm.

Chavez westchnął, odrywając wzrok od klawiatury.

- Będziemy pracować czy prowadzić towarzyską pogawędkę? - odezwał się brutalnie.

- Prowadzić towarzyską pogawędkę - odpowiedział Hjelm, jakby nie zrobiło to na nim wrażenia. - Przynajmniej przez kilka minut. Kawy?

- Jakoś nie mam ochoty na niedogotowaną królewską z pływającymi w niej kawałkami kamienia.

- Rasista - stwierdził Paul Hjelm i nalał dwa kubki ze starego ekspresu stojącego na ich wspólnym biurku. - Musisz poddać się integracji. Inaczej nigdy nie odnajdziesz się w szwedzkim społeczeństwie. I dalej nie będą cię wpuszczać do klubów.

- Na tym polega paradoks szwedzkiego systemu - powiedział Chavez, biorąc do ręki kubek. - Do klubów wpuszczani są tylko ci, którzy do nich nie chodzą.

Podnieśli kubki jak do toastu. Dawne czasy.

- Czy ja wiem, chyba w porządku - odpowiedział w końcu Chavez i skrzywił się; skrawki kamienia rzeczywiście zawi-

rowały mu w ustach. - Już nawet nie odróżniam tych wszystkich kursów.

- Kursy języka ojczystego? - nie odpuszczał Hjelm, rzucając mu czarujący uśmiech.
- Gdy już niedługo zostanę inspektorem - powiedział Chavez z tym samym czarującym uśmiechem - nie będzie w policji miejsca na podobne wzmianki. Pójdiesz pierwszy pod nóż.

Wreszcie byli u siebie. Nic się nie zmieniło.

- Żadnych kobiet? - zapytał Hjelm.
- Jak się nazywa ten, co nakręcił *Farmę aniołów*?
- Colin Nutley. Imigrant. Jesteście ze sobą?
- Colin Nutley. Gdy przyjechał do Szwecji, zaskoczyły go dwie rzeczy. Cudowne kobiety.
- A dalej?
- Ale mężczyźni... Tylko to, słowo w słowo: „Ale mężczyźni...”. Lepiej bym tego nie ujął.
- I to ma być odpowiedź na moje pytanie? - zapytał Hjelm ze spokojem.
- Nie inaczej. Owszem: kobiety. Wiele kobiet. Ale żadnej wyjątkowej.
- Nie czas już się ustatkować?
- Jak Viggo? - zaśmiał się Chavez. - Słyszałeś o dzieciaku? Nieźle, co?
- Się gra, się ma. Nawet jeśli od przypadku do przypadku.
- Zamieszkali ze sobą. Któregoś dnia stanęła w jego drzwiach i powiedziała: to twoja córka. I teraz ma kobietę i dziecko. Szczęśliwa, normalna rodzina.
- Ominęły go ciężowe huśtawki nastrojów - westchnął Hjelm. - Farciarz.
- Wiem, że to tylko utrwali twoje stereotypy, ale naprawdę mam powodzenie u kobiet. Tak to już jest. Choć wielkiej miłości jak nie było, tak nie ma. Więc zamiast w jakość idę w ilość. Czytałeś chyba Marksa?

- Gdzie tam - burknął Hjelm i pokazał palcem na komputer Chaveza. - Coś znalazłeś?
- Tylko myśli. A ty?
- Jeśli ten człowiek z Młyna, który był na podsłuchu w czasie rozmowy po angielsku z trzema zabitymi Jugosłowianami, jeśli rzeczywiście to oni, naprawdę jest policjantem, to jest i kluczem do całej sprawy. To on za wszystkim stoi. W grę wchodzi trzy rzeczy: łapówka, szantaż lub przekazanie pieniędzy. Pierwsza myśl jest taka, że to jednorazowa, prawdopodobnie całkiem spora zapłata. Nic regularnego. Niewykluczone też, że to dopiero pierwsza rata. Druga opcja jest możliwa, ale co takiego mógł mieć policjant na Rajko Nedicia, czego nie ma inny policjant? Trzecia opcja wydaje się najbardziej prawdopodobna. Możliwe, że kupują od niego informacje, ale jeszcze bardziej możliwe jest, że kupują od niego po prostu narkotyki. W takim razie powinniśmy znaleźć policjanta z dostępem do narkotyków. Przechwycony transport, który nie został zgłoszony? Wydaje mi się, że powinniśmy sprawdzić policję narkotykową.
- Czy w takim razie nie powinna się w dochodzenie włączyć Interna? - zapytał Chavez.
- Nie mamy żadnego dowodu na to, że on rzeczywiście jest policjantem. Człowiek, który w Młynie pokazał legitymację, nie musi być tym samym, który rozmawiał z jugołami. Chociaż nikogo innego, zdaje się, nie brakuje. Kerstin i ja skontaktujemy się z całą grupą z Młyna raz jeszcze, żeby wypytać o szczegóły dotyczące policjanta i bandy napastników.
- 2C, 2E, 2F.

Hjelm skrzywił się.

- Jeśli upierasz się przy tych oznaczeniach, to niech ci będzie. 2A: Eskil Carlstedt, nie żyje. 2B: Joakim Bergwall, nie żyje. 2D: Niklas Lindberg, żyje, choć co to za życie. Jeśli sprawdzimy grupę krwi 2C, może będziemy trochę mądrzejsi. Dobrze byłoby też sprawdzić jeszcze Kumlę, mógł tam należeć do ugrupowania neonazistowskiego. AB minus nie jest chyba aż tak powszechna.

Söderstedt i Norlander idą dalej tropem Kumli. Mają do przesłuchania resztę jugoli i neonazistów. Tylko pozazdrościć.

- Nie ma czego - powiedział Chavez, odrywając z obojętną miną złamany paznokieć. - Porozbijają sobie głowy o ściany celi.
 - Będą się nawzajem zeskrobywać ze ścian. No cóż. Wracając do Eskila Carlstedta... Sprawdziłem jego przeszłość i przetrząsnąłem mieszkanie. Wiedział, że zostanie przeszukane, toteż starannie je wysprzątał. Żadnych śladów. Sąsiedzi słyszeli warkot odkurzacza rankiem dwudziestego czwartego. Zanim przyszedł i dał się przesłuchać parze kowbojów. Twardy dysk na domowym komputerze wyczyszczony. Pracują nad nim teraz technicy, może uda się coś odzyskać. Kolejny kęs dla Svenhagena. A tak przy okazji, widziałeś jego córkę? Coś dla ciebie, Jorge. Gunnar z nią pracuje. Niesamowita kobieta. Może trochę za krótko obcięta.
 - Nie wierzę w chów wsobny - powiedział Chavez ponuro.
 - Tu nie chodzi o wiarę. Tu chodzi o uczucie, które wywraca świat do góry nogami.
 - Stul pysk i mów dalej.
 - Naraz się nie da. Musisz coś wybrać.
 - Mów dalej - powiedział Chavez jeszcze bardziej ponuro.
 - Przeszłość Carlstedta jest równie pusta jak jego twardy dysk. Kerstin rozmawiała z jego kolegami z pracy w Kindwalls w Hammarbyhamn, gdzie sprzedawał fordę. Handlarz używanymi samochodami. Sam też w tej chwili używany.
- Chavez zaśmiał się i spytał komicznym głosem:
- „Kupiłbyś używany samochód od tego człowieka?” Ja myślę głównie o Nediciu. Jak to, kurwa, możliwe, że podaje się za uczciwego biznesmena, skoro każdy policjant w tym kraju wie, że jest jednym z głównych bossów narkotykowych? Większość zeszła do podziemia, tylko on prowadzi zaskakująco staranną podwójną grę. Musi się to opierać na absolutnej lojalności. Coś jak mafia. Nikt nie sypnie Rajko Nedicia. Koniec kropka.
 - Co to za legalne interesy?

- No wiesz - powiedział Chavez z wyrzutem. - Branża restauracyjna, tak dla odmiany. Trzy knajpy. Wyszukane jedzenie, tak słyszałem. Jedna z nich o mało co dostała gwiazdkę w przewodniku Michelin. Próbowano już go zająć jak Ala Capone, od tyłu, i zatrzymać za przestępstwa podatkowe. Nic z tego. Interesy prowadzi bez zarzutu. Najbardziej wierny literze prawa w całej branży restauracyjnej, jak twierdzi policja gospodarcza.
- Może o to chodzi? - zapytał Hjelm i podrapał się po wyobrażonym załączku łysiny.
- Sugerujesz, że jakiś policjant znalazł wejście od kuchni i teraz próbuje dorobić do pensji? Tak. Jasne. Tyle że nie wydaje się, żeby było jakieś wejście od kuchni. Sam zresztą mówiłeś: o czym może wiedzieć jeden policjant, o czym nie wiedzieliby jego koledzy?
- Skąd wiemy, że chodzi tu o jednego policjanta?
- Bo większa liczba nie wydaje się prawdopodobna - powiedział Chavez.
- Tyle. To się nie klei. Chyba że mówimy o pornoglinach. Tu mógłbym się zgodzić. Ta krewetka śródziemnomorska dała mi do myślenia. To może być trop.
- Co z ramionami? - uśmiechnął się złośliwie Hjelm.
- Pęknięta śledziona, złamana lewa piszczel i ramiona wyrwane ze stawów. Jutro rano wylecę w powietrze. Dostąpisz zaszczytu zeskrobania mnie ze ścian komendy.
- Bardzo dziękuję. Ale czy naprawdę chodzi tu o jednego policjanta?
- A musi to być policjant? - Chavez wstał, przeciągnął się i podszedł do okna, które wychodziło na smutny dziedziniec komendy policji. - Chyba za bardzo się tego uczepiliśmy. To nie może nam przesłaniać obrazu.
- Nie - przytaknął Hjelm. - Masz rację. Coś jeszcze? Broń?
- Banda 1 miała rosyjskie pistolety IŻ-70-300. Chcesz posłuchać historyjki o tej broni?
- Nie.

- Po drugiej wojnie światowej - zaczął Chavez, jakby siedzieli przy ognisku - klasyczne pistolety Tokariewa, którymi dysponowała Armia Czerwona, należało zastąpić lepszymi. Inżynier o nazwisku Nikołaj Makarów zaprojektował pistolet, który w końcu doczekał się akceptacji Stalina. Produkcja mogła się zacząć dopiero po śmierci dyktatora. W roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym czwartym Izewskij Mechaniczeskij Zawód rozpoczął trwającą do dziś produkcję w opinii Rosjan wyjątkowo nowoczesnego pistoletu Makarowa. Po upadku muru otworzył się nagle złoty rynek dla tej państwowej fabryki, a rosyjskie pistolety stały się twardą walutą. Powstała wtedy nowa seria IŻ-70, oparta na modelu Makarowa. IŻ-70 i IŻ-70-100 działają na tradycyjną amunicję Makarowa, 9x18 mm, z magazynkiem odpowiednio na osiem lub dwanaście naboń, natomiast IŻ-70-200 i IŻ-70-300 zostały zaprojektowane pod używaną powszechnie amunicję Browninga, 9 x 17 mm, odpowiednio osiem i dwanaście naboń. Jest jeszcze świeżutki IŻ-70-400, zaprojektowany z myślą o amunicji Parabellum, popularnej na gigantycznym rynku amerykańskim.
- Porywająca historia - mruknął Hjelm. - Jakie to ma znaczenie?
- Ta broń była używana powszechnie w czasie wojen na Bałkanach. Ale jak już mówiłem, jest popularna...
- Pistolety automatyczne? Niech zgadnę.
- Nie.
- Magazyny wojskowe?
- Nie inaczej - powiedział Chavez, opadając na krzesło. - Pochodzą z wielkiego magazynu broni w Boden, gdzie w tym roku doszło do większego włamania. Zniknęły dwadzieścia trzy automaty, standardowy model, i kartony amunicji. Widok cieszy serce.
- Boden - kiwnął głową Hjelm. - Zakładam, że Niklas Lind-berg stacjonował tam w trakcie swojej kariery wojskowej.
- On i Bergwall. Bergwall odbywał tam służbę. Lindberg był kadetem. Jeśli to tak się nazywa.

- Skąd mam wiedzieć. Więcej, więcej, więcej.
- Cóż - westchnął ciężko Chavez. - Zajmę się organizacjami neonazistowskimi. Z pomocą Gunnara Nyberga, jeśli się da. Gdzieś ktoś słyszał o tej operacji i gdzieś ktoś wie, co stanie się teraz. Nie wydaje mi się, żeby to był koniec. Mają teczkę, mają pieniądze - albo narkotyki - ale mają zamiar coś z nimi zrobić, o to jestem się w stanie założyć. Będzie więc tak: ja i Gunnar na tropie neonazistów, Arto i Viggo - Kumla, ty i Kerstin - „poli-gant”. Nie ma po co iść do Nedicia. To strata czasu. Poza tym nie on stoi za rzeźnią w Siekli. To Niklas Lindberg i jego drużyna. Ich musimy dorwać.
- Świetnie - powiedział Hjelm. - Ustalone, inspektorze. Zapomniałeś o jednym. Pozostaje jeszcze emeryt o nazwisku Jan-Olov Hultin.
- Wiem, wiem. Dostanie jakieś zajęcie terapeutyczne. Może zajmie się wyplataniem koszyków.

JAN-OLOV Hultin nie zajął się wyplataniem koszyków. Pojechał prosto do Nedicia.

Bo co? - pomyślał, gdy parkował wypożyczone przed chwilą służbowe volvo na Granitvagen. Ostatnie kilka metrów opuszczał ulicę luksusowej części dzielnicy Danderyd pokonywał pieszo. Pogoda nie mogła się zdecydować. Ciężkie deszczowe chmury postanowiły zrobić sobie przerwę i rozeszły się, odkrywając najwyraźniej zaskoczony tym ruchem słońce, które wyglądało, jakby nie wiedziało, co ze sobą zrobić. Promienie padały od niechcenia na zatokę Edsviken, której nierównomierny poblask działał hipnotyzująco na byłego emeryta. Przez krótką chwilę miał wrażenie, że jest z powrotem po drugiej stronie Edsviken i że to błyszczy Ravalen. Kolejny raz nie udało mu się oddzielić dobrego ziela od chwastu, jak zawsze ominął kosiarką niewinną roślinę i ruszył dalej w górę zbocza. Luksusowy saab nie podjechał na żwirowy podjazd. Nie wyszedł z niego mężczyzna, który wyglądał na występnego handlarza nieruchomości. Życie płynęło dalej. Nieznająca końca syzyfowa praca.

Minęło.

Mało kto mógł powiedzieć o sobie: „były emeryt”. Pomyślał, że musi to być jeden z najrzadziej używanych tytułów w kraju. Zamierzał na niego zasłużyć.

Bo co? - pomyślał, choć może nie z taką beztrąską, jak by to się mogło wydawać. Drużyna A zostawiła kwestię Rajko Nedicia otwartą. Czy powinni kryć się przed nim z faktem, że wiedzą

o jego udziale w rzeźni w Siekli? Niby czemu miałyby to służyć? Czy naprawdę nie będzie lepiej, żeby miał świadomość, że mają go na oku, i nie przyłożył ręki do czegoś jeszcze gorszego? Czy nie lepiej pokazać, że wiedzą? Żeby sobie nie myślał, że wolno mu czynić, co tylko chce? Rajko Nedić nie robił nic bez gwarancji pełnego bezpieczeństwa - rzezie z mnóstwem pozostawionych śladów były nie w jego stylu. Już prędzej zdobyłby teczkę, uciekając się do gróźb i poszukiwań na własną rękę. Mimo to Hultin czuł - i znów była to raczej intuicja niż poparte argumentami stanowisko - że dobrze jest przycisnąć trochę Nedicia, nawiązać osobisty kontakt, zaznaczyć swoją obecność i własne, osobiste zaangażowanie w sprawę.

W końcu to on rozdawał karty.

Z tym oto niezbitym argumentem na ustach podszedł do masywnych żelaznych drzwi w długim ceglany murze. Były zamknięte. Jedna z kamer zrobiła zbliżenie jego twarzy i jeszcze *zanim zaczął szukać dzwonka*, usłyszał głos:

- Nazwisko i cel wizyty.

Jan-01ov Hultin odchrząknął i przemówił oficjalnym tonem:

- Inspektor kryminalny Jan-01ov Hultin z Rikskrim. Chciał bym rozmawiać z Rajko Nediciem.

Po chwili ciszy otworzyły się przed nim drzwi. Zobaczył ubranego w niebieski kombinezon i zabrudzoną czapkę mężczyznę, który zatrzymał się przy jednym z wyjątkowo pięknych krzewów, żeby dotknąć jego kwiatów. Dokoła były ich tysiące. Znalazł się w rajku. Hultin, który sam nie potrafił odróżnić dobrego zieleń od chwastu, poczuł nagle ukłucie zazdrości. Zrobił kilka kroków w stronę mężczyzny w kombinezonie:

- Szukam Rajko Nedicia.

- Wyjątkowo rzadka roślina - powiedział tamten, nie podnosząc wzroku, zajęty gładzeniem pięknych fioletowych kwiatów. -

W tym ogrodzie jest wszystko.

Potem zdjął rękawice i wyciągnął dłoń na przywitanie:

- Rajko Nedić.

- Jan-Olov Hultin. - Jan-Olov Hultin ścisnął zdziwiony dłoń mężczyzny. Naprawdę wyglądał jak ogrodnik, a nie jak boss narkotykowy. Tylko jak wygląda boss narkotykowy? Może jak lekko zarosnięty, ale wysportowany pięćdziesięcioletek bez jednego siwego włosa, w niebieskim kombinezonie i czapce z daszkiem.
- Myślę, że moje zamiłowanie do kwiatów bierze się z tego, że dorastałem w biedzie w wyjątkowo surowym kraju. - U Rajko Nedicia nie dało się wyczuć obcego akcentu. - Pochodzę z małej górskiej wioski we wschodniej Serbii, jak pan pewnie wie.
- Chciałbym mieć taką rękę do roślin - stwierdził Hultin, podziwiając feerię barw.
- Muszę wyjaśnić, że nie jest to tylko sprawa ręki- powiedział Nedić, wciąż zajęty gładzeniem płatków. - Niestety istotne są również pieniądze. Niektóre z tych roślin to rarytasy. Ale nie ta. Mój ulubiony kwiat. Znajdzie go pan prawie w każdym szwedzkim ogrodzie, ładnie kwitnie. Orlik pospolity. Mój Boże! Gdy zobaczyłem go po raz pierwszy, uznałem to za dowód na istnienie Boga. Niech pan spojrzy na ten kształt. Cztery fantastyczne płatki skupione wokół jednego wspólnego punktu. Jakby znalazły centrum wszechświata.

Hultin spojrzał uważnie na kwiat. Był rzeczywiście piękny.

- Arcydzielo - przyznał.
- Doprawdy. No, inspektorze, w czym mogę panu pomóc? Czy znowu mam się spodziewać jakiegoś bezpodstawnego oskarżenia? Tyle już razy tłumaczyłem, że jestem tylko zwykłym właścicielem restauracji.
- Nie przyszedłem tu po to, żeby pana oskarżać - powiedział Hultin, odrywając wzrok od orlika. - Raczej by wyrazić moje ubolewanie. Czterech wyjątkowo oddanych współpracowników.

Spojrzenie oczu Rajko Nedicia nie zmieniło się ani trochę. Nadal był tylko uprzejmym ogrodnikiem, który delectował się efektami pracy swoich ciepłych dłoni.

- Obawiam się, że nie rozumiem.
- Vukotić w Kumli i trzech zbrodniarzy wojennych na terenach przemysłowych Siekli. Wielka strata.
- Teraz to już naprawdę się pogubiłem, panie inspektorze. Naprawdę nie rozumiem, o czym pan mówi.
- Nie słyszał pan o wybuchu w Kumli i, o rzeźni w Siekli?
 - Niestety, nie mam czasu na medialne afery. Ciężko pracuję. Gdzieś spod kombinezonu doszedł ich dzwonek telefonu. Nedić wyjął go i odebrał.
 - Halo. *Ja, ja, guten Tag. Leider können wir uns jetzt nicht sprechen. Ich rufe zurück in etwa zehn Minuten. Ja. Tschuss.*
- *Zehn Minuten?* - zdziwił się Jan-Olov Hultin.
 - Szacunkowy czas - powiedział Rajko Nedić, wzruszając ramionami. - Może skończymy szybciej, jeśli przejdzie pan do rzeczy, inspektorze.
- Kontakty w Niemczech?
 - Dostawcy. Większość mojego czasu schodzi na negocjacje z dostawcami.
- Dostawcami?
 - Tak, w tym wypadku dostawcą win mozelskich. Bezpośredni import. Jak wiadomo, dziś już legalny.
 - W takim razie wykorzystam skrupulatnie przydzielony mi czas. Tym razem wiemy więcej niż zwykle, a sprawą nie zajmuje się zwykły wydział narkotykowy czy finansowy, tylko ja i moja drużyna, panie Nedić. To wyjątkowi ludzie. Specjaliści. Wiemy, że stracił pan zawartość teczki w Siekli i czterech ważnych współpracowników. Możliwe, że odczuł pan braki w szeregach, choć z drugiej strony zbrodniarzy wojennych z byłej Jugosławii może pan mieć na pęczki. Jeśli to pana zacieka, wiemy też, kto pana okradł. Mieliście zamiar przekazać tym ludziom pieniądze lub narkotyki, ale oni ich nie otrzymali i są teraz wściekli. No i jeszcze czynnik ryzyka. Wiemy, że zrobicie wszystko, żeby odzyskać tę teczkę, będziemy się więc włączyć za wami jak pies. Czy chce pan zgłosić szantaż?

Rajko Nedić spojrział na podstarzałego mężczyznę w sowich okularach tkwiących na olbrzymim nosie.

- Nie.

- Doskonale - powiedział Jan-Olov Hultin, obracając się na pięcie. - Proszę pamiętać, że to nie jest standardowa sytuacja.

Od tej chwili wszystko się bardziej skomplikuje.

Ruszył w stronę bramy. Przeszedł kilka metrów i obrócił się.

- Ostatnie pytanie - powiedział. - Co tak naprawdę różni dobre ziele od chwastu?

Rajko Nedić roześmiał się.

- To proste, inspektorze. Chwasty się wrywa.

Gdy Sara Svenhagen zadarła do góry głowę, zrozumiała, dlaczego w pierwszej chwili nie rozpoznała tego miejsca pod adresem Fatburstrappan 18.

Söder Tom.

W roku 1980 rozpisano konkurs na zagospodarowanie terenów wokół Sódra station. W praktyce oznaczało to powstanie zupełnie nowej części miasta. Deweloper zaproponował, by zbudować całą okolicę, dwadzieścia pięć hektarów, wysokościowcami na dwadzieścia i czterdzieści pięter „Manhattan na Söder”. Propozycja uzyskała poparcie na zadziwiająco wielu poziomach decyzyjnych, ale był to przecież początek lat osiemdziesiątych. Czas narastającego szaleństwa. Ostatecznie jednak nie przeszła. W roku 1984 pojawiła się alternatywna propozycja biura planowania miasta, w której ostał się j e d e n wysokościowiec. Kompromis mający na celu uzyskanie charakteru tradycyjnego kwartału miejskiego z j e d n ą wysoką wieżą - kampanilą albo wieżą kościelną - nieodbierają-cy zwolennikom opcji wysokościowej wszystkiego. Jeszcze w tym samym roku ogłoszono kolejny konkurs architektoniczny, który przewidywał wieżę na Medborgarplatsen. Spłynęło siedemdziesiąt prac, w których w większości proponowano olbrzymi pseudoamerykański drapacz chmur na mniej więcej pięćdziesiąt pięter. Jeden z członków jury był daleki od obiektywizmu. Radny Sunę Haglund, członek Umiarkowanej Partii Koalicyjnej. Argumentował żywo za możliwie wysokim i rozległym biurowcem, najchętniej z obrotową restauracją na ostat-

nim piętrze. Konkursu nie rozstrzygnięto, ale kilka wyróżnionych biur architektonicznych otrzymało możliwość wzięcia udziału w kolejnym konkursie na znacznie skromniejszy biurowiec niż ten zaproponowany przez Haglunda. Wygrał go duński architekt Henning Larsen projektem cylindrycznej wieży na czterdzieści trzy piętra. Potocznie nazywano ją „kijem Haglunda”. Był rok 1986. Po kilku latach odbijania piłeczki stwierdzono, że czterdzieści trzy piętra to stanowczo za dużo - wieża sterczałaby nad Södermalm jak jakiś dziwny fallus, z jednym jądrem w postaci leżącego niedaleko Globen. Nie, należało zejść do trzydziestu trzech pięter, co następnie zmniejszono do dwudziestu trzech, a na koniec, po wecie partii sztokholmskiej, do jedenastu. Z ręki ostał się kciuk. Nieszczerólnie imponujący biurowiec na jedenaście pięter uzyskał pozwolenie na budowę w roku 1990. Prace na terenach wokół Sódra station nabrały tempa. Hale targowe, łuk Bofilla, Fatburstrappan, Fatbursparken. Były to już jednak lata dziewięćdziesiąte, rozpoczął się kryzys na rynku mieszkaniowym, a budowy stanęły. Aż do roku dziewięćdziesiątego drugiego, kiedy to Wydział Budownictwa stwierdził, że nie potrzeba już nowych biur, lecz mieszkań. Z biurowca na jedenaście pięter Henning Larsen stworzył apartamentowiec na dwadzieścia trzy piętra, wysoki na sześćdziesiąt sześć metrów, w którym pomieściło się około stu mieszkań. Wiosną roku dziewięćdziesiątego piątego zatwierdzono nowy plan szczegółowy. Budowa mogła się rozpocząć.

W efekcie tych wszystkich utyskiwań, protestów i prób osiągnięcia kompromisu „pała Haglunda” dorobiła się nowej nazwy: „półzwód Haglunda”. Po ukończeniu budowy postanowiono oczyścić wieżę z kompromitujących Sunę Haglunda skojarzeń, nadając jej oficjalną nazwę Söder Torn. Nie do końca się przyjęła.

Apartamenty były horrendalnie drogie, ale nie brakowało na nie chętnych.

Mieszkał tu na przykład mężczyzna o nazwisku John Andreas Witreus. Był pedofilem.

Sara Svenhagen stała między dwoma umundurowanymi funkcjonariuszami i patrzyła w górę na dziwny olbrzymi pierścień, który unosił się niczym aureola nad Söder Torn. Przez chwilę pomyślała nawet, że pała Haglunda jest piękna. Możliwe, że nie była do końca obiektywna.

Pomyślała też, że połączenie fallusa, aureoli, półwzrodu i pedofila mówiło coś, czego w tej chwili nie potrafiła poskładać. *Co innego zaprzętało* jej głowę.

Rozejrzała się po Medborgarplatsen. Wydawał się dziwnie opustoszały. Najbardziej tłoczne zazwyczaj miejsce Sztokholmu wyglądało jak wymarłe. Było pochmurno i trochę smutno. Tak jak to potrafi być w mieście w noc świętojańską.

Dozorca wpuścił ich trójkę do Söder Torn. Elegancka klatka pachniała świeżością i perfumami. Podziękowali dozorczy i wsiadli do windy. Wyższy z funkcjonariuszy ostentacyjnie trzymał w ręku krótki łom z uchwytem. Sara pomyślała, że być może powinna obdarzyć go pełnym uznania spojrzeniem. Tylko po to, by upewnić się o jego dobrej woli.

Nie potrafiła.

Winda zawiozła ich szesnaście pięter w górę. Pomaszerowali eleganckim korytarzem zastawionym kwiatami i podeszli do drzwi z nazwiskiem „Witreus”. To naprawdę nazwisko? - pomyślała, pokazując bez słowa na drzwi. Dla pewności wyjęła pistolet. Funkcjonariusze chwycili za łom, wycelowali w miejsce pod klamką i spojrzeli na Sarę. Kiwnęła głową. Wyważyli drzwi i wpadli do środka.

Przy oknie w trzypokojowym mieszkaniu w kształcie kawałka tortu siedział siwy mężczyzna około sześćdziesiątki ubrany w lekki letni garnitur i liliowy krawat. Opuścił aparat z długim teleobiektywem i spojrzął prosto w lufę pistoletu Sary Svenhagen.

- O Boże - wyszeptał.

Jego spojrzenie mówiło wyraźnie, że wie, o co chodzi.

- John Andreas Witreus? - zapytała.
- Tak - wyszeptał mężczyzna.
- Odłóż aparat i podnieś ręce do góry.

John Andreas Witreus postąpił zgodnie z poleceniem.

- Połóż się na podłodze - mówiła dalej, kiwając w stronę funkcjonariuszy, którzy zabrali się do zakuwania go w kajdanki z nieskrywaną satysfakcją.

Ruszyła dalej przez mieszkanie. Było niesamowite. I posprzątane z pedantyczną precyzją. Pełne antyków i starych, eleganckich przedmiotów. Roztaczał się z niego cudowny widok na miasto, i to na kilka stron. W sypialni utrzymanej w stylu kolonialnym stał włączony komputer.

Na jego widok poczuła, jak ogarnia ją spokój. Miała go.

Wróciła do salonu. Jeden z policjantów usiadł z jakiegoś powodu na plecach Witreusa. Słysząc było trzaskanie stawów.

- Wystarczy - stwierdziła, biorąc do ręki aparat, canona war tego co najmniej dwadzieścia tysięcy koron.

Policjant zszedł z pleców Johna Andreeasa Witreusa.

- Dziękuję - powiedziała przymilnym tonem i odwróciła się w stronę leżącego ze słowami:

- Co takiego fotografujesz?

- Interesuję się fotografią - odparł Witreus, próbując usiąść na podłodze. Stawy znowu zatrzeszczały.

- Rozumiem - powiedziała Sara Svenhagen. Resztę zamierzała zachować aż do przesłuchania. Odwróciła się do funkcjonariuszy: - Zabierzcie go do pokoju przesłuchań. Dołączę do was.

Spakowali się i wyszli. Stała przy oknie i czekała, aż odjadą. Na prawo widać było hale targowe z kinem i fragment dziwnie zakrzywionego budynku nazywanego łukiem Bofillsa. Naprzeciwko leżał rozległy Medborgarplatsen z opustoszałymi ogródkami i Medborgarhuset z basenem i biblioteką. Na lewo Gót-gatan i prawa część Bjórns tradgard.

Zwróciła się w stronę luksusowego mieszkania. Próbowała zrozumieć, jak to niewątpliwe wycucie smaku ma się do pedofilii.

Z drugiej strony oficerom w Auschwitz też niczego nie brakowało.

Od razu znalazła całą serię filmów z pornografią dziecięcą w szafce na kasety wideo. Przynajmniej ten dylemat miała z głowy. Były wszelkie podstawy do zatrzymania. Przeszukała dalej mieszkanie. W sypialni znalazła kolejne trzy albumy ze zdjęciami. Mniejsza z dwóch toalet służyła za ciemnię. Zapaliła czerwoną lampkę i weszła w dziwny świat obrazów. Wokół leżały poukładane w stosy fotografie. Jakies pięć, sześć tysięcy. Na wszystkich był w zasadzie ten sam motyw.

Spodziewała się, że zobaczy coś naprawdę przerażającego, co już na zawsze ją zmieni. Pięć, sześć tysięcy fotografii dokumentujących przestępstwa seksualne wobec dzieci. Soder Torn jak wieża Babel, z powodu której Bóg odwrócił się od ludzi. Najgorsze gniazdo pedofilskie w kraju. John Andreas Witreus w roli doktora Mengele.

Tak się jednak nie stało. Na zdjęciach robionych z okna mieszkania rzeczywiście były dzieci. Lato, wiosna, zima, jesień. Dzieci jeżdżące na łyżwach na sztucznym lodowisku na Medborgarplatsen. Dzieci biegnące w deszczu z kina. Dzieci kręcące hula-hoop w letnim słońcu. Dzieci jeżdżące na deskorolkach między brudnymi zaspami śniegu. Dzieci z żółto-czerwonymi flagami w drodze z McDonalda na skrzyżowaniu Gótgatan i Folkungagatan. Dzieci, dzieci, dzieci. Większość fotografii była naprawdę dobra. Bardzo piękne zdjęcia dzieci. Biło z nich uczucie do dziecka jako odrębnej istoty. Mającej swoje prawa. Była głęboko zdziwiona. Czarno-białe zdjęcia z widoczną datą. Jakby długa dokumentacja miejsca widzianego oczami dziecka. Przypomnił jej się film *Smoke*, w którym Paul Auster pozwolił Harveyowi Keitelowi dokumentować swój mały fragment świata. Nic poza tym.

John Andreas Witreus dokumentował swój chory fragment świata. Oczami dziecka.

Spojrzała na zdjęcia zawieszane na sznurze do bielizny. Ostatnie zostało zrobione siódmego czerwca. W słoiku na sedesie

leżało około dwudziestu niewywołanych rolek. Wzięła go, a z nim kilka szybko wybranych fotografii. Wyszła do kuchni i wróciła z reklamówką, do której wszystko włożyła. Przeszła do sypialni, dorzuciła album, potem do salonu i dołożyła aparat oraz kilka filmów z pornografią dziecięcą.

Zajrzała do włączonego komputera i sprawdziła, czy był chroniony hasłem. Był. Anulowała żądanie wprowadzenia hasła, wyłączyła komputer i spakowała go. Wszystkie dyskietki powędrowały do reklamówki.

Zamknęła za sobą wyważone drzwi, przykleiła kartkę z informacją, że jest to miejsce popełnienia przestępstwa, i zaczęła na jednego z powracających funkcjonariuszy.

- Wezwaliście ślusarza? - zapytała.

Skinął głową.

Skinęła głową.

- Weź komputer - powiedziała na odchodnym.

Przemaszerowała przez Fatbursparken i minęła łuk Bofilla, spoglądając na wielki zegar nad Sódra station. Doszła na komendę przy Fatbursgatan 1. Nie zatrzymała się przy recepcji, podążając za palcem wskazującym funkcjonariusza do pokoju przesłuchań. Siedział w nim już John Andreas Witreus. Wyglądał jak dyrektor banku na wakacjach. Bez mrugnięcia okiem wysypała zawartość torby na biurko. Sterta zdjęć, słoik z rolkami filmów, albumy i kasety wideo z pornografią dziecięcą, aparat fotograficzny. Spojrzała na niego.

Poruszył się na krześle. Został przyłapany na brzydkim uczynku.

Jak dziecko.

- Proszę o wybaczenie - powiedział grzecznie.

- Nie sądzę, byś był p r a k t y k u j ą c y m pedofilem - powiedziała Sara Svenhagen. - Zdajesz sobie jednak sprawę, że prawo dotyczące posiadania pornografii dziecięcej uległo ostatnio znacznemu zaostrzeniu.

- Wiem - szepnął i wbił wzrok w biurko. - To przez Internet?

- Jeszcze do tego wrócimy. Byłeś właścicielem wyjątkowo dobrze prosperującej firmy w Varbergu, która produkowała jakiś rodzaj filtra dla Volvo, prawda? Założyłeś firmę gdzieś w latach sześćdziesiątych, a po podpisaniu kontraktu z Volvo jej akcje znacznie podskoczyły. Pięć lat temu sprzedałeś ją za kilka grubych milionów. Teraz po zerwaniu kontraktu z Volvo firma zbankrutowała. Niezła robota.
- Czy chodzi o moje interesy? - John Andreas Witreus wydawał się szczerze zdziwiony.
- Nie - odpowiedziała Sara Svenhagen. - Robię tylko podsumowanie. Sprzedałeś firmę i stałeś się niezależny finansowo. Wydałeś kilka milionów na mieszkanie w Söder Torn, gustownie je umeblowałeś, a teraz poświęcasz cały swój czas na robienie zdjęć dzieciom z szesnastego piętra. Dlaczego?

Milczał, wpatrując się w swoje pobielale kłykcie. W końcu podniósł wzrok i odezwał się:

- Lubię dzieci.

Popchnęła w jego stronę jeden z filmów. Otworzyła album i przysunęła jedną ze stron na odległość kilku centymetrów od twarzy Witreusa.

- Nie, kurwa - powiedziała. - Ty nie lubisz dzieci. Ty p o - ż ą d a s z dzieci. To zajebista różnica. Więc dlaczego robisz te zdjęcia?

Wpatrywał się w swoje kłykcie. Po półminucie odsunęła album i napotkała jego nagie spojrzenie. Nagie p y t a j ą c e spojrzenie. Wyglądało, jakby szukał odpowiedzi właśnie na to pytanie.

- Sądzę - zaczęła Sara Svenhagen - że nienawidzisz swojej seksualności, że najchętniej dałbyś się wykastrować. Wydaje ci się, że lubisz dzieci, ale tu chodzi raczej o to, że chciałybyś być dzieckiem. Chcesz być dzieckiem. Siedzisz tam na górze w półwzwodzie Haglunda i wmawiasz sobie, że przyjmujesz perspektywę dziecka, ale tak naprawdę dzieli was olbrzymi dystans szesnastu pięter. Jakbyś chciał podkreślić odległość. Nie-

osiągalność. To z definicji niemożliwe zadanie. Siedzisz tam w bezpiecznej odległości i maniakalnie strzelasz foty. Pięć, sześć tysięcy od czasu, kiedy wprowadziłeś się jakiś rok temu. Szukasz idealnego obrazu dzieciństwa, ale sam to uniemożliwiasz. Z pełną świadomością ustawiasz się w takiej odległości, z jakiej nie da się zrobić perfekcyjnego zdjęcia. Takiego, które na powrót uczyniłoby cię dzieckiem. W całym tym zadaniu chodzi o twoją przemożną, acz niemożliwą do zaspokojenia potrzebę bycia dzieckiem. A gdy odzywa się żądza, karcisz sam siebie, ponizając to, co najbardziej święte: dziecko w tobie. Jak wszyscy pedofile, masz w dupie istniejące fizycznie dziecko, prawdziwe dziecko. Cały czas chodzi tylko o ciebie. Kiedy walisz konia do zdjęć skrzywdzonych dzieci, krzywdzisz dziecko w sobie. To, które szydzi z ciebie, nie wychodząc nigdy na światło dzienne. To, które siedzi tam i łapie cię za jaja, i rozsadza cię od środka.

John Andreas Witreus nie odrywał wzroku od Sary Svenha-gen. Spociła się po tej tyradzie.

- Tak - szepnął. - To może być prawda.
- Pieprzę cię - powiedziała ostro. - Chcę wiedzieć, jak stałeś się częścią pedofilskiej sieci w Internecie.

Witreus mrugnął. Nie potrafił wyjść poza własne ja. Utknął w sobie. Był murem, który zamykał i odgradzał, aż nie było nic, co by można było odgrodzić. Wszystko było murem.

- Tak naprawdę nie wiem - odezwał się w końcu. - Wszedłem na jakąś stronę i obejrzałem kilka fotografii. Potem moją skrzynkę mailową zalały kolejne zdjęcia. Nie wiem jakim cudem. Musieli w jakiś sposób przechwycić mój adres.
- Nie kłam.
- Nie kłamię. Ja nigdy nie kłamię. Ale trzymam się z boku. Od pięćdziesięciu lat ukrywam swoją tajemnicę. Nigdy w życiu nie zaspokoilem swoich potrzeb, to nie istnieje, to jest tylko w wirtua-lu, i nigdy też nie spotkałem nikogo... mojego pokroju. To ostatnie, czego bym chciał. Gardzę nimi. Świnie. Dupki. Jeżdżą do Tajlandii, żeby kupować dzieci. Nigdy. Nie chcę tego. Nie tego

chę. Przysięgam, że nie mam pojęcia, w jaki sposób trafiłem do tego rejestru. Moja skrzynka mailowa pęka w szwach od zdjęć, które napłynęły w niezrozumiały dla mnie sposób.

Sara Svenhagen zamyśliła się. Jeśli to prawda, mieli do czynienia z nową techniką. Otwierała niezwykle możliwości. Czy można przechwycić adres mailowy osób wchodzących na stronę? Niby jak?

Przyglądała się uważnie Johnowi Andreasowi Witreusowi. Widać było, że jest wstrząśnięty. Myślał o jednej jedynej rzeczy. Jedynej, o której myślał przez całe swoje długie życie. O sobie samym.

Mówił prawdę.

Co do tego nie miała wątpliwości.

Ale nie żałowała go. To byłoby za wiele.

Tak przynajmniej sobie powtarzała.

- KURWA, miałem go!

Twarz Kuli ściągnęła się, jakby został obłany kwasem siarkowym. Poprawił słuchawki, regulując ustawienia odbiornika, który miał przed sobą. Diody wciąż nie świeciły.

Do tej pory złapał sygnał trzykrotnie.

I go zgubił.

Za pierwszym razem wybiegli z piwnicy prosto do furgonetki w kolorze zielony metalic. Na czele Kula z odbiornikiem w dłoni, kręcący anteną piruety w powietrzu, ze wzrokiem wbitym w aparat i ze zsuniętymi na tył głowy słuchawkami. Dalej Rogge, taszczący Dannego Kaszanę. Na końcu koronowany we własnej osobie, wciąż niezadowolony.

- Jeszcze jest! - krzyknął Kula, siadając na fotelu pasażera.

Rogge wrzucił Dannego przez bagażnik, a sam wskoczył za kierownicę. Ruszyli z piskiem opon.

- Spróbuj E4 na południe - ciągnął Kula. - To powinno być tam.

Potem sygnał zniknął. Dźwięk ucichł w słuchawkach, zgasły diody.

- Do diabła - powiedział Kula. - Nie zjeżdżaj z E4. Musimy go znowu złapać. Tu mamy największą szansę.

Tylko nieznacznie przekraczali granicę dozwolonej prędkości. Maksymalnie sto osiemnaście kilometrów. Zostać zatrzymanym za zbyt szybką jazdę byłoby wyrokiem śmierci. Nie dało się wykluczyć, że gliny zwiększyły liczbę patroli na czas świąt. Z drugiej strony nie było to zbyt prawdopodobne.

W Södertalje zwątpili po raz pierwszy. Żadnego sygnału, a byli coraz bliżej skrzyżowania dróg europejskich. E20 na zachód czy E4 na południe? Kula rozłożył ręce.

- Goteborg czy Malmö? - zapytał. - W prawo czy prosto?

Możliwe odpowiedzi krążyły po głowie koronowanego, gdy zbliżali się do przekłętego skrzyżowania. Gdyby złodzieje mieli kasę, na pewno wybraliby E4. Byliby w drodze do Europy. Najpierw musieli jednak sprawdzić klucze. I trudno byłoby znaleźć powód, dla którego mieliby wybrać Malmö zamiast Góteborga. Goteborg jest większy. Może jednak zorientowali się, że klucz jest zagraniczny - wówczas wybór Kopenhagi byłby bardziej zasadny. Jakie miasto było najbliżej na drodze wprost? Nyköping, Norrköping, Linköping? A na prawo? Strangnas, Mariefred, Eskilstuna, Örebro. Nie, kurwa, tylko nie Kumla. To zadecydowało.

- E4 - powiedział. Rogge zdążył w ostatniej chwili skrócić w lewo. Jechali dalej na południe.

Drugi sygnał złapali tuż za Norrköping. Dopiero co minęli drugie skrzyżowanie dróg europejskich i wykreślili E22 na Vas-tervik i Kalmar. Krótki sygnał, którego kierunku nie sposób było określić. Byli w każdym razie na dobrym tropie. Kula darł się na całe gardło.

- Ja pierdolę, może dodam gazu? - zapytał Rogge.

- Nie - powiedział koronowany.

Na Vatternvagen nie działo się nic. Minęli Grannę i Visingsó. Już prawie mieli się poddać. Ani jednego piknięcia. Czy to znaczyło, że zgubili sygnał? Czy składak Kuli w ogóle działał? Wiedzieli, że wszystko rozstrzygnie się w Jónköping. *Węzeł* z drogami prowadzącymi w różnych kierunkach. 33 w stronę Nassjón, Vimmerby, Vastervik, 30 w kierunku Vaxjo, Kalmaru i całego Blekinge. E4 dalej w kierunku Varnamo, Ljungby i Skanii, 40 do Boras i Góteborga. Czyli jednak Goteborg?

- Nic? - zapytał mężczyzna w koronie.

Kula potrząsnął głową. Huskvarna. Ostatnia możliwość zjazdu na Jónköping.

- Niedługo będziemy musieli zatankować, Nicke - odezwał się Rogge. - Jedziemy na rezerwie.
- Kula, ty kulasie, nie możesz podkręcić tej swojej aparatury? - jęknął David z tylnego siedzenia. - Zrobić na maksa?
- Gównu wiesz, ty postrzelony durniu! - krzyknął Kula.
- Zamknij się - powiedział ze spokojem mężczyzna w koronie.

Zamknęli się wszyscy.

Nie Góteborg. Odrzucił go. Trzymał się swoich wyborów. Nie Vastervik. To też odrzucił. Vaxjó? Tam były Karlshamn, Ronneby, Kariskrona, Kristianstad. Chociaż wtedy to by oznaczało E22?

- Jedziemy dalej - powiedział.

Zostali na E4. Do Skillingaryd dojechali na oparach. Zatrzymali się niedaleko stacji.

- Stań tutaj - wskazał na miejsce, z którego byli niewidoczni dla obsługi stacji.
- Potrzebujemy paliwa - powiedział Rogge.
- Potrzebujemy kasy - odparł, naciągnął złotą kominiarkę, odbezpieczył pistolet i wyskoczył z auta.
- Idziesz sam? - rzucił Kula przez okno. - Jesteś pewien, że to dobry pomysł?
- Nie dobry, tylko n a j l e p s z y . Zaczekajcie tutaj.

Zaczekali. Wrócił po pięciu minutach. Z plastikową reklamówką w ręce.

- Teraz możesz zatankować - powiedział, ściągając kominiarkę. - Nie musisz płacić.

Zatankowali. Gdy znaleźli się z powrotem na E4, Kula nagle krzyknął:

- Mam go! Kurwa, jest! Musieli się zatrzymać. Mam kierunek. Jadą na południe E4. Nie tak daleko przed nami.
- Gaz? - zapytał Rogge.
- Zachowaj dozwoloną prędkość - powiedział Niklas Lindberg ze spokojem, chowając złotą kominiarkę do kieszeni siedzenia. Twarz Kuli ściągnęła się, jakby został obłany kwasem siarkowym.
- Kurwa, miałem go! - krzyknął.

ZBYT późno zrozumieli, jak nieprzemyślana była ich decyzja. Dwa samochody jadące w różnych kierunkach przez Szwecję. Stary, rozklekotany datsun, lśniący biały ford focus, zeszlóroczny nagradzany model. Dopiero gdy dzieliło ich już sześćset kilometrów, dotarło do nich, że trwa świąteczny weekend. W całej Szwecji nie było ani jednego otwartego banku. Zostali sami ze swoimi upiorami. Z którymi nigdy więcej nie mieli zostać sami.

Świąteczny weekend, którego nie zapomną nigdy. I który nigdy więcej się nie powtórzy.

Leżał w smutnym łóżku hotelowym za Orsą, nasłuchując dochodzących go odgłosów zabawy na plaży Orsasjön. Jego bębni wysyłały silnie zniekształcone impulsy do mózgu. Były jak rzucane w jego stronę szyderstwa. Dławiący, rozdierający dźwięk. Skrzypkowie z Orsy walili smyczkami o napięte struny jego nerwów. Nie pomagało nawet zakrywanie się poduszką. Dźwięk zniekształcał się w środku, rozumiał to aż za dobrze. Odszczerpienie przysłuchujący się odgłosom zabawy. Zastanawiał się, jak długo chłopiec będzie musiał jeszcze stać przywiązany do drzewa, w czasie gdy inni będą się bawić na plaży. Noc świętojańska. Był w drodze. Po raz pierwszy został zaproszony. Naprawdę zaproszony. Drżał ze szczęścia, idąc przez las otaczający Edsviken. To miał być punkt zwrotny. Wybrał drogę, przy której stał szałas. Zatrzymał się i stał jeszcze przez chwilę przy patchworku z desek, który chronił go przed światem, gdy ten walił mu się na głowę. A kiedy się nie walił? To pod nim siadał, dłubiąc zawzięcie łódki z kory, tak że na nic więcej nie starczało już uwagi. Zapelniał

szalas coraz bardziej skomplikowanymi modelami, ażwkonui nawet jemu zrobiło się ciasno. Był jak Emil w stolarni. Choć brakowało w tym humoru i ciepła. Był w drodze na zabawę świętojańską ze swoją klasą. Został zaproszony i w końcu, nareszcie, przyjęty. Stojąc przed szalasem, myślał o tym, że zawdzięcza mu życie. Potem go zburzył. Łatwo poszło. Kilka szarpnięć i rozpadł się jak domek z kart. Wypłynął z niego szeroki strumień łódek z kory. Zamknięcie pewnego etapu życia. I powitanie kolejnego. Lepszego. Bo gorzej już być nie mogło. Ruszył dalej przez las. Dojrzał świętujących na plaży, pili. Przez chwilę stał nieruchomo na skraju lasu. Potem wziął kilka głębokich wdechów, poprawił nowy odświętny strój i skierował się w ich stronę. Wyszli mu na powitanie, śmiejąc się i wołając. Coś podskoczyło w nim z radości. Chwycili go za ramiona, wykręcili je do tyłu, przywiązali go do drzewa i lali w niego wódkę, aż zaczął wymiotować. Stał jak ubrane do połowy drzewko majowe, w swoim odświętnym stroju zalany rzygowinami, który w końcu zaszedł zielenią. Drzewko zostało udekorowane.

Obrócił się w łóżku i sięgnął po „Expressen” leżący na nocnym stoliku. Wrócił do artykułu, który przykuł jego uwagę, zakreślił kilka zdań. „Siostry, które rozplynęły się we mgle”, brzmiał nagłówek. Wziął do ręki telefon.

Leżała w smutnym łóżku hotelowym w Falkenbergu i nie dochodził do niej żaden dźwięk. Niewielka plaża na zachodnim wybrzeżu sprawiała wrażenie całkowicie opustoszałej. Ani jednego dźwięku. Leżała, wpatrując się w sufit, potem przeniosła wzrok na rzuconą na podłogę otwartą teczkę. Gdyby tak mogła się skontaktować. Nie było jak. Tylko ona i łóżko. Przez kilka lat nie potrafiła tak zasnąć. Łóżka śmiertelnie ją przerażały. Niemal dosłownie. Wciąż słyszała. Coś w niej wciąż słyszało kroki na schodach. Choć już słabiej, jakby słuch był ostatnim, co ją opuściło. Nie słyszała, jak uchylają się drzwi w ten charakterystyczny sposób, który miał być całkowicie bezdźwięczny, ale tak nie było - przeciwnie, dźwięk odbijał się w niej echem i wiedziała, że

będzie się w niej odbijał do końca życia. To dlatego miało być takie krótkie. Krótkie życie. To dlatego rozkoszowała się tym, że nie słyszy, jak otwierają się drzwi. Nie czuje, jak prześcieradło zsuwa się na bok, omija ją pierwszy stłumiony krzyk, jakby cichy krzyk szaleńca, jak i drugi, bardziej radosny, mniej powściągany, ale też pełen wyrzutów sumienia. Nie słyszała nic aż do chwili, gdy zobaczyła swoje ciało w kapsule z zakrzepłej krwi. Zobaczyła bandażę wokół przegubów dłoni, torebkę z krwią zwisającą ze statywu - i zrozumiała, że się nie udało. To dlatego się rozpląkała. Jej bliscy uznali to za łązy szczęścia, widziała to po nich. A były to łązy smutku. Smutku, że żyje.

Wstał i podszedł do okna. Grajkowie przerwali na chwilę swoje pijackie rzępolenie. Możliwe, że ktoś zapłacił za ciszę porządnym sznappsem. Spojrzał na plażę. Gdyby miał ją przy sobie, mógłby uznać, że widok jest przepiękny. Teraz było mu to obojętne. Wszystko od bardzo dawna było mu obojętne. Kiedy to się stało? Czy ona stanowiła jedyną zmianę, czy też w drodze do stacji końcowej były inne, pośrednie? Zapomniał o nich po ukończeniu podstawówki. Nigdy więcej szkoły. Dalej dłuwał przy sprzętach z tym samym zacięciem co kiedyś przy łódkach z kory. Odczuwał dumę z tego, że może złożyć wszystko, naprawdę wszystko, że może to zepsuć, a potem na nowo poskładać. Strugał dalej, ale już nie łódki z kory, lecz bardziej abstrakcyjne rzeźby z drewna. Nie wiedział nawet, że to rzeźby, dopiero ktoś mu o tym powiedział. Układało się to wszystko nawet w jakieś życie, pod warunkiem że trzymał innych na dystans. Wszystkich. A potem przyszło to dziwne zaproszenie. Spotkanie klasowe. Dawni koledzy. Jakby już wcześniej nie zaprosili go o jeden raz za dużo. Był pewien, że się pomylili, że znalazł się na liście przez przypadek, że ktoś zapomniał go wykreślić. A jednak czuł, że powinien tam pójść. Dobiegał dwudziestki. Minęło już dostatecznie wiele lat, nie utonął. Przeżył, i już samo to było aktem oskarżenia. Nie udało się wam mnie zabić. Żadnej nienawiści, tylko czysta obecność. Był pewien, że nawet jeśli go nie przywiążą, nie pobiją i na niego nie

nasikają, to wykluczą go ze swojego grona i będą się z niego naśmiewać. Mylił się. Stawili się wszyscy. Wszyscy jego oprawcy. Ale zachowywali się tak, jakby w ogóle nie pamiętali, że go dręczyli. Byli dla niego mili, a wracając do czegoś pamięcią, śmiali się. Wspólnie. Jak bawiące się dzieci. Zrozumiał, że dręczyli go mimochodem, przy okazji, bez towarzyszącej temu głębszej refleksji. Czego się nie robi dla zabawy. Jakby nie zdawali sobie sprawy, co takiego mu zrobili. Bał się spotkać dziewczynę. Z chłopakami jakoś sobie jeszcze poradzi, ale spotkanie tej, która nasikała na niego pierwsza, będzie ponad jego siły, był o tym przekonany. I tu się mylił. Wyrosła na cudowną młodą kobietę. W jej spojrzeniu zobaczył wstyd, czuła się winna. Jako jedyna poruszyła zakazany temat z przeszłości.

- Kurwa, co my ci zrobiliśmy - powiedziała, gdy go zobaczyła. Potrafił nawet spojrzeć jej w oczy. Zobaczył w nich coś z n a c z nie gorszego. Nigdy wcześniej niczego takiego nie widział. Obserwował ją przez cały wieczór. W jej ciemnych oczach kryło się coś okropnego, coś, co przekraczało granice ludzkiego zrozumienia. Poczł, że chce o niej wiedzieć wszystko. Bez wyjątku.

Wstała i podeszła do okna. Falkenberg powoli zapełniał się ludźmi. Nie był już opustoszały. Gdyby był przy niej, mogliby wyjść do miasta. A tak było jej to obojętne. Co tak długo powstrzymywało ją przed zrobieniem kroku? Po raz pierwszy z przeszłości wydobył się promień światła. Był ktoś, do kogo mogła pójść, komu mogła opowiedzieć, kto słuchał. Wujek Jubbe. Pamiętała, jak twarz mu pociemniała w ten szczególny sposób, jak głaskał ją nieporadnie po głowie, a ona siedziała, zanosząc się głuchym płaczem, i czuła, jak jego łyzy kapią na jej włosy i powoli spływają ku cebulkom. Potem nawet on nie wystarczał. Podcięła sobie żyły, nie w poprzek, ale wzdłuż, i nie było to ostrzeżenie, lecz ostateczne rozwiązanie. Które jednak okazało się tymczasowe. Zaproszenie na spotkanie klasowe dostała jeszcze w szpitalu. Jakby ktoś z niej zakpił. Jakby ktoś zerwał z niej maskę, odsłaniając skorodowaną czaszkę. Najtwardsza dziewczyna w klasie. Przegubi się zagoiły,

ale nie chciała wyjść ze szpitala. Codziennie prosiła lekarzkę, żeby wymyślała nowy powód, dla którego powinna jeszcze zostać, a ona robiła to, z coraz bardziej zatroskaną miną. Ale dłużej się nie dało. Poszła na spotkanie. W klubie golfowym zobaczyła go już z daleka, siedział przy barze. Ten, którego najmniej ze wszystkich chciała spotkać, na którego wylała swoją pogardę do siebie. Zmienił się. Był jak nowo narodzony i tak bardzo, tak cudownie inny od pozostałych. Wszyscy inni byli do siebie podobni. W tej samej chwili, gdy wymówiła pierwsze słowa, zrozumiała, że należą do siebie.

- Kurwa, co my ci zrobiliśmy.

Reszta to już, jak to się mówi, historia.

UMÓWILI się w cukierni Sundberg przy Jarntorget. Była otwarta mimo święta. To dzięki Niemcom, pomyślała. Nie tym, którzy pięćset lat temu budowali domy wokół Jarntorget, ale Niemcom, którzy tego dnia spacerowali Vasterlangatan, zachodząc w głowę, dlaczego wszystko jest zamknięte. Nawet restauracje.

Ale nie cukiernia Sundberg, najstarsza kawiarnia w Szwecji. Dlatego wypełnili ją po brzegi, szukając schronienia przed deszczem. Dzień był dosyć ponury. Piękne lato, które trwało praktycznie przez cały czerwiec, najwyraźniej już się skończyło. Strugi deszczu zalewały Stare Miasto, zmywając Niemców z jego wąskich uliczek. Szczęśliwcy osiadali na mieliznach cukierni Sundberg.

Siedział wciśnięty w kąt lokalu. Jak Stalingrad, pomyślała.

Otoczony przez Niemców.

Zamachał do niej. W normalnych okolicznościach inspektor Ragnar Hellberg, nazywany Party-Ragge, podniósłby się gwałtownie, uśmiechnął szeroko, zamachał szybko i głośno zaśmiał. Tym razem jednak było inaczej. Tylko powściągliwy gest ręki.

Miał na sobie sprany zielony T-shirt, dzinsy i zniszczone sandały; to nie był jego styl. Ciemne półdługie włosy nad małą leninowską bródką - jeszcze nigdy nie widziała ich tak rozczochranych. Pod oczami rysowały się cienie. Co takiego robił w świąteczny weekend? Pracował? „Powiedzmy, papierkowa robota”.

Sara Svenhagen pomyślała, że wydaje się młodszy, gdy jest poważny. Nieco ponad trzydziestkę. Zwykle było na odwrót.

Mężczyźni wyglądali młodziej, gdy się śmiali. Choć z drugiej strony śmiali się tylko, gdy byli młodzi. Naprawdę się śmiali.

Mały paradoks w świąteczny deszczowy dzień.

Zajął stolik w głębi tuż obok drzwi, które, jak po chwili zrozumiała, prowadziły do toalety. Często się otwierały. Strząsnęła z siebie krople deszczu i usiadła obok niego z filiżanką kawy. Bez wiedeńskiej bułeczki. To nie był odpowiedni moment.

- Cześć - przywitał się inspektor kryminalny Ragnar Hell-berg. - Wszystko w porządku?
- Dosyć. Każda rozmowa z nimi mnie rozbija. Jakby żyli na innej planecie. W równoległej rzeczywistości.
- Jaki on jest? Ten, jak mu tam, Wirsen?
- Witreus - poprawiła go. - John Andreas Witreus. Wydaje się, no cóż, nieobecny. Jest, a jakby go nie było. Jakby znajdował się w równoległej czasoprzestrzeni. Rozmawiasz z nim, ale do niego nie docierasz. Nie naprawdę. Robiłam za jego terapeutkę. Poważnie zraniony, ale raczej niegroźny. Można powiedzieć: pasywny pedofil. Miał w domu sporo pornografii. Ale robił głównie zdjęcia. Całe mnóstwo pozornie niewinnych zdjęć ze swojego okna w Söder Torn. Dzieci na Medborgarplatsen i w okolicach. Trudno to uznać za nielegalne.
- Zdążyłaś zajrzeć do jego komputera?
- Tak. Możliwe, że mówi prawdę. Wygląda na to, że nie ma listy adresowej i że sam nie wysyłał fotografii. Tylko je dostawał. *En masse*. Jeśli dobrze pamiętam, w samej skrzynce mailowej miał ich pięćset. Oczywiście bez nadawcy, ale to powinno dać się ustalić. Na listę trafił przypadkiem. Może to zresztą nawet nie jest sieć.
- A co?
- Nie wiem. Nie jestem ekspertem. Zobaczymy, co na dysku znajdą specjaliści.
- Wolałbym, żeby do nich nie trafił.
- Niby dlaczego? - zdziwiła się Sara Svenhagen.

Ragnar Hellberg pochylił się do przodu. Od dawna już nie mył zębów, pomyślała.

- Mógłbym pokazać ci twoje miejsce, Saro. Powiedzieć: słuchaj się rozkazów, i kropka. Ale tak nie chcę. Musisz mi zaufać. Niech to zostanie między nami. Nikt z zewnątrz.

Przyjrzała mu się dokładnie. Młody inspektor karierowicz. Rozrywkowy glina. Przybity. Poważny. Nie wiedziała, co o tym myśleć.

- Okej - powiedziała. - Już więcej nie pytam.
- Wiem, że znasz się jak mało kto na komputerach. Prawda, że jesteś w stanie sporo sama z tego wyciągnąć?
- Możliwe - odparła zgodnie z prawdą.
- No więc? Co to jest, jeśli nie sieć?
- Lista adresowa. Pojawiła się na tej znikającej stronie w czwartek o dziewiętnastej trzydzieści sześć i siedem sekund i wisi przez moment. Mam adres. Ale przestał być aktualny w tej samej chwili, w której się pojawił. Anonimowa amerykańska darmowa strona. Ponieważ jestem przekonana, że Witreus mówi prawdę, nie wydaje mi się, że to jest sieć, adresaci nie znają siebie nawzajem, nie wymieniają się zdjęciami w tradycyjny sposób. Lista umożliwia poszerzenie kręgu bez ryzyka. Wszyscy, którzy odwiedzili określoną stronę - wciąż jeszcze nieznaną - są bombardowani pornografią dziecięcą przesyłaną mailem.
- Nie p o d a j ą c adresu mailowego?
- Tak mi się zdaje. Najwyraźniej znaleziono metodę szybkiej identyfikacji adresów mailowych. Coś, co by nam się bardzo przydało. Ponieważ wielu z tych, którzy chcą mieć anonimowy adres, ma konta na hotmailu, wydaje mi się, że to jest klucz. Identyfikuje się numer, z którego nastąpiło połączenie, porównuje z aktualną listą użytkowników hotmaila i znajduje adres. Prawdopodobnie potrzeba na wszystko kilku milisekund. To chyba jakaś nowość.
- Co by oznaczało, że nie ryzykujemy, że powiadomi resztę? Jeśli wypuścimy Witreusa lub pozwolimy mu rozmawiać z adwokatem, nie ostrzeże innych?

- Bo tak naprawdę nie ma sieci, z którą mógłby się skontaktować. Oczywiście można wyobrazić sobie, że wysłał ogólne ostrzeżenie na pedofilskie strony, ale nie wydaje mi się. Raczej pozostanie w ukryciu. Nie zamierzamy go chyba wypuścić?
- Nie - odpowiedział Hellberg, odchylając się na krześle. - Oczywiście, że nie. Znaleziono przy nim materiały są wystarczająco obciążające. Przejmujemy komputer. Możesz go wziąć do domu?
- Tak. Jeśli to konieczne.
- Tak, to absolutnie konieczne. Coś jeszcze?
- Witreus miał rolkę niewywołanych zdjęć. I kliszę w aparacie. Mogę wypożyczyć sprzęt z magazynu, żeby je wywołać?
- Kup - odezwał się Ragnar Hellberg. - I daj mi paragon.
- Żadnych śladów? - zapytała Sara Svenhagen i spojrzała wymownie na swojego szefa.
- Żadnych śladów.

NIEDZIELNE popołudnie. Czas na podsumowanie krwawego weekendu świątecznego. Jeszcze większe pijaństwo. Jeszcze więcej gwałtów. Jeszcze więcej pobić. Jeszcze więcej nocy świętojańskiej.

Choć ich to nie dotyczyło.

Paul Hjelm miał nadzieję, że wczorajsze spotkanie się nie powtórzy. To była niezręczna sytuacja. Po pierwsze połowa składu była nieobecna, Söderstedt z Norlanderem siedzieli w Kum-li, a Nyberg zeszkrobywał resztki toczących się spraw pedofilskich. Po drugie nie miało w sobie nic z heroizmu. Hultin wszedł przez swoje dawniej tak tajemnicze drzwi, rzucił papiery na stół, usiadł i spojrzął na zebranych. Nikt z mało imponującego towarzystwa - Hjelm, Holm, Chavez - nie chciał odezwać się jako pierwszy. Wszyscy i tak mieli do powiedzenia jedno: nic się nie stało. Również Hultin nie chciał powiedzieć tego na głos. Rozeszli się lekko skonsternowani.

Dziś zapowiadało się jednak inaczej. Wszyscy byli na miejscu, wydawali się również jakby bardziej rozmowni. W Centrum dowodzenia słychać było pojedyncze rozmowy. Jan-01ov Hultin popatrzył na nich zza swoich okularów i uciszył rozmowy jednym zdaniem:

- Muszę się do czegoś przyznać. Oryginalne otwarcie.
Ciąg dalszy miał nastąpić.
 - Ostrzegłem Rajko Nedicia.
Spojrzeli po sobie.
- Chavez zmarszczył nos, poza tym żadnej reakcji.

- Uznałem, że lepiej będzie skrócić mu smycz, poza tym chciałem się przedstawić. Odwiedziłem go w jego willi w Dan-deryd. Nie świętował. Dłubał w ogródku, który przypomina Eden.
- Papier toaletowy? - zdziwił się Söderstedt.
- Nie Mały Edet - odrzekł ze spokojem Hultin. - Wielki Eden.
- Na wschód od Edenu - wtrącił Hjelm.
- Co powiedział? - zapytał Chavez.
- Tak naprawdę nic. Wygłosił mowę o tym, że orlik pospolity jest dowodem na istnienie Boga. I wszystkiego się wyparł.
- A to coś nowego - mruknął Nyberg.
- Panie i panowie - przerwał Hultin. - Czas na podsumowanie weekendowych zdobyczy. Ktoś ma ochotę zacząć?
- Przyszło mi coś do głowy - odezwał się Chavez. - Wspomniał o tym Akesson na miejscu rzeźni w Siekli, komentując krwawe ślady biegnące od miejsca po teczce. Było ich osiem. Czteroletnie reeboki, rozmiar czterdziesty.
- Czteroletnie? - zdziwił się Norlander.
- Najwyraźniej - odpowiedział Chavez, zerkając do jednego z protokołów Brynolfa Svenhagena. Jednego z wielu protokołów. Svenhagen był w ekstazie. Protokoły płynęły szerokim strumieniem. Prawdziwy pochód karnawałowy.
- Można określić rok po modelu - wtrąciła Kerstin Holm. - Co roku zmieniają podeszwy.
- Przejdź do rzeczy - uciał Hultin.
- Po pierwsze - powiedział z naciskiem Chavez - ślady biegną w złym kierunku. Po drugie: ludzie Niklasa Lindberga nie są z tych, którzy by przez przypadek zostawili krwawe ślady.
- Przez przypadek to oni zostali zabici. - Hultin wzruszył ramionami. - Wszystko wskazuje na to, że połowa z nich zginęła z rąk przeszukanych już ludzi. Być może przeceniamy ich profesjonalizm. To, że ślady prowadziły w złym kierunku, może równie dobrze oznaczać, że człowiek, który zabrał teczkę, przestraszył się na widok zalanego krwią kolegi. Zrobił kilka nieporadnych kro-

ków. W złym kierunku. Rozniósł krew. Potem zawrócił. Nii-przesadzajmy.

- To tylko uwaga na marginesie - mruknął Chavez i pomyślał o wyplataniu koszyków i innych stymulujących zajęciach dla emerytów.
- Rozmiar czterdziesty - odezwał się Hjelm. - Czy w takim razie to był niski mężczyzna? A może kobieta? Eskil Carlstedt miał co najmniej czterdzieści siedem.
- Czterdzieści sześć - rzucił Chavez z nosem utkwionym w protokole obdukcyjnym Qvarfordta.
- Rozmiar stopy nie ma zasadniczego związku z resztą ciała
- wtrąciła Holm. - Ani też z żadną inną częścią anatomiczną.
- Dalej - przerwał Hultin. - Co w Kumli?

Söderstedt i Norlander spojrzeli po sobie. Widać było, że żaden z nich nie chciał odezwać się jako pierwszy. W końcu głos zabrał Norlander.

- Wszyscy stulili pyski.
- To dlatego, że wciąż to powtarzasz - stwierdził Söderstedt.
- Jesteś winny wszystkim stulonym pyskom.
- Stul pysk - wypalił Viggo Norlander.

Söderstedt mówił dalej, nadal pełen zapału do walki:

- Zdaniem strażników w Kumli istniał rodzaj neonazistowskiej klikki. Nic nowego. Szeregi organizacji przestępczych zasilają dziś głównie imigranci i neonaziści. Możliwe, że to, co teraz obserwujemy w półświatku, obejmie w przyszłości całe społeczeństwo. Możliwe, że to tylko bardziej jaskrawy przejaw polaryzacji społecznej. Jak to właściwie jest u nas z rasizmem? Jeśli zajrzemy pod spód? Nie wydaje się, by w tej chwili istniało zagrożenie powstania partii neofaszystowskich i im podobnych. Powinniśmy natomiast bardziej niż kiedykolwiek uważać na wewnętrznego wroga. Mam na myśli wroga w nas samych. Zmieniły się nastroje. Puściła tama. Na pierwszy rzut oka tego nie widać, ale od kilku lat obserwujemy zmianę. Coraz łatwiej przychodzi nam traktować innych przedmiotowo. Jak nieludzi. Oni nie krwawią

równie czerwoną krwią jak nasza. Czy czystki etniczne w Kosowie i Bośni są wyłącznie uwarunkowaną historycznie wewnętrzną sprawą Bałkanów, czy też mają coś wspólnego ze zmianą, jaką przeszedł, no cóż, oświecony umysł? Czym się różni wypchnięcie imigrantów do Rinkeby, Hammarkullen czy Rosengard od wypędzania ludzi z ich wiosek?

- Wracamy do Kumli - przerwał ze spokojem Hultin.

Söderstedt bez problemu zmienił wątek.

- Niklas Lindberg i Sven Joakim Bergwall byli obaj członkami neonazistowskiej kliki. Możliwe, że Lindberg był jej liderem. Łącznie udało nam się zebrać jakieś dwadzieścia nazwisk. Ośmiu z nich przebywa w tej chwili na wolności. Któryś z nich mógł być zamieszany w napad, jednak w tej chwili nie wiemy nic na ten temat. Trzech z przebywających na wolności ma grupę krwi AB Rh minus. Christer Gullbrandsen, Dan Andersson i - to ci dopiero - Ricky Martin. Z drugiej strony jednym z napastników był żółtodziób Eskil Carlstedt, sprzedawca używanych samochodów. Łączenie tego zbyt ściśle z Kumlą nie ma sensu. Pytanie, jaki sens ma łączenie tego z neofaszystami. No trudno. Spotkaliśmy się z kilkoma spośród pozostałych członków kliki. Tu jestem w stanie zgodzić się z lakonicznym opisem Vigga: wszyscy stulili pyski. Podobnie nasi jugosłowiańscy przyjaciele. Nikt nic nie mówi. Udają, że nie znają słowa po szwedzku. Bardzo wnikliwie przysłuchiwali się jednak naszemu opisowi tortur Lordana Vukoticia. Goran Andersson nie miał nic do dodania. Za to na temat gry odcieniami błękitu u Fra Angelico - całkiem sporo.

- Dalej - przerwał Hultin.

- Rozmawiałam z kolegami Eskila Carlstedta z Kindwall's Fordbutik w Hammarbyhamnen - odezwała się Kerstin Holm. - I jeszcze z jego starą matką w Brommie. Wyłania się z tego obraz człowieka o zdecydowanych poglądach na kwestie rasowe. Proponuję więc na razie nie rezygnować z wątku neonazistowskiego. Często świerzbiła go ręka. Od jego kolegów usłyszałam, jak w cza-

się nocnej gry w paintball rzucił się na dwóch z nich. Wp.nll w szał. Zresztą w ogóle nie miał zbyt wysokich notowań. Dziwak, jak to określiło kilku z nich. Nie do rozgryzienia. Natomiast samochody sprzedawał jak mało kto. Zostawiał ich daleko w tyle. Właśnie ze względu na tę jego energię Sven Joakim Bergwall kazał Carlstedtowi zostać w Młynie. A teraz obaj nie żyją. Wszystko na nic. Próbowaliśmy również znaleźć świadków z pubu, którzy mogliby powiedzieć coś więcej na temat „policjanta”, który siedział z Bandą 1. Informacja o nim pojawiła się tak późno, że nie mieliśmy możliwości zapytać. Większość świadków wyjechała z miasta na noc świętojańską, a ci, którzy zostali, nie mieli nic sensownego do powiedzenia. Nie mamy więc jego rysopisu. To samo dotyczy Bandy 2. Wszyscy pamiętali wyraźnie Carlstedta, tego barczystego z ogoloną głową i wąsami. Dwóm skonfrontowanych ze zdjęciem Bergwalla wydał się znajomy. Ktoś wspominał o mężczyźnie z fioletową twarzą. Poza tym nic. Mężczyzna ze słuchawką to nie Carlstedt ani nie Bergwall. Można z tego wyciągnąć wniosek, że ich technik wciąż cieszy się dobrym zdrowiem.

- Jeśli mowa o technikach, to nasi przejrzeni dysk Eskila Carlstedta - powiedział Hjelm z nosem utkwionym w kolejnym protokole. - Problem w tym, że okazał się pusty. Naprawdę pusty. To znaczy nowy. Sam komputer nie był nowy, ale dysk tak. Wszystko wskazuje na to, że wymienił go z myślą o nas. Kolejny argument za ich profesjonalizmem. Dysk został wymieniony już w nocy poprzedzającej przesłuchanie Carlstedta - tej samej, podczas której ustalono, co ma zeznać. Domyślili się, że przyjdziemy do nich z wizytą. Zezłomowanie całego komputera byłoby zbyt ryzykowne. Zawsze znajdzie się ktoś, kto przez przypadek znajdzie złomowany sprzęt. Tak więc wymienili twardy dysk, żeby nie zostawić żadnych śladów. Co by oznaczało, że na dysku były ślady, niewykluczone, że jakieś materiały o charakterze rasistowskim. Mamy zatem wymieniony dysk, skomplikowane urządzenie podsłuchowe w Młynie i dwa

wyjątkowo precyzyjne ładunki wybuchowe. Technikę mają, jak widać, w małym palcu.

- Czy można dziś bez tego popełnić przestępstwo? - zapytał gadzecziarz Chavez.
- Noże kuchenne i penisy to wciąż popularne narzędzia zbrodni - odezwała się mniej techniczna Kerstin Holm. - Zwłaszcza te ostatnie już od wieków sprawdzają się doskonale.

Przez chwilę zrobiło się cicho. Wyglądało, jakby myśleli o swoich penisach jako o potencjalnym narzędziu zbrodni. Kerstin Holm uśmiechnęła się pod nosem.

- To też rodzaj techniki - stwierdził w końcu Hultin.
- Wracając do owych dwóch bomb - powiedział Norlander, spoglądając ukradkiem na te należące do Kerstin Holm. - W jednym z protokołów Svenhagena znalazłem wreszcie trochę informacji na ich temat. Mamy tu do czynienia z łatwo wybuchowym i skoncentrowanym płynem, coś jak nitrogliceryna, choć bardziej efektywnym i łatwiejszym w użyciu. Potrzebna jest j e d y n i e elektryczność, nie ciepło, nie uderzenie; ten mikroskopijny detonator wysyła krótki silny impuls elektryczny, powodując wybuch płynu. Jak widzieliśmy, system działa świetnie na odległość. Substancja ta nie była dotychczas stosowana w Szwecji, ale wiele wskazuje na to, że podobne używane są w Stanach. Nie znaleźli jeszcze dla niej nazwy.
- Być może powinniśmy założyć, że magazyn Niklasa Lindberga nie został jeszcze opróżniony - odezwał się Chavez. - Chcicie posłuchać o Lindbergu? Chwilowo całkiem mu się oddałem. Przeszukałem wszelkie możliwe bazy danych, skontaktowałem się telefonicznie z jego znajomymi i wybrałem na wycieczkę do Trollhattan, żeby zamienić słowo z jego rodzicami i byłą żoną. Krótko żonaty, rzadko bywał w domu, ciągle jeździł na ćwiczenia wojskowe lub na Cypr, gdzie służył w oddziałach ONZ. Z chwilą gdy rozpadło się jego małżeństwo, skończył z wojskiem i wstąpił w szeregi Legii Cudzoziemskiej. Najwyraźniej wciąż to możliwe. Była żona zachowała nazwisko po mężu, z czego chyba

da się wyciągnąć wniosek, że rozwód nie należał do najgorszy* li
Nie odniosłem zresztą takiego wrażenia. Była zmęczona tym, że
wciąż go nie było, miała kochankę, a on sypiał z pielęgniarkami n.i
Cyprze. W ogóle miał spore powodzenie u kobiet. Ale zacznijmy
od początku. Niklas Lindberg urodził się w styczniu sześćdziesią-
tego piątego, z wysoką średnią skończył liceum w klasie o profilu
biologiczno-chemicznym w TroUhattan, zaciągnął się do wojska w
charakterze strzelca górskiego w osiemdziesiątym piątym, celował
w nauce, jesienią rok później rozpoczął szkołę oficerską, był
kadetem w Boden w osiemdziesiątym ósmym, oficerem na Cyprze
w roku dziewięćdziesiątym i dziewięćdziesiątym drugim,
awansował i w chwili odejścia w dziewięćdziesiątym czwartym
właśnie został majorem strzelców górskich w Arvidsjaur. Dwu-
dziestodzieciolatek. Słabo?

- No - odezwał się Hultin. - Nie najgorzej.
- Koledzy z liceum wspominają go jako rozrywkowego gościa -
ciągnął dalej Chavez. - W czepku urodzony. Koronowany,
można powiedzieć. Miał każdą, którą chciał. Przygodę ze
strzelcami górskimi traktowali jako sposób Niklasa na
podniesienie sobie notowań. Lubił dostawać dobre oceny. Nie
brali tego na poważnie. Nie było w nim nic z żołnierza. W
żadnym wypadku nie wstąpił do wojska z zamiarem zostania
zawodowym oficerem. Spokojne dzieciństwo w małym
miasteczku. Mili rodzice. Można powiedzieć: uroczą parą.
Nauczycielka w liceum i terapeuta. Żadnych skłonności
rasistowskich, a ja to wyczuwam na kilometr, wierzcie mi.
Mówili, że był jak kociak, który zawsze lądował na cztery
łapy, zawsze wesoły, zawsze gotów stanąć w obronie
słabszych. Zdjęcia z dzieciństwa to potwierdzają. Rodzice nie
mogli się pogodzić z tym, że skończył jako przestępca.
Głęboki, szczerzy smutek. Mieszkał w TroUhattan jeszcze jako
oficer, ożenił się z pierwszą miłością i uchodził za równego
kolesia. Mądry, miły, przystojny. Pięć lat temu miał jakiś
kryzys spowodowany rozwodem. Wiosną dziewięćdziesiątego
czwartego. Punkt krytyczny. Rozmawiałem z dwoma
przełożonymi z Arvidsjaur. Nie

rozumieli, dlaczego odszedł. Nie było na niego żadnych skarg. Któregoś dnia po prostu powiedział dość i zaciągnął się do Legii. Dwa tygodnie po rezygnacji. Musiało to być dobrze przygotowane. Dlaczego? Nie udało mi się skontaktować z żadnym z jego znajomych legionistów, są nieco hermetyczną strukturą, ale będę dalej próbować. W każdym razie po roku zrezygnował, pojechał do Sztokholmu i wziął udział w nieudanym zamachu bombowym na centrum kultury kurdyjskiej. W środku była impreza, ale bomba wybuchła dopiero, gdy wszyscy rozeszli się do domów. Najwyraźniej jakiś błąd zegara. Tak naprawdę miała wybuchnąć w czasie imprezy. I była na tyle silna, że mogła zabić wielu, bardzo wielu ludzi. Przyjmuje się, że Lindberg był osobiście odpowiedzialny za eksplozję, ale tego nie udało się mu udowodnić. Natomiast nazajutrz nikt już nie miał wątpliwości, gdy podczas kurdyjskiej demonstracji w Solna Centrum ciężko pobił dwóch Kurdów. W czasie dochodzenia wyszło na jaw, że utrzymywał stałe kontakty z organizacjami nazistowskimi w Szwecji i Stanach Zjednoczonych i prawdopodobnie jeszcze w kilku innych miejscach. Możemy więc przyjąć, że odejście z armii wiązało się ze swego rodzaju nazistowskim przebudzeniem.

- W takim razie to trochę dziwne, że wybrał Legię Cudzoziemską - wtrącił Hjelm. - Myślałem, że to z definicji wielokul-turowa armia?
- Może zorientował się po fakcie - wzruszył ramionami Cha-vez.
 - Miał kontrakt na rok. Jedyne, czego pragnął, to walczyć naprawdę. Możliwe, że wśród tych wszystkich czarnuchów jego nienawiść rasowa osiągnęła nieoczekiwane rozmiary. No nic. Z rozmów z zaangażowanymi w sprawę policjantami i prawnikami wyłania się obraz wyjątkowo zimnego bandyty z zamiłowaniem do bomb. Porażający brak empatii, powiedział mi to nawet w kuluarach jego obrońca.
- Zawsze chce być najlepszy - zamyśliła się Kerstin Holm. - Może zatem wyzywa na p o j e d y n e k tego, którego uzna-

je za najlepszego? Najbardziej przebiegłego bossa narkotykowe)/1 w Szwecji, Rajko Nedicia? Co więcej - wyjątkowo dobrze zasymilowanego czarnucha?

- Jest taki jeden lepiej zasymilowany - odezwał się Jorge Chavez, wypinając pierś. - Najlepiej wykształcony policjant w Szwecji.
- Nie czas na stroszenie piórek - powiedział ze spokojem Hultin.
- Ktoś ma coś jeszcze?
- Dziwna sprawa, może nie tak ważna. - Viggo Norlander wynurzył się z morza protokołów, wymachując jednym z nich.
- Raport techników z Siekli. Ofiary, Bergwall i Carlstedt, miały identyczne czarne kominiarki. Na miejscu znaleziono sporo czarnych włókien. Ale też kilka złotych.
- Złotych? - wybuchnął nieskoordynowany chór.
- Chavez spojrział na nich z uśmiechem.
- Sami widzicie. Koronowany.
- O czym ty gadasz? - zirytował się Hultin.
- Czy może być tak, że Niklas Lindberg podkreśla swoje

zwierzchnictwo złotą kominiarką?

W Centrum dowodzenia zapadła chwila ciszy. Mieli wrażenie, jakby lepiej poznali Niklasa Lindberga.

- Oczywiście, że to możliwe - kiwnął głową Hultin. Po kolejnej chwili ciszy ciągnął dalej:
- A co u ciebie, Gunnar?

Gunnar Nyberg nie odezwał się przez cały czas nawet słowem. Nie potrafił się zdecydować. Czy to była jego drużyna? Czy tworzyli ją raczej Sara Svenhagen, Ludvig Johnsson, Ragnar Hellberg i cała reszta? Czuł głębokie wewnętrzne rozdarcie.

- Siedziałem w Internecie - powiedział. - Skakałem między pedofilami a neonazistami, nie mogąc się zdecydować, z którymi mi bardziej po drodze. Zaczynam powoli rozumieć, jak bardzo rozbudowane są tajne sieci. I jak bardzo się rozrosły od czasu, gdy słowo „Internet” weszło do codziennego użycia. Nie znajduję tam jednak Lindberga. To samo dotyczy Carlstedta, figuruje jedynie

jako sprzedawca z Kindwalls. Nazwisko Bergwalla pojawia się na kilku stronach neofaszystowskich. Zdaje się, że był ideologiem grupy.

- Teraz są ideologicznymi sierotami - dorzucił Söderstedt.
- Wciąż jednak są równie niebezpieczni - odezwał się Hultin.
- Działamy jak do tej pory. Nie zapomnijcie o jutrzejszej bibie przed olimpiadą policyjną, World Police and Fire Games, w połowie lipca. Potrzebują naszego wsparcia. Punkt szesnasta w salach reprezentacyjnych Komendy Głównej. Polhemsgatan. Jesteście gośćmi honorowymi. Waldemar Mórner subtelnie zwraca uwagę, że zostaliście tam odkomenderowani. Kogo zabraknie, ten, cytuję, „wyjedzie stąd nogami do przodu”.
- Całe szczęście priorytety mamy jasno ustalone - westchnął Paul Hjelm.



24

CZTERYSTA JEDEN. Numer wyryty na blaszce nad zamkiem, do którego wkładał kluczyk. Ręka mu drżała. Nie pierwszy raz. Kiedyś w końcu przestanie. Gdy on nabierze rutyny.

Zdażył już nawet ustalić pewien rytuał.

Czterysta jeden, idę już do ciebie - mówił, wkładał kluczyk i przekręcał.

Nie. Nie przekręcał. Nie dało się. Pierwszy raz w ogóle włożył kluczyk. Trochę to dziwne, pomyślał, wyjmując z kieszeni kartkę i zaznaczając coś na niej ołówkiem. Dlaczego tym razem się udało? Czy to znaczy, że skrytka znajduje się w Föreningsban-ken? Możliwe. Niczego to jednak nie zmieniało. I tak musiał sprawdzić je wszystkie po kolei. I odhaczyć.

Każdą pozycję. Każdy bank. A każda pozycja oznaczała jeden bank. A każdy bank oznaczał jedną pozycję.

Postbanken, pomyślał rozkojarzony i przeszedł na drugą stronę ulicy.

Czterysta jeden, idę już do ciebie.

Stojąca za ladą dziewczyna pracowała sezonowo na zastępstwie w monopolowym i teraz była sama w sklepie. Poniedziałek. Wyjątkowo dobry dzień dla kogoś, kto zaczyna pracę. Spokój. Wszyscy kupują to samo. Wódkę. A co, jak przyjdzie jakiś pomyleniec i poprosi o francuskie wino Chateau Montpellier-montreusechargot rocznik 1991? Jak je znajdzie? Trochę się stresowała. Do środka wszedł klient. Ubrany stylowo mężczyzna

w czapce, i to w środku lata. Pojawiła się groźba, że zechce Chateau Montpelliermontreusechargot. Na pewno nie to co wszyscy.

Rzeczywiście, nie to co wszyscy, ale też nie Chateau Montpelliermontreusechargot, tylko lufa wycelowana prosto w twarz.

W minutę opróżniła wszystkie kasy, a mężczyzna opuścił sklep z sześcioma tysiącami dziewięćset dwudziestoma czterema koronami w siatce.

A dziewczyna upadła nieprzytomna na podłogę.

Czterysta jeden. Czy to nie jakaś gra w lotki?

Nie, pięćset jeden. Ale to było w innej książce.

Uniosła klucz i westchnęła. Myślała. Zastanawiała się, jakie może być prawdopodobieństwo, że to właściwa skrytka. Coraz mniejsze, pomyślała. Znikome, pomyślała.

Klucz nie pasował.

No proszę.

Jęknęła i zastanowiła się nad przyjętą metodą. Czy rzeczywiście była ona najlepsza? I na ile niezawodna?

No nic. To już ostatni bank w Kinnie.

Next stop Boras.

Będzie tam pewnie kilka czterystajedynek.

Najpierw jednak musi się skontaktować. Jak do tej pory się udawało. Miała wrażenie, jakby cały czas był przy niej. Zaleta Internetu. I wada.

Wirtualna bliskość.

- Wciąż nic? - zapytał Niklas Lindberg. Powoli miał dosyć tego pytania.

Kula pokręcił głową.

- Skąd wiemy, że aparat po prostu nie zdechł? - dodał Lindberg.

- Żyje - odparł Kula. - A to znaczy, że musimy kierow, i dalej na północ. Ostatni sygnał ze Skillingaryd. Z ich częstoth wości wynika, że jechaliśmy mniej więcej z tą samą prędkości.) Potem trochę przyspieszyliśmy. Gdyby zmierzali do Helsingborga, dostalibyśmy nowy sygnał gdzieś po drodze. Moim zdaniem skręcili gdzieś pomiędzy Varnamo a Órkelljungą. Tak więc jedziemy dalej na północ.
- Gdzie jesteśmy? - jęknął z tylnego siedzenia Danne. Był coraz bledszy. Czy wytrzyma? Czy już zasłużył sobie na coś więcej? Może jakiś grubszy napad?

Wrócił Rogge i usiadł za kierownicą.

- W porządku?

Rogge kiwnął głową, podał do tyłu reklamówkę z logo spożywczego i przekręcił kluczyk. Niklas Lindberg zajrzał do reklarnówki, a samochód z piskiem opon wyjechał na E6.

- W porządku.
- W porządku? - ryknął Rogge i dodał gazu. -W p o r z ą d ku? Tam jest spokojnie ze dwadzieścia tysięcy.
- Trochę przeceniasz swój wkład. Ale okej. Jest dobrze.
- To rozumiem - powiedział Rogge.
- Czy ktoś mi wreszcie, kurwa, powie, gdzie jesteśmy?! - krzyknął Danne. Miał zachrypnięty głos. Cały czas tracił krew.
- Angelholm - odezwał się Kula i zajął się gałkami nadajnika.

Wielki przywołał go palcem. Nigdy nie przyszłoby mu do głowy zrobić tego prywatnie. To były dwie różne, dwie główne role, a w nich wiele pobocznych. Ljubomir zastanawiał się, ile ich jest. Pod tym względem wielki przypominał róg obfitości.

Ljubomir powlókł się w stronę biurka. Próbował nie patrzeć na palec - nie mógł powiedzieć, że mu się to podoba. Jego wzrok powędrował w stronę dużego elektronicznego globusa. Nie widział go nigdy włączonego. Zapewne był imponujący. W korytarzach mówiło się, że wielki wklepywał do komputera nazwy

kilku miejsc, a na globusie wyświetlała się najdogodniejsza trasa przerzutu narkotyków. Ale nie był pewien. Nigdy tak naprawdę tego nie widział.

Ljubomir był na miejscu. Wielki wbił w niego wzrok. Bardziej niż zwykle. Zaraz coś powie. Kolejny test na lojalność. Znowu.

- Znalazłeś coś? - zapytał wielki.

Znalazłeś, pomyślał Ljubomir.

- Nie do końca - powiedział. - Policja twierdzi, że wie, kto to zrobił. Jeśli tak, to muszą to być Szwedzi. Jakiś gang. Przesłuchiwali Zorana, Petara i Rista w Kumli. Jakiś biały glina gadał o neonazistach.

- Jakiś biały glina? Oni wszyscy są biali.

- Białe włosy. Całkiem białe.

- Coś jeszcze?

- Nie wiem, jak się nazywa. Ten drugi miał na dłoniach stygmaty. Aż mi ciarki przeszły po plecach, jak to określił Peter. Powrót Jezusa Chrystusa.

- Coś więcej o neonazistach?

- Nie wiem. Dopytam Zorana.

- Co znaczy, kurwa, „nie wiem“! Ty masz wiedzieć. Tu chodzi o człowieka, który zamordował Lordana, a ty mówisz „nie wiem“. Skup się, Ljubomir, inaczej będę musiał cię kimś zastąpić.

- Przepraszam.

- Nie przepraszaj. Co z ochroną?

- Informują, że jest spokój. Nikt nie wszedł do banku z naszą teczką. Gorzej, jeśli się jej pozbyli. W każdym razie nikt nie był przy skrytce, tyle wiemy na pewno.

- Informują? Nie byłeś tam?

Ljubomir zamilkł. Milczący sprzeciw. Nie miał zamiaru tam iść. Nie pójdzie tam. Tu przebiegała jego granica. Nie miał zamiaru jej przekraczać. Wielki to widział. Widział to w oczach Ljubomira. Na razie mu to wystarczyło.

- Dobra - odezwał się wielki i kolejny raz zamachał palcem wskazującym. Tym razem w drugą stronę.

Co oznaczało „zmywaj się”. Ljubomir zdażył się nauczyć.
Tego gestu wielki nie robił nigdy prywatnie. Ale prywatnie
nie był wielkim.

Prywatnie był Rajko, przyjacielem z dzieciństwa z małej gór-
skiej wioski we wschodniej Serbii.

Czteryśta jeden. Nie, kurwa. Tu numery kończyły się na dwu-
setce. Cholerne zadupie. Zrobiła się z tego rutyna. Jak robota
od ósmej do szesnastej. Cokolwiek mogłoby to znaczyć.
Nigdy takiej nie miał. Czteryśta jeden, idę do ciebie. Słyszał
wyraźnie, jak między słowami pobrzmiwa echo.

PARTYTIME! Poniedziałek dwudziestego ósmego czerwca, godzina czwarta po południu, wszyscy w pełnym rynsztunku z okazji obowiązkowej biby promującej World Police and Fire Games.

W dniach od szesnastego do dwudziestego czwartego lipca miała się odbyć tak zwana olimpiada policyjna, z uroczystym otwarciem na sztokholmskim stadionie w sobotę siedemnastego lipca. Dwanaście tysięcy policjantów, strażaków, celników i strażników więziennych z całego świata będzie konkurować w sześćdziesięciu ośmiu dyscyplinach. Miała to być największa impreza sportowa w Sztokholmie od lat. Wliczając olimpiadę w 1912 i mistrzostwa Europy w piłce nożnej w 1992.

Paul Hjelm nie rozumiał, dlaczego niektórzy lubią oglądać wszystkich tych lepszych czy gorszych sportowców w akcji. Pachniało mu to towarzystwem wzajemnej adoracji. Jeśli nie miało się przyjaciela lub kogoś z rodziny w szeregach zawodników, było to równie ekscytujące co oglądanie meczu szóstej ligi.

Kwestia gustu.

Mieli swoje problemy, a one nie były już tylko kwestią gustu.

W ostatnich dniach media poinformowały - czego wszyscy od dawna się domyślali - że gospodarka zeszła na psy. Odpowiedzialni za budżet World Police and Fire Games zaprezentowali jeżące włos na głowie kalkulacje dla Sztokholmu - za sprawą trudnych do uzasadnienia podróży promocyjnych do różnych miejscowości wypoczynkowych wyprowadzili budżet daleko poza granice bankructwa. Podatnicy musieli sięgnąć głęboko do

kieszeni, żeby trzydzieści tysięcy zagranicznych gości nie zastali > stolicy w stanie bankructwa.

A teraz mieli się bawić. Na imprezie promującej to chlubne wydarzenie. W czasie gdy po ulicach chodzili rzeźnicy z Siekl. Nie czuł się z tym najlepiej.

Hjelm zawiesił wzrok na plecach kelnerki. Przed chwilą zniknęła w drzwiach do pokoju, w którym odbywały się przesłuchania świadków. Była dziś ostatnia: chińska kelnerka, która obsługiwała Bandę 1 i „policjanta” w Młynie wieczorem dwudziestego trzeciego czerwca. Zdjęć twarzy 1A i IB nie było sensu pokazywać - pierwsza rozerwana przez wybuch, druga podziurawiona przez kule - ale na 1C mogła rzucić okiem. Próbowali trochę poprawić jego wygląd. Najwyraźniej jednak im się to nie udało. Kelnerka wydała z siebie przeraźliwy okrzyk. Kiedy wreszcie się uspokoiła, kiwnęła głową i szepnęła:

- Tak. Wydaje mi się, że był z nimi.

Odnosnie do „policjanta” powiedziała:

- Nie pamiętam go zbyt dobrze. W porównaniu z resztą nie rzucał się zbyt w oczy. Typy spod ciemnej gwiazdy, tyle mogę powiedzieć. *Gangsterlook*. Wydaje mi się, że miał ciemne włosy, był nie taki stary, najwyżej około czterdziestki.

I nagle wyszła. Zarys pleców, które szybko zniknęły z pamięci.

Hjelm spojrział na Holm.

- Idziemy się zabawić? - spytał, wymachując głupkowato rękoma.

Rzuciła mu pobłażliwe spojrzenie.

- Olimpiada policyjna - odrzekła, zakładając krótką czarną skórzaną kurtkę na czarny T-shirt. Ton głosu nie wróżył niczego dobrego.

- Myśl pozytywnie - powiedział Hjelm, zakładając swoją wysłużoną płócienną marynarkę. - Podobno można się za darmo ubzdryngolić.

- Bo jak wszyscy wiedzą, sport i wódka idą zawsze w parze.

- Sport, alkohol, korupcja, doping, namiot tlenowy i gra w lotki.

Ruszyli przez komendę. W ciągu ostatnich dni było tu strasznie pusto. Pusty dom. *Das ode Haus*. Zapomniany przez Boga i ludzi. Ruina Caspara Davida Friedricha. Dziś komenda jakby trochę ożyła. Choć tylko trochę. Rozpoczął się pierwszy prawdziwy tydzień urlopowy.

Urlop, pomyślała Kerstin Holm. To coś, co mają inni.

Zaczęła na nowo przyzwyczajać się do Sztokholmu. Pobyt w Góteborgu nie należał do najbardziej udanych. Została oddelegowana do swojego dawnego okręgu policyjnego, gdzie pracował jej były. Który w niedalekiej przyszłości miał odegrać kluczową rolę w jej życiu. Choć jeszcze o tym nie wiedziała. Wiedziała natomiast, że panujące między nimi chłodne stosunki sprawiły, że w ciągu tych kilku miesięcy komenda pokryła się warstwą szronu. Musiała odejść. Jak najdalej. Do jednostki na przedmieściach. Angered. Prawdziwe pobojoisko, co gorsza niezbyt inspirujące. Przeciskała się między chuliganami, którzy śmiali się, wołając za nią „arystokratyczna dziwka” i obrzucając innymi przyjemnymi epitetami. Nawet nie zebrała się, żeby nawiązać kontakt ze swoim dawnym chórem w Hadze. W końcu była tylko czasowo oddelegowana. W każdej chwili mogła zostać wezwana z powrotem do Sztokholmu. Pomyślała, że właśnie tak muszą się czuć profesjonalni hokeiści. Z dnia na dzień przetrzucani z jednego końca kontynentu na drugi. Różnica polegała - jak zawsze - na wysokości wynagrodzenia. Za kilka milionów można się było z tym ostatecznie pogodzić. Teraz wróciła. Po drodze udało jej się jeszcze znaleźć dwupokojowe mieszkanie. Na Regeringsgatan. Czowała, jak odzyskuje energię. Ośmieliła się nawet biegać przez City. Wróciła do chóru kościelnego. Doszła do równowagi. Ale impreza promocyjna? Cóż. Spowodowała chwilowy przechył.

W pokoju Drużyny A nie było Hultina, nie było Söderstedta, nie było Norlandera, nie było Nyberga, był za to Chavez. Siedział i uderzał zawzięcie w klawiaturę.

- Dziesięć po - odezwał się Hjelm i stuknął w zegarek Pi miętaj: „wyjedzie nogami do przodu”.

Chavez podniósł wzrok, wyglądał, jakby znajdował się w innej rzeczywistości. Patrzył na nich bez wyrazu. Jego oczy przypominały małe ekrany komputerów.

- Okaz zdrowia - zaśmiała się Kerstin Holm.
- Cholera jasna - powiedział nieprzytomnie. - Która godzina?
- To ma być twój odświętny strój? - zapytał Hjelm.

Chavez spojrział na swoje ubranie. Latem chodził zawsze w zwykłym, wiecznie wygniecionym płóciennym garniturze. Hjelm musiał przyznać, że się na nim wzorował. Ale tylko w kwestii marynarki. Od dołu wystarczyły dzinsy albo szorty. Teraz miał akurat dzinsy.

Podsumowując: żaden z nich nie miał na sobie odświętnego stroju.

Za to Kerstin wyglądała zawsze jak trzeba, co do tego byli zgodni. Nieważne, co miała na sobie. Dokładnie w tej samej chwili obaj zastanowili się, czy w ich myśleniu przejawiała się dyskryminacja płciowa.

- Nad czym siedziałeś? - zapytała.
- Jak by to powiedzieć... - Uderzył jeszcze kilka razy pożegnalnie w klawiaturę, naciągając marynarkę. - Czytam wszystko jak leci na temat rzeźni w Siekli. Znalazłem czat, grupę dyskusyjną, która poświęcona jest wyłącznie tej zbrodni. Czat Siekła.
- Coś jak FASK? - zapytał Hjelm.
- Dokładnie. Fans of American Serial Killers. Wesole towarzystwo.
- Aha - powiedzieli Jalm & Halm i spojrzeli na siebie porozumiewawczo.

Patrzył na nich zdziwiony, gdy szli korytarzem. Byli ze sobą zsynchronizowani, to było widać, i to całkiem w inny sposób niż on i Hjelm. Nie jak dwóch policjantów z krwi i kości, przedstawicieli dwóch różnych pokoleń, ale - nie potrafił znaleźć lepszego określenia - jak jin i jang...

- No tak - westchnął - Siekła jest na ustach wszystkich. Nie brak głosów rasistowskich, tyle powiem. Jak chcecie, mogę wam jutro zrobić wydruk czatu. Sporo da się z niego wycisnąć.

Spoglądał na nich ukradkiem, gdy przemierzali ciągnące się w nieskończoność korytarze komendy. Zastanawiał się, co takiego zaszło między nimi, gdy byli w Stanach. Zachowywali się w sposób, który świadczył o intymnym zbliżeniu. A jak było wcześniej? Czy już w czasie pogoni za Łowcą Rekinów nie wysyłali sygnałów, które uszły jego uwadze? Czy nie dotykali się ukradkiem? Nie posyłali znaczących spojrzeń? Nie troszczyli się o siebie wzajemnie? Na wzniesionym pieczołowicie murze oddzielającym życie prywatne od pracy pojawiła się rysa. Z jednej strony praca, z drugiej muzyka, jazz, kontrabas - i kobiety. Patrząc na Hjelma i Holm, widząc swobodę, z jaką odnosili się do siebie, pomyślał ku swojemu zaskoczeniu: Czy eliminując sferę prywatną, nie tracę czegoś ważnego jako policjant? A jeśli te wszystkie gesty troski i wzajemnego zrozumienia, których nie mogło zabraknąć w związku między dwojgiem ludzi, były konieczne, żeby stać się naprawdę dobrym policjantem? Nawet jeśli niechętnie się do tego przyznawał, Paul Hjelm był wciąż dla niego wzorem policjanta. Jakim cudem Paulowi i Kerstin udało się dostrzec grę między Bandą 1 a Bandą 2 w Młynie, jak udało im się wydobyć linię melodyczną z zagłuszającego wszystko hałasu - czy mógł zrobić to ktoś inny niż ta dwójka? Czy udałoby się to Jorge Chavezowi i Paulowi Hjelmowi? Czy potrzeba było do tego cierpliwości i łagodności, jakiej uczyły relacje miłosne? Nie wiedział, co znaczy być w stałym związku; wciąż wierzył w niezależność, jaką dawały luźniejsze kontakty.

Innymi słowy myśli Chaveza zdążyły odpłynąć daleko, zanim wróciły na miejsce. Trio dotarło wreszcie do prowizorycznych pomieszczeń reprezentacyjnych w części należącej do kierownictwa policji, dostało do ręki po lampce szampana niewiadomego pochodzenia, usłyszało pojedyncze brawa, ruszyło w kierunku, z którego dochodził dźwięk, i zobaczyło schodzącego

z mównicy Waldemara Mórnera. Atrakcja wieczoru przeszła Im koło nosa. Mórner wydawał się wyjątkowo zadowolony, odsunając w uśmiechu wszystkie swoje kredowobiałe zęby. Otoczy I ramieniem Jana-Ołova Hultina, który w obecności komendanta głównego policji zdobył się nawet na uśmiech; domyślali się, że w środku wszystko się w nim gotuje i wywraca.

Pomieszczenia reprezentacyjne wyglądały całkiem zwyczajnie. Jediną ekstrawagancją były zawieszane na ścianach wstęgi informujące o World Police and Fire Games. Zaskakująco wielu policjantów zdołało się oderwać od rozgrzebanych stert materiałów dochodzeniowych, które w sposób coraz mniej kontrolowany piętrzyły się na biurkach pustoszejących komend w kraju. Co jakiś czas mijały ich znajome twarze, trio kiwało głowami, rzucało tym czy innym dowcipem, patrzyło, jak Norlander chrapie w jednym kącie, a Söderstedt peroruje w drugim, widziało Nyberga w grupie z kubkami kawy w rękach: szczupły, dobrze ubrany mężczyzna z czarnym wiankiem włosów wokół łysiny, młodszy ze starannie zaczesanymi półdługimi włosami i małą czarną bródką. I krótko ostrzyżona dziewczyna, na której widok stanęło latynoskie serce Jorge Chaveza.

Gdy podchodzili, dobiegły ich resztki rozmowy. Ten szczupły powiedział do Nyberga:

- Za kilka dni zaczynam urlop. Jadę na wieś podładować baterie. Pamiętasz mój dom na wsi, Gunnar?

Przyjemna atmosfera nie trwała długo.

- Pedofile! - zawołał Paul Hjelm. - Zrobiliście sobie przerwę na kawę?

- My Nie Jesteśmy Pedofilami - odezwał się Gunnar Nyberg, akcentując każde słowo i przechylając swoje wielkie ciało w stronę przybyłych. Potem ich sobie przedstawił. Niewiele dało się z tego zrozumieć, musieli więc zająć się prezentacją sami.

- No tak - powiedziała Kerstin Holm, witając się ze szczupłym mężczyzną z łysiną. - Maratończyk. Które w tym roku zająłeś miejsce?

- Ludvig Johnsson - przedstawił się Maratończyk. - Dziewięćdziesiąte szóste, po raz pierwszy w pierwszej setce. A wy jesteście *cudownie* wskrzeszoną Drużyną A, prawda?
- Jej fragmentami - skinęła głową Holm.

Hjelm przywitał się z młodszym mężczyzną z bródką i drgnął, gdy ten powiedział:

- Inspektor Ragnar Hellberg.

Nie wyglądał nawet na trzydziestkę. Inspektor młodszy od Chaveza? To w ogóle możliwe? Czy to był naprawdę Party-Ragge? Hellberg odpowiedział mu ze śmiechem:

- Zwykle podaję tytuł, żeby sprawdzić reakcję. Często jest właśnie taka.
- Proszę wybaczyć - odparł Hjelm. - Zwykle udaje mi się zachować pozory.
- To nie do końca prawda - powiedziała Holm, spoglądając na niego spod grzywki.

Hjelm dalej plątał się w wyjaśnieniach:

- To znaczy wiedziałem, że jest ktoś taki jak Hellberg i że jest młody, ale nigdy się nie spotkaliśmy, więc...
- Daj spokój - szepnęła teatralnym szeptem Kerstin Holm i Hjelm dał spokój.

Chavez pocałował w rękę znacznie wyższą od niego dziewczynę. Spojrzała na niego podejrzliwie, a Gunnar Nyberg go skarcił:

- Nie liź dłoni damy, łobuzie.
- Sara Svenhagen - przedstawiła się dama.
- Jorge Chavez - przedstawił się łobuz i dodał: - Svenhagen?
- To też jest typowa reakcja. Tak. Główny technik kryminalistyczny Brynolf Svenhagen to mój ojciec. No i już mamy to z głowy.
- Nie spodziewałem się takiej jakości po genach głównego technika kryminalistycznego - powiedział Chavez speszony.
- Daj spokój - szepnęła teatralnym szeptem Kerstin Holm, a Chavez pozwolił sobie na kolejny popis elokwencji.

- Kto by pomyślał, że tak może wyglądać dochod/tniuw 1»
zajmujący się pedofilią.

Na rym etapie ktoś powinien się nad nim zlitować 1 wy nit sceny,
wyrzucając przez boczne drzwi. Tak się jednak nie st.ili >

Rozmowa toczyła się dalej.

- Jakim cudem mnie rozpoznałaś? - zapytał Ludvig Johnsson Kerstin Holm.
- Też trochę biegam - powiedziała i poczuła na sobie zdziwione spojrzenie Paula Hjelma.
- Coś wam się układa w sprawie rzeźni w Siekli? - zapytał Ragnar Hellberg Paula Hjelma. - Wygląda to na prawdziwe gniazdo os.
- Można tak powiedzieć. Udało nam się zawęzić pole poszukiwań. Ale na razie nie spodziewamy się zatrzymań.
- Rany - zaśmiał się Hellberg. - Zabrzmiało to jak notatka do prasy. A teraz jeszcze zabierzecie mi Gunnara.
- Zobaczymy - odezwał się Gunnar Nyberg. - Trudno mi się będzie oderwać od tych uroczych stron w Internecie.
- Jak dla mnie Gunnar i komputer nawzajem się wykluczają - stwierdził Hjelm. - Jest najbardziej życiowym policjantem, z jakim kiedykolwiek pracowałem. Raz rozwalił własnym ciałem samochód. Z kulką w gardle.
- Zdaje się, że z niejednego pieca jadł chleb - zaśmiał się znowu Ragnar Hellberg.

Innymi słowy Sara Svenhagen została skazana na towarzystwo tego dziwnego Latynosa. Jej myśli krążyły gdzieś indziej, a po kiepskim wstępie pojawiło się rozkojarzenie. Ale nie u niego. Wręcz przeciwnie. Za wszelką cenę próbował znaleźć wspólne tematy, co ciekawe, takim okazał się Internet - nagle zostali sami, udzielając sobie rad z obsługi skryptów Java. Poza rym bez przerwy ją adorował. Wymienił niejako przyrośnięty kubek z kawą na kieliszek szampana, wzniosł toast, przyglądał się jej niedwuznacznie, prawil komplementy, jakich jeszcze nigdy nie słyszała, i wyczekiwał jej reakcji. I stało się *coś* bardzo

dziwnego. Nagle poczuła, że jest widziana. Tak naprawdę. Doceniona. Dowartościowana. Nie miała ruchu. Internet sprawił, że stała się wirtualna, z rozmazanymi konturami, pedofilia znieczuliła ją na doznania seksualne, a teraz, gdy wreszcie udało jej się rozszyfrować kod i dorwać pedofila, nie wolno jej było o tym mówić. Usunęła się w kąt, ścięła włosy, pozwoliła, by zawiązały się nocne demony. Zniknęła wraz z innymi niewidzialnymi. Dostrzegali ją tylko Gunnar Nyberg, ale tylko jako świetlistą postać, dobrze o tym wiedziała. I nagle stała twarzą w twarz z tym rozgorączkowanym małym człowiekiem, który cały czas patrzył na nią, naprawdę na nią patrzył, żeby poznać jej najgłębsze uczucia, podczas gdy ona chciała po prostu rozpuścić włosy. Nie miała jednak czego. Ale właśnie to zrobiła. Zatrzepotała swoją krótką czupryną. A on wydawał się zaczarowany, oszołomiony już samym jej istnieniem, i podobało jej się to. Musiała przyznać sama przed sobą, że jej się to podobało.

Stali tak długo, aż obsługa cateringu zaczęła krążyć wokół nich jak wygłodniałe hieny. Nawet nie zauważyli, że impreza skończyła się już dawno temu, że w komendzie nie było już praktycznie nikogo. Gdy wreszcie to do nich dotarło, usłyszała swój własny głos:

- Może wpadniesz do mnie na kawę?

Całowali się w taksówce na Surbrunnsgatan, pieścili na klatce schodowej, zrzucili z siebie ubrania w drzwiach, kochali się zupełnie spontanicznie w przedpokoju, z ciągiem dalszym w łóżku, z zakończeniem na podłodze i z *da capo* w nieznanym miejscu. Ocknęli się na podłodze w kuchni. Nie mieli pojęcia, jak się tam znaleźli. Zawartość kosza na śmieci leżała rozsypana na podłodze. Nie wiedzieli dlaczego.

Sara miała wrażenie, jakby otworzyła na oścież wszystkie okna, jakby powietrze zostało wessane do komory próżniowej, jakby krótkie włosy trzepotały dziko w silnym powiewie wiatru. Objęła go ramionami i mocno przytuliła.

Jorge poczuł się tak, jakby coś się przestawiło. Seks im już uwieńczeniem, mógł być również początkiem. W jego psy chice nastąpił radykalny zwrot. Zastanawiał się, co to znacz) Leżał skulony w jej ramionach. Objęła go, a on leżał skulony, dotykając policzkiem jej piersi.

Cudowne uczucie.

J e d n o uczucie. Wspólne uczucie.

Wielka życiowa próżnia nagle się wypełniła.

Obudziły go promienie słońca. Naturalny budzik. Choć może nie do końca naturalny. Zostały na niego skierowane. Przez wygięcie żaluzji.

Rysowała się magicznym konturem na tle załamanych promieni słonecznych. Jakby oblał ją wodospad światła. Wyciągnął do niej ramiona. Stała nieruchomo w strumieniach światła. Niedostępna.

Ach tak, pomyślał. Nocny koszmar.

- Powinieneś coś zobaczyć - odezwała się.

Ach tak, pomyślał. To nie nocny koszmar. Tylko sen za dnia. Sen o szczęściu, który się spełnił. Co jednak nie zmieniało faktu, że było wcześniej.

- No chodź - powiedziała.

Najwyraźniej nie, pomyślał. Najwyraźniej nie za wcześniej.

Wstał, godząc się z faktem, że i tak się obudził. Zbliżył się do niej przez wodospad światła. Miała na sobie duży T-shirt zakrywający uda. On nie miał na sobie nic. Szukał po omacku jej ciała.

- Włóż coś na siebie - powiedziała.

Włożył coś na siebie i poszedł za nią do łazienki.

Przez chwilę nie wiedział, co o tym myśleć. Czy aż tak się pomylił? Co takiego było w łazience, co tak bardzo chciała mu pokazać? Pozytywny test ciążyowy? Kolekcja trupich główek? Pokurczone głowy w oleju lnianym?

Nie, to nie tak. Zamiast w łazience znaleźli się w ciemni. W miejscu zwykłej lampy paliła się czerwona żarówka. Pod sufitem wisiał sznur z przyczepionymi do niego klamerkami czarno-białymi fotografiami. Na desce przykrywającej połowę wanny stały plastikowe kuwety wypełnione cuchnącymi płynami. Drugą połowę wanny zdobił natomiast powiększalnik. Zamknęła drzwi.

Cały sprzęt wyglądał tak, jakby trafił tu prosto ze sklepu. Na podłodze leżała sterta podartych, nieudanych odbitek. Gdyby nie był bardzo zmęczony i bardzo szczęśliwy, śledczy w nim już by się obudził. Pomyślałby: hm, i jeszcze: nowy sprzęt, brak wprawy w wywoływaniu zdjęć, ekscytacja efektami równa się: jakieś tajne zlecenie.

Wciąż śpiący w nim śledczy został wystawiony na kolejną próbę. Usłyszał głos Sary Svenhagen:

- Dwa dni temu zatrzymałam pedofila z Söder Torn.

Pauza. Teraz była jego kolej, być może nie musiał od razu krzyknąć „eureka!”, ale chociaż „co?”. Nie, śledczy spał w najlepszym. Mówiła dalej:

- Söder Torn to pała Haglunda. Nic.

Śledczy był nieosiągalny.

- Pała Haglunda wystaje z Medborgarplatsen.

- Dalej - powiedział tylko.

- Mężczyzna spędzał każdą wolną chwilę na robieniu zdjęć dzieciom na Medborgarplatsen i w okolicy. Codziennie. W jego domu znalazłam słoik z rolkami filmów. Wywołałam je.

- Dlaczego?

- Obudź się, Jorge. Codziennie. Medborgarplatsen. Coś mnie tknęło. Wywołałam dwanaście filmów i wreszcie znalazłam.

- Która godzina?

- Wpół do siódmej. Jestem tu od wpół do piątej.

- No to ładnie, kurwa. To znaczy, że trafiłem tu w charakterze policjanta?

- Przestań. Spójrz.

Podążył wzrokiem w ślad za jej palcem, na wiszące pod tufl tern zdjęcia. Deskorolkowcy na Medborgarplatsen. Krążący mu,-dzy stolikami restauracyjnymi a ławkami parkowymi. W doł nym rogu seria cyferek. 21.43 23.06.99.

Śledczy w nim aż podskoczył. Przez chwilę rozglądał się po ciemni, jakby nie rozumiał, gdzie się znalazł.

- Aha - jęknął.
- Można tak powiedzieć - zgodziła się z nim Sara Svenhagen.
- Czy te cyfry znaczą to, co myślę?
- To profesjonalny aparat. Drukuje je na każdym zdjęciu. Dwudziesty trzeci czerwca, za siedemnaście dziesiąta wieczorem.
- Noże kurwa!

Powiódł wzrokiem po serii zdjęć zawieszonych na sznurze do bielizny. Po kolei. Na drugim deskorolkowcy jechali w stronę Bjorns tradgSrd. Na trzecim byli pośrodku Gótgatan; nad ich głowami migotała gęstwina kroczących nóg. Na czwartym zniknęli za koronami drzew, zmierzając w kierunku rampy w Bjorns tradg&rd; w zamian widać było początek Tjarhovsgatan. Na chodniku panował chaos. Pośrodku zobaczył chłopaka pędzącego w stronę obiektywu. Razem z nim biegli inni z chorągwiemi i pasiastymi szalikami. Wyglądali na zdenerwowanych. Kilku z nich coś krzycało. Chłopak miał jasne potargane włosy i wąsy zachodzące za kąciki ust. Trzymał coś w ręku. Chavez zainteresował ów przedmiot. Sara wskazała palcem na następne zdjęcie. Było to powiększenie dłoni.

W dłoni widoczny był uchwyt kufła od piwa.

- Morderca z Młyna. - Chavez nie mógł złapać oddechu.

Pociągnął za zdjęcie, aż odskoczyły klamerki. Przyjrzał mu się uważnie. Przy ścianie jednego z domów stała grupka czterech mężczyzn. Ich twarze były niewidoczne. Za to twarz człowieka przeciskającego się przez drzwi dobrze już znał. Wyglądał znacznie lepiej niż po śmierci. 1C. Szofer mercedesa z Siekli.

Czekało na niego dwóch mężczyzn. Równie ciemnoskórych. Odróżniali się wyraźnie od grona kibiców z Bajen.

Chavez zerwał ostatnią fotografię. Morderca z Młyna zniknął. Zniknęła również trójka mężczyzn. Banda 1 wyparowała, gdy tylko ze środka wyszedł 1C. Z kolei grupa przy ścianie budynku była bardziej wyraźna. Jedna z osób była mu nieobca. Chavez znał tę gębę ze zdjęć więziennych. Sven Joakim Bergwall. 2B. Również on zdążył już opuścić ziemski padół.

Banda 1 i Banda 2.

Portret grupowy.

W matowym czerwonym świetle Sara Svenhagen wyjęła arkusz papieru fotograficznego z opakowania, wsunęła go do powiększalnika i nakierowała na niego słabe światło przez kilkadziesiąt sekund. Potem uniosła go w górę dziwną plastikową pincetą i zanurzyła w wypełnionej płynem kuwecie. Obróciła. Na ich oczach wyłonił się obraz.

Banda 2 zdążyła uciec. Z Młynu wyszedł ostatni mężczyzna. Ledwo było go widać zza kibiców. Wystawały tylko fragmenty postaci.

- „Policjant” - zacharczał Jorge.
- Co? - zdziwiła się Sara.
- Jesteś geniuszem, Saro Svenhagen. Jesteś po prostu geniuszem!

Położył obie dłonie na jej policzkach. Świeciła ciemną czerwienią w ciemnościach. Pocałował ją i opadł na podłogę. Wsunął głowę pod jej T-shirt i przesunął głowę od brzucha do piersi. Chciał poczuć smak jej skóry.

Sara Svenhagen spojrzała w dół na swój wielki brzuch i pogłaskała go delikatnie.

Pomyślała, że wygląda, jakby świecił swoim własnym, wewnętrznym światłem.

PAUL Hjelm siedział na kanapie. Dawno już tego nie robił. Dawno już nie był w domu. Ledwo pamiętał, jak to jest. Otaczał go jakiś dziwny spokój, jakby znalazł się pod szklanym kloszem.

Wokół nie było już jednak równie spokojnie. Szeregowy dom w Norsborgu wypełniała bieganina rodziny. Z oddali, z domu sąsiada, dochodził dobrze mu znany sygnał *Wiadomości*. Była dziewiąta i wszyscy wychodzili. Po raz pierwszy od dawna miał czas, by się zreflektować, że dzieci są już dorosłe. Żadnych uścisków. Żadnego przytulania. Żadnego czytania na głos. Już tylko ciągnący się bez końca wymarsz.

Danne miał siedemnaście lat i szedł pograć w piłkę. - W piłkę o dziesiątej wieczorem?! - wrzasnął ojciec Paul. - Trudno się wpasować - odpowiedział Danne profesorskim tonem. Na tym zwykle kończyły się ich rozmowy. Czy będą mieć jeszcze czas, żeby to naprawić? Czy było już za późno? Czy już na wszystko było za późno? Czy któregoś dnia - jak ci mili Lindbergowie w Trollhattan - otrzyma wiadomość, że jego dobrze wychowany syn został neonazistą i brutalnym przestępcą? Jak zareaguje? Czy to można przeżyć? Miał niezbyt przyjemne skojarzenia - dobrze wychowany Niklas Lindberg został oficerem, jego własny dobrze wychowany syn chciał zostać policjantem.

Teraz jednak biegał w kółko jak szalony, oskarżając wszystkich, łącznie z nowo zakupioną papugą, o to, że celowo i złośliwie schowali jego ochraniacze. W końcu je znalazł, owinięte w jego własny stary, zaśmierzdły ręcznik. Lekko speszony wyszedł z domu.

Została Tova. Piętnastoletnia i bez reszty opętana. Zupełnie jakby postradała zmysły. Paul nie miał rodzeństwa, a piętnastoletnie dziewczyny były dla niego *terra incognita*. Zdumiewała go burza hormonów. Córka wybierała się na dyskotekę, już trzeci raz w tym tygodniu. Nie wiedział, jak bardzo powinien się martwić. Dyskoteka brzmiała zawsze lepiej niż *rave party*, a matka Cilla zapewniała go, że to spokojne miejsce, w którym bawią się sami abstynenci. Jakby dzięki temu miała zarobić kilka dodatkowych punktów u córki, która zdawała się nienawidzić swojej matki najbardziej na świecie. Dopiero później dotarło do niego, że chodzi tu raczej o miłość, nie nienawiść; świadczyły o tym ich niektóre spojrzenia. Zupełnie jakby prowadziły z nim jakąś grę. Nie potrafił się w tym wszystkim odnaleźć.

- Dwunasta! - pisnęła Tova. A myślał, że tylko chłopcy przechodzą mutację.
- Dwunasta! - zaskrzeczała papuga, która z całą pewnością przechodziła mutację. Normalnie rzuciłby kapciem w przebrzydłą pokrakę, ale dziś był na nią odporny. Siedział pod kloszem i przyglądał się grze aktorskiej z innej planety. Ale miał zabawę!
- Jedenasta! - odpowiedziała im skrzekiem Cilla. - Mógłbyś czasem coś powiedzieć, Paul, a nie siedzisz jak jakaś niedołęga.

Niedołęga? To są jeszcze tacy? - zamyślił się Paul pod kloszem. Ani drgnął.

Chwilę po tym, jak Tova wyslizgnęła się na zewnątrz, Cilla dobiegła do otwartych drzwi i wydarła się na całe gardło:

- Jak wrócisz do domu po jedenastej, to poderżnę ci gardło!

Hm, pomyślał Paul pod kloszem. Czy tak wygląda dobre wychowanie? Czy to jest wzór tolerancji i wzajemnego zrozumienia?

- Niedołęga! - rzuciła Cilla do żelka na kanapie, ubierając się do wyjścia.
- Niedołęga - skrzeknęła papuga.
- Myślałem, że jesteś kierowniczką oddziału - odpowiedział niedołęga. - I macie normalne godziny pracy?

- Myślisz, że cię zdradzam? - zachnęła się. - Co? Myślisz, /●■
biegnę na numerek z doktorkiem?

Nawet nie przyszło mu to do głowy. Teraz nie będzie mógł przestać o tym myśleć, wiedział na pewno. Był tylko jeden sposób. Chwilowe zapomnienie. Spojrzał łapczywie na wciśnięte w kąt pianino, obiekt nienawiści całej rodziny, z wyjątkiem jego samego. Dla równowagi musiał zgodzić się na papugę - choć długo opierał się ich ciągnącemu się latami namolnemu jęczeniu.

Najgorzej było, gdy zaczynała naśladować jego grę na pianinie. Przeciętą. Koszmar.

- Nie - zaczął i już nie dokończył.

Cilla westchnęła cicho i machnęła pojednawczo ręką.

- Przepraszam - powiedziała. - Tova doprowadza mnie do szaleństwa. I jeszcze ta praca. Czasem muszę wziąć nocną zmianę. Inaczej wszystko się posypie. Jesteśmy przeciążeni, przecież wiesz.

- Wiem. Idź już. Baw się dobrze w miarę możliwości.

Szybki pocałunek w policzek. Nic więcej.

Przez chwilę siedział jeszcze pod kloszem. Czekał, aż zrobi się całkiem bezpiecznie. Potem go rozbił. Jedno uderzenie i klosz rozpadł się na kawałki. Podeszedł do pianina. Podniósł klapę. Usiadł. Położył dłonie na klawiaturze. Delektował się.

A potem już grał. Krótka, wyuczona sekwencja dźwięków. *Misterioso*. Monk. Piękne, niezwykle dźwięki. Oddał się odważnym improwizacjom. Zaczął nucić. Ale nie śpiewał. Tak daleko jeszcze nie zaszedł.

Zastanawiał się dlaczego. Chociaż nie, teraz po prostu grał.

Zamiast niego śpiewała papuga. Szkaradnym piskliwym głosem.

Paul Hjelm zaśmiał się i grał dalej.

Jednak śpiewać nie zaczął.

BYŁA środa rano. Lub też bardziej dobitnie: był ostatni poranek czerwca w tym stuleciu.

Jan-Olov Hultin wolał zdecydowanie środę rano. Nie widział najmniejszego powodu, żeby uderzać w kliwie tony. Dochodzenie szło wyjątkowo ociężale. Wciąż czuł się jak zardzewiały.

Siedział, czekając przy mównicy. Zdążył przejrzeć papiery od egzaltowanych techników kryminalistycznych z szeregów Brynolfa Svenhagena. Kolejne informacje na temat broni. Lista miejsc, gdzie natknięto się na rosyjskie pistolety IŻ-70-300, przesłana przez Interpol, nie miała końca - Bośnia, Chorwacja, Serbia, Czarnogóra i wiele innych.

Oprócz tego lista miejsc, do których trafiły skradzione kilka lat temu z Boden pistolety maszynowe. Jak się tego można było spodziewać, kilka z nich dostało się w ręce skrajnie prawicowych ugrupowań w całej Europie; dwa trafiły do faszystowskiej organizacji działającej na terenie Bułgarii, a kolejne dwa do duńskiego gangu motocyklowego. Niewykluczone, choć nie miał na to żadnych dowodów, że Sven Joakim Bergwał i Niklas Lindberg osobiście włamali się do magazynu broni w Boden. I jeszcze ładunek wybuchowy. Pojawiły się nowe przesłanki sugerujące, że ten łatwo wybuchowy płyn został wyprodukowany na potrzeby południowoafrykańskiej służby bezpieczeństwa w czasie ostatnich lat apartheidu, prawdopodobnie z zamiarem użycia go na jednym z międzynarodowych zlotów Afrykańskiego Kongresu Narodowego. Nie było jednak na to dowodów.

Hultin podniósł wzrok i westchnął. Jeszcze nie czas. I n i A musiała zaczekać.

Próbował spojrzeć na sprawę z dystansu, podsumować ją i powiązać wątki, ale nie szło mu najlepiej. Czegoś brakowało. Szwedzko-jugosłowiański kartel narkotykowy, samotny szwed/ki „policjant”, nacjonaści, profesjonalny ładunek wybuchowy z RPA, ciała zbrodniarzy wojennych z byłej Jugosławii. Śmierdziało na odległość, nic więcej nie potrafił jednak powiedzieć. Potrafił natomiast zgadywać. Czy nad tą sprawą nie unosiło się widmo dalszego ciągu? Czy rzeczywiście to, czym się zajmowali, było zakończoną zbrodnią - czy też jej fazą początkową? Czy ci neonaziści chcieli tylko obrabować narkotykowego bossa? Nic więcej? Czy pieniądze - albo to, co znajdowało się w domniemanej teczce - nie miały zostać użyte w konkretnym celu? Stapał po coraz cieńszym lodzie.

Przeszedł do sygnowanego przez kierownictwo Komendy Głównej zestawienia ostatnich przestępstw na terenie kraju. Jak na dłoni było widać, że krwawa wiosna przerodziła się w równie krwawe lato. Po strzelaninie w Malexander dokonano kolejnych napadów na funkcjonariuszy - ostatni raz w Malmö, gdzie ściągnięty do porzuconego samochodu policjant oślepl w wyniku eksplozji po otwarciu drzwi. Był to atak skierowany bezpośrednio w nich. Coś nowego, pomyślał Hultin. Dlaczego na celowniku znalazła się policja? Nowy, niezrozumiały nurt. Przez krótką chwilę pomyślał o World Police and Fire Games. Dwanaście tysięcy policjantów z całego świata miało przyjechać do kraju, w którym na co dzień ginęli policjanci.

Co więcej? W ostatnich dniach w ciężarówce na południe od Sztokholmu znaleziono ciało jakiegoś Norwega powiązanego z międzynarodową siatką przemytników alkoholu i papierosów. Na zachodnim wybrzeżu w okolicach Angelholm i dalej na północ doszło do serii napadów. Dziennikarz śledczy specjalizujący się w szwedzkich neonazistach wyleciał w powietrze razem ze swoim synem w samochodzie w Načka. Wszystko

zdawało się w jakiś dziwny sposób łączyć ze sobą. Ale tylko trochę.

Hultin podniósł wzrok. Nie. Jeszcze nie.

Zaczynał się irytować. Wciąż miał w głowie obrazki z wczorajszego dnia. Mowa Mórnera do policyjnych olimpijczyków, a potem uściski - wciąż czuł, jak wymiociny podchodzą mu do gardła. A teraz to spotkanie, którego nawet sam nie zwołał - i jeszcze ten łobuz miał czelność się na nim nie stawić. Jak gdyby inspektor Jan-01ov Hultin nie miał niczego lepszego do roboty.

Wciąż żadnej odpowiedzi od władz państw byłej Jugosławii z wyjątkiem Słowenii - gdzie ani 1A, ani IB, ani IC nie zostawili po sobie żadnych śladów. Biorąc pod uwagę sytuację w Serbii i Kosowie, trudno było się spodziewać pomocy z ich strony. Bośnia i Macedonia też miały ręce pełne roboty, każda na swój sposób. Wciąż liczył na Chorwację.

Już zamierzał odwołać spotkanie, gdy do środka wszedł główny bohater z triumfalnym uśmiechem na ustach. Jorge Chavez ruszył prosto do białej tablicy i przyczepił do niej, bezpośrednio na poprzednich zdjęciach, trzy porządne powiększenia czarno-białych fotografii. Potrzeba było ośmiu magnesów w kształcie biedronek, by utrzymać każde z nich na miejscu.

- Specjalnie dla was, panie i panowie, przełom w śledztwie. Trzy zdjęcia Tjarhovsgatan przy Bjórns tradgSrd z godziny dwudziestej pierwszej czterdzieści trzy w środę dwudziestego trzeciego czerwca. Tydzień temu. Trudno o zdjęcie z większą liczbą łobuzów.

Hjelm i Holm spojrzeli na siebie.

- Zdjęcia zostały zrobione minutę po tym, jak morderca z Młyna rozbił kufel o głowę Bogu ducha winnego Smalandczyka w pubie, do którego wejście widać tutaj na zdjęciu numer jeden - powiedział Chavez, wskazując palcem. - Pośrodku morderca z Młyna we własnej osobie. Na prawo przy ścianie Banda 2 minus Eskil Carlstedt i Niklas Lindberg, w tym momencie znajdujący się odpowiednio w Młynie i w zakładzie karnym

Kumla. A na górze z lewej Banda 1 w komplecie, łącznie / li stojącym w drzwiach. Szofer merca. W Centrum dowodzenia zaległa cisza.

- Zdjęcie numer dwa - ciągnął Chavez tym samym irytującym tonem triumfatora. - Nie ma już na nim Bandy 1 ani mordercy z Młyna. Lepiej natomiast widać Bandę 2. Mann tu z dużym prawdopodobieństwem, obok 2B, Svena Joakima Bergwalla i naszych trzech nieznanych napastników. Drugi za bity w rzeźni w Siekli, Carlstedt, 2A, został w Młynie, żeby przyjąć ciosy od policji. Zatem cała trójka powinna być przy życiu, choć ranna. Innymi słowy są to trzej z czterech poszukiwanych rzeźników z Siekli. Zdjęcie jest na tyle dobre, że umożliwia identyfikację tych trzech panów, czemu też poświęciłem wczorajszy dzień. Nie było lekko, ale powinno wystarczyć na potrzeby mediów. Pod warunkiem że chcemy się z nimi dzielić naszą wiedzą.

Zamilkł i rozejrzał się po sali. Panowała cisza. Uwaga wszystkich bez wyjątku skupiała się na nim. Zabrał się za rysowanie czerwonych okręgów wokół czterech głów.

- Ten tu t a j to Sven Joakim Bergwall, trafiony w głowę. Po nim ten mężczyzna, prawdziwy więzienny bywalec o nazwisku Dan Andersson, nazywany Danne Kaszanka z powodu blizny po poparzeniu, którego doznał za młodu, przez co duża powierzchnia jego skóry zaszła fioletem. Nie wiemy, dlaczego kojarzy im się to z kaszanką. Andersson ma trzydzieści osiem lat i łącznie został skazany, trzymajcie się, osiemdziesiąt sześć razy, licząc od piętnastego roku życia. Głównie napady na banki. W lutym wyszedł z Kumli, gdzie należał do tamtejszej neonazistowskiej klikki, choć nie wydaje się, by działanie w szeregach skrajnej prawicy było kiedykolwiek jego głównym zajęciem. Dan Andersson jest po prostu zawodowym przestępcą. T u t a j mamy Rogera Sjoqvista, jedynego skazanego za zabójstwo w bandzie. Trzydzieści trzy lata, kulturysta z wojskową przeszłością. Przed dziesięciu laty zamordował dilerę narkotyków, uciekł w trakcie przepustki z Tidahołm

rok temu i cały czas się ukrywa. Jego nazwisko pojawia się trochę częściej w kontekście skrajnej prawicy i istnieje duże prawdopodobieństwo, że również on był zamieszany w niejeden napad na bank. Poszukiwany listem gończym. Na koniec, tutaj, ten niższy z dwóch dobrze zbudowanych panów, technik bandy. Agne Kullberg, nazywany Kulą - raczej trudno, żeby na twardego mówili Agne. Kiblował tylko przez chwilę, wypuszczony sześć lat temu po odsiadce wyroku za pobicie. Spuścił łanie tureckiemu właścicielowi pizzerii w Hagsatrze, który w wyniku pobicia oślepl. Ma trzydzieści sześć lat, kształcił się na inżyniera w Hall, kierunek telekomunikacja. Nigdy jednak nie pracował w zawodzie. Raczej nie pojawia się w kontekście skrajnej prawicy, ale jest członkiem szemranego klubu strzeleckiego, do którego należy dwóch z naszych owianych złą sławą kolegów z policji w Norrmalm oraz Bergwall.

- Skąd, do cholery, masz te zdjęcia? - wybuchnął Hultin ze wzrokiem utkwionym w odbitkach.
- Możemy z tym chwilę poczekać? - zapytał Chavez i ciągnął dalej: - Zostało nam jeszcze zdjęcie numer trzy. Banda 2 zdążyła już zniknąć. Bramkarze powinni byli właśnie zablokować wejście do Młyna. Kibice stoją jeszcze i rozmawiają; wiedzą, że policja zjawi się dopiero za chwilę, nie ma pośpiechu. Kolejka, która według jednego ze świadków składała się z „bandy imigrantów”, jak widać, nie istniała. Sami kibice. Z wyjątkiem tego tutaj mężczyzny, którego niestety tamci prawie całkowicie zasłaniają i który z dużym prawdopodobieństwem jest „policjantem”.

Przyjrzeni się postaci na zdjęciu. Nie było praktycznie nic widać. Tylko lewy kontur. Możliwe, że miał ciemne włosy. Możliwe, że miał na sobie dzinsy. Najwyraźniej widać było prawy but. Nike Air. •

- Zobaczmy, co z tym zrobią technicy - odezwał się Chavez - pracują na pełnych obrotach.
- Skąd masz te zdjęcia? - powtórzył Hultin z lodowatym spokojem.

Chavez spojrział na niego. Pauza. Mieli wrażenie, że ciągłi " w nieskończoność. Próba sił. Hjelm pomyślał, że to zapowiol/przyszłej walki o władzę.

- Zostały zrobione z pobliskiego wysokiego punktu - powie dział Chavez, nie mówiąc w zasadzie nic.
- Połzwód Haghmda - ucieszył się chłopak z Sóder, Sóderstedt.

Chavez milczał.

- Skąd masz te zdjęcia? - powtórzył Hultin, zachowując łowowaty spokój.

Chavez wyrwał się z uścisku, oparł się o liny i odetchnął.

- W tej chwili nie mogę powiedzieć.
- Do pokoju - warknął Hultin.

Chavez pokiwał głową.

- Pozwól mi najpierw podsumować. Hultin pozwolił mu najpierw podsumować.

- Wykres czasu - zaczął Chavez i po hultinowsku zabrał się do rysowania fali na białej tablicy. - Gdzie zaczyna się ta historia? Co jest pierwsze? „Policjant” przygotowuje atak na Rajko Nedicia. Dlaczego? Czy ma coś do sprzedania? Czy to szantaż? Czy początek współpracy? Kontaktuje się z Nediciem, a Nedić zgadza się dostarczyć to, co aktualnie znajduje się w osławionej teczce. Coraz więcej przemawia za tym, że chodzi o pieniądze. W jakiś sposób ktoś z Bandy 2 dowiaduje się o planowanym przekazaniu. Zakładając, że Niklas Lindberg jest szefem, można sobie wyobrazić, że właśnie on zdobył tę informację albo jego nazistowska klika w Kumli. Być może od Lordana Vukoticia - prawej ręki Rajko Nedicia. Do Bandy 2 należą również Sven Joakim Bergwall i Dan Andersson. Andersson wyszedł w lutym, więc prawdopodobnie jest już na wolności, gdy informacja do ciera do „kliki”. Zostaje Bergwall, który siedzi do maja, i Lindberg, którego wypuszczają rankiem dwudziestego czwartego czerwca. Być może udaje im się podsłuchać rozmowę Vukoticia z kimś w więzieniu. Rozumieją, że chodzi tu o coś naprawdę

dużego - pewnie dużą sumę pieniędzy - korzystają więc z okazji i organizują bandę, do której wchodzi kumpel z kicia Dan Andersson, inżynier Agne Kula Kullberg, kolega Bergwalla z kola strzeleckiego, oraz dwóch kompanów o skrajnie prawicowych poglądach, dotychczas niekarany Eskil Carlstedt i morderca Roger Sjöqvist. Z czasem dowiadują się o spotkaniu w Młynie. Okazuje się, że odbędzie się wieczorem dzień przed wyjściem Niklasa Lindberga. Wydaje mu się pewnie, że jest w tym jakiś ukryty sens. Jeszcze tego samego wieczoru łamie kości Lordanowi Vukoticiowi, żeby wydobyć z niego wszystkie informacje lub żeby tylko się zabawić. Fakt, że Vukotić milczy na temat pobicia, świadczy o tym, że nie o rozrywkę tu jednak chodzi. Lindbergowi udaje się wydobyć sporo informacji, prawdopodobnie wstępne decyzje dotyczące miejsca przekazania pieniędzy - konkrety zostaną dopiero ustalone w Młynie przez „policjanta” i ludzi Nedicia, Bandę 1. „Policjant” wybiera uczęszczany Młyn, ponieważ boi się ludzi Rajko Nedicia; pewnie wie, do czego są zdolni po zbrodniach w byłej Jugosławii. Możliwe, że omawiają również kwestie bezpieczeństwa: chcą mieć pewność, że zarówno „policjant”, jak i Banda 1 wrócą stamtąd żywi. Być może właśnie tego dotyczy rozmowa po angielsku. Na miejscu jest w każdym razie pięciu ludzi: dowodzący Sven Joakim Berg-wall, Eskil Carlstedt, Dan Andersson, Roger Sjöqvist i Agne Kullberg, ten ostatni ze słuchawką w uchu. Udało mu się zainstalować mikroskopijny podsłuch pod stołem, przy którym „policjant” negocjuje z Bandą 1. Gdy do lokalu wtaczają się kibice, mają już w zasadzie wszystko ustalone. Wokół robi się gorąco, ale oni siedzą dalej. Banda 2 siedzi przy stole pod przeciwległą ścianą i nasłuchuje, choć bez przerwy przeszkadzają im kibice. Najwyraźniej jednak udaje im się ustalić konkrety - druga w nocy na terenach przemysłowych Siekli. Chwilę później jeden z kibiców wpada na genialny pomysł, żeby rozbić kufel o głowę Smalandczyka. Banda 1 i Banda 2 dochodzą równoległe do wniosku, że trzeba się zwinąć. Dokonują szybkiej oceny sytuacji.

Wszyscy goście lokalu stali się świadkami. Żadna z band nu pozostanie niezauważona. Policja będzie szczegółowo analizować ten wieczór w Młynie. „Policjant” upewnia się, że jugolc prysną przed nim - nie chce, by kojarzono ich jako grupy. Zostaje o kilka sekund za długo i żeby wyjść, musi pokazać legitymację. Myślę, że to pomysł Bergwalla, żeby na miejscu został Carlstedt, jedyny niekarany. Ma za zadanie przyjąć ciosy i przemienić tajemniczą grupę ze słuchawkami w grupę kolegów handlowców, którzy wyszli do miasta na wódkę i dziewczyny. Wszystko gra. Spędzają noc na omawianiu planu. Carlstedt zostaje i sprzedaje policji bajeczkę. Bergwall, Andersson, Sjöqvist i Kullberg jadą do Kumli, żeby odebrać Lindberga. Może nie wspomniał im, że zamierza wysadzić jedną z cel w powietrze - stoją tam jak gdyby nigdy nic. Możliwe, że robi to, żeby zaznaczyć, kto tu jest szefem. Jak wiadomo, insygnia władzy są w cenie wśród kryminalistów. Potem odbierają Carlstedta; może siedzą w ciężarówce przed komendą i czekają, aż Paul i Kerstin skończą przesłuchanie. Może cała szóstka zaraz potem gdzieś się zaszywa i planuje nocną akcję. Krótco przed drugą jadą do Siekli, montują bombę i czekają. O drugiej nadjeżdża mercedes. Gdzieś w pobliżu czeka „policjant”. Prawdopodobnie słyszy wybuch. Rozumie, że *coś* poszło nie tak. Ucieka. Lindberg, Bergwall, Carlstedt, Andersson, Sjöqvist, Kullberg ruszają w stronę samochodu. Wybuch spowodował ten sam ładunek co w celi Vukoticia. Ekspłduje dokładnie pod tylnym siedzeniem. W Młynie było trzech mężczyzn plus „policjant”, prawdopodobnie w samochodzie siedziała właśnie ta trójka. Jeden z nich - z tyłu. Wiele wskazuje na to, że właśnie on ma teczkę, a że w środku są pieniądze, jest ona odporna na wybuch. Widać pomyśleli. Mężczyzna na tylnym siedzeniu, 1A, wylatuje w powietrze. Dwaj pozostali zostają zmuszeni do wyjścia z samochodu i ustawieni po jego obu stronach, IB od strony pasażera, a 1C od strony kierowcy. Zostają przeszukani. Bergwall okrąża samochód i staje po drugiej stronie. Carlstedt podchodzi i bierze

teczkę, przecina łańcuch obcęgami, które, tak na marginesie, zostały odnalezione. Potem sprawy się komplikują. Coś ich dekoncentruje. Doświadczeni w użyciu broni zbrodniarze wojenni IB i IC mają, co potwierdzili technicy, rodzaj wewnętrznych kieszeni w rękawach marynarki, gdzie mogą ukryć pistolety IZ-70-300 i w mgnieniu oka je wydobyć. Coś jak Robert de Niro w *Taksówkarzu*. Dochodzi do wymiany ognia. IB strzela przez ramię Bergwallowi w oko. Carlstedt, który trzyma teczkę, nie może wydobyć broni i wybiera ucieczkę. IC strzela mu w plecy. Zostaje trafiony w serce i umiera w momencie, gdy dobiegł w bezpieczne miejsce. IC zdążył już dostać, mimo to strzela dalej i pada trupem z pięcioma kulkami w ciele. Leży też IB, trafiony sześciokrotnie. Wydaje się, że wciąż jeszcze żyje, bo Niklas Lindberg - lub też Sjöqvist bądź Kullberg - podchodzi i oddaje do niego osiemnaście strzałów. Mężczyzna w reebokach rozmiar czterdzieści znajduje teczkę zalaną krwią Carlstedta. To Kullberg, najmniejszy z nich; nosi czterdziestkę. Postrzelony to Dan Andersson, Danne Kaszanka, grupa krwi AB Rh minus. Sądząc po *ilości* rozlanej krwi, ostro oberwał, nie trafia jednak do szpitala, więc jeśli grupa się nie rozdzieliła, tylko knuje coś dalej, to Andersson jest wciąż z nimi. O ile oczywiście się go nie pozbyli. Na tym etapie mógł stać się dla nich niepotrzebnym ciężarem. Spośród rzeźników z Siekli cali i zdrowi są: Roger Rogge Sjöqvist, Agne Kula Kullberg. I oczywiście Niklas Lindberg. Co słychać u pozostałych? Są jeszcze dwie strony: „policjant” i Rajko Nedić. Czy „policjant” czyni jakieś kroki? Prawdopodobnie nie. Prawdopodobnie czeka, aż Nedić odzyska pieniądze, albo domaga się nowej kasy. W końcu to nie jego wina, że Nedić zawalił sprawę. Nedić nie zawala. Nie dopuszcza takiej myśli. W jego nielegalnym biznesie wszystko chodzi jak w szwajcarskim zegarku. Udaje mu się prowadzić szeroko zakrojony handel narkotykami, a przy tym cieszy się życiem na wolności jako uczciwy restaurator. W jego życiu niewiele się do tej pory spieprzyło. Pewnie gotuje się teraz ze złości. Ale sytuacja się zmieniła, i to zarówno

dla Nedicia, jak i dla „policjanta”. „Policjantowi” nie ma czego zazdrościć - raczej nie przewidział, że z powodu jego pieniędzy zginie pięciu ludzi, raczej też nie uśmiecha się mu, że wokół (ego małej transakcji) węższy teraz cała gromada kolegów po fachu. Nic nie może przejść niezauważone. Nedić wie, że jesteśmy na jego tropie. Zdaje sobie sprawę, że wiemy więcej, niż podają media. Musi znaleźć rozwiązanie, dzięki któremu odzyska pieniądze, ukarze bandytów oraz zadowolony „policjanta”. Albo go sprzątnie. „Policjant” musi zdawać sobie sprawę, że ryzyko wzrosło. Na pewno się zabezpieczył. Najprawdopodobniej teraz: Banda 2 ukrywa się przed Rajko Nediciem, Nedić dyszy im na karku, „policjant” się stresuje, ale nic nie robi. *End of story.*

Pokój Hultina. Speszony licealista na dywaniku u dyrektora. Choć może nie do końca. Ale też nie zbuntowany ani nastawiony na karierę kolega. *Nie!* Dumny człowiek. Dumny człowiek, który trzyma się racji - wcale zresztą nie jego - w obliczu najwyższej władzy.

Najwyższa władza poczuła się zmęczona.

Jorge Chavez był najlepszą zdobyczą Jana-01ova Hultina. Jego własną, osobistą. Reszta Drużyny A powstała dzięki rekomendacjom z różnych okręgów policyjnych, ale Chavez znalazł sam. Czarnego glinę z Norrlandu, jak ten sam siebie nazywał, na służbie rodem z koszmarów w Sundsvall. Okazał się strzałem w dziesiątkę. Najbardziej energiczny policjant, jakiego Hultin kiedykolwiek spotkał. A teraz ta - jak to się nazywa - niesubordynacja? Kompletny brak posłuchu. Rewelacyjne odkrycie - zdjęcia - i kompletnie niezrozumiała odmowa ujawnienia ich źródła.

Spojrzał na Chavez. Weźmie go na przeczekanie. Zaczeka.

- To skomplikowane - wydusił w końcu Chavez.

Nic więcej. Hultin czekał dalej. Ciąg dalszy był w tym samym stylu:

- Konflikt moralny. Dylemat etyczny. Zdjęcia pomogły nam w identyfikacji. Nie potrzebujemy ich już. Gra skończona.
- Nie do końca - odezwał się Hultin. - Musimy dać mediom zdjęcie mordercy z Młyna.
- Ale możemy to zrobić, nie ujawniając źródła.

A potem już bardziej potulnie:

- Z chwilą gdy ci o tym powiem, Janie-Olovie, dowie się też o tym Mórner, komendant główny i całe cholerne kierownictwo.
- Niekoniecznie - odparł ze spokojem Jan-Olov Hultin.
- Ależ tak - powiedział Chavez, patrząc mu w oczy. - Nie możesz sobie pozwolić na to, żeby ukrywać coś przed Mórnerem po sprawie mordercy z Kentucky. Dostałeś drugą szansę i nie masz zamiaru jej zmarnować.

Hultin zatrzymał jego spojrzenie.

- I tu się mylisz, Jorge. Jest całkiem na odwrót. Ja nie mam już nic do stracenia. Zupełnie nic.

Chavez przełknął głośno ślinę i podjął decyzję.

- Zostały zrobione przez pedofila z Söder Torn. Z półwzwo-du Haglunda, jak powiedział Arto. Został zatrzymany przez Sarę Svenhagen, może znasz.
- Znam ją od dziecka. Córka Brynolfa. Świetna policjantka.
- Ale przełożony Sary kazał jej prowadzić sprawę na własną rękę. Nie wolno jej nikomu ujawniać szczegółów dochodzenia. Nawet swojemu zespołowi.
- Inspektor Hellberg - powiedział Hultin i poczuł, jak ogarnia go zmęczenie. - Bardziej n o w o c z e s n y w porównaniu ze mną. Wiesz dlaczego?
- Nie mam pojęcia - przyznał Chavez. - Wiem tylko, że Rag-nar Hellberg związał ją tajemnicą milczenia. Złamała ją już w chwili, gdy pokazała mi zdjęcia. Wywołała je samodzielnie. U siebie w domu. Bo miała przeczucie, że pedofilowi udało się uchwycić moment po zabójstwie w Młynie. Strzał w dziesiątkę, jak się okazało.

- U siebie w domu? - zdziwił się Hultin.

Chavez zamilkł. Milczący i dumny. Dumny ze swego mile/c nu

- Dlaczego robisz sobie z jej powodu taki kłopot? - dod. it
Hultin, choć powoli zaczynał rozumieć.

Jorge Chavez zrobił krok do przodu, pochylił się nad biurkiem
i powiedział, czysto i wyraźnie:

- Bo ją kocham.

A ONA kochała jego. Brzmiało to trochę patetycznie.

Wiedziała, jak należy postępować z miłością. Miłość powinna rozwijać się w swoim tempie i powinno się o nią dbać, potrzeba czasu i wysiłku, aby z kimś się związać, miłość to nie coś, co po prostu się zdarza, hop-siup i po wszystkim. W żadnym wypadku nie wierzyła w miłość od pierwszego wejrzenia. Choć może całkiem pierwsze to ono nie było.

Ale prawie.

A wydawało jej się, że jest odporna. Że zbyt dużo widziała i słyszała, żeby mogły osiągnąć ją strzały Amora. Że strzały pedofilów pozbawiły ją życia uczuciowego. Zrozumiała, jak siły jest człowiek i ile potrafi tak naprawdę wytrzymać.

W jej głowie kłębiło się *od* pytań. Czy to naprawdę jest miłość? Czy nie pojawił się po prostu w chwili, gdy była w rozsypce? Czy nie uwiódł jej podstępnie słowem? Czy nie padła ofiarą klasycznego latynoskiego rytuału uwodzenia?

Ale to nie pomagało. Nie mogła przestać o nim myśleć. Czuła się szczęśliwa, pełna oczekiwania, stęskniona. Wstąpiła w nią jakaś nowa energia, pracowała jak nigdy dotąd.

Bo miłość, co ciekawe, nie działała na nich paraliżująco, jak wtedy, gdy mieli po kilkanaście lat. Pewnie można było to nazwać miłością dojrzałą, która miała pozytywny wpływ również na pracę. Oboje zasuwali na jeszcze większych obrotach, chociaż trudno to było sobie wyobrazić. Obojgu też wydawało się, że ich myślenie zyskało na ostrości. Jorge zrobił podsumowanie rzeźni w Siekli, Sara po raz pierwszy miała ogląd całej sprawy.

Zostały jej dwie rzeczy do zrobienia. Po pierwsze mu sprawdzić listę - listę adresów, na której znalazła Johna Amina > sa Witreusa, tę, która pojawiła się na znikającej stronie w Intel necie. Po drugie musiała sprawdzić komputer - komputer Johna Andreasa Witreusa. Wykorzystując ślady zostawione w pamięć jego komputera, postanowiła dotrzeć do strony, która wychwycała jego adres mailowy i dodała go do listy adresowej. Tej, którą początkowo wzięła za pedofilską sieć. Była to raczej potencjalna sieć. Ktoś zbierał adresy osób, które weszły na daną stronę. Musiała ją namierzyć, by potem zidentyfikować stojących za nią ludzi.

Była to uciążliwa praca, a ona siedziała w niej po uszy, nie mogąc liczyć na żadną profesjonalną pomoc. Z drugiej strony na tym etapie sama była już profesjonalistką. Zaczynała mieć poczucie, że może zrobić wszystko, jeśli tylko ma do dyspozycji komputer i łącze telefoniczne.

Jak w tym świecie można było w ogóle chodzić z podniesioną głową? Wszystko było na sprzedaż. Wszystko można było kupić. Jeśli się miało wystarczająco dużo pieniędzy. Ilu ludzi na świecie było w to zamieszanych? Na co tak naprawdę natrafiła? Czy było to - piekło?

Przez chwilę tak jej się właśnie wydawało. Prawdziwe biblijne piekło. Jakby od zawsze pod naskórkiem codzienności płynął podziemny strumień, który zmieniał się w zależności od czasów, wciągając podatnych ludzi. Co decydowało o tym, że niektórzy stawali się podatni?

Dopadł ją wirus teorii spiskowych, który prędzej czy później dopada każdego hakera. Większość wierzyła, że spiskuje rząd amerykański, który skrywa fakt istnienia UFO, a w Afryce dla testów zaraża ludzi wyprodukowanym w laboratoriach wirusem HIV. Inni wierzyli wciąż w komunizm i teorię domina. Jej samej wydawało się - powinna mieć się na baczności - że nawet te teorie nie wyjaśniały wszystkiego. Za wielkim spiskiem nie stały oczywiście elity, kierujące działalnością z jakiejś kwatery

główniej, jak w tanim kryminale - chodziło tu raczej o niewidzialną ideologię. Nie potrzeba było pograniczników z krwi i kości; chodziło o to, żeby ideolog zamieszkał w ludzkich głowach. Wiek dwudziesty był czasem demokracji, ale również czasem najintensywniejszego zwalczania demokracji, i to z jej wnętrza. Jak to się stało - a stało się wskutek działania rynku, największej i tak naprawdę jedynej współczesnej ideologii, jednolitego i nieelastycznego systemu myślowego, który opierał się wyłącznie na maksymalizacji zysku - jak to się stało, że ludzie uwierzyli w swoją władzę, choć tak naprawdę zostali jej pozbawieni? Oczywiście, przez odebranie im zdolności myślenia. W reklamie chodzi o to, żeby ludzie przestali myśleć i zamiast tego zorientowali się na serię dopracowanych, wyidealizowanych obrazków. Sprzedawcy marzeń. Jakie były tego konsekwencje? Zalew ogłupiającej rozrywki telewizyjnej, przez którą każdy nastolatek chciał zostać prezenterem, fiksacja na punkcie celebrytów, pornografia, sportowa histeria, myślenie kategoriami etnicznymi, przymus bezustannego dokonywania absurdalnych wyborów, od firmy odbierającej śmieci po dostawcę prądu, ograniczenie myślenia o ekonomii do własnego portfela, którego zawartość coraz bardziej zależała od kursów akcji, i biologizm, który Sara Svenhagen traktowała jako uwięczenie narzuconego odgórnie przeświadczenia: że nie stanowimy o naszym życiu. Nasze mózgi zostały zmielone na papkę, nasza pewność siebie dostatecznie podkopana, żeby przyjąć śmiertelny cios: pogodzić się z myślą, że nieważne, co takiego robimy i czego doświadczamy, za wszystko i tak odpowiadają geny. Media przemówiły wspólnym głosem: niech ci się nie zdaje, że masz na cokolwiek wpływ, o wszystkim zdecydowały już pokolenia przed tobą.

Jeśli w twojej rodzinie był pedofil, to ty też nim będziesz. Po co więc opierać się pokusie. I tak już wszystko zostało postanowione.

Czuła, że powoli zaczyna tracić nerwy. Czas wrócić do rzeczywistości.

W komputerze Witreusa znalazła linki do wielu stron pedofilskich - większość z nich była jej dobrze znana, kilka ukrywała się za fałszywymi nazwami w stylu „Kalendarium wydarzeń na Uniwersytecie Góteborskim” czy „Spitfire aeroplanes. An historical outlook”. Mogło to być cokolwiek, gdziekolwiek, kiedykolwiek. Kolejny raz ukazał jej się równoległy wszechświat. Co chwila natrafiała na różnego rodzaju listy adresowe.

Przede wszystkim jednak natknęła się na nieznaną jej wcześniej pseudonimy. Pojawiały się na stronach internetowych przy okazji dziwnych anonsów i wszystkie były skojarzone z adresami mailowymi w stylu xxxxxxx@hotmail.com. Wydobyła ich całkiem sporo: „crushy_tomboy”, „limmeystone”, „rippo_man”, „sweetfacepowder”, „lungan” i „brambo”. Na ich podstawie dotarła do adresów IP. Nie było to wcale łatwe. Nie popełnili błędu Johna Andreasa Witreusa. Numery IP należały do instytucji publicznych na całym świecie. Wyżej wymienione do instytucji szwedzkich.

Weszła na serwer główny policji. Szukała materiałów dochodzeniowych w sprawie tych sześciu internautów ukrywających się pod pseudonimami. Trzech z nich występowało wyjątkowo często i udało się ich zatrzymać. Zostali „rippo_man”, „sweetface-powder” i „brambo”. W bardziej obszernym materiale dotyczącym międzynarodowej akcji Operation Cathedral znalazła w końcu „rippo_mana” i „sweetfacepowdera”. Przebywali w Szwecji - udało się namierzyć komputery, z których logowali się do sieci.

Teraz komplikowało się naprawdę.

Szczegółowa analiza materiału dochodzeniowego dała następujący wniosek: na wszystkich tych stronach był już jakiś policjant. „Rippo_man” występował zawsze w towarzystwie „bramba”.

Ale „brambo” zniknął.

„Brambo” nie widniał w materiale dochodzeniowym.

Mimo to policjant, który wprowadził tam „rippo_mana”, musiał wiedzieć również o „brambie”. Wprowadzenie „rippo_mana” bez „bramba” było poważnym wykroczeniem zawodowym.



A „rippoman” był już skazany za rozpowszechnianie pornografii dziecięcej i przemoc seksualną wobec dzieci. Był dwudziestoczteroletnim studentem medycyny z Linköping, który od kwietnia odsiadywał czteroletni wyrok w Hall.

Dlaczego, do diabła, w dochodzeniu brakowało pseudonimu „brambo”?

Im dłużej szukała, tym bardziej uwidaczniał się wzór.

Śledczy celowo usunął „bramba” z dochodzenia. Co więcej, śledczy był członkiem jej zespołu. Oddziału policji do spraw pedofilii.

Poczuła, jak zalewa ją fala obrzydzenia.

Kliknęła strzałkę suwaka; tekst przesunął się w dół ekranu. Chciała zobaczyć początek dokumentu.

Z nazwiskiem śledczego.

Właśnie wtedy zadzwonił dzwonek do drzwi.

Wiedziała, kto to. Czekala na niego przez cały dzień. Kochała go.

Ale nie wolno jej było tego powiedzieć. Nie teraz.

Tekst przesunął się po ekranie. Kolejny dzwonek.

Musi zobaczyć to nazwisko. Teraz.

Dalej, pokaż się!

- Zaczekaj! Już idę! - krzyknęła zdesperowana.

Kolejny dzwonek.

Tekst się zatrzymał. Zobaczyła nazwisko.

Wiedziała.

Inspektor Ragnar Hellberg.

Zamknęła dokument i pobiegła do drzwi.

Jorge Chavez pomyślał, że nigdy nie zapomni, jak mocno go wtedy przytuliła.

W PIĄTEK drugiego lipca Hammarby przerwało ciąg porażek. Wygrana 3:0 z Norrköping w meczu u siebie. Ustąpiła niemoc strzelecka Hansa Berggrena. Kennedy Bakircioglu zdobył swojego pierwszego arcyszwedzkiego gola.

Być może spowodowały to poranne wydarzenia.

Krótko przed dziesiątą do komendy przy Agnegatan weszło dwóch mocno wczorajszych mężczyzn. Poprosili o spotkanie z Pauliem Hjelmem i Kerstin Holm. Ponieważ znaleźli się w oddziale wojewódzkim, w recepcji nastąpiła chwila konsternacji. Nazwiska nic nikomu nie mówiły. W trakcie długiego oczekiwania starszy wyższy mężczyzna otaczał ramieniem młodszego i niższego.

W końcu recepcjonistka odnalazła nazwiska Paula Hjelma i Kerstin Holm, zadzwoniła, prosząc jednocześnie obu mężczyzn o zajęcie miejsca na stojącej obok kanapie. Żaden z nich nie usiadł. Było to fizycznie niemożliwe.

Hjelm i Holm stawili się jednocześnie. Natychmiast rozpoznali starszego, wyższego mężczyznę. Był to Jonas Andersson z Enskede, członek zarządu Bajen Fans. Po chwili skojarzyli również tego drugiego. Widniał na czarno-białej fotografii przytwierdzonej do białej tablicy magnesami w kształcie biedronek. Znierzwione włosy i zachodzące na kąciki ust wąsy były na tym etapie śledztwa doskonale im znane.

Nie spodziewali się jednak zobaczyć czerwonych od płaczu oczu mordercy z Młyna.

- Znalazłem go dziś rano przed klubem - oświadczył Jonas Andersson z Enskede. - Powiedział, że nie chce już dłużej szkodzić Hammarby.

Kiwnęli głowami.

- Dzięki, Jonas - odezwała się Kerstin Holm. Jonas Andersson uśmiechnął się słabo i odszedł.
- Jak się nazywasz? - zapytał Paul Hjelm mordercę z Młyna.
- Conny Nilsson - odrzekł cicho morderca z Młyna, zupełnie jakby miał związane struny głosowe.
- Dlaczego przychodzisz właśnie teraz?
 - Zobaczyłem swoje zdjęcie w gazecie. Nie rysunek. Zdjęcie. Wystarczy.
 - Rozumiem - powiedział Paul Hjelm, siadając na kanapie dla gości. Poklepał miejsce obok siebie. Conny Nilsson usiadł. Był niski, o korpulentnej budowie ciała. I całkiem roztrzęsiony.
 - Gdzie się ukrywałeś? - zapytała Kerstin Holm i ulokowała się z drugiej strony mordercy z Młyna.
- Postanowili, że już nigdy więcej tak go nie nazwą.
 - W domu - odparł Conny Nilsson. - Mieszkam z rodzicami w Haninge.
- Jak udało ci się ukryć? Masz aż tak lojalnych kumpli?
 - Moi kumple... Nie znam ich, oni też mnie nie znają. Dołączyłem do nich po meczu. Nie zwracali na mnie uwagi. Wkurzało mnie to. No i ten remis. Pokłócili się z jakimiś Smalandczykami w Młynie. Poszły iskry. Tamci ściemniiali, że nie są za Kalmarem. Jeden z nich mnie potracił. Nie wiem, co się stało, mam w głowie totalną pustkę. Chyba chciałem pokazać, że istnieję, że nie jestem jakimś wypierdkiem, którego można ot tak sobie potrać. Dopiero gdy minąłem wejście do metra, poczułem, że trzymam w ręku kawał zakrwawionego szkła. Rzuciłem go w biegu i wskoczyłem do autobusu przy Stadsgarden. To wszystko. Od tygodnia choruję.
- Na zwolnieniu?

- Nie pracuję. Nie ma mi kto dać zwolnienia. Nikt po/i m.il ką nie zauważył, że jestem chory. Któregoś wieczoru usłyszi łem, jak pomstuje na mordercę z Młyna. „W jakim my Świn i« żyjemy?" - wołała.
 - Teraz już wie.
 - Niedługo się dowie - przytaknął Conny Nilsson. - O kurwa.
- Nie mieli nic więcej do powiedzenia.
Zostawili go kolegom. Kręciło
im się w głowach.

ARTO Söderstedt odprowadził córkę do przedszkola. Latem lubił to robić. Lubiał obserwować drobne zmiany w zachowaniu, gdy z córeczki tatusia zamieniała się w jedną z dziewczynek. Prawdziwa mała metamorfoza.

Zimą tego nie widział, nie starczało mu energii. Gdy przytulał małą Linę, pomyślał, że to ostatnie takie chwile. Miał piątkę dzieci, od ponad piętnastu lat odprowadzał je do przedszkola i odbierał, i jakoś nigdy nie przyszło mu do głowy, że to się kiedyś skończy. W przyszłym roku już nie będzie odprowadzać dzieci do przedszkola. Już nigdy więcej nie będzie odprowadzać dzieci do przedszkola.

Być może wnuki. Choć miał nadzieję, że nie tak prędko.

Lnianowłosa Lina przeskoczyła przez próg i dołączyła do reszty dzieci. Gdy zobaczył ją biegnącą na powitanie chłopca o imieniu Rutger, nie była już córeczką tatusia.

Przez chwilę jeszcze się jej przyglądał. Maleństwo.

Gdy wyszedł na ulice Södermalm, przywitał go niezdecydowany letni poranek. Pomyślał, że to mogłaby być dobra scena w kryminale. Śledczy odprowadza dziecko do przedszkola. Ludzie by to kupili. Gdyby jeszcze był kobietą.

Ale to nie był kryminał. To była rzeczywistość.

Szedł w dół Bondegatan. Słońce robiło nieśmiałe próby przebicia się przez zwały chmur. Ulica była dziwnie pstrokata; nieprzerwana walka słońca z cieniem. Wyszedł na Gótgatan prosto na wieżowiec urzędu skarbowego; błyszczał w ten sam dziwny, pstrokaty, zmienny sposób. W środku siedziała już

Anja i sprawdzała deklaracje podatkowe. Codziennie pr/y MH.1 daniu zdawała mu raport z najdziwniejszych przekrętów pocUI kowych. W związku z tym nie miał wyrzutów sumieni.i, fet dzieci spędzały wakacje w przedszkolu, świetlicy i na koloniach. Wyrzutami sumienia dzielili się po bratersku, a może raczej po siostrzanemu?

Na Gótgatan czekało już na niego służbowe audi. Bez mandatu. Powoli uczył się skomplikowanych zasad obowiązujących przy parkowaniu. Pedał gazu był dobrze naoliwiony, a linka sprzęgła dobrze naciągnięta. Przez chwilę p r o w a d z i ł na niby. Miał głęboką nadzieję, że nikt nie patrzy, jak dociera do celu jako wielokrotny zwycięzca rajdu Safari.

Przekręcił kluczyk i ruszył w stronę Kungsholmen. Wiedział, co zrobi zaraz po wejściu. Mieli co prawda przeszukać razem z Viggo Norlanderem mieszkania Rogera Sjöqvista i Dana Anderssona, ale przedtem zamierzał jeszcze coś zrobić.

Przedtem zamierzał kupić samochód. Przez Internet.

Była to decyzja, która bynajmniej nie dojrzewała powoli. Była to decyzja, która dojrzała szybko. Nie bacząc na reguły demokracji, przekazał ją swojej rodzinie. Anja, która od dwóch lat upominała się o samochód, spojrzała tylko na niego zdziwiona, próbując wybadać ukryte motywy. Niczego nie wyjawiał. Siedział z pokero- wą twarzą i rzucał altruistycznymi hasłami jak kartami do gry: od teraz będą mogli jeździć na wakacje do Skanii, na krótkie wyciecz- ki do Kolmarden, a nawet przedostać się przez Zatokę Botnic- ką do Vasy i sprawdzić, czy mają jeszcze jakichś przyjaciół w Fin- landii.

Nie mógł się przecież przyznać, że po prostu lubił prowadzić samochód.

Rodzina brontozaurów potrzebowała tak zwanego samochodu rodzinnego. Wjeżdżając do garażu pod komendą policji, zastana- wiał się nad pojęciem „samochód rodzinny”. To raczej minibusy, ale tak nie można ich nazywać. To za mało wyrafinowane. W ostatnich dniach europejska komisja do spraw bezpieczeństwa

opublikowała raport dotyczący samochodów rodzinnych. W Szwecji spotkał się on z dużym zainteresowaniem, jako że w minionym roku doszło do kilku wypadków, wskutek których samochody rodzinne stanęły w ogniu. Na szczęście, jak pokazały testy, istniały bezpieczne modele.

Wszedł do pokoju, przywitał się niewidocznym kiwnięciem głowy z Viggo Norlanderem, który znów wyglądał jak coś przywleczone przez kota - dziś jak poturbowana i zadreńczona zabawą sikorka - odpalił komputer i połączył się z Internetem.

-Zaraz jedziemy - burknął Norlander. - Najpierw Handen, potem...

-Foten - dokończył Arto Söderstedt, zajęty wpisywaniem hasła.

- Stul pysk - warknął Viggo Norlander.
- Chcesz powiedzieć, że znów miałeś dyżur przy Charlotte? Jak poszło?
- To jest, kurwa, masakra.
- Chcesz się wycofać?
 - Coś ty, ja to kocham. Naprawdę. Ale jest ciężko. Średnio trzy razy w nocy jestem pewien, że przestała oddychać. Zespół nagłej śmierci łóżeczkowej.
- A Astrid?
 - Czwartek wieczorem. Astrid spotyka się wtedy ze swoimi przyjaciółkami.
 - Kółko gospodyń domowych - rzucił Arto Söderstedt, czekając, aż system zaakceptuje hasło.
- Co?
 - One zwracają uwagę na słowa. Ale teraz to już nie jest kółko gospodyń, lecz kawa z przyjaciółkami lub babski wieczór. Bądź kurnik. Dla człowieka, który wstał lewą nogą. Ale to lepiej zachować dla siebie. Jak wam się układa?
 - No wiesz... Witalność to jej pierwsze imię. Astrid jest jak nowo narodzona. W końcu ma swoje dziecko. Tryska energią. Prawda, że się tak mówi: t r y s k a ?

- Można tak powiedzieć. Jeśli właśnie to ma się na myśli.
- Właśnie to mam na myśli. Co ty jeszcze tam, kurwa, $n > 1$ Czekam już piętnaście minut. Musimy jechać.
- Dlaczego mówisz „tryska”? Od porodu minęły tylko li tygodnie. Żadnych powikłań?
- Trochę popękała. To jej jednak nie powstrzymuje.
- A seks?
- To już nasza sprawa.
- Właśnie - powiedział Arto Söderstedt, wpisując adres Żółtych Stron. - Od tego ma się przyjaciół, żeby dzielić się z nimi swoimi sprawami.
- Stul pysk - warknął Viggo Norlander.

Söderstedt odwrócił się w jego stronę.

- Dalej, Viggo. Jesteś w pierwszym monogamicznym związku od Bóg raczy wiedzieć ilu dziesięcioleci, a ja chcę wiedzieć, jak to jest. To się nazywa *social network*. J a jestem twoim *social network*.

W wyrazie twarzy Viggo Norlandera zaszła drastyczna zmiana. Na ponurym, księżycowym obliczu pojawił się błogi uśmiech.

- Rozumiem - powiedział Söderstedt i uśmiechnął się krzywo. - Szybko poszło. Idź do samochodu, ja cię dogonię. Po trzebuję góra pięciu minut.

Norlander zniknął. To ci dopiero sikorka, pomyślał Söderstedt i spojrzął na ogłoszenia na ekranie.

Żółte Strony od dwóch dekad były najważniejszą w Sztokholmie gazetą z darmowymi ogłoszeniami. Z której chętnie korzystali również paserzy. Można tu było kupić wszystko, co używane. *No questions asked*. Przykładowo samochody. Przykładowo samochody rodzinne. Od jakiegoś czasu Żółte Strony były oczywiście również w Internecie. System nie działał jeszcze doskonale, ale na liczbę ogłoszeń nie można było narzekać.

Znalazł siedem interesujących aut, przede wszystkim renaulty space i toyoty pienie. Ceny potworne, ale co było robić, na kolana i do pana. Wysłał siedem zapytań mailowych. Powinno wystarczyć. Wrócił na stronę główną.

Rubryka „Kocham Cię” obudziła jego - i tak będącą w stanie czuwania - ciekawość. Arto Söderstedt uwielbiał czytać anonse matrymonialne, wyznania miłości i prywatne ogłoszenia. Nie do końca potrafił wytłumaczyć dlaczego - może była to zwyczajna perwersja, może w tych lapidarnych wiadomościach przejawiała się tęsknota naszych czasów. W bardzo okrojonej formie. Zredukowane do kilku linijek życie - efekt był zwykle wyjątkowo interesujący. Przez chwilę pomyślał o gotującym się w samochodzie Norlanderze. Ale tylko przez chwilę. Z dobrze znanym każdemu podglądaczowi zawstydzeniem przejrzał ogłoszenia w rubryce „Kocham Cię”. Kilka z nich naprawdę pobudzało wyobraźnię.

„Hingst-Harald. Dla ciebie spalam się. Sto-Edna”.

„BK to CF. 3 12 13 18 24 28 30. DL”.

„Stefan. Wróć. Wszystko wybaczyłam. Nawet incydent z zamrażarką. K.C. Rickard”.

„3 + 3 = 5. Still waiting. D & drużyna”.

„Eurydyka. «Nie ma gorszej zbrodni niż gorzki zawód, jak mówiły siostry Florento». 82 12G 14. Orfeusz”.

„Sobota 3. Wiesz gdzie. Licking Jack”.

„Twardzy kutas nie jest zły. Serwis Sekretna Szparka”.

W tym miejscu zmęczył się, zamknął stronę i zbiegł do garażu. Viggo Norlander był wściekły. Stał przed swoim starym pordzewiałym służbowym volvo i przestępował z nogi na nogę.

- Sukinsyn.

- Söderstedt - poprawił go Söderstedt.

Pojechali do Handen dwadzieścia kilometrów na południe od Sztokholmu. Norlander jechał jak poturbowana i zadreżona zabawą sikorka przywleczona przez kota. W centrum Handen znajdowało się mieszkanie Dana Anderssona, które okazało się nie mielerzem, tylko starannie wysprzątaną kawalerką. Skrupulatnie wysprzątaną. Technicy nie znajdą tu pewnie nawet jednego odcisku palca. Zupełnie jak w mieszkaniu Eskila Carlstedta w Kungsholmen. Przejrzeli nieliczne książki i segregatory. Wszystko w nie-

nagannym porządku. Przeczesało nawet frędzle na ki.m. dziach dywanu. Gdzieś w powietrzu unosił się zapach mydli maskujący codzienny smród mieszkania Dannego Kaszanki. N,\ jednej z półek stało zdjęcie. Dan Andersson na Majorce, szeroki uśmiech i duży kufel w dłoni. Miał lekko fioletową twarz. Nie było nic więcej do oglądania. Ani śladu prawicowego ekstremizmu. To mieszkanie spodziewało się najścia policji i starało się wyglądać możliwie anonimowo.

Arto Söderstedt spełnił swój obowiązek, ale nic poza tym. Gdzieś w kaftanie rutyny coś uwierało. Zastanawiał się co takiego.

Ziarnko piasku, które miało zamienić się w perłę?

Pojechali na północ do Hókarangen. Było to ostatnie znane miejsce, w którym przebywał Roger Sjöqvist. Uciekł z zakładu karnego w Tidaholmie w czasie swojej pierwszej przepustki po dziewięciu latach nieprzerwanej odsiadki. Podał wówczas ów adres jako miejsce swojego stałego pobytu. Okazało się, że jest to mieszkanie rodziców, w którym nie był od dziesięciu lat. Od ojca - o ile nim rzeczywiście był - tak jechało wódą, że najmniejsza iskra mogłaby wysadzić w powietrze całe osiedle. Opuścili szybko strefę zagrożenia.

- Ale to budujące - westchnął Norlander, gdy wracali na Kungsholmen. - Kawał dobrej roboty. Nasza praca naprawdę ma sens.

- Stul pysk - warknął Söderstedt.

Norlander spojrzał na niego zdziwiony.

Arto Söderstedt myślał. Coś uwierało coraz mocniej. Ziarnko piasku chciało za wszelką cenę zamienić się w perłę.

Coś widział, słyszał lub pomyślał. Gdzieś w czasie tego przedpołudnia coś mu przeleciało koło nosa. Coś, na co powinien był zwrócić uwagę. Ale umknęło mu, a teraz uwierało, jak ziarnko piasku w muszli. Lub raczej jak mucha w oku, która dostała się za gałkę oczną i której nie dało się wyjąć inaczej niż tylko z pomocą chirurga.

Söderstedt był typem chirurga klinicznego. Przeanalizował cały dzień od samego początku. Gdy otworzył oczy, Anji już nie było. Udała się do drapacza chmur, by przez resztę dnia tropić przekrety w deklaracjach podatkowych. Potem wizyta w łazience. Żadnych godnych zapamiętania myśli. Irytacja złym stanem żołądka. Śniadanie. Burzliwe. Czwórka dzieci. Niezbyt groźna bójka ośmiu- i dziesięciolatka. *Catfight*, pamiętał, że tak pomyślał. Piąte dziecko na koloniach pod Uppsala. Odprowadził trójkę, trzynastoletnie zostało w domu, najpierw dwójka do świetlicy, potem najmłodsze do przedszkola. Refleksje wokół wędrowania do przedszkola latem i zimą. Nagła konstatacja, że wkrótce nie będzie już odprowadzać dzieci do przedszkola. Obserwacja gry cieni na Bondegatan i wieżowcu skarbówki. Dziwne fantazje o tym, że znalazł się wewnątrz powieści kryminalnej. Refleksje wokół reguł dotyczących parkowania w centrum Sztokholmu. Zwycięstwo w Rajdzie Safari. Myśli o zakupie samochodu. Określenie „samochód rodzinny”. Europejskie testy zderzeniowe. Viggo. Rozmowa na temat nagłej śmierci łóżeczkowej, kółka gospodyń domowych, babskich wieczorów, pojęcia „tryska”. Błogi uśmiech Viggę. Żółte Strony. Drogie auta rodzinne. Siedem zapytań mailo-wych. Potem zawstydzenie. Poczul je znowu. Dlaczego? Cotygodniowa rubryka „Kocham Cię”. No przecież, Serwis Sekretna Szparka. To było to. Gdzieś tam. Wiadomość.

Jak to szło? Sto-Edna. Incydent z zamrażarką. Licking Jack. Still waiting. Nie, nigdzie nie dzwoniło.

„Nie ma gorszej zbrodni niż gorzki zawód, jak mówiły siostry Florento”. To było to. Siostry Florento? Lekko zadzwoniło. Jakaś sprawa, o której ostatnio trąbiły media. Czy siostry Florento nie były czasem kryminalistkami? Chyba w Stanach? Para prostytutek, które naciągnęły jakiegoś alfonsa na furę kasy? Ale czy to było aż takie ważne?

Dlaczego ktoś cytuje przestępczynię w cotygodniowej rubryce „Kocham Cię”, w ogłoszeniu na stronie internetowej Żółtych Stron?

No dobra - *so what?* Najważniejsze, że to się łączyło z CZymi innym w tej wiadomości. Jak to szło? Orfeusz i Eurydyka? I ,ik ale nie o to chodziło. Nie było tam czasem jakichś cyfr?

Jak to szło na stronie „Kocham Cię”?

BK, CF, DL. „3 12 13 18 24 28 30”. Nie, to wygląda jak wyniki Lotto. Czy w Lotto nie losuje się właśnie siedmiu liczb? Inicjały i numery Lotto.

„3 + 3 = 5”. Nie, to było „still waiting”. Brakowało jednego z szczęściu. Dwie trójki. Może dwa miłosne trójkąty, które miały się połączyć. Ale jeden nie chciał. Może był to nacisk grupy.

Dalej. „Sobota 3”. Nie, spotkanie. „Wiesz gdzie. Licking Jack.” Klasyczny grzech cudzołóstwa. Które już nie było grzechem. Spotkanie kobiety z językiem.

Zwykle zapamiętywał różne rzeczy. Końska pamięć. Orfeusz, siostry Florento i - kombinacja cyfr.

„Eurydyka. «Nie ma gorszej zbrodni niż gorzki zawód, jak mówiły siostry Florento» 82 12G 14. Orfeusz”.

„82 12G 14”. Właśnie. To było to. Właśnie to go uwierało. Dlaczego? Skąd miał wiedzieć, co to mogło znaczyć. Cyfry i jedna litera. Nie do przebrnięcia. Daj spokój, jak mówiła Kerstin Holm.

Nie potrafił. Wciąż go gryzło. „82 12G 14”.

„82 12G 14”. „82 12G 14”.

Oczami wyobraźni zobaczył samochód. Ten samochód. Na pół kradzione służbowe volvo Norlandera. Dlaczego? Kiedy? Trudno się prowadzi. Ach tak? Dlaczego trudno się prowadzi?

Bo kierując, trzeba podierać książkę kierownicą.

Kumla. Mała wioska z kościołem na południowy wschód od jeziora Takern w Óstergotland.

E18. Ominięty zjazd przy Jarva Korg.

Arto Söderstedt wyjął książkę z kieszeni w drzwiach. *Samochodowy atlas Szwecji*. Otworzył pogiętą czerwoną plastikową okładkę i przelatował nerwowo po indeksie. Kumla.

„44 8E 2”.

Kurwa. Zgadzało się i się nie zgadzało.

„82 12G 14”.

„44 8E 2”.

Na początku widniały wskazówki, jak należy czytać indeks. Najpierw strona. 82 i 44. Dalej kwadratowe pole na tej stronie: 12G i 8E. Dalej, o którą ćwiartkę pola chodzi: 1 lewy dolny róg, 2 prawy dolny róg, 3 lewy górny róg, 4 prawy górny róg. Właśnie to się nie zgadzało. Ostatnią cyfrą w szeregu mogła być tylko 1, 2, 3 lub 4. Nie 14.

Arto Söderstedt nie do końca rozumiał, czym się zajmuje. Czy było to tylko ćwiczenie pamięci? Umysłowy jogging? Żeby nie zarzewieć w wieku siedemdziesięciu pięciu lat?

Podsumowanie. Przesłany są cytowani na łamach cotygodniowej rubryki „Kocham Cię”. Dlaczego? Występuje to w towarzystwie czegoś, co zdaje się pozycją geograficzną, ale nie do końca. Może to jednak fałszywy trop? Może „82 12G 14”, pomiomopodobieństw, nie miało nic wspólnego z *Samochodowym atlasem Szwecji*?

- Jak często się go używa? - zapytał Söderstedt, unosząc książkę w czerwonej plastikowej obwolucie.

Norlander przyglądał mu się tak długo, że zdążył się stać poważnym zagrożeniem dla bezpieczeństwa ruchu.

- Padło ci na mózg - stwierdził wreszcie. - Albo postradałeś zmysły. Wiedziałem, że to kwestia czasu.

- Odpowiedz na pytanie.

W ostatniej chwili uniknęli zderzenia z nadjeżdżającym z naprzeciwka tirem.

- To popularny w Szwecji atlas samochodowy - powiedział po chwili. Żyłypulsowały mu na skroni.

Söderstedt kiwnął głową. Dobra, do określenia pozycji geograficznej w Szwecji korzysta się często z *Samochodowego atlasu Szwecji*. Ta hipoteza stała się punktem wyjścia do dalszych dywagacji. Ostatnia cyfra, 1,2, 3 lub 4, odnosi się do podziału każdego kwadratu, przykładowo 12G, na cztery identyczne kwadraty. Na Żółtych Stronach było napisane 14. Gdyby wyobrazić sobie

bardziej dokładny podział każdego nowego kwadratu w tym wypadku kwadratu 12G 1, na kolejne cztery kwadraty. Wylądowało się w kwadracie 4 wewnątrz kwadratu 1. 14.

Z kwadratu „82 12G 14” zrobił kwadrat „82 12G 1”, a z kwadratu „82 12G 1” kolejne cztery kwadraty, z czego wybrał kwadrat 4, to znaczy „82 12G 14”. Otworzył stronę 82, kwadrat 12G, dalej kwadrat 1, lewy dolny róg, a wewnątrz kwadratu 1 kwadrat 4, prawy górny róg. Wylądował - w Aveście. Na granicy Vastmanlandu i Dalarny. Wyglądało to całkiem dobrze. Trafił dokładnie w miasto.

Orfeusz przesyłał wiadomość Eurydyce, że znajduje się w Aveście, przy okazji cytując amerykańskie kryminalistki, siostry Florento.

I co z tego? Drużyna A znajdowała się w samym środku ważnego dochodzenia - dlaczego ta nieistotna wiadomość miałyby go interesować? Coś zwęszył. Nie potrafił tego lepiej nazwać. Niemożliwe do opisanie uczucie, że jest się na tropie czegoś wyjątkowego.

Przestępcy, pozycja, mitologia... Coś w tym było.

Nie mogło to oczywiście odciągnąć jego uwagi od prowadzonego dochodzenia.

Gdy wrócili do biura, Söderstedt od razu wszedł do Internetu. Dostał cztery odpowiedzi w sprawie samochodów: sprzedany, sprzedany, sprzedany i sprzedany. Nie silili się na oryginalność.

Oryginalnie natomiast zrobiło się w rubryce „Kocham Cię”:

„Orfeusz, ale siostry rozplynęły się we mgle 41 7C 31. Eurydyka”.

Söderstedt przemycił ze sobą do pokoju *Samochodowy atlas Szwecji*. Odszukał „41 7C 31”.

Alingsas.

Coś znalazł, ale nie miał pojęcia co.

Coś jednak zwęszył.

LJUBOMIR był tam. Dobrze wiedział dlaczego. To był test na lojalność.

W pracowni siedziało dwóch Szwedów. „Konsultanci do spraw bezpieczeństwa” w hawajskich koszulkach i szortach. Oparli się ciężko o biurko w kształcie litery L i rozmawiali z wielkim. Cicho, tak żeby Ljubomir nie słyszał. Stał jak zwykle przy drzwiach. I wszystko słyszał. Miał dobry słuch.

- Wiemy, którzy to? - zapytał szorstko wielki.
- Nie bardzo - odpowiedział jeden ze Szwedów. - Pracujemy nad tym.
- Zdaje się, że na tle rasowym - dodał ten drugi. - Najwyższy priorytet. Kasa czarnuchów. *Royal Stmigh Flush*. Wyżej nie można.
- Kto, kurwa, wysadził Lordana? - wybuchnął wielki.
- Tak jak powiedziałem. Nie mamy dostępu do tych materiałów. Nie da się.
- Byliście w policji. To niby do czego macie, kurwa, dostęp? Jak chcecie na siebie zarobić?

Zrobił przerwę, zebrał myśli i mówił dalej:

- Czy możemy dotrzeć do któregoś ze śledczych? „Konsultanci do spraw bezpieczeństwa” potrząsnęli głowami.

- Są trudni. Mieliśmy już z nimi do czynienia...
- Prawi ludzie. Zwarta, inteligentna, nieco ekscentryczna grupa. Nie do ruszenia.
- Nie ma takich ludzi. A ten, co tu był? Hultin?

- Zapomnij - zaperzył się pierwszy Szwed. - Filar. Stara gw.n dia. Jego nie dostaniesz. Możesz go zabić, ale nie uda ci się go do niczego zmusić.
- Olej gliny - odezwał się ten drugi. - Tylko bądź zawsze o krok przed nimi. Jak zawsze.
- Żadnych wieści od naszego człowieka?
- Siedzi cicho. Może byłoby dobrze trochę go przycisnąć?
- Wykluczone. Ma mocną kartę przetargową. I jeśli trzeba będzie kogoś przycisnąć, to mam do tego ludzi. Zrozumiano?

Koniec dyskusji. Szwedzi wyszli, nie obdarzając Ljubomira nawet jednym spojrzeniem. Wielki pociągnął go za sobą bez słowa. Przeszli przez rajski ogród do bramy garażu. Tam się zatrzymali. Z pomieszczenia ochrony wyszło natychmiast trzech mężczyzn i ruszyło za nimi, krok w krok. Wyminęli ich, weszli do garażu i odpalili samochód. Zielone światło. Mogli jechać.

Ta trójka przeprowadzała rekonesans. Osłaniali go swoimi ciałami, wchodzili pierwsi do wszystkich pomieszczeń, sprawdzali jedzenie, otwierali pocztę, uruchamiali i prowadzili jego samochód. Właśnie to robili teraz. Ljubomir siedział wciśnięty w tylne siedzenie pomiędzy dwoma stekami. Pędzili w stronę miasta.

A teraz byli tam. W tym miejscu.

Zostało rozbrojone. Zdezynfekowane. Ani śladu po mających tu miejsce okropnościach. Czyste mieszkanie. I kolejnych dwóch identycznie ubranych mężczyzn. Parodia gangsterów. Wygląd cywila.

Nie wiedzieli, co to znaczy. Trafili do armii i innych paramilitarnych organizacji jeszcze przed osiągnięciem pełnoletności. Zanim się nauczyli, jak się ubierać.

Wiedzieli natomiast, jak wypełniać rozkazy.

Nie odezwali się nawet słowem.

Gdyby nie stojąca w oknie precyzyjna lornetka, byłoby to całkiem zwykłe mieszkanie.

Gdyby nie krzyki, które wydobywały się z dźwiękoszczelnych ścian i wciskały do uszu Ljubomira.

Wysokie, cienkie krzyki.

Ljubomirowi zdawało się, że wsiąknęły w porowate ściany, które wyglądały jak złote poduszki w burdelu. Wszystkie te krzyki. Zlały się w jeden chór, niczym rozdzierające serce oskarżenie, to było dla niego za dużo. Czuł, że robi się coraz bledszy. Podeszedł do okna, spróbował je otworzyć. Nie udało mu się wpuścić do środka powietrza. Okno było zabite.

Wielki podeszedł do niego, otoczył go ramieniem. Nie był to gest przyjacielski - te zachowywał na czas po pracy. Sprawdzał go. Chciał sprawdzić, jak bardzo się trzęsie.

Czy zaraz zwymiotuje.

Przez chwilę stali obok siebie, przyjaciele z dzieciństwa, z małej górskiej wioski we wschodniej Serbii, i patrzyli na bank po drugiej stronie ulicy. Można było pomyśleć, że są przyjaciółmi.

Do banku wszedł niski, barczysty mężczyzna w czapce.

Do banku wszedł niski, barczysty mężczyzna w czapce. Potarł ręką czoło, przysłaniając twarz. Rozejrzał się. Duży bank w centrum miasta. Wciąż jeszcze bardziej bank niż biuro. Wpół do jedenastej, zaraz zacznie się przerwa na lunch - mały ruch. Czterech klientów, raczej nie w typie bohatera. Trzy kamery. Sprawdzał ich zasięg, naciągnął kominiarkę na twarz i spojrzał przez otwór. Gdy do środka wbiegli pozostali, wyjął broń i strzelił bez pudła do trzech kamer. Wystarczyły mu trzy naboje.

Jeden stał na czatach przy drzwiach. Wciąż potrafił utrzymać swój pistolet maszynowy. Dwóch podeszło do kontuaru z podniesioną bronią. Jeden z nich miał złotą kominiarkę.

- Zdajemy sobie sprawę, że włączyliście alarm - powiedział wyraźnie. - Nie traćmy więc czasu. Macie pół minuty na wypełnienie tych toreb pieniędzmi. Potem zaczniemy strzelać do waszych klientów.

Torby szybko się zapełniły. Bez krzyku ani najmniejszego > d;
ku. Jakby instynktownie rozumieli, że głos mówi serio.

Wychodząc, ściągnęli kominiarki, okręcili łańcuchem klamkę i zamknęli na kłódkę.

Zarzucili torby na ramię i ruszyli przed siebie. Po chwili ski yi i li w boczną uliczkę. Czterech mężczyzn. Nikt nie zauważył, />• jeden z nich ledwo powłóczył nogami.

Niski, barczysty mężczyzna w czapce wyszedł z banku w towa-
rzystwie młodej blondynki. Włożył portfel do wewnętrznej kie-
szeni marynarki i lekko zmierzwił długie włosy kobiety, przytula-
jąc ją na pożegnanie. Wielki pokazał go palcem.

- Pewnie spotkał swoją córkę w banku. Przypadkowo. Córkę
Rozumiesz, Ljubomir?

Napotkał jego wzrok. Czuł, jak go przeszywa. Wielki mówił
dalej:

- To mieszkanie stanowi punkt obserwacyjny, nic więcej.
Wszystko inne, Ljubomirze, musisz wymazać z pamięci. Stąd
wizimy wszystko. Prędzej czy później tu przyjdą, a wtedy
ich zgarniemy. Nic prostszego. Nikt nie oszuka Rajko Nedicia
i nikt go nie zwiedzie. Zależy mi na tym, żebyś to zrozumiał.

Ljubomir kiwnął głową. Rozumiał. Rozumiał b a r d z o dobrze.

A mimo to nie potrafił zapomnieć.

BYLI ze sobą tak blisko, jak tylko można być najbliżej. Żaluzje nie potrafiły zatrzymać zalewu promieni słońca. Leżeli przyciśnięci do siebie. Chcieli stykać się jak największą powierzchnią ciała. Od tego ciepła nigdy nie robiło się duszno.

W dwupokojowym mieszkaniu na Surbrunnsgatan było czterdzieści stopni.

Zrobili coś, na co żadne z nich nie zdobyło się nigdy wcześniej. Urwali się z pracy. Wiedzeni nagłym, jednoczesnym impulsem pobiegli do domu, by się kochać. Jak na rozkaz wyższej instancji, ważniejszej niż komendant główny policji.

Oboje zdali sobie sprawę - i to w podobnym momencie - że dotąd wędrowali przez uczuciową pustynię, na której rządziła praca, praca i tylko praca, i że dopiero teraz ich oczom ukazała się oaza - nie fatamorgana, ale właśnie oaza. Zamierzali tu zostać. Zamierzali tu osiąść.

Nic innego nie mogło ich oderwać od obowiązków.

Tylko to. Wyższa konieczność, wyższe prawo.

Chcieli się poznać od wewnątrz do zewnątrz, od zewnątrz do wewnątrz. Nie chcieli już dłużej mieć tajemnic.

Mimo to między ich ciasno splecionymi ciałami wyrósł podwójny mur. Mur narzuconego obowiązku milczenia, z obu stron. A między nimi - pole minowe.

Próbowali sobie wmawiać, że mury ich nie dotyczą, nie mają nic wspólnego z nimi *dwojgiem* - tylko z pracą. Ale niezbyt skutecznie. Praca była ich częścią.

W gruncie rzeczy istnieją dwa podejścia do pracy. Albo można robić cokolwiek, byleby na koniec miesiąca mieć pieniądze na

koncie - albo świadomie szukać takiej pracy, która w j.ikr sób byłaby w zgodzie z tym, co nosimy w sobie.

Zarówno Sara Svenhagen, jak i Jorge Chavez wybrali to dni gie. Zajmując się dochodzeniami, gdy powoli, powolutku do cierali do ukrytej prawdy, robili jednocześnie coś jeszcze. Coś ważniejszego. Przywracali porządek, znajdowali wzór rzeczy wistości, odsłaniali ukryte struktury, zbliżali się powoli do s.i mego s e n s u . Byli temu całkowicie o d d a n i . Nie ma na to lepszego słowa.

A teraz byli również oddani sobie. I znaleźli się w klinczu.

Jorge przeżywał katusze z powodu swojej niewdzięczności. W przekonaniu, że „tylko” udało jej się zlokalizować mordercę z Młyna, Sara dostarczyła Drużynie A materiał fotograficzny, który pozwolił zidentyfikować całą Bandę 2 i dostarczył zdjęć Bandy 1. Niestety „policjanta” nie było w zasadzie na nich widać i to głównie z jego powodu Jorge tak się czuł. Ponieważ rzeczywiście mógł być zamieszany w to policjant, obowiązywał ich absolutny obowiązek milczenia, a więc nie mógł rozmawiać o rzeźni w Siekli. A był przekonany, że wymiana zdań o Niklasie Lindber-gu i Kuli Kullbergu popchnęłaby sprawę do przodu. Chętnie wysłuchałby opinii Sary na temat Rajko Nedicia i Lordana Vukoticia, Dannego Kaszanki, Rogera Sjóqvista, Svena Joakima Bergwalla, Eskila Carlstedta i grupy potencjalnych zbrodniarzy wojennych z byłej Jugosławii. Przede wszystkim jednak- na temat „policjanta”. Ale nie dało się. Na przeszkodzie stał mur.

Sara oczywiście zastanawiała się, co takiego oznaczał dziwny okrzyk „policjant”, który wydał z siebie Jorge, gdy na fotografii wyłonił się obraz tajemniczego mężczyzny. Ale wkrótce wyparły to jej własne myśli. Jej w ł a s n y mur. Szef, inspektor Ragnar Hellberg, uciszył dochodzenie, utajnił najcięższym stemplem - pytanie, czy powodem nie był jego własny błąd zawodowy. Albo nawet przestępstwo. Świadomie wymazał wszystkie ślady adresu mailowego, który pojawiał się stosunkowo często na różnych stronach pedofilskich: ślady „bramba”. Wszystko wskazywało, że

„brambo” był pedofilem, aktywnym w Internecie. Miała dwie możliwości. Mogła skonfrontować się z Ragnarem Hellbergiem. Lub też dalej szukać tożsamości „bramba”. Jedyne, czego nie mogła zrobić, to porozmawiać o wszystkim z Jorge. Ten mur należał tylko do niej.

Byli ze sobą tak blisko, jak tylko można być najbliżej - i jednocześnie tak daleko od siebie. Między nimi rozciągało się pole minowe.

SIOSTRY Florento rzeczywiście były kryminalistkami. Arto Söderstedt informacje o nich znalazł dosyć szybko w archiwach prasowych. Zwłaszcza brukowce w okolicach nocy świętojańskiej zrobiły wokół nich sporo zamieszania - wiadomości szybko się jednak dezaktualizowały.

Były prostytutkami z Atlanty w Georgii. Wraz z wieloma innymi trafiły do stajni Big Teda Currisa, który traktował je wyjątkowo ostro, nawet jak na alfonsa. Mimo niesprzyjających okoliczności siostrom udało się połączyć z Internetem, dostać do banku Big Teda, wyczyścić jego konto i rozpląnąć się we mgle. Mężczyzna popełnił samobójstwo, a uwięzione prostytutki odzyskały wolność.

Kilka tygodni temu siostry Florento wyszły na moment z ukrycia. Skontaktowały się z prasą, wysyłając maila, w którym opowiedziały swoją historię. Ale wciąż nie było wiadomo, gdzie są.

Söderstedt zaczytał się w ich historii. Każda sekunda, której nie poświęcał Niklasowi Lindbergowi i Rajko Nediciowi, powodowała u niego wyrzuty sumienia. Chociaż coraz mniejsze. Nie potrafił się oprzeć.

Para zakochanych nazywa siebie Orfeuszem i Eurydyką - jak antyczny muzyk i jego ukochana, którą śpiewem wyprowadził z królestwa zmarłych. Cytują dwie kryminalistki, którym również udało się wyrwać z królestwa śmierci, a na dodatek pogrążyć swojego oprawcę i jeszcze się dorobić. Informują się o swoich pozycjach przez rubrykę „Kocham Cię” na Żółtych Stronach. Działo się tu coś, co wykraczało poza granicę prawa.

Sóderstedt siedział ze stertą notatek poświęconych rzeźni w Siekli w jednej ręce i cienkim wydrukiem z Internetu w drugiej. Co ciekawe, papiery nie tylko ważyły tyle samo, ale też przyciągały się wzajemnie niczym dwa magnesy.

Dwie współrzędne. Orfeusz w Arvice, Eurydyka w Alingsas. Dwa cytaty: „Nie ma gorszej zbrodni niż gorzki zawód, jak mówiły siostry Florento”, oraz „Ale siostry rozplynęły się we mgle”. Doznał olśnienia, zadzwonił do redakcji Żółtych Stron i *połączył się z administratorem sieci*.

Tak, gazeta miała kopie zapasowe ogłoszeń z ostatniego półroczka.

Arto Sóderstedt zacisnął dłoń na krótką sekundę. Potem poprosił o przesłanie mu mailem ogłoszeń z rubryki „Kocham Cię” z ostatniego miesiąca. Nie minęła nawet godzina, a już miał je w swojej skrzynce.

Potem przejrzał materiał za pomocą wyszukiwarki. Gdy na ekranie komputera wyskakiwały kolejne „Orfeusze”, pomyślał, jak to niepozorne narzędzie usprawniło pracę policji. Na koniec na ekranie wyświetliła się lista podobnie brzmiących wiadomości. Wszystkie trzymały się tego samego schematu. Najpierw imię odbiorcy - Orfeusz lub Eurydyka - potem, w cudzysłowie, krótkie zdanie w bardziej lub mniej oczywisty sposób nawiązujące do sióstr Florento, dalej określenie pozycji zgodnie z *Samochodowym atlasem Szwecji*, który bez wyjątku odsyłał na tereny gęsto zaludnione, a na koniec nadawca - Orfeusz lub Eurydyka. I tak za każdym razem.

Pierwsza wiadomość została wysłana dwudziestego piątego czerwca. Sóderstedt czuł, że te dwie sprawy przyciągają się jeszcze bardziej. Do rzeźni w Siekli doszło poprzedniej nocy.

Przyjrzał się uważnie pierwszej wiadomości. Nadawcą był Orfeusz. Kod z atlasu mówił: Orsa w Dalarnie. Zamiast cytatu - adnotacja: „Expr., 24.06, s. 12 u góry”. Odpowiedź Eurydyki nadeszła niecałe *dwie* godziny później, wraz z kodem, który wskazywał na Falkenberg na zachodnim wybrzeżu. Zamieściła też cytat: „Siostrami były tylko duchowo”.

„Expr.”? I jeszcze „s. 12 u góry”. Czy to możliwe, że było to odwołanie do górnej części dwunastej strony „Expressen” i po przedniego dnia? Przecież w noc świętojańską nie wychod/i ły gazety... Może Orfeusz dostał gazetę z poprzedniego dnia - i znalazł...?

Söderstedt zadzwonił do policyjnej biblioteki. Odebrała jakaś dama, a pięć minut później zjawiała się dziewczyna z egzemplarzem „Expressen” z dwudziestego czwartego czerwca. Większość tekstów dotyczyła morderstwa w Młynie, ale na samej górze strony dwunastej znajdował się artykuł zatytułowany „Siostry, które rozplynęły się we mgle”. Był to ciąg dalszy artykułu o siostrach Florento. W środku znajdowało się zdanie „Siostrami były tylko duchowo”. A kawałek dalej: „Nie ma gorszej zbrodni niż gorzki zawód, jak mówiły siostry Florento”.

Artykuł kończył się słowami: „Ale siostry rozplynęły się we mgle”.

Przejrzał resztę wiadomości z rubryki „Kocham Cię”. Wszystkie zawierały cytaty z artykułu w „Expressen”.

Rekonstrukcja, pomyślał Söderstedt, odchylając się w krześle. Orfeusz znajduje artykuł o siostrach Florento. Odsyła do niego w pierwszej wiadomości wysłanej do Eurydyki. Ona odpowiada mu po dwóch godzinach, gdy prawdopodobnie wychodzi na wymarłe na czas świąt ulice Falkenbergu, żeby zdobyć wczorajszy numer „Expressen”, i odpowiada mu cytatem z artykułu: „Siostrami były tylko duchowo”. To by oznaczało, że para już wcześniej ustaliła, że będą nazywać się Orfeuszem i Eurydyką

- tych dwoje wyrwało się z królestwa śmierci. Znajdują artykuł o parze duchowych sióstr, które dokonały tego samego, zgarniając przy okazji bajeczną sumę pieniędzy. Identyfikują się z nimi i za każdym razem wysyłają cytat z artykułu. Jadą przez Szwecję, każde osobno, utrzymując kontakt przez najbardziej niepozorną i ukrytą stronę w gazecie - rubrykę „Kocham Cię”. To wymaga dostępu do Internetu. Wydaje się, że mają go w każdym miejscu, w którym się znajdują. Tylko jak? I dlaczego Internet? Dlaczego

nie decydują się na bezpośredni kontakt? Zęby uniknąć ryzyka zostania namierzonym? Ciekawe.

Serwer, pokiwał głową Söderstedt. Na pewno jest sposób, by się dowiedzieć, skąd wysyłane są te wiadomości.

Kolejny raz skontaktował się z administratorem sieci. Owszem, Orfeusz i Eurydyka korzystają z tego samego serwera. Hiszpańskiego darmowego serwera o nazwie Virtud. Odnalazł go w sieci. Po przełamaniu barier językowych i ogólnego oporu hiszpański administrator sieci przystał na to, że Arto Söderstedt jest szwedzkim policjantem, i przekazał, nie bez oporów, dane dotyczące Orfeusza i Eurydyki. Zarejestrowali się jako Baruch Spinoza i Elton John. Jednak najważniejsze było to, że rejestrując się, podali dwa numery telefonów.

Telefonów komórkowych.

Orfeusz i Eurydyka łączyli się z siecią za pomocą telefonów komórkowych.

Odszukał numery w Comviq, gdzie były zarejestrowane. Oba na ten sam adres. Znajdowała się pod nim restauracja.

Restauracja Thanatos na Östermalm.

Kolejne rozmowy, coraz szybsze bicie serca, tym razem z urzędem patentowym. Co to za restauracja?

Wreszcie poznał dane właściciela.

Restauracja Thanatos należała do człowieka o nazwisku Rajko Nedić.

Arto Söderstedt poczuł, jak zalewa go fala spokoju.

BRAKUJĄCYM ogniwem między Sarą Svenhagen a Jorge Chavezem był Gunnar Nyberg. Tydzień wcześniej pracował w parze z Sarą, teraz - z Jorge.

Choć para to może za dużo powiedziane. Nie biegali na zmianę po ciemnych klatkach schodowych z bronią gotową do strzału, nie ochraniali się, zakradając w jakąś mroczną uliczkę, nie odgrywali roli dobrego i złego policjanta w czasie nocnych przesłuchań. Nie, siedzieli przy komputerach. Nie z własnej winy ten człowiek, niegdyś nieokrzesany kulturysta, był przetrucany od jednego maniaka komputerowego do drugiego, dzięki czemu sam nabierał wprawy w obsłudze Internetu.

Ale co za dużo, to niezdrowo.

Powrót do Drużyny A w tajemniczy sposób ożywił stare przyzwyczajenia. Lub też przywary. Postanowił wybrać się z wizytą do przestępczego świata, który dla dawnego Gunnara Nyberga był jak drugi dom. Nagle poczuł, że ma dosyć cybernazizmu, i zorganizował imponujące zastępy policji w pogoni za jedyną branżą, która nigdy nie miała wakacji.

Po pierwsze: gang rabusiów. Jego członkami byli głównie względnie młodzi neofaszyści. I bardziej rasowi przestępcy, tacy jak Danne Kaszanka. Nyberg przeprowadził obszerny wywiad wśród zawodowców, bandytów i skinheadów. Podążał śladami Dannego Kaszanki i Rogera Sjöqvista.

Na razie donikąd go nie zaprowadziły.

Po drugie: gang narkotykowy. Rajko Nedić wydawał się co prawda nietykalny, ale w sferze prawnej musiało być coś, czego będzie można się złapać. Cokolwiek.

Właśnie tym się teraz zajął. W zastraszeniu nie wyszedł z wprawy. Przewiesił swoje niewrażliwe na dietę sto czterdzieści sześć kilo nad drobną figurą Robbana, znanego w Hjulście diler. Robban siedział w mieszkaniu, przyglądając się ze zdziwieniem rozbitym na strzępy drzwiom - nie na drzazgi, nie na deseczki, tylko właśnie na strzępy. Zastanawiał się: Kurwa, jak mu się udało rozbić drzwi na strzępy? Nie to jednak powiedział.

- Nie wiem, o czym mówisz - odezwał się drżącym głosem.
- Zastanów się.
- No żeż kurwa - jęknął. - Wiesz równie dobrze jak ja, że system jest idiotoodporny. Nikt się z nikim tu nie zna. Jest dostawa. Odbiera się dostawę. Dostarcza się pieniądze. Wyglądają na zadowolonych. Jak nie wyglądają na zadowolonych, to nie żyjesz.

Nyberg przechylił się jeszcze bliżej. Niedźwiedzi pysk znalazł się zaledwie o jakiś centymetr od króliczego pyszczka Robbana. Nie wionęło jednak z niego surowym mięsem i świeżą krwią - tylko kawą.

- Jugosłowianie? - ryknęła cuchnąca kawą bestia.
- Bardzo możliwe - zasapał Robban. - Nie znam się. W każdym razie wyglądają na południowców. Nieprzyjemni kolesie. Zawsze gadają ze sobą w tym swoim szwargocie.
- Co masz na myśli?

Nagły przyptyw odwagi w stylu kamikadze:

- Wal się, śmierdzielu.

W odpowiedzi niedźwiedź nacisnął punkt na szyi królika. Królik zatrzęsł się gwałtownie - drżący kawałek wybrakowanej skórki.

- Znam to z autopsji - wyjaśnił profesorskim tonem Gunnar Nyberg. - Widzę, że działa.
- Zaczekaj, kurwa, zaczekaj - syknął Robban.

Nyberg zwolnił uścisk i poczuł, że robi mu się niedobrze. Przecież obiecał sobie, że już nie będzie się uciekać do przemocy. Samo przyszło. Być może wymagała tego jego rola bestii.

Robban patrzył na niego z uznaniem.

- *Wow, mani* - zawołał, masując kark. - Zajebisty chwyt!
- Przejdź do rzeczy - mruknął zawstydzony Nyberg.
- Okej. Słyszałem, że pewien boss zrobił z tego swój znak rozpoznawczy. Wszyscy jego ludzie tak szwargoczą. To uh szyfr.

To ich szyfr, powtórzył w myślach Gunnar Nyberg, a głośno odezwał się zgodnie z regułami gatunku:

- Kto?
- Rajko Nedić.
- Myślisz, że twoim dostawcą jest Nedić?
- Nie mam pojęcia - powiedział Robban i zapalił papierosa, próbując wyglądać cool. - Przede wszystkim jednak niczego takiego nie powiedziałem.

Nyberg wrócił do starego, pordzewiałego renaulta. Przez chwilę siedział jeszcze z rękoma opartymi o kierownicę i patrzył na bezimienną architekturę rodem z lat siedemdziesiątych. Hjul-sta. Lipcowe słońce odbijało się słabo w szarobrazowych lustrzanych fasadach identycznych budynków.

Aha, pomyślał Gunnar Nyberg, najgorętszy dzień w roku. Spływał potem, a jego myśli bohatersko próbowały wydostać się z ruchomych piasków. Jeszcze raz pomyślał: aha.

A potem: aha.

I nagle myśli niemal eksplodowały.

Jeśli ludzie Rajko Nedicia zawsze mówią ze sobą po serbsko--chorwacku, to jakim sposobem arcyszwedzcy neonaziści z Kum-li dowiedzieli się o dostawie?

Niklas Lindberg nie mógł przecież dwukrotnie torturować Lordana Vukoticia. Ktoś by zauważył. Mimo to Lindberg wiedział o planowanej dostawie i o spotkaniu w Młynie. Tylko skąd?

Imperium Nedicia opierało się na absolutnej dyscyplinie. Nikt nie puszczał farby. To warunek numer jeden. Tylko dzięki temu mógł odgrywać rolę posłusznego prawu restauratora. Jego wola była prawem.

Czy natrafił na rysę w murze Nedicia?

Któryś z jego chłopców w Kumli puścił farbę - jeszcze zanim zaczął mówić Vukotić. Wodoszczelny system przeciekał.

Gunnar Nyberg miał skorzystać z okazji i zasiać trochę chwastów w wypielęgowanym ogródku Nedicia. Czy system nie zacznie kruszeć, jeśli informacja o przecieku dotrze do szefa?

Nyberg zastygł w miejscu z dłońmi przyschniętymi do kierownicy. Spomiędzy palców wypłynęła strużka potu, powoli przywracając im życie.

Trzech ludzi w Kumli. Jak się nazywali? Zoran Koco, Petar Klović, Risto Petrović. Zamieni z nimi słowo. Natychmiast.

Był już w drodze. Hjulsta. Z piskiem opon wyleciał swoim porzewiałym renaultem na E18 i ruszył w kierunku Órebro. Między Balstą a Enköping minął Grillby. Z czymś mu się to kojarzyło. Grillby? Już kiedyś tu był. Przy jakiej okazji? Dlaczego? Nie rozumiał nawet, dlaczego o tym teraz myśli. Pewnie otumaniała go duża prędkość.

Za Órebro jechał przez równiny Narke w kierunku Kumli. Nie zajęło to więcej niż godzinę. Udał się do dyrektora więzienia i po minucie miał przed sobą dzieła zebrane całej trójki.

Materiał Interpolu był pokaźny, jednak niewiele wyjaśniał. Na mapie zbrodni napotkał wiele białych plam, szczególnie w miejscach, które w jakiś sposób łączyły się z wojnami bałkańskimi. Zoran Koco był bośniackim muzułmaninem z Sarajewa, a w czasie wojny w Bośni najwyraźniej rekinem czarnej giełdy. Petar Klović był bośniackim Serbem i strażnikiem w obozie koncentracyjnym dla muzułmanów. Żadnych wykroczeń - jeśli pominąć zbrodnię przeciwko ludzkości. Risto Petrović był Chorwatem i byłym dowódcą paramilitarnej grupy biorącej czynny udział w czystkach etnicznych. A na jej celowniku znaleźli się chorwaccy Serbowie.

Grzeszny alians.

Biała plama na mapie Niklasa Lindberga dotyczyła roku spędzonego w Legii Cudzoziemskiej. Od maja dziewięćdziesiątego

czwartego do maja dziewięćdziesiątego piątego. W tym < Koco i Kkwić byli już w Szwecji. Ale nie Petrović. Przeciwnie M ten czas przypadała wyraźna luka w danych. W lipcu dziewięćdziesiątego piątego przyjechał do Szwecji i wstąpił w szeregi Rajko Nedicia, co oczywiście nie było do końca potwierdzone. Już we wrześniu został zatrzymany za handel narkotykami i od tego czasu siedział za kratkami w oczekiwaniu na ekstradycję.

Nyberg nawiązał kontakt z komórką Interpolu w wydziale kryminalnym Komendy Głównej. Ci z kolei skontaktowali się z Legią Cudzoziemską i w ciągu godziny dostarczyli listę nazwisk od roku dziewięćdziesiątego czwartego do dziewięćdziesiątego piątego.

W czasie tej godziny Gunnar Nyberg próbował połączyć ze sobą fakty.

Chorwat uczestniczący w czystkach etnicznych. Unosił się nad tym zgniły zapach faszystowskiej organizacji chorwackiej Ustaša, która wybiła w pień Serbów w czasie drugiej wojny światowej. Niewykluczone, że Risto Petrović wstąpił do Legii pod fałszywym nazwiskiem, żeby uciec przed międzynarodowym wymiarem sprawiedliwości. Tam spotkał byłego majora strzelców górskich, Szweda Niklasa Lindberga. Mieli te same przekonania. Następnie Petrović uwił sobie gniazdko u serbskiego Szweda Rajko Nedicia, kierującego się innymi priorytetami niż czystość rasowa, żeby na bieżąco informować Lindberga, jak chociażby teraz - o zbliżającej się wielkiej transakcji między Nediciem a szwedzkim „policjantem”. Czy Lindberg był wystarczająco mocny, żeby ulokować szpiega u Nedicia? Czy w tle działały poważniejsze organizacje neofaszystowskie? Które kierowały zarówno Petroviciem, jak i Lindbergiem? Idąc dalej tym tropem - czy za rzeźnią w Siekli stało coś większego?

Gunnar Nyberg siedział w niewielkim pokoju przesłuchań w Kumli i czuł, jak napierają na niego ściany. Jakie to dziwne powiązania napotkał? A wszystko zawdzięczał dilerowi o wyglądzie królika.

Faks zachrobotał. Trzy wyciągi z rejestracji w Legii Cudzoziemskiej od dziewięćdziesiątego czwartego do dziewięćdziesiątego piątego. Trzy jugosłowiańskie nazwiska i trzy dosyć paskudne, ale wyraźne zdjęcia.

Gunnar Nyberg zadzwonił do Jana-01ova Hultina. Wyjaśnił sytuację i otrzymał rozkazy różnej maści. Wszystkie po jego myśli.

Kazał przywołać Risto Petrovicia. Poczł satysfakcję, że natychmiast rozpoznał gębę z jednej z fotografii.

Petrović przyglądał mu się z naprzeciwka. Był wielki, nabity, napompowany do granic możliwości w ten typowy więzienny sposób. Ciało, które się nie rusza, ale które w zamian za to podnosi masę żelastwa. Okrutne, nieludzkie spojrzenie. Tak jak się spodziewał.

Otwierając usta, miał świadomość, że właśnie skazuje Risto Petrovicia na śmierć.

- Jovan Sotra? - przeczytał nazwisko, które znalazł na jednej z trzech stron przesłanych faksem.

Petrović zamarł. On też miał jasność co do konsekwencji. Z chwilą gdy Koco albo Klović lub ktokolwiek inny z ludzi Nedicia się o tym dowie, będzie trupem. Przez Gunnara płynęła władza. Czysta władza. Nagle zrozumiał, co to znaczy mieć ludzkie życie w swoich rękach. Okropne uczucie.

Może powinien był zostać przy komputerze. W zaciszu cyberprzestrzeni.

- *I don't know what you're talking about* - odezwał się w końcu Petrović, choć jego spojrzenie mówiło coś innego.

Nyberg przeszedł na angielski; nie szło mu najlepiej.

- W krótkim okresie po zakończeniu wojny w Chorwacji z komendanta paramilitarnej bojówki przeistoczyłeś się w szeregowca we francuskiej Legii Cudzoziemskiej. Wtedy poznałeś byłego oficera, obywatela szwedzkiego, Niklasa Lindberga. Gdy z czasem spotkaliście się tutaj, w Kumli, przekazałeś mu informacje o tym, że planowana jest wielka transakcja między twoim pracodawcą Rajko Nediciem a kimś jeszcze. Lindberg wykorzysta-

tał tę informację, żeby zabić najbliższego człowieka Nnlu 1.1 Lordana Vukoticia, jak również zaatakować i zamordow.n 11 ludzi Nedicia w czasie tak zwanej rzeźni w Siekli; przypadł wtedy również przedmiot transakcji.

Petrović spojrział na Nyberga. Szukał sposobu wyjścia / ttej sytuacji. Nie wiedział, czy da mu taką możliwość ten wielki policjant o posturze niedźwiedzia. Może jednak? Powtórzył, głównie dlatego, że właśnie tego od niego oczekiwano:

- / *don't know what you're talking about.*

Zabrzmiało to tak mało przekonująco, że Gunnar Nyberg po prostu go zignorował.

- *However* - powiedział, kiwając głową. - *There is a way out.*

Mierzyli się przez chwilę wzrokiem. Komendant paramilitarnej bojówki i Wielki Głina. Legionista i Mister Szwecji. Męsko i na granicy absurdu.

- Zaczekamy sobie teraz na Larsa Viksjó. Zawiezie cię w bezpieczne miejsce. Zostaniesz świadkiem koronnym, otrzymasz nową tożsamość i zamieszkaż, gdzie ci się tylko podoba. W zamian za to chcemy kilku informacji. Jeden: jak wyglądają twoje stosunki z Niklasem Lindbergiem. Dwa: co wiesz o organizacji Rajko Nedicia. Trzy: co to była za transakcja. Cztery: kto był odbiorcą. Pięć: na co ma zamiar wydać pieniądze Lindberg. Sześć: gdzie jest w tej chwili.

Risto Petrović przymknął oczy. Nie ruszał się. Otwierając oczy, podjął już decyzję. Było to po nim widać.

- Nie wiem, gdzie jest Niklas Lindberg.

I tyle.

Po piętnastu minutach absolutnej ciszy zjawił się Lars Viksjó i wyprowadził Petrovicia. Jego życie znów się wywróciło.

Ciekawe będzie zobaczyć, jak zareaguje Rajko Nedicić.

Gunnar Nyberg pozwolił sobie na chwilę cichej kontemplacji. Nie, poprawił się w myślach, kontemplacja to za dużo powiedziane. Raczej chwila czystej satysfakcji. Był z siebie wyjątkowo zadowolony.



Zadzwoił do Hultina i złożył raport. Hultin powiedział:

- Zajebista robota, Gunnar.
- Do usług - odparł.

Potem wsiadł do swojego porzewiałego renaulta i potoczył się z powrotem. Zaraz za Enköping było Grillby. Musiał się zatrzymać. O co chodzi z tym Grillby? Dlaczego domagało się jego uwagi, gdy triumfował?

Grillby. Mały domek. Domek ciotki. Młodzi i wolni. Egzaminę końcowe w Wyższej Szkole Policyjnej dwadzieścia lat temu. Pięciu chłopów i ciężarówka pełna sześciopaków.

Jak to powiedział? „Jadę na wieś podładować baterie”.

Czemu by nie spróbować? Gunnar Nyberg kierował się dwudziestoletnią mapą wewnętrzną. Grillby najwyraźniej niewiele się zmieniło, bo znalazł je bez problemu. Mała żwirowa ścieżka, która prowadziła z niewielkiej osady do wielkiego lasu. Przejechał dwa kilometry coraz bardziej zwężającą się drogą. Słońce przemieniło starego renaulta w piekarnik, a Gunnara Nyberga w skwierczący kotlet mielony. Coraz bardziej wątpił w swoją pamięć i swój zmysł orientacji. W końcu jednak w rzadkim lesie mieszany otworzyła się polana i jego oczom ukazała się chatka. Nic się nie zmieniła. Stała na skraju lasu i wyglądała na opuszczoną. Działka wyrobnika folwarcznego z czerwonym domkiem z przełomu wieków. W tym miejscu wiele litrów piwa przemieniło się w urynek.

Ludvig Johnsson stał oparty o werandę i rozciągał się. Podniósł zdziwiony wzrok, jakby się wystraszył. Najwyraźniej nieczęsto miał tu gości.

Nyberg zamachał do niego. Na twarzy gospodarza pojawił się uśmiech, podbiegł w kierunku renaulta i zajrzał przez opuszczoną szybę pieca. Odrzuciło go.

- Ożeż ty. Długo siedziałeś.
- Gorąco - zadyszał Gunnar Nyberg, wytaczając się z przyciasnego auta. Potem się wyprostował i pokazał dom ręką.
- Widzę, że jeszcze stoi - stwierdził.

Ludvig Johnsson kiwnął głową i wrócił do rozciągania się na werandzie.

- Stoi - powiedział. - Bez prądu, bieżącej wody i telefonu. Przyjeżdżam tu, gdy chcę uciec przed światem. Ostatnio coraz częściej.

Nyberg pokiwał głową.

- Wiem, co masz na myśli. Ja też jeżdżę do syna i wnuka w Ósthammar. Choć ostatnio nie aż tak często.

Johnsson przestał się rozciągać i spojrzał na niego uważnie.

- Mnie to już nie dotyczy - powiedział tylko.

Nyberg ugryzł się w język. O wiele za późno.

- Wybacz.

Ludvig Johnsson podszedł do niego i otoczył go ramieniem. Ucisnął. Stali tak w skwarze przy małym, opuszczonym domu na obrzeżach Grillby w Upplandzie i się obejmowali. Siła wspomnień.

- Już dobrze - rzucił w końcu Ludvig Johnsson. - Minęło tyle czasu.

Usiedli w cieniu na werandzie. Johnsson wyjął dwa piwa. Zniknęły dosyć szybko. Pojawiły się kolejne dwa.

- Paliwo - powiedział Johnsson.

- Na tym koniec - odezwał się Nyberg. - Muszę jeszcze jechać do domu. Mamy przełom w dochodzeniu.

- Od pedofilów do neonazistów - kiwnął głową Johnsson. - Chcesz o tym pogadać?

- Chętnie. Ale potem. Dom wciąż należy do twojej ciotki?

Ludvig Johnsson zaśmiał się głośno i podrapał po symetrycznej łysinie.

- Już wtedy, gdy przyjechaliśmy tutaj uczcić nasze egzaminy, miała starczą demencję. Wciąż ma starczą demencję. Leży tam gdzie zawsze i wygląda dokładnie tak samo, choć niedługo stuknie jej setka. Jakby demencja ją zakonserwowała.

Wykrzywił się lekko i mówił dalej:

- Kiedy założyłem rodzinę, prawie o nim zapomniałem. Dużo z Hanną podróżowaliśmy. Również po tym, jak pojawili się

chłopcy. Gdy zginęli, mieli dziewięć i siedem lat i zdążyli być w czterestu krajach. Chwalili się tym w szkole. Czternaście państw. Pewnego dnia po prostu zniknęli. Cała trójka. Hanna, Micke, Stefan. Pstryk - i ich nie ma. Nie wiem, czy można to zrozumieć. Potem zapadła cisza. Gunnarowi Nybergowi wydawało się, że słyszy, jak świeci słońce. Ciche brzęczenie w tle. Nie potrafił nic powiedzieć. Nie było nic, co by można było powiedzieć. Jemu udało się naprawić błędy z przeszłości. Ludvig Johnsson nie miał takiej możliwości. Straszliwa nieodwołalność śmierci.

- No nic - westchnął Johnsson po chwili. - Potem przypomniałem sobie o tym domku. Tu mogę być sam na sam ze sobą. Potrzebuję tego. Naładować baterie przed kolejnym spotkaniem z pedofilami. Nikt nie wiedział o jego istnieniu. Aż do teraz.

- Nie wygadam - obiecał Gunnar Nyberg i zrozumiał, że popełnił błąd. Wtargnął na ziemię świętą. Wypełnił przestrzeń, która nigdy nie miała zostać wypełniona. Bez namysłu wyważył drzwi intymnej sfery, rozbijając je na strzępy. Poczul się jak łajdak.

Ludvig Johnsson przechylił się nad stołem, położył dłoń na jego dłoni i spojrzał mu w oczy jasnym, uważnym spojrzeniem.

- Już dobrze, Gunnar - powiedział ze spokojem. - Może właśnie tego potrzebuję. Nie potrafię już dłużej być eremitą.

Spojrzeli na siebie. W jakimś sensie wciąż jeszcze dzielili tamto mieszkanie. Minęło dwadzieścia lat, ale żaden z nich do końca go nie opuścił. Pewnych miejsc nigdy się nie opuszcza. To były ważne lata. Kosmopolita Ludvig i bysior Gunnar. Byli tam znowu.

Potem Gunnar Nyberg popełnił wykroczenie zawodowe. Opowiedział o sprawie. Bardziej niż kiedykolwiek potrzebował powiernika, a powiernik potrzebował być powiernikiem, było to widać wyraźnie. Przez krótką chwilę pomyślał, że mogliby rozwiązać ją razem. Tak jak to robili w szkole.

Zaczął od przełomu, przecieku u Rajko Nedicia, wrócił do początku, aż do wydarzeń w Młynie i w bunkrze Kumli, do najemników z byłej Jugosławii, Niklasa Lindberga i Legii Cudzoziem-

skiej, i potencjalnych skrajnie prawicowych organizacji | iara soli.
Wyjawił mu wszystko. Była to długa i skomplikowana opo wieść.
I jak dotychczas bez końca.

- No to ładnie - powiedział Ludvig Johnsson.

I tyle.

Gdy Gunnar Nyberg opuszczał Grillby, poczuł się, jakby ktoś
zjął z niego wielki ciężar. Dawna przyjaźń została odbudowali.)
Czuł, że zdobył powiernika na resztę życia. Było mu z tym dobrze.
Jakby kolejny zagubiony puzzel z przeszłości trafił na swoje
miejsce.

Wjechał na E18 i wrócił do Sztokholmu.

- **JEST!** - zawołał Kula. - Mamy go!

Po raz drugi tego dnia. Wcześniej tylko im śmignął. Krótki sygnał, który równie dobrze można było uznać za fałszywy alarm. Tym razem jednak nie mieli wątpliwości. Kula nieomal nie wyskoczył ze skóry. Już nawet on tracił nadzieję, że się uda.

Niklas Lindberg widział to po nim. Ciało tego niskiego, barczystego mężczyzny zadrżało z napięcia. Jak suflet, pomyślał zaskoczony.

Spojrzał w dół, w stronę domu rodziców. Leżał w tym samym miejscu, na dnie doliny. Rzędy przyjemnych domów szeregowych, gdzie został poczęty. Niezakłócony przez obcych spokój. Okres dorastania w czystości. Trollhattan - prawdziwie szwedzka ziemia. A teraz: podejrzane pizzerie na każdym kroku, mafijne salony gry, szerząca się nieuczciwość rodem z Południa. Świat gwałcicieli, handlarzy narkotyków, szaleńców wymachujących nożami, pasożytów żyjących z zapomóg, arabsko-żydowsko--katolickiej korupcji i słabości w kostiumie macho. Miał jasność co do tego. Wiedział, przeciwko czemu walczył. Nie wiedział tylko do końca o c o.

- Zniknął - wydusił Kula, kręcąc gałkami.

- Udało ci się złapać kierunek? - zapytał Niklas Lindberg.

- Tak. Na wschód. Droga numer czterdzieści cztery lub czterdzieści dwa.

- Co tam mamy? Rogge?

Roger Sjöqvist przekartkował mapę.

- Trudno stwierdzić. Dokładnie między stronami. Droga numer czterdzieści cztery rozdziela się i jako czterdzieści cztery

prowadzi dalej w górę do Vanern, Lidköping. Jaku i / . ! r n l / n ■ i siedem prowadzi do Falkóping. Ale czterdzieści siedem się z E20, która biegnie w górę do Skary i Skóvde. Co | i - , / < . < mówiłeś? Droga numer czterdzieści dwa. Ta nigdzie nie pn dzi. Vargarda. Fristad.

- Potrzebujemy jeszcze jednej wskazówki - powiedział Kuli Niklas Lindberg zastanowił się.
- Jedź czterdzieści cztery - nakazał. - I dodaj gazu.
- A ograniczenia prędkości?
- Olej. Jesteśmy blisko.
- Co myślisz, Nicke? - zapytał Kula.
- Myślę, że dostaniemy tę wskazówkę - powiedział Niklas Lindberg. - A wtedy już będziemy wiedzieć na pewno.

INSPEKTOROWI Janowi-Okwowi Hultinowi nie podobało się, że Jorge Chavez siedzi na jego katedrze, wymachując nogami. Wcale a wcale. Choć nie potrafił wytłumaczyć dlaczego.

Pewnie dlatego, że go zasłaniał.

Był piątek dziewiątego lipca, a czas płynął, i to coraz szybciej. Nie mieli niczego, czego mogliby się zacząć. Wciąż tylko nowe fakty, ale nic tak naprawdę istotnego. Może dziś się to zmieni.

Skąd ten nagły przypływ optymizmu?

Ostatnie spotkania w Centrum dowodzenia upłynęły raczej w atmosferze ogólnej rezygnacji. Zalew informacji, z którymi niewiele mogli zrobić. Nedić siedział cicho, a o Niklasie Lindbergu i jego ludziach niedługo zaczną trąbić media. Jeśli zdradzą ich tożsamość, brukowce rozdmuchają rzeźnię w Siekli do granic możliwości, ogłaszając Lindberga Antychrystem, a jego trzech kompanów - apostołami ciemności. Za wszelką cenę chcieli tego uniknąć. Dotychczas Hultin miał po swojej stronie Mórnera w kwestii ukrywania tożsamości Lindberga, Sjóqvista, Anderssona i Kullberga, ale jako że dochodzenie wciąż nie przynosiło żadnych efektów, rósł nacisk, aby wszystko ujawnić. Jeszcze moment i do wszystkiego zostanie dopuszczony Wielki Śledczy Opinia Społeczna, a pole działania Rajko Nedicia znacznie się poszerzy. Dowie się, kto go okradł. Jeszcze moment i nie będą mieć wyboru. Hultin drżał na myśl o tej chwili. To tylko sparaliżuje śledztwo, rozpocznie się karnawał telefonicznych zgłoszeń, a on nie będzie mógł dać drużynie wolnej ręki.

Co by się wtedy stało z Drużyną A?

Widok odprężonego Gunnara Nyberga w głębi Centrum do wodzenia był jednym z powodów nagłego przyływu optymizmu Hultina. Ale było ich więcej. Wszyscy sprawiali wrażenie gotowych do skoku - być może z wyjątkiem Viggo Norlander i śpiącego z otwartymi ustami, z których wypływała stróżka śliny. Smakowity kąsek dla wieczornej prasy. „Tak przebiega dochodzenie w sprawie najgroźniejszych przestępców w kraju”. I zbliżenie ociekających śliną ust. Stylowe.

Z twarzy swoich ludzi potrafił już wyczytać, co za chwilę się stanie. Jorge patrzył na nich zadziornie z katedry - to dobrze wróżyło. Przez ostatnie dni był wyraźnie nieobecny; miłość - ale również dające się łatwo zauważyć zafrasowanie - jakby na drodze miłości pojawiły się niepotrzebne przeszkody. Paul tryskał humorem - dokładnie od czasu, gdy zaczął pracować w parze z Kerstin - i Hultin spodziewał się, że nie obędzie się bez komplikacji. Również Kerstin emanowała energią. Ale ona zawsze dobrze wyglądała. Najbardziej straszyl Arto. Fińsko-szwedzkie kąciki ust były napięte w sposób, którego nie widział od dawna. Cholera wie, czy Arto Söderstedt nie rozwiązał już całej sprawy. Naprawdę można było tak pomyśleć.

Pełen dobrych przeczuć inspektor kryminalny Jan-Olov Hultin pozwolił mówić Drużynie A.

Na katedrze stał telewizor z odtwarzaczem wideo. Chavez uruchomił go pilotem. Obejrzeliby trwające kilka sekund nagranie. Niski barczysty mężczyzna w czapce wszedł do banku. Wprawnym ruchem ręki zakrył twarz i wyszedł z obrazu. Widać było tylko nogi. Miał sznurowane buty, przez kilka sekund stał bez ruchu przy jednym ze stołów. Potem na ekranie pojawiły się szare kreski. Chavez przewinął taśmę i puścił od nowa.

- Napad na bank w Göteborgu - wyjaśnił. - Zanim zestrzelono kamery. Spójrzcie na stopy. Pomiary dokonane na miejscu pokazały, że są to buty w rozmiarze czterdzieści.
- Ale nie czteroletnie reeboki - powiedział Arto Söderstedt.

Spojrzeni na niego. Spodziewali się dalszego ciągu, ale ten nie nastąpił.

- Przyznaję - zgodził się Chavez. - Nie czteroletnie reeboki, które brodziły w krwi Eskila Carlstedta na terenach przemysłowych Siekli. Niektórzy jednak zmieniają czasem buty.

Wyzywające spojrzenie rzucone Söderstedtowi. Zero reakcji. Chavez mówił dalej:

- Wczorajszy napad wygląda na ukoronowanie czegoś, co *post jactum* wygląda na prawdziwy bandycki rajd przez południowo-zachodnią Szwecję. Nie gardzą niczym, napadają na wszystko, od monopolowych po banki. Zaczęli w wigilię nocy świętojańskiej od stacji paliw w Skillingaryd między Jónkóping a Varnamo w Smalandii. W wigilię nocy świętojańskiej, czyli dzień po rzeźni w Siekli.
- Skillingaryd to raczej nie zachodnie wybrzeże - wtrąciła Kerstin Holm.
- Przyznaję. Ale potem już tak. Kolejne sześć miejsc, które obrabowano: Angelholm, Mellbystrand, Halmstad, Varberg, Ul-richamn i kulminacja w Göteborgu, gdzie łup wyniósł czterysta dwadzieścia tysięcy koron. Ponieważ w zasadzie nie mamy świadków, wciąż nie wiemy, czy za tymi wszystkimi napadami stoi ta sama banda. Jednak rutyna, jaką wykazali się w gótebor-skim banku, i buty w rozmiarze czterdzieści podpowiadają, że to nasi starzy znajomi uaktywnili się na zachodnim wybrzeżu. Napastników było bowiem czterech, a jeden z nich wydawał się wyraźnie pokiereszowany. Twierdzą, że to są nasi starzy znajomi. Jeszcze coś.
- Co takiego? - zapytał ze spokojem Hultin.
- Zeznanie z banku - powiedział Chavez. - Czterech napastników. Trzy czarne kominiarki. Jedna w innym kolorze. Żłota. Pamiętacie złote nici z Siekli?

Hultin przytaknął, mimo to zaoponował:

- Najpierw okradają Rajko Nedicia z grubej kasy, prawdo podobnie kilku milionów, a potem podejmują się serii ryzykow-

nych napadów na zachodnim wybrzeżu, z których największy daje im czterysta dwadzieścia tysięcy koron. Brzmi mało pi /.»•
konująco.

- Brzmi bardzo przekonująco - wtrącił Söderstedt.

Po raz kolejny spojrzenia wszystkich skierowały się w jego stronę. Miał asa w rękawie, nie było wątpliwości.

- Brzmi mało przekonująco, ponieważ błędne są przesłanki - wyjaśnił Söderstedt. - Jeśli zmienimy przesłanki, będzie nie tylko przekonująco, ale i zgodnie z prawdą.

Niewiele z tego zrozumieli.

- Chciałbym jeszcze zająć głos w tej sprawie - dodał i zamilkł, wbijając wzrok w ścianę.

Chavez pomyślał, że powinien się wściec. Tak się jednak nie stało, stwierdził zaskoczony. Górę wzięła ciekawość. Zeskoczył z katedry i wrócił na swoje miejsce.

- Kerstin? - powiedział Hultin.

- No tak. - Kerstin Holm wspięła się na podium i zajęła przy-
mocowywaniem dużej fotografii do białej tablicy za pomocą
magnesów w kształcie biedronek. - Niech to będzie krótkie
interludium w oczekiwaniu na rewelacje Arta. Jak wicie,
zatrzymaliśmy mordercę z Młyna, który okazał się nieśmiałym
i niedowartościowanym chłoptasiem o nazwisku Conny
Nilsson. Nie nazwałabym go żadnym krwi mordercą. Nie
wiem, jak to ująć, ale był raczej tylko narzędziem, którym
posłużono się przy czymś większym, co się teraz dzieje.
Młody, bezwolny człowiek, który nie rozumiejąc, jak to się
stało, nagle dostrzega zakrwawiony uchwyt kufla w swojej
dłoni. Nie jestem pewna, ale jest w tym coś obrzydliwego,
czego w tej chwili nie potrafię nazwać. No cóż, wsadzenie
mordercy z Młyna za kratki nie zapewniło nam nowych
świadców. Cała banda rozjechała się chyba na wakacje i
wsiąkła jak kamfora. Z Paulem próbowaliśmy rozgryźć tego
„policjanta”. Dwóch świadców najwyraźniej zniknęło z po-
wierzchni ziemi; by dorwać pozostałych, musieliśmy się sporo
nachodzić. Powoli jednak do czegoś się zbliżamy. Coraz
więcej

wskazuje na to, że „policjant” miał ciemne włosy i brodę. Większość wydaje się zgodna co do tego, że był przed czterdziestką. Świadek obdarzony najlepszą pamięcią, noszący przezwisko Stenbógen, twierdzi uparcie, że „policjant” miał małą czarną bródkę - wiecie, taką, co okala usta. I jeśli przyjrzymy się bliżej temu wyjątkowo dokładnemu i specjalistycznie oczyszczonemu powiększeniu zdjęcia, na którym prawie całkowicie zasłaniają go kibice Hammarby, to rzeczywiście widzimy - o tutaj - fragment takiej bródki.

- A wtedy - powiedział Paul Hjelm - zadaliśmy sobie pytanie, kiedy ostatnio widzieliśmy policjanta z taką brodą. Zakładając, że to rzeczywiście jest policjant. Całkiem niedawno temu spotkaliśmy ciemnowłosego policjanta w odpowiednim wieku z identyczną brodą. Chociaż oczywiście jest takich wielu.
- O matko! - wykrzyknął Chavez. Przed jego oczami objawiła się Sara. Cudowna Sara Svenhagen. I dzielące ich mury.
- Szef Sary - dodał z rozpędu.

Gunnar Nyberg drgnął i spojrzał na niego zaskoczony. Czy naprawdę mowa była o tej świetlistej postaci? Co miała wspólnego z Jorge? I jego własnym - drugim - szefem? Party-Ragge?

- Tylko spokojnie - zaczął bardzo powoli Jan-Olov Hultin.
- Nikt, powtarzam: nikt, nie będzie rzucać oskarżeń pod adresem kolegów, zanim wszystkiego dokładnie nie sprawdzimy. Bardzo dokładnie. Zrozumiano? Czy istnieje jakkolwiek powód, dla którego mielibyśmy podejrzewać inspektora kryminalnego Ragnara Hellberga? To, że ma małą ciemną bródkę? Po winniśmy mieć coś więcej w zanadrzu.

- Mówicie o Ragnarze Hellbergu? - nie wytrzymał Nyberg.
- Party-Ragge? Przecież on jest zupełnie... nieszkodliwy.
- Niewątpliwie można by założyć, że wszyscy inspektorzy kryminalni w Rikskrim są całkowicie nieszkodliwi - rzekł surowo Hultin i wbił wzrok w Nyberga. - Ale zasadniczo Gunnar ma rację: nie ma żadnych podejrzeń wobec Ragnara Hellberga

ani innego konkretnego policjanta w tym kraju. Zajmijmy się naszymi sprawami. Dobrze, Gunnar?

Nyberg nie mógł się pozbyć. Najpierw Jorge i Sara - a teraz jeszcze Party-Ragge. W jego oczach Party-Ragge był dekoracją wydziału do spraw pedofilii, figurą na dziobie, która miała ozdobić solidny, ale niezbyt przyciągający uwagę statek. Rzeźbą sygnowaną przez Ludviga Johnssona.

Rozrywkowy policjant kontra policjant eremita.

Potem wziął się w garść i trochę niepewnym tonem rozpoczął swoją małą mowę zwycięską:

- Niklas Lindberg nie mógł podsłuchać rozmowy ludzi Rajko Nedicia w Kumli, ponieważ oni z a w s z e rozmawiają ze sobą po serbsko-chorwacku - to ich znak rozpoznawczy. Ktoś musiał więc sypnąć. Najpierw zakapował, że będzie mieć miejsce duża transakcja i że spotkanie przygotowawcze odbędzie się w Młynie wieczorem dwudziestego trzeciego czerwca, dzień przed tym, jak Lindberg miał zostać zwolniony z więzienia. Lindberg dobrał się do Vukoticia, żeby dowiedzieć się, gdzie dojdzie do przekazania - w tym samym czasie jego ludzie dowiedzieli się tego samego, podsłuchując spotkanie w Młynie. *Double check*, jak już mówiliśmy. Kto inny jednak to wszystko uruchomił: wyjątkowy w środowisku Nedicia kapuś. Kret ten brał czynny udział w czystkach etnicznych, po czym wstąpił do Legii Cudzoziemskiej, gdzie spotkał Szweda, z którym podzielał skrajnie prawicowe poglądy. Tym Szwedem był Niklas Lindberg. Gdy z czasem ta dwójka, z różnych powodów, trafiła do Kumli, kret stał się przepustką Lindberga do imperium Nedicia. Nazywa się Risto Petrović.
- „Kilku jugoli w tym samym typie” - rzucił wybudzony Viggo Norlander. Wszyscy byli przekonani, że mówi przez sen.
- Risto Petrović - ciągnął dalej Gunnar Nyberg - znajduje się teraz pod ścisłą ochroną jako potencjalny świadek koronny. Najwyraźniej ma sporo do powiedzenia na temat bliskiego mu ideowo Niklasa Lindberga i swojego pracodawcy Rajko Nedicia.

Nie ma jednak pojęcia, gdzie przebywają w tej chwili Lindberg i jego koledzy.

- Ale wie to Arto - powiedział ze spokojem Hultin, podczas gdy wszyscy jeszcze wpatrywali się w Gunnara Nyberga. Ten zdążył już zapisać się z powrotem w siebie.
- Powinniśmy byli sprawdzić ich przeszłość - odezwał się Söderstedt z pretensją w głosie.
- To by nie pomogło - powiedział Nyberg. - Petrović używał w Legii fałszywego nazwiska. Jovan Sotra. A o Niklasie Lindbergu nie było jeszcze mowy.
- Mimo wszystko - upierał się Söderstedt, podnosząc się z miejsca. Podeszedł do białej tablicy i pokręcił zawiedziony głową. Potem przykleił ogromną mapę, zasłaniając wszystkie zdjęcia, strzałki i notatki. Była na niej połowa Szwecji. Południowa połowa. Biegły przez nią trzy zawijasy w różnych kolorach, które wyglądały jak papierowe serpentyny pozostałe po zakończonej imprezie rakowej.
- Więc tak - zaczął trochę rozkojarzony. - Chyba coś znalazłem, ale może to tylko zbieg okoliczności. Choć może i nie. W wyniku mozolnej pracy umysłowej doszukałem się serii zakodowanych wiadomości w internetowym wydaniu Żółtych Stron - rubryce „Kocham Cię”. Dwie strony wymieniały się informacjami na temat swojego położenia za pomocą autorskich odnośników do arcydzieła literatury, którym jest *Samochodowy atlas Szwecji*. Moją uwagę przyciągnął fakt, że cytowali siostry Florento. Pamiętacie je?
- Tak - kiwnęła głową Kerstin Holm. - To te niewolnice seksualne, które okroiły swojego alfonsa z grubej kasy.
- Coś w ten deseń. Pytanie tylko, dlaczego ktoś cytuje kryminalistki w rubryce „Kocham Cię”? Skontaktowałem się z Żółtymi Stronami i dostałem kopię zapasową całej ich korespondencji. Od dwudziestego czwartego czerwca, wigilii nocy świętojańskiej, wysłali do siebie po szesnaście wiadomości. Układa się to w dwie trasy. Żółta, która biegnie tędy, przez Dalarnę i Vast-

manland. I niebieską, o t u t a j , przez Halland i VastergOtlniul
Żółta trasa prowadzi z Orsy do Kóping. Niebieska - / Falkcnbor gu
do Skary. Kóping i odpowiednio Skara trafiły do siebie i /ile. I wie
godzinę temu. Dziesięć minut przed naszym spotkaniem dostaliśmy
również wiadomość o nowym napadzie, tym razem na stację
benzynową w Falkóping. Na podstawie zeznań świ. ul ków wiemy,
że napastnik miał na sobie kominiarkę w kolorze, który najlepiej
można określić jako złoty. Jeśli ułożymy wspomniane napady,
Skillingaryd, Angelholm, Mellbystrand, Halm-stad, Varberg,
Ulricehamn, Göteborg, Falkóping, w trasę - tę czerwoną t u t a j - to
zobaczymy, że zbliża się ona coraz bardziej do tej niebieskiej.

Arto Söderstedt zrobił przerwę, rozejrzył się dokoła i spojrzał w
nic nierozumiejące oblicza drużyny.

- Ścigają Eurydykę.

Niewiele to pomogło.

- Gdy to pojąłem, wszystko stało się jasne. Jak już wcześniej
słusznie zauważył Jan-Olov: dlaczego rzeźnicy z Siekli mieli-
by dokonywać jakichś marnych rozbojów w zachodniej
Szwecji, skoro wcześniej obrobili Nedicia? To skoro
wszystko zmienia. Skoro skroili Rajko Nedicia na,
powiedzmy, dziesięć milionów, to po co napadają na stacje
benzynowe dla marnych kilku tysięcy. Tyle że oni nie
skroili Rajko Nedicia. Próbowali, ale im się nie udało.
Ktoś inny przechwycił kasę na ich oczach. Drobną postać w
czteroletnich reebokach w rozmiarze czterdzieści. Ślady krwi
prowadzące o d ciała Eskila Carlstedta. Orfickie ślady. Gdy
przycisnąłem techników, przyznali, że ślady, tu cytat, „z
pewnym, ale nie do końca zadowalającym prawdopo-
dobieństwem" zostawił l e k k i mężczyzna, nie Kula Kullberg,
który waży osiemdziesiąt osiem kilo. Lub kobieta.
- Orfickie? - zdziwił się Paul Hjelm, patrząc przeciągle na
Kerstin. Odpowiedziała mu równie przeciągłym spojrzeniem.
- Forma przymiotnikowa od Orfeusza - wyjaśnił Söderstedt
niczym zramolały nauczyciel w gimnazjum. - Ślady Orfeus/.i

Nazywają siebie Orfeuszem i Eurydyką. Przejdźmy dalej. Orfeusz i Eurydyka kradną teczkę. Rozdzielają się i wyjeżdżają z miasta, każde w swoją stronę. Dlaczego? To już nie jest takie proste, ale prawdopodobnie dlatego, że wiedzą, że są ścigani. Wiedzą, że nasza Banda 2 jest na ich tropie. Próbują się ukryć. Nie jestem pewien, być może ukryli pieniądze i mają nadzieję, że chociaż jednemu z nich się uda. Bo Banda 2 siedzi im na karku. Zbliża się powoli, ale konsekwentnie. Mogą mieć jakieś urządzenie działające jak radar, tego nie wiemy na pewno. Możemy w każdym razie wyciągnąć dwa wnioski. Jeden: Banda 2 rzeczywiście zamierzała przeznaczyć pieniądze na określony cel; starają się, gdzie tylko mogą, zdobyć znowu kasę. Potrzebują pieniędzy na coś konkretnego. Dwa: Mała zagadka. Zlokalizowałem numery telefonów Orfeusza i Eurydyki. Wiadomości na stronie „Kocham Cię” wysyłane są zawsze z tych samych numerów, dwóch telefonów komórkowych zarejestrowanych na restaurację Thanatos na Ostermalm. Jej właścicielem jest Rajko Nedić.

- Chcesz powiedzieć, że Rajko Nedić okradł sam siebie? - zapytał Hultin skonfundowany.
- To jest właśnie zagadka. Skontaktowałem się z Nokią - ta dwójka używa najnowocześniejszych telefonów komórkowych z wbudowanymi komputerami. To w zasadzie prototypy. Można się z nich łączyć bezpośrednio z Internetem. Gdy tylko Orfeusz i Eurydyka dojeżdżają do kolejnej bazy, wysyłają wiadomość na stronę „Kocham Cię”. Zdaje się, że to kobieta i mężczyzna i że się kochają. Być może Nedić rzeczywiście prowadzi subtelny podwójną grę - być może ta para zbiegła z jego imperium.
- Jak widać, to dosyć dziurawe imperium - wtrącił Chavez.
- Pozwólcie, że się upewnię - powiedział Hultin ze spokojem. - Cała ta odważna teoria opiera się na pewnej geograficznej zgodności między twoimi czerwonymi i niebieskimi liniami? Wychodząc od obserwacji usychającej z miłości pary, która wy-

mienia się adresami w Internecie, dochodzisz do wniośł okradli tych, co okradli Rajko Nedicia?

- Telefony komórkowe należą do Nedicia - odezwał sn derstedt, mierząc w coś palcem. - I spójrzcie na te linie. Wul.u wyraźnie czynnik czasu; właśnie dlatego się przy tym upieram, mimo że jeszcze nie mam stuprocentowej pewności. Jeśli spój rżymy na prędkość, z jaką do tej pory poruszały się odpowiednio czerwona i niebieska linia, to znaczy odpowiednio banda Lindberga i Eurydyka, i gdy spojrzymy na ostatnie znane miejsca ich pobytu, Falkoping i odpowiednio Skarę, to stwierdzimy z dużym prawdopodobieństwem, że spotkają się jutro rano.
- Sugerujesz, że...? - zaczął Hultin, ale nie skończył, bo mu przerwano.
- Że możemy zatrzymać Niklasa Lindberga, Rogera Sjöqvista, Dana Anderssona i Agne Kullberga jutro w Skóvde. Tak. I na dodatek ująć tajemniczą Eurydykę. Kilka pieczeni przy jednym ogniu.

Hultin zamilkł. Pogrzeżył się w myślach. A jeśli Söderstedt się zapędził? Nic wielkiego, jedynie chybiony strzał, bez takiego ryzyka jak w historii z mordercą z Kentucky. Było to wszystko dosyć mętne i diabli wiedzą, jak Söderstedt w ogóle znalazł tych tajemniczych Orfeusza i Eurydykę. Siostry Florento? Żółte Strony? Rubryka „Kocham Cię”. Czy za tym wszystkim nie stał Nedić? Jakiś dziwny trop z telefonami komórkowymi na restaurację Thanatos? Tylko czy Hultin mógłby sobie kiedykolwiek wybaczyć, gdyby taka szansa przeszła mu koło nosa? I czy wybaczyłaby mu Drużyna A?

Spojrzał na wygiętą czerwoną linię na mapie. Czy to naprawdę mogli być ludzie Lindberga? Złota kominiarka... Smalandia, Skania, Halland, Vastmanland... To prawda, linia nie biegła przypadkowo. Zawracali. Zakos w okolicach Angelholmu, a potem na północ. To był pościg. W drodze po grubego zwierza polowali na drobną zwierzynę. To się zgadzało. A niebieska linia? Zygzakiem przez zachodnią Szwecję. Dlaczego? A żółta?

Dalarna? Daty zgadzały się idealnie. Wszystkie trzy strony zaczęły jednocześnie. Pierwszy napad miał miejsce tego samego dnia, kiedy na Żółtych Stronach pojawiło się ich pierwsze ogłoszenie: w wigilię nocy świętojańskiej, dzień po rzeźni w Siekli. Rzeczywiście - czerwona i niebieska linia w końcu się spotkają. Pierwszy i z pewnością ostatni raz. Rzeczywiście, trzeba chronić Eurydykę. Ona - jeśli to kobieta - z całym prawdopodobieństwem umrze.

Właśnie wtedy Jan-01ov Hultin kiwnął głową. Krótko. Ze spokojem.

- Dobra - powiedział. - Jedziemy do Skóvde.

BYŁA 10.26 w sobotę dziesiątego lipca.

Leżał w zapchlonym łóżku w domku kempingowym na obrzeżach Arbogi. Nadchodził trzeci weekend w samotności. Zastanawiał się, jak długo jeszcze to wytrzyma.

Czteryśta jeden, idę już do ciebie.

Irytowały go już te słowa. Ile skrytek z hipnotyzującym numerem 401 zdążył sprawdzić? Pięćdziesiąt? Może więcej? Nie wiedział. Codziennosc spowijała mgła. Jechał samochodem, wchodził do kolejnych siedzib banku, odczytywał swoją pozycję w atlasie i wysyłał wiadomość przez Internet. Nic więcej.

Z wyjątkiem weekendów. Wtedy zalewała go tęsknota, poczucie beznadziei, porażki.

Marzenia miały pozostać marzeniami.

Jednak najgorsza była tęsknota. Cały on -jego ciało, dusza, serce, wszystko, co potrafił sobie wyobrazić - wołało za nią. A weekendy były długim, rozwleczonym cierpieniem. Drogą na Golgotę.

Hymenajos został na próżno wezwany do Tracji.

Ścisnął sparciałą poduszkę, aż wyfrunęło z niej pierze i zatańczyło w powietrzu. Spojrzał na mały cyfrowy budzik. Wyświetlił godzinę 10.31.

Poczuł skurcz.

Jakby przeszył go gwałtowny impuls elektryczny, przenikający każdą komórkę nerwową i biegnący coraz głębiej, do bardziej eterycznych obszarów łączących duszę i serce. Wszystko było bólem. Istniał tylko ból, był wszystkim. Starczyło miejsca jedynie dla nagłego przeblysku świadomości:

Nieświadomie musiał się obrócić. Orfeusz obrócił się i rzucił spojrzenie przez ramię. A Eurydyka zatęęła z powrotem w mrocznej otchłani Hadesu.

Była 10.26 w sobotę dziesiątego lipca.

Leżała w zapchlonym łóżku na parterze hotelu w Skóvde i rozpoczynała swój trzeci weekend w samotności. Zastanawiała się, jak długo jeszcze to wytrzyma.

Czy jednak się myliła? Czy wąż dusiciel jednak nie schował pieniędzy w jakiejś skrytce na prowincji? Czy w jej obliczeniach czegoś brakowało? Może powinna była o czymś pamiętać - co jeszcze powinno znaleźć się w jej obliczeniach? Czy coś wyparła?

Pograżyła się w myślach. Od zawsze był to jej jedyny mechanizm obronny. Czuła wyraźnie, właśnie teraz, gdy zaczynał się weekend, uciszając harmider dnia powszedniego - że była o krok bliżej prawdy.

W obliczeniach brakowało jednej zmiennej.

Stryj Jubbe...? Czy na pewno o niczym nie zapomniała?

Czy nie powinna wiedzieć, gdzie znajduje się ten bank?

Poddąła się chorobliwemu atakowi refleksji.

On był jasny, ona ciemna, i ona za nim tęskniła. Tylko to wiedziała na pewno. Tylko co do tego nie miała wątpliwości. Tylko to było czyste i nieskazitelne.

Nie mogła już dłużej być z dala od niego.

Ścisnęła sparciałą poduszkę, aż wyfrunęło z niej pierze i za-tańczyło w powietrzu. Spojrzała na mały cyfrowy budzik. Wyświetlił godzinę 10.31.

Poczuła skurcz.

Otworzyły się drzwi. Zapomniała zamknąć.

Do środka weszło trzech mężczyzn w kominiarkach, dwóch w czarnych i jeden w złotej, zamknęli za sobą drzwi. Czwarły wszedł przez drzwi od strony ganku.

W rękach mieli broń, ociekali wodą. A ona zmieniła się w bryłę lodu.

- Cholerny deszcz-powiedział koronowany, mierząc di> nłtj z broni.

Patrzyła w dwoje lodowato niebieskich oczu. Całą resztą /i krywała złota kurtyna. Straciła oddech. Nie potrafiła nabrać powietrza.

- A więc tak - odezwał się znowu mężczyzna. - Oddychaj spokojnie. Możesz być z siebie dumna. Szukamy cię od dwóch tygodni. Naprawdę dobry wynik, biorąc pod uwagę rangę prze ciwnika. Jesteś sama?

Wciąż nie mogła złapać powietrza. Czowała, że robi się niebieska. Rozmyślała, mimo horroru, mimo tego, co się wokół niej działo. Strategia obronna. Pomyślała: już kiedyś tak się czułam, już kiedyś straciłam oddech.

Mężczyzna w złotej kominiarce podszedł do niej, wymierzając jej sążniste policzek. Wrócił jej oddech. Przy każdym nabieraniu powietrza czuła ból. Była gdzieś indziej. W drodze do i n n e g o pokoju.

- Jesteś sama? - powtórzył mężczyzna. Pozostali trzej stali za nim na baczność. Jeden był chyba ranny. Już ich kiedyś widziała. W tych samych ubraniach. Widziała, jak ten ranny został ranny. A czterech innych zastrzelono. Z kałuży krwi jednego z nich została wyjęta teczka. Mężczyzna w koronie - ten o dobrych manierach - uderzył znowu. Nagle. Tym razem mocniej.

- Odpowiadaj, pieprzona czarna dziwko!

- Jestem sama - powiedziała przez ściśnięte gardło. Czowała, że powoli znika. Jakby zapadała się z powrotem w królestwie cieni. W mrocznych otchłaniach Hadesu.

Mężczyzna znów zmienił ton.

- Dziękuję - odrzekł grzecznie. - Teczkę znajdziemy już sami.

Kiwnął w stronę niższego z zamaskowanych mężczyzn. Miał słuchawki na kominiarce, a w dłoni niewielkie urządzenie.

Podszedł do garderoby, podniósł trzy koce i wyjął teczkę. Podał ją koronowanemu. Ten otworzył ją i skinął głową.

- Nadajnik radiowy i klucz - potwierdził. - Doskonale. Teraz opowiesz nam wszystko, co o tym wiesz. Po pierwsze: kim jesteś?

Drugi pod względem wzrostu otworzył jej torebkę. Wyjął telefon z dużym ekranem.

- Patrzcie - wymachiwał nim w powietrzu. - Można się z niego łączyć bezpośrednio z Internetem.

- Są takie - odezwał się tonem znawcy najmniejszy z nich.

- Prototypy. Kurewsko drogie. Mały wbudowany komputer. Wiadomo, Nokia...

- Portfel - mruknął pierwszy, zajęty przeszukiwaniem torebki. - Prawo jazdy na nazwisko Sonja Karlsson. Paszport. To samo nazwisko. Kupa gotówki, pewnie z pięć tysięcy.

- Paszport - powtórzył mężczyzna w koronie. - Chciałaś uciec za granicę, Sonju Karlsson?

Zanurzała się coraz głębiej. Rzeczywistość zaczęła zanikać. Na jej miejsce pojawiła się inna. Była w grocie, głębokiej, otaczały ją ściany, a ona opadała, mijając stalaktyty, stalagmity, i gdzieś tam w dole coś ćmiło, jakby drzwi - drzwi do Hadesu.

- Udzieliłem ci głosu - koronowany nie dawał za wygraną.

- Sonja? Karlsson? Nie, kurwa, ty jesteś czarna. Fałszywe nazwisko. Nienawidzę fałszywych nazwisk. Przychodzi taki Johan Bengtsson na rozmowę o pracę i okazuje się, że jest czarnym z buszu. Najgorszy rodzaj infiltracji. Nie, nie nazywasz się Sonja Karlsson. Skąd jesteś? Z Iranu? Pewnie jugolka. Co cię łączy z Rajko Nediciem?

Spadała coraz niżej. Czowała, jak porusza powoli rękoma i nogami. Jakby zamiast powietrza otaczała ją woda.

Kolejne uderzenie. Tym razem nie w policzek. W brzuch. Ból był gdzieś na granicy rzeczywistości. Ledwo wyczuwalny.

- Wydaje się nieobecna - wydusił ranny. - Uważaj, żeby całkiem nie odpłynęła.

Koronowany spojrział na rannego. Kiwnął głową.

- Masz rację. Skupmy się na tym, co najważniejsze, /n.il.i/1.f. skrytkę, Sonju?

Ledwo go widziała. Tylko te stalowoniebieskie oczy w złotej

Plomby. Próchnica, przeszło jej przez myśl. Oprzytomniała.

Odpowiadać to znaczy przeżyć.

- Nie. Szukałam, ale nie znalazłam.

- Dlaczego szukasz akurat tutaj?

- Dostarcza drugi do trzech regionów w Szwecji - powiedziała wyraźnie. - To jeden z nich. Pozostałe to Dalarna i Västmanland oraz Norr- i Västerbotten. Nie ma Sztokholmu, Göteborga, Malmö. Próbuje się tam przebić, ale nie jest łatwo. Ma jeszcze niektóre przedmieścia.

- Proszę, proszę - odezwał się mężczyzna w koronie. - Mówi podręcznikowym szwedzkim z Rinkeby.

Obrócił się do najniższego z mężczyzn.

- Co myślisz? - spytał ścisłym głosem.

- Ona też szuka - odparł najniższy równie cicho. - Pewnie w jakiś sposób przysnęła z obozu Nedicia - może dziwka, recepcjonistka, dilerka, skąd mam wiedzieć? Pewnie tak jak myślała, że w teczce są pieniądze. Nie sądzę, żeby się dało coś jeszcze z niej wyciągnąć.

- Mamy klucz - powiedział koronowany. - To zawsze coś. Muszę powiadomić naszego dostawcę. Spróbujcie wycisnąć z niej jak najwięcej. Sprawdźcie, jakie banki już sprawdziła i jakie jeszcze jej zostały. Sprawdźcie, czy z kimś współpracuje. Wiecie, co macie robić.

Potem dodał, już znacznie głośniej:

- Daję wam wolną rękę.

Drugi pod względem wzrostu zatarł swoje wolne ręce. Ranny zaśmiał się głucho. Mężczyzna w koronie opuścił pokój. Zostali w trójkę. Znowu zaczęła opadać. Coraz szybciej.

- Teraz jesteś już tylko nasza, Sonju - odezwał się najmniejszy.

- Nie żebym jakoś szczególnie lubił gwałty, ale czasem rządzi

wyższa konieczność. Od dwóch tygodni jesteśmy w drodze, przez ciebie, a kolegom zachciało się już cipki. Mów, może ci się upiecze. Interesuje nas przede wszystkim, kim jesteś dla Nedicia? Po drugie: skąd wiedziałaś, że do przekazania dojdzie w Siekli? Trzy: naprawdę robisz to wszystko sama? Cztery: jakie skrytki zostały ci do sprawdzenia?

Już nie opadała, tylko spadała. Uderzyła o bramę do królestwa śmierci. To były drzwi. Zwykle drzwi do mieszkania. Stała przed nimi. Jej ciało przeciskało się przez nie, powoli, w cierpieniu.

Niski wzruszył ramionami i odsunął się na bok.

Ranny ruszył spod drzwi. Szerokie wojskowe spodnie wybrzuszyły się w okolicach rozporka. Pochylił się do przodu. Widziała ból w jego oczach, gdy złapał ją za spodnie. Pociągnął je w dół, gwałtownie. Zleciały jej buty. Poczula, że lewa stopa dziwnie się przekrzywiła. Spuścił wojskowe spodnie. Bokserki. Otworzyła szeroko oczy, miał wzwód. Wdrapał się na nią i zbliżył członek do jej twarzy. Owionął ją smród potu i brudnych genitaliów.

I już była po drugiej stronie drzwi. Tam. W tym miejscu. Mroczne otchłanie Hadesu. Członek był coraz bliżej. Smród potu i brudnych genitaliów. Błysk flesza. Zdjęcia dzieci. Usłyszała krzyk, który musiał należeć do niej. Obróciła się. Nie było jej tam. Spojrzała przez okno i zamyśliła się. Strategia obronna. Ulica za oknem. Przejeżdżające samochody. Numery rejestracyjne. AGF. Film Agfa. BED. Łóżko po angielsku. DTR. Dytyramb, cokolwiek to było. EDR. Edredon. Eneduerabe. Może nie tak to się pisało. A w tle, pod wiecznie zachmurzonym niebem, kwiaciarnia, wypożyczalnia kaset wideo, fryzjer męski, bank.

Bank.

W tej samej chwili wypadły drzwi. Usłyszała strzały. Siedzący na niej mężczyzna strzelił, zawył i upadł. Zalała ją lepka ciecz.

Chaos.

Na początku był chaos.

Na komendzie w Skövde siedział tylko jeden dyżurny olu ei
Pozostała część ubogiej obsady była w mieście. Dwóch poH
cjantów zajmowało się nocnym włamaniem do magazynu Kon-
sumu. Reszta patrolowała ulice. Nic dziwnego, że zaskoczył go
widok siedmiu funkcjonariuszy w cywilu.

Miał skończone sześćdziesiąt jeden lat i czekał z utęsknieniem
na emeryturę.

- Jesteście pewni, że nie powinniście wezwać brygady anty
terrorystycznej? - powtórzył po raz czwarty.

Jego pytanie nie było do końca nieuzasadnione, ale Jan-01ov
Hultin postanowił go ignorować.

Spojrzał na swój oddział. Drużyna A w komplecie. Zebrali się
wokół dwóch map. Pierwsza z nich była zwykłą mapą Skövde.
Druga - szczegółowym planem budynku.

- Powtórzmy od początku - odezwał się Hultin. - Hotel jest
tutaj, na obrzeżach miasta. Młoda samotna kobieta, podająca się
za Sonję Karlsson, prawdopodobnie nasza Eurydyka, zajęła pokój
na parterze, w rogu budynku. Tutaj. Prowadzą do niego dwie
drogi - pierwsza przez hotel, druga od ganku. Na przeciwległej
ścianie są okna, nie wiemy dokładnie na jakiej wysokości. Dwoje
ludzi wchodzi przez ganek: Hjelm i Holm. Dwóch staje przy
oknie, Chavez i Nyberg; weźcie ze sobą taborety. Trzech wchodzi
przez drzwi. Ja, Norlander i Söderstedt. Wszyscy zakładają kami-
zelki kuloodporne. Najpierw sprawdzamy, co się dzieje w środ-
ku. Kontakt przez walkie-talkie. Czekamy. Jeśli banda Lindberga
jest w pokoju, Norlander wyważa drzwi. Wtedy wpadamy do
środka. Nakazuję najwyższą ostrożność. Możemy mieć tu sytua-
cję z zakładnikiem. I rzeczywiście można sobie zadać pyta-
nie, czy nie warto wezwać brygady antyterrorystycznej. Ale to by
zajęło zbyt dużo czasu. Najlepiej będzie, jeśli uda się nam ich

zaskoczyć. Mało prawdopodobne, żeby poddali się bez walki. Są pytania?

- Jacyś sąsiedzi? - zapytał Söderstedt.
- To zapuszczony hotel, niezbyt popularny. Nie ma w nim praktycznie nikogo. Najbliższe pokoje stoją puste. A jeśli są jacyś sąsiedzi, to daleko. Nie uda nam się ich ewakuować, nie ściągając na siebie uwagi. Wedle mojej oceny możemy przeprowadzić akcję w hotelu, nie ryzykując życia nikogo z wyjątkiem nas samych.
- I Eurydyki - wtrącił Söderstedt.
- Jeśli już tam są, to i tak jest w niebezpieczeństwie. Dobra. Jedziemy.

Skierowali się do dwóch wynajętych samochodów i przejechali cicho i spokojnie przez Skóvde, aż zabudowa zaczęła się przersedzać. Po chwili znaleźli się na miejscu.

Była godzina 10.26 w sobotę dziesiątego lipca.

Okropny dzień. Strugi deszczu lały się z nieba. Jakby pogoda chciała wyrównać statystykę, mszcząc się na pogodnych dniach. Nie było nic widać. Uruchomili walkie-talkie, włożyli słuchawki do uszu i ruszyli.

Wszyscy, oprócz Hjelma i Holm, którzy obiegli budynek, kierując się w stronę niepozornego wejścia głównego do hotelu. Przy schodach oddzielili się Nyberg z Chavezem, każdy z małym taborettem w dłoni, i zaczęli się skradać wzdłuż ściany ku narożnikowi z oknem od strony ogrodu. Hultin wszedł z Norlanderem i Soderstedtem do holu głównego. Przy recepcji stała okrojona wersja pikolaka.

- Pokój numer dwanaście. - Hultin pokazał legitymację. - Młoda kobieta. Rozmawialiśmy przez telefon dwie godziny temu.

Widok legitymacji inspektora kryminalnego nie zrobił szczególnego wrażenia na pikolaku. Rzucił okiem na leżącą przed nim księgę hotelową.

- Karlsson - powiedział przeciągle. - Sonja Karlsson. Ma gości.
- Czterech mężczyzn? - zapytał Hultin.

- Trzech. Jeden z nich już wyszedł.
- Kiedy?
- Jakież pięć minut temu. Może dziesięć.
- Odjechał samochodem?
- Usłyszałem silnik ruszającego auta. Ale nie parkował tutaj.
- Dobra - odezwał się Hultin. - A teraz zamknij się na chwilę w biurze.

Imitacja pikolaka po raz pierwszy otworzyła szeroko oczy. Była to zresztą jedyna jego reakcja. Zniknął za drzwiami.

Hultin, Söderstedt i Norlander wyszli przez podwójne drzwi na korytarz, wyjęli broń. Ruszyli powoli w stronę pokoju z numerem 12. Majaczył na drzwiach w głębi korytarza.

Hjelm i Holm nadeszli z drugiej strony hotelu, mijając rząd pustych ganków oddzielonych płótkami obrośniętymi pnączami. Zatrzymali się przy ostatnim. Hjelm skinął głową, Holm wyjrzała za róg.

- Nic nie widać - szepnęła. - Cholerny deszcz.
- Jesteśmy na miejscu - wyszeptał Gunnar Nyberg przez walkietalkie. - W oknach wiszą firanki. W środku coś się rusza.
- Nic nie widzimy - powiedziała Holm. - Musimy podejść bliżej.
- Oni muszą tam być - syknął Hultin. - Mamy potwierdzenie, że trzech z nich tam jest. Powtarzam: zostało trzech, jeden wyszedł.
- Eurydyka? - zapytał Nyberg.
- Jest. Prawdopodobnie mają ją na muszce. Nakazuję najwyższą ostrożność. Stoimy przed drzwiami, musimy dokładnie wiedzieć, co tam się dzieje. Paul i Kerstin?
- Podchodzimy.

Kerstin Holm ruszyła pierwsza. Jej krokom towarzyszyło głośne płaskanie w mokrej trawie. Hjelm podążał tuż za nią. Dopiero w połowie drogi zobaczyli wyraźnie drzwi. Były to klasyczne drzwi na ganek, na dole drewno, na górze szkło, kilka stopni w dół. Podkradli się do schodów, nisko się schylając. Byli ptZC moknięci, ocierali wodę z twarzy. Hjelm pokazał na siebie palcem

Powoli się wyprostował. Czoło, potem oczy nad linię parapetu. Okno zalane wodą.

Przez zasłonę z deszczu zobaczył trzech mężczyzn w kominiarkach i kobietę w bieliźnie. Jeden z mężczyzn opuścił spodnie i wdrapał się na kobietę, zbliżył członek do jej twarzy. W rękę trzymał pistolet. Pozostali dwaj mieli broń zatknętą za pasek spodni.

Hjelm skrzywił się i zsunął z powrotem. Wyszeptał do wal-kie-talkie:

- Gwałcą ją. Gwałciciel ma pistolet w rękę. Pozostali dwaj za pasem. Łóżko ma głowę od waszej strony, Jan-Olov, zaraz na prawo za drzwiami. Nie dosięgniecie go. Musimy zrobić to my, z ganku. Wchodząc, będziecie mieć mistrza strzału Kulę prosto przed sobą, a tego trzeciego na lewo, zaraz pod waszym oknem, Gunnar.
- Dobra - szepnął Hultin. - Gunnar i Jorge, widzicie coś?
- Nie - odszepnął Chavez. - Musimy najpierw rozbić okno, a potem zerwać zasłonę. Będzie ciężko.
- Dobra, czyli my i wy, Paul - powiedział Hultin. - Wyważamy czy rozwalamy?

Paul spojrział na Kerstin. Wydała mu się wyjątkowo spięta. Jak ktoś obcy. Jej usta mówiły „rozbijamy”.

- Rozbijamy - zdecydował Paul Hjelm.
- Wszyscy gotowi? Wyważamy. Raz, dwa, trzy.

Drzwi wyleciały z zawiasów. Hjelm zobaczył to przez okno. Jak w przyspieszonym tempie widział, jak Norlander wpada do środka i zostaje trafiony w pierś przez mężczyznę siedzącego na kobiecie. Wtedy strzelił. Po skosie od tyłu. Kula trafiła tamtego w klatkę piersiową z prawej strony. Jego ciało opadło na kobietę. Łała się z niego krew. Pozostali dwaj podnieśli instynktownie ręce do góry. Z rozbitego okna nad nimi posypało się szkło. Pojawiła się w nim głowa Nyberga i pistolet. Hjelm wyważył kopniakiem przestrelone drzwi na ganek. Kobieta osunęła się na podłogę. Ranny mężczyzna na łóżku strzelił kolejny

raz. Kula przeleciała tuż nad ramieniem Hjelma. Hjelm ntr/rlll znowu. Dwa strzały w twarz. Prosto przez kominiarkę. I X> sn»l ka wszedł Hultin. Norlander wstał; patrzył ze zdziwieniem n.i dymiący otwór w piersi. Hultin, Söderstedt i Nyberg skierowali broń na tych dwóch z rękoma w górze. Chavez pobiegł za róg i krzyknął:

- Kerstin!

Hjelm się obrócił. Kerstin Holm leżała na ganku z rękoma przyciśniętymi do skroni. Między palcami ciekła jej krew. Chavez kucnął przy niej. Hjelm zatoczył się w ich stronę. Wielki mężczyzna pod oknem złapał za pistolet. Strzelił prosto przed siebie. Hjelm poczuł, jak rzuca nim o podłogę ganku. Ból nadszedł falami.

Hultin strzelił, zabijając wielkiego. Bez pardonu, czterema strzałami w serce.

- Boże! - krzyknął Gunnar Nyberg z okna.

Niski stał z rękoma w górze. Hultin podszedł do niego, zdarł kominiarkę, wepchnął mu lufę w usta, popychając go na ścianę. Był zupełnie błądy na twarzy. Miał dzikie oczy.

- Jan-01ov! - krzyknął głośno Söderstedt.

Palec wskazujący drgnął. Zęby dzwoniły o lufę pistoletu.

- Nie rób tego, Jan-01ov - krzyknął Söderstedt. - Odejdź.

Nie cofnął ręki. Weiskał lufę coraz głębiej do gardła, powodując odruch wymiotny. Niski chlipał, pociągając nosem. Na koniec zwymiotował prosto na pistolet.

- Odejdź - powtórzył Söderstedt. - Zobacz, co z Paulem i Kerstin. Tylko to się teraz liczy. No już! Idź!

Hjelm leżał, gapiąc się w deszcz. Patrzył, jak krople deszczu robią się coraz większe i większe. Wszystko wokół robiło się coraz większe i większe. Nie zmieniało charakteru. Nie umrze. Obrócił się w stronę Kerstin. Jorge przyciskał swoją marynarkę do jej głowy. Krzyczał prosto przed siebie. Za plecami Paula przemknęła jakaś postać. Patrzył na twarz Kerstin. Poruszyła ustami. Ułożyły się w słowo:

- Paul.
- Tak, Kerstin, jestem tutaj. Wszystko będzie dobrze.
- Paul, kocham cię.
- Będzie dobrze, Kerstin, będzie dobrze.

Hultin wyszarpnął pistolet z ust niskiego mężczyzny, wybijając przy tym kilka zębów, potem pochylił się nad nim i rozkwaśił mu brew. Na tyle mógł sobie pozwolić.

Nyberg mierzył do niskiego z okna, Söderstedt z wnętrza pokoju. Niski kulił się na podłodze, zalewając się łzami.

Norlander usiadł na łóżku i zdarł z siebie kamizelkę kuloodporną. Z jego piersi wydobywała się smużka dymu.

- Kurwa, boli - powiedział Viggo Norlander.
- Stul pysk - odparł Arto Söderstedt.

Hultin zerwał kominiarkę z ciała leżącego pod oknem.

- Roger Sjöqvist - westchnął zawiedziony.

Potem podszedł do łóżka i ściągnął kominiarkę z trupa ze zsuniętymi spodniami. Głowa opadła na łóżko. Twarz tamtego kiedyś była fioletowa.

- Dan Andersson - westchnął jeszcze bardziej zawiedziony.

Dopiero wtedy zobaczył swoich ludzi na ganku. Krew ciekła z rękawa płóciennej marynarki Paula. Kerstin leżała z głową owiniętą w marynarkę Jorge. A Jorge był. Hultin podszedł i wymierzył mu policzek. Chavez zamilkł.

- Co z nią? - zapytał.
- Kurwa, dostała w głowę - syknął Chavez. - To niby jak ma z nią być?

Hultin zadzwonił po pogotowie. Norlander wyszedł z Kulą Kullbergiem zakutym w kajdanki, rzucił go na ziemię i wcisnął jego twarz butem w mokrą trawę.

- Daj spokój - rzucił chłodno Hultin.

Nyberg i Söderstedt pojawili się jednocześnie. Nyberg ukląkł przy Kerstin.

- Cholera, Kerstin - powiedział cicho. - Coś ty zrobiła?
- Niewiele - odrzekła Kerstin, zmuszając się do uśmiechu.

Soderstedt wsunął broń w kaburę na szelkach i westchl

- Pomyślcie, gdyby był tu jeszcze Niklas Lindberg...

- Gdzie, do cholery, jest Eurydyka? - spytał Paul Hjelffl
mdlał.

Jan-Olov Hultin pomyślał o dobrym ziele i chwastach.

Potem zwymiotował.

TYMCZASEM w Sztokholmie była słoneczna sobota dziesiątego lipca. Był szczyt lata. Miasto sapało pod pierzyną gorąca. Na każdym wolnym skrawku zieleni zalegali ludzie, jakby miasto wydało ich na powierzchnię - jak pot. Chmury rozproszyły się, żeby całkiem nie wyschnąć, a słońce zdawało się zbliżać do ziemi, jakby chciało jej się lepiej przyjrzeć. Nie wierzyło swoim oczom i zbliżyło się jeszcze bardziej.

Sara Svenhagen siedziała w cukierni Sundberg przy Jarntorget na Starym Mieście w towarzystwie niemieckiej wycieczki autokarowej. Ponieważ tylu Niemców z trudem mieści się w cukierni Sundberg przy Jarntorget na Starym Mieście, było trochę ciasno.

Chciała, żeby było trochę ciasno.

Tak ciasno, jak to tylko możliwe.

Czekała, a w oczekiwaniu wspominała ubiegłe dni. Rozliczała się z tej części swojego życia. Czy mogła zrobić coś inaczej? Roztrząsała minione zdarzenia i nie znajdowała żadnych konkretnych potknięć. Jej krok był zdecydowany, prowadził pewnie do punktu, w którym znalazła się teraz.

Przywiódł ją tu „brambo”.

Pseudonim w sieci. To co widniało przed małą w adresie mailowym. Podsumowała:

Za pomocą komputera należącego do pasywnego pedofila Andreeasa Witreusa z Söder Torn zlokalizowała szereg stron internetowych z dziecięcą pornografią, które były jej zupełnie obce. Zostały starannie ukryte za niewinnymi tekstami nagłówków

i przez to nie dało się ich odnaleźć za pomocą wyszukiwarki i Na tych stronach odnalazła całą serię pseudonimów, / i /vgo kilka szwedzkich lub w każdym razie dających się skojarzyć | szwedzkimi adresami IP, co nie do końca oznaczało to MtrtO Ich właściciele starali się za wszelką cenę pozostać anonimowi, lecz przy dokładniejszym zbadaniu można ich było zidentyfikować. Okazało się, że wszystkie te pseudonimy występowały w opasłym międzynarodowym materiale dochodzeniowym, którego mniejsza część została sporządzona przez krajowy zespół do spraw pedofilii, w którego skład wchodziła. Wszystkie z wyjątkiem jednego: „brambo”. Na wszystkich stronach, na których pojawiał się „brambo”, pojawiał się też „rippoman”. Jak się okazało, „rippoman” został już skazany między innymi za przestępstwa seksualne wobec dzieci, i to dzięki szwedzkiemu policjantowi, który go dopadł. Ten sam szwedzki policjant powinien być również dopaść lub przynajmniej namierzyć „brambo”, ponieważ „rippoman” i „brambo” wydawali się nierozłączni. Tak się jednak nie stało. „Brambo” został celowo usunięty z materiału dochodzeniowego. Za śledztwo odpowiadał ten sam człowiek. Szef Sary Svenhagen, inspektor kryminalny Ragnar Hellberg.

Miała do wyboru albo spotkać się od razu z Hellbergiem, albo próbować dowiedzieć się więcej o „brambie”, chociażby po to, żeby mieć więcej w zanadru na okoliczność bezpośredniej konfrontacji z przełożonym. Wybrała to drugie. Nie było lekko.

„Brambo” potrafił się doskonale maskować. Było jasne, że nie chciał, by jego tajemne żądze zostały odkryte. Korzystał z dwóch zaawansowanych nielegalnych programów ściągniętych z sieci, które zapewniały mu doskonały kamuflaż. Po ich połączeniu, co wymagało profesjonalnych umiejętności informatycznych, można było poruszać się w sieci całkiem anonimowo, co potwierdzali wszyscy eksperci, z którymi rozmawiała.

Podjeżdżała Hellberga o niezbyt poważny błąd zawodowy - usunął „brambo”, bo ten i tak był nieosiągalny.

Nie poddawała się jednak. Wiedziała, że prawdziwi eksperci internetowi raczej nie pracowali na etacie w policji. Gdzie indziej zresztą też nie. Prawdziwi eksperci byli hakerami. Często nastoletnimi. Całkowicie *up to date*. Dlatego podłączyła się do różnych grup dyskusyjnych w Internecie. Z naiwnych kobiecych pytań uczyniła metodę wchodzenia na najbardziej zaawansowane fora, na które udało jej się trafić. I tak na przykład Chen, lat 18, dyskutował na temat nowego systemu zabezpieczeń Pentagonu lub żmudnych procedur finansowych na nowojorskiej giełdzie z Bobem, lat 16. Wchodziła gładko w rolę seksownego głuptaska, zadawała pytanie i dostawała pełne testosteronu odpowiedzi prawiczków w okresie dojrzewania. Jasne, to stare programy, wersje sprzed kilku miesięcy, da się je obejść, ale to potrafią tylko prawdziwi mężczyźni. Więc dalej. I nagle już tam była. Gdy tylko zobaczyła numer IP na ekranie, pomyślała o zagrożeniach i możliwościach, jakie niesie ze sobą społeczeństwo informacyjne.

Numer IP „bramba” po wielu podejściach udało się skojarzyć z restauracją. Restauracją Thanatos na Östermalm w Sztokholmie.

Thanatos? - zastanawiała się, przeglądając rejestr firm w poszukiwaniu właściciela i zarządu. Czy starożytni Grecy nie nazywali tak królestwa śmierci? Najgłębszej część Hadesu?

Otchłani piekielnych.

Dziwna nazwa jak na restaurację.

Pisał też chyba o tym Freud? Eros i Thanatos? Dwa najsilniejsze popędy człowieka? Popęd seksualny i popęd śmierci?

Właścicielem restauracji Thanatos był Rajko Nedić.

Rajko Nedić? Czy to nie ów diler narkotyków, któremu zawsze udawało się wywinąć? Chyba nigdy nie pojawiał się w kontekście pornografii dziecięcej?

Sprawdziła godziny. „Brambo” wchodził do sieci o wszelkich możliwych porach dnia i nocy. Trudno było sobie wyobrazić, że ktoś oddaje się oglądaniu pornografii dziecięcej w czasie najwięk-

szego ruchu w restauracji. Skontaktowała się z Telia. Z komputera o tym numerze IP był połączony jeszcze inny. Wykoi ^ 1U1U wszelkie środki dostępne policji, żeby przebić mur tajemni* j zawodowej.

Tak, numer prowadził dalej. Do domu Rajko Nedicia w Danderyd.

Nagle wszystko zaczęło się układać. Rajko Nedić nie zarabiał na pornografii dziecięcej. To było dużo prostsze.

Rajko Nedić był pedofilem.

Zacząła przeczesywać sieć w poszukiwaniu zdjęć, które mogły doprowadzić ją do „bramba”. Było ich zaskakująco dużo. Tak powszednie i tak koszmarnie. Zawsze twarze. Bezustannie prześladowały ją twarze dzieci, nie mogła się od nich uwolnić. Jakby ją oskarżały - o to, że jej się udało, że miała spokojne dzieciństwo, że nie pomogła im właśnie tam i właśnie wtedy, że nie było jej w tej konkretnej sytuacji. Straszliwy, niemy krzyk przerażenia rozlewał się nad horyzontem, okrywając ziemski padół, porwał ją i sprowadzał koszmary o straszliwej podwójnej penetracji w trakcie porodu. Te spojrzenia. Zawsze tak mroczne - rozbite, a zarazem krystaliczne. Gwałtowne i przedwczesne dojrzewanie. Skradzione dzieciństwo. Niepojęte, wynaturzone historie. Niezrozumiałe w swej obrzydliwości zachowanie.

Sara Svenhagen próbowała zebrać myśli. Rozumiała sytuację. Próbowała znów stać się policjantką, obiektywną, krytyczną, tropiącą. Zawsze ta sama procedura, to samo zawężanie pola widzenia. W końcu się udało.

Choć w oparach łez.

Na większości zdjęć pojawiało się to samo dziecko, ciemna dziewczynka w różnym wieku, choć były też inne. Zawsze ten sam pokój, to samo tło. Pomieszczenie było wyraźnie wygłuszone - czymś, co wyglądało jak złote poduszki na ścianach burdelu. Poza tym żadnych specyficznych elementów. Twarzy sprawcy nie było nigdy na zdjęciu, z ciała widoczny był tak

naprawdę tylko członek. Nie dostrzegła w nim nic szczególnego, szczęśliwy był tylko cel, w jakim go używano.

Bardzo możliwe, że należał do Rajko Nedicia.

Dobra, pomyślała i przeciągnęła się. Rozejrzała się po mieszkaniu. Wszędzie ślady Jorge. Na widok jego bokserek na lampie przy łóżku zrobiło jej się ciepło. Szło od palców u nóg aż do cebulek włosów.

Okej. Ragnar Hellberg nigdy nie sprawiał wrażenia szczególnie zaprzyjaźnionego z Internetem; specjalizował się w dowcipkowaniu z dziennikarzami. Najwyraźniej jednak złamał ten wyjątkowo skomplikowany kod, który złamała również ona sama - z pomocą mistrzów hakingu. Zrozumiał, co takiego znalazł: sposób, by zatrzymać tego, którego nie dało się zatrzymać. Drogę od kuchni prowadzącą do organizacji nieosiągalnego Nedicia. Dlaczego więc nie skorzystał z tej drogi? Dlaczego, wręcz przeciwnie, dopilnował, by w materiale dochodzeniowym nie został po tym żaden ślad?

Bo zaatakował Rajko Nedicia na własną rękę?

Bo inspektor Ragnar Hellberg szantażował bossa narkotykowego Rajko Nedicia?

Istniały dwie racjonalne odpowiedzi: albo Hellberg po prostu wstydził się, że pseudonim „brambo” był nie do rozszyfrowania, i dlatego go wyretuszował - albo też wykorzystał wiedzę o Rajko Nediciu z zamiarem wymuszenia od niego pieniędzy.

Która była właściwa, Sara Svenhagen miała się zaraz dowiedzieć, bo przez zastępy niemieckich turystów w cukierni Sundberg przy Jarntorget na Starym Mieście przeciskał się właśnie inspektor Ragnar Hellberg, znany również jako Party-Ragge. Sprawiał wrażenie głęboko skoncentrowanego. Przeciągnął dłonią po bródce i opadł na krzesło naprzeciwko niej. Wykonał nieznaczny gest ręką i zapytał:

- Dlaczego akurat tutaj?
- Właśnie o to mi chodziło - powiedziała tylko. Ragnar Hellberg skinął głową. Tak jakby rozumiał.

- Zamieniam się w słuch.
- Rajko Nedić - powiedziała.

Popatrzył na nią. Jego spojrzenie było ostrzejsze niż kiedyś w I i II wiek. Poza tym żadnej reakcji.

- Mów dalej.
- Za pseudonimem „brambo” stoi diler narkotyków i restaurator Rajko Nedić. Celowo usunąłeś „bramba” z dochodzenia.

Uśmiechnął się. Ragnar Hellberg naprawdę się uśmiechnął. Położył dłoń na jej dłoni i spojrzał jej w oczy.

- Dziękuję - powiedział.
- Za co? - zdziwiła się, odsuwając rękę.
- Że to nie ty - odparł.

Czuła, że patrzy na niego z obrzydzeniem.

- Co to znowu za historia? - zapytała.
- Przykro mi. Musiałem cię sprawdzić. Najpierw chodziło mi po prostu o to, żeby żadne nowe informacje nie dotarły do zespołu; dlatego miałaś pracować na własną rękę, Saro. Potem pomyślałem, że przechodzisz być może decydujący test. Było wielce prawdopodobne, że natkniesz się na owe ukryte strony - i może nawet je rozszyfrujesz. Jednak najważniejsze było to, czy mnie oskarżysz, czy nie.

Czuła, że jej spojrzenie zrobiło się zabójcze. Mówił dalej:

- Kilka tygodni temu przeszukiwałem - z całkiem innego powodu - moje stare materiały dochodzeniowe z czasów Operation Cathedral. Znalazłem znacznie więcej plików z moim nazwiskiem, niż napisałem. Ktoś dostarczał materiały dochodzeniowe pod moim nazwiskiem. Udało mi się oddzielić pliki obcego pochodzenia od moich własnych i je przeanalizować. Przeszukałem wszystkie strony internetowe, na których pojawiał się pseudonim. I znalazłem - tak jak ty - wspomnianego „bramba”. Ale nie miałem szans, żeby ustalić jego tożsamość.
- Chcesz, żebym ci uwierzyła?! - krzyknęła. W jej stronę skierował się szereg zaciekawionych niemieckich spojrzeń.

Na Ragnarze Hellbergu nie zrobiło to wrażenia.

- W każdym razie udało mi się zidentyfikować potencjalnych złoczyńców. Dwie osoby. Jeden z moich dwóch podwładnych zamieścił niepełny materiał dochodzeniowy pod moim nazwiskiem. Ktoś, kto chciał mnie zrobić, tak mi się zdawało. Teraz rozumiem, że przede wszystkim chodziło o szantaż. Cały materiał dotyczący pedofilii Rajko Nedicia znajduje się teraz w rękach owego podwładnego i gdyby komuś przyszło kiedyś do głowy to sprawdzić, trafiłby do mnie. A ty, Saro, byłaś jedną z owych dwóch osób.
- Jak długo to przygotowywałaś? - zapytała Sara. Nie była pewna, czy to rzeczywiście brzmiało jak pytanie. Nie wiedziała, w co ma wierzyć. Ale wiedziała, dokąd to prowadzi.

Czuła, że blednie.

- Nie mam możliwości, żeby wszystko udowodnić - powiedział Hellberg. - Postarał się o to. Jego słowo przeciwko memu, a ja wiem, że moje niewiele znaczy w grupie. Kukła. Party-Ragge. Kim jestem wobec Ludviga Johnssona? Człowieka, który stracił rodzinę w wypadku samochodowym, a potem zbudował cały wydział do spraw pedofilii. I który został pozbawiony palmy przywództwa - na moją korzyść. Na korzyść miernego, rozrywkowego policjanta.
- A więc to się rozgrywało między mną a Ludvigiem? - zapytała Sara. Pomyślała, że powinna powiedzieć coś innego. Oto siedział przed nią człowiek, którego częściej widziała w telewizji niż na komendzie, i oskarżał jej mentora, jedyne go policjanta, którego naprawdę podziwiała. Ludviga Johnssona. Jedyne go, z wyjątkiem Gunnara Nyberga, którego odważyła się nazwać kolegą.
- Tak - potwierdził Hellberg. - Ty albo Ludvig. Pomyśl w ten sposób. Czy naprawdę mógłbym zidentyfikować tego „bramba”? Że byłbym w stanie szantażować kogoś tak niebezpiecznego jak Rajko Nedić? Czy naprawdę miałbym się odważyć zadrzeć z jego klanem katów i zbrodniarzy wojennych? Party-Ragge? Sama pomyśl.

Sara Svenhagen przymknęła oczy.
Nie miała wątpliwości.
Była głęboko zasmucona.
Ludvig Johnsson. Jej drugi ojciec.
Potrafiła kubek, rozlewając kawę na niemieckich turystów.
Ragnar Hellberg siedział nieruchomo, kawa zalała również jego
Wymierzyła mu siarczasty policzek.

- KERSTIN czuje się dobrze.

W Centrum dowodzenia przez chwilę zrobiło się cicho. Potem wybuchła radość. Intensywny, krótki, trwający sekundę łopot skrzydeł. Potem znowu zamarł.

Paul Hjelm mówił dalej:

- Właśnie wypuścili mnie ze szpitala. W drodze tutaj zakradłem się do jej pokoju. Kula przeszła tuż nad uchem, odłamała kawałek kości czaszki za skronią i poleciała dalej. Rozerwała naczynia krwionośne, więc wygląda to gorzej, niż jest w rzeczywistości. Ma wstrząśnienie mózgu, ale pozdrawia was wszystkich serdecznie.

- A ty jak? - zapytał Hultin z katedry.

Wymienili między sobą spojrzenia. Po raz pierwszy od Skóv-de. Spojrzenia mężczyzn, którzy zabili. W tej samej chwili zrozumieli, jaki dziwny próg właśnie przekroczyli. Żaden z nich nie zastanawiał się nad tym szczególnie w czasie ostatniej doby. Teraz uderzyło ich to z całą mocą.

Obaj kogoś pozbawiliśmy życia.

Trudno było powiedzieć coś jeszcze.

- Dzięki - odparł Hjelm. - Kula przeszła przez ramię i zatrzymała się na kamizelce. Nadłamane żebro, ale ramię jest w porządku. Tylko rana. Chociaż cholernie boli.

Hultin skinął głową i rzucił prosto przed siebie:

- Czy wszyscy rozmawiali już z Interną?

Przytaknęli. Wszyscy rozmawiali z sekcją dochodzeń wewnętrznych. Hjelm już w szpitalu w Skóvde spotkał się z daw-

nym prześladowcą o nazwisku Niklas Grundström Spot I miało zadziwiająco bezbolesny przebieg.

Nikt nawet nie wspomniał o użyciu broni przez Hultin. i fali by nigdy się to nie stało. On sam wyglądał na niewzruszonego

- No dobra - powiedział, przeciągając się. - Są plusy i minusy tej akcji. Duży plus jest taki, że uratowaliśmy Eurydykę. Duży minus, że nam się wymknęła. To, że Niklas Lindberg chwilę wcześniej opuścił towarzystwo, to bynajmniej nie nasza wina. Może powinniśmy tam być piętnaście minut wcześniej, ale nie mieliśmy na to wpływu. Dysponujący najlepszym refleksem członek drużyny - Hultin rzucił szybkie, ale pełne wdzięczności spojrzenie w stronę Söderstedta - szybko zadzwonił po karetkę i uspokoił sytuację. Ale to nie wystarczyło, żeby Lindberg wrócił. Naturalnie domyślił się, że coś nie gra, i rozpułnął się we mgle. Zastrzelenie Rogera Sjoqvista i Dana Anderssona należy uznać za uzasadnione. Nie powinniśmy byli dopuścić do tego, że Sjoqvist mógł strzelić do Paula, a Andersson do Kerstin, ale nie ma tu mowy o błędach w sztuce. Wszystko działo się bardzo szybko. Mamy buty Eurydyki, brązowe sandały w rozmiarze czterdzieści, teczkę z kluczem do skrytki bankowej, jak również Agne Kulę Kullberga. Poza tym skrajnego prawicowca Risto Pet-rovicia w bezpiecznym miejscu. Porządne przesłuchanie tych dwóch powinno pozwolić nam zorientować się w dalszych planach Niklasa Lindberga. Na razie obaj milczą jak zakłęci. To, czego nie mamy, to Niklas Lindberg, ciężarówka, jak również łup z rozboju w zachodniej Szwecji, który łącznie wynosi prawie milion koron. Jeśli Lindberg ma jakieś dalsze plany, raczej nie odłoży ich na półkę. Na tym niestety nie koniec.
- Klucz jest standardowy - włączył się Chavez. - Może pasować do skrytki w dowolnym banku i w dowolnym miejscu. Gdybyśmy mieli zrekonstruować całość, moglibyśmy założyć, że Nedić i „policjant” nie ufali sobie do tego stopnia, że Nedić nie zdecydował się nawet na przekazanie gotówki. Zamiast tego posłał klucz do skrytki i najnowocześniejsze policyjne radio.

Prawdopodobnie „policjant” miał otrzymać wiadomość, o który bank chodzi, gdy coś pójdzie nie tak. Co poszło nie tak - tego obecnie nie wiemy. Efekt w każdym razie jest taki, że inżynier Kula Kullberg skonstruował elektroniczny gadżet, żeby zlokalizować skradzioną przez Orfeusza i Eurydykę teczkę. Teraz nie mają klucza, więc ich rola w tej sztuce się skończyła. Musi im wystarczyć, że uszli z życiem i że mają siebie. Należałoby jeszcze dodać, że dokonaliśmy niemożliwego, utrzymując media z dala od całej tej historii.

- W dużej mierze dzięki refleksowi Arta, którego bystrość zresztą nas tam doprowadziła - dodał Chavez, spoglądając w bok.

Sóderstedt zdawał się zaskoczony tym nieoczekiwanym aplauzem. Z zakłopotaniem kartkował papiery.

- A ja chciałem wam opowiedzieć historyjkę - mruknął.
- O metaforze metafor.

Popatrzyli na niego. Wyrażał się coraz jaśniej. Czekali w napięciu na następny krok.

- Dziś jest poniedziałek - powiedział Arto Sóderstedt dobitnie. - Poniedziałek rano dwunastego lipca. Dwie godziny po incydencie w Skóvde, o godzinie pierwszej w sobotę, w rubryce „Kocham Cię” pojawiła się krótka wiadomość. Jak do tej pory ostatnia. Możemy założyć, że para młodych znów jest razem. Wiadomość brzmiała, cytując: „Filemon. Punkt wyjścia. Baucis”.

Gapili się na niego z niedowierzaniem.

- Gdyby policja nie znała mitologii - mówił dalej - ta krótka zakodowana wiadomość mogłaby przejść nam koło nosa. Ale nie z nami te numery. Filemon i Baucis to kolejna zakochana para z antyku. Choć w jakimś sensie przeciwstawna Orfeuszowi i Eurydyce. Ich związek nie był burzliwy ani drastyczny, lecz uporządkowany i szczęśliwy. A co otrzymamy, jeśli spleciemy ze sobą te dwie historie? Bóg wesela Hymenajos zostaje przywołany do Tracji, gdzie Orfeusz ma wziąć ślub z Eurydyką. Ale Hymenajos przybywa na próżno, bo Eurydyka nie żyje: „Kiedy

oblubienica w orszaku Najad błąkała się wśród łąk, zmija ul ją śmiertelnie w kostkę". Orfeusz, jak przystało na boskn-p. pieśniarza, schodzi natomiast do królestwa śmierci i prosi 11, u U sa: „Proszę więc jak o dar - o chwilową pożyczkę". Nawet Syzyf przerywa toczenie głazu po stoku góry. Całe królestwo Śmierd daje się oczarować pieśniarzowi, a Eurydyka zostanie wyswobodzona z krainy cieni i przywrócona do świata żywych. O i l e Orfeusz się nie obróci i nie spojrzy na nią, zanim znajdą się z powrotem na ziemi. Ale on nie może się powstrzymać, z troski zerka przez ramię. Nie wiemy, przez jakie piekło przeszła ta para młodych, ale ta chwila, zanim Eurydyka stoczy się w otchłań, a Orfeusz wróci na ziemię, gdzie zostanie rozszarpany na strzępy przez menady, powoduje kolejną przemianę. Metamorfoza przechodzi metamorfozę. Orfeusz i Eurydyka z Tracji stają się ubogą frygijską parą - Filemonem i Baucis. We Frygii pojawia się dwóch bogów w ludzkiej postaci, żeby poddać próbie jej mieszkańców. Wszędzie, gdzie pytają, odmawia się im schronienia. Wszędzie, z wyjątkiem domu Filemona i Baucis. Ta biedna jak mysz kościelna dwójka ofiarowuje bogom wszystko, co mają, i zostaje za to wynagrodzona. Bogowie ujawniają się:

*Jesteśmy bogami. Wasi bezbożni sąsiedzi poniosą zasłużoną karę.
Wy tylko unikniecie kłeski, opuśćcie więc wasz dom i idźcie za
nami na szczyt wzgórza.*

Stara chata Filemona i Baucis zamienia się w złotą świątynię, a para w jej gospodarzy. Do bogów mają tylko jedną jedyną prośbę: chcą umrzeć razem. Na koniec oboje zostają jednocześnie przemienieni w drzewa. „I kora jednocześnie usta im okryła", w łacinie: „ora frutex".

Sóderstedt przerwał i przeciągnął wzrokiem po oniemiałym zgromadzeniu.

- Mam nadzieję, że docenicie tę subtelną przemianę. W drodze powrotnej do królestwa śmierci Eurydyka staje się biedną, ale

pracowitą Baucis, która razem ze swoim mężem towarzyszy bogom w drodze na szczyt góry i wkrótce umrze razem z nim. *Cura deum di sint, et aui coluere, colantur*. Zapewne można to nazwać dojrzałością.

- Czy wolno zapytać, jakie źródło cytujesz? - dociekał Paul Hjelm.
- Naturalnie - powiedział Arto Söderstedt. - To *Metamorfozy* Owidiusza.

Gdy Gunnar Nyberg przeskakiwał przez okno hotelu w Skó-vde, mierząc z broni w stronę napastników, nabawił się łokcia tenisisty. Prawdopodobnie zbyt silnie ścisnął pistolet - świadczyły o tym dziwne wgłębienia w kolbie.

A może winna była myszka od komputera.

Taka kontuzja często przydarza się komputerowcom. Nadciąga nowa choroba cywilizacyjna. Już nie pylica płuc, reumatyzm pleców, lecz nadwyreżone używaniem myszki ramię.

Siedział, rozglądając się po swoim pokoju. Wydał mu się dojmująco pusty. Brakowało w nim Kerstin, z którą śpiewał w parze. Zupełna pustka. Kiedy to ostatnio odwiedził wnuka Ben-ny'ego w Osthamar? Bał się, że chłopak zapomni, jak wygląda dziadek.

Z drugiej strony syn, Tommy, nie zapomniał go przez dwadzieścia lat. Odnowili znajomość w zadziwiająco naturalny sposób. Odżył. Krew, która do tej pory płynęła ociężale, zaczęła ponownie pokonywać maratońskie dystanse przez ciało Wielkiego Gliny.

Ale teraz znów zgęstniała. Pamiętał to uczucie, gdy opadł na kolana w wilgotną trawę przy krwawiącej głowie Kerstin Holm. Ulotność życia. Miał uczucie, jakby życie uszło z niego i poszybowało w strugach deszczu. Wiedział, że nigdy tego nie zapomni.

Kerstin Holm była mu bardzo bliska. Oboje kochali muzykę chóralną, a ta ich miłość chwilami osiągała wielkie rozmiary. Ludzie śpiewający razem, ludzie, którzy wystawiają na najcięższą

próbę możliwości swojego głosu i wydobywają z siebie najwyższe dźwięki, jakie tylko może wydobyć człowiek - czy można znaleźć się bliżej Boga?

W ciągnącej się dwadzieścia lat pustce jeszcze tylko jedna kobieta była mu równie bliska. Zjawiała się w jego biurze właśnie w chwili, gdy siedział, rozciągając swoje wielkie ramię tenisisty. Przez chwilę zastanawiał się nad tajemniczą korespondencją.

Sara Svenhagen była nie do poznania. Sprawiała wrażenie wyczerpanej, jakby nie spała od kilku dni. Miała na sobie wygniecione szorty i czarny T-shirt, na którym widać było plamy po kawie.

- Gunnar - przeciągnęła dłonią po ostrzyżonych złotych włosach. - Potrzebuję twojej pomocy.

Wstał, podszedł do niej i otoczył ją po ojcowsku ramieniem. Miał mieszane uczucia. Bo stricte zawodowo to ona była dla niego rodzicem, to ona powiodła go ostrożnie do piekła pornografii dziecięcej. Ona i Ludvig Johnsson.

Podprowadził ją do krzesła, na którym zwykle siedziała Kerstin Holm, i pomógł jej usiąść. Sam przycupnął na brzegu biurka; nawet nie zwrócił uwagi, że ugięło się pod nim złowieszczo.

- A Jorge? - zapytał. - Co takiego mogę zrobić, czego nie potrafi on?

Spojrzała na niego z nieukrywanym zdziwieniem.

- Wiesz?

- Zgadywałem - powiedział Gunnar Nyberg i poczuł się jak szuja. - Źle zgadłem?

- Nie - odparła Sara Svenhagen. - Wcale nie. Kocham go. On kocha mnie. Oboje czujemy się spełnieni. Ale zbudowaliśmy również mury wokół naszych spraw, nie do końca nawet rozumiejąc dlaczego. Pewnie chodzi tu o jakiś rodzaj wypaczonego instynktu obronnego, który każe myśleć: nie wciągaj go w to, nie wciągaj jej w to. Nie, Gunnar, jedynym elementem łączącym te dwie sprawy jesteś ty. Co więcej, dotyczy to ciebie osobiście.

Nyberga naszły złe przeczucia.

- Osobiście? - zapytał. - To znaczy prywatnie?
- Można tak powiedzieć. - Sara spojrzała mu w oczy.
- Dobra - westchnął Gunnar. - *Shoot*.
- Mogę ci tego oszczędzić - powiedziała. - Wciąż jeszcze mogę stąd wyjść.
- *Shoot* - powtórzył.

Sara Svenhagen skierowała wzrok na sufit. Nie wiedziała, od czego powinna zacząć. Zdecydowała, że będzie się streszczać.

- Osoba ukrywająca się pod pseudonimem „brambo” została celowo usunięta z naszych materiałów dochodzeniowych. Stało się to prawie pół roku temu. Sprawdziłam. Okazało się, że owe nierzetelne dochodzenia prowadził ten sam policjant.

Nyberg czuł, jak nachodzą go złe przeczucia. Płynęły teraz przez jego żyły zamiast krwi, bo ta zastygła zupełnie.

- To był Ragnar Hellberg - powiedziała.
- Co? - wybuchnął. - Party-Ragge?
- Powinam była zrozumieć, że coś tu nie pasuje... No nic, w każdym razie próbowałam dalej zidentyfikować „bramba”. W końcu się udało. To boss narkotykowy o nazwisku Rajko Nedić.

Gunnar Nyberg nie poruszył się. Domysły bezładnie krążyły po jego wnętrzu. Starły się łączyć. Już prawie tworzyły sieć.

- Rozumiem - skłamał w końcu.
- Okej. Ragnar wysłał mnie z robotą do domu. Wyglądało, jakby chciał coś ukryć. Teraz widzę to jasno. Kazał mi pracować nieoficjalnie, aby nie wyszło na jaw to, co ewentualnie znajdę przed innymi. To że wymuszał pieniądze od Nedicia. Nie mogło być inaczej.
- Bródka - powiedział Gunnar Nyberg i pomyślał o pubie Młyn na Tjarhovsgatan o godzinie 21.42 dwudziestego trzeciego czerwca.

Spojrzała na niego zdziwiona, ale mówiła dalej:

- Poczułam, że mam dosyć. Musiałam z nim porozmawiać w cztery oczy. Spotkaliśmy się w sobotę. Nieoficjalnie. Wtedy poczęstował mnie historyjką, przez którą od prawie dwóch dni

nie mogę zmrużyć oka. Twierdzi, że jego nazwisko zostało użyte w materiałach dochodzeniowych, których on sam nie napisał. Ktoś inny użył nazwiska Ragnara Hellberga - żeby go zrobić. Miał dwóch kandydatów. Sprawdziłam to. Na razie się zgadza. Tylko dwie osoby w zespole mogły to zrobić. Jedną z nich byłam ja. Po części dlatego wysłał mnie do domu - żeby się przekonać, czy to ja. Gdybym to była ja, raczej nie skontaktowałabym się z nim w sprawie tożsamości „bramba”. Został drugi kandydat. Gunnar Nyberg czuł, jak w środku zalewa się łzami.

- Ludvig - stwierdził tylko.

- To był długi weekend - powiedziała Sara Svenhagen.

- Mam wierzyć temu policyjnemu klaunowi czy mojemu mentorowi, koledze, który był mi najbliższy na całym świecie? Biłam się z myślami.

- I do czego doszłaś?

- Że wierzę Party-Ragge. Z tego prostego powodu, że taki pomysł nigdy nie przyszedłby mu do głowy, a tym bardziej nie udałoby mu się czegoś podobnego przeprowadzić. Nie ma wątpliwości. Ludvig Johnsson wymuszał pieniądze od Rajko Nedicia

- a przy okazji zrzucił winę na człowieka, który go podsiadł. Kukłę.

- Rozmawiałaś z Ludvigiem?

- Ma urlop. Na urlopie jest niedostępny. Nikt nie wie, gdzie jest.

- Co chcesz zrobić? Co chce zrobić Hellberg?

- O Hellbergu można mówić, co się chce, ale trudno go nazwać formalistą. Jest gotów odczekać. Wie, że rozmawiam z tobą. Co ty chcesz zrobić?

Gunnar Nyberg spojrzał jej w oczy.

- Zostaw Ludviga mnie.

Kiwnęła głową.

- Domyślałam się, że to powiesz. Może uda mi się jakoś spotkać z Nediciem.

- Uważaj na siebie. On jest wyjątkowo niebezpieczny.

- Wiem. Spróbuję znaleźć sposób.
- Co wyszukałeś w sieci?
- Zdjęcia „bramba”. Mam je ze sobą. Chcesz zobaczyć?
- Nie, nie chcę - powiedział Gunnar Nyberg, wyprostował kontuzjowane ramię i wziął do ręki zdjęcia. Kolorowy wydruk z Internetu. Kalejdoskop upokorzeń. A wmawiał sobie, że to już przeszłość. Nie spieszył się. Miał rozbiegane myśli. Na każdym zdjęciu widział twarz Ludviga Johnssona.
- Niemożliwe, żeby chciał puścić Nedicia. To musiała być z jego strony jakaś podwójna gra. Postanowił wyciągnąć pieniądze od Nedicia, zwiać z kraju i dopiero wtedy go zatrzymać. Nie wyobrażam sobie, żeby mogło być inaczej.

Sara kiwnęła głową.

- Przecież wiem, jakie to było dla niego ważne. Stracił dzieci. Teraz mógł czyjeś uratować. Brał to do siebie. Być może za bardzo. Spalał się, aż się spalił. Ale żeby puścić pedofila wolno za kasę?

Nyberg kiwnął głową i oddał zdjęcia.

- Tu jest mała dziewczynka... - powiedział, pokazując palcem.
- Tak - potwierdziła, spoglądając na stertę zdjęć. - To biedactwo pojawia się częściej niż reszta. Postaram się ją odnaleźć. I ten pokój ze złotymi poduszkami.
- W porządku. - Wziął ją za rękę. - Wydawało się, że imperium Nedicia jest szczelne, ale jak się okazuje, przecieka w kilku miejscach. Jest szansa. Komuś, kto wie o nim, że jest pedofilem, może się to nie podobać. Spróbuj znaleźć kogoś, kogo będzie można przycisnąć.

Sara Svenhagen wstała. Wciąż trzymali się za ręce.

- A ty zajmiesz się Ludvigiem? - zapytała. - Potraktuj go jak najlepiej. Obiecuj mi.

Skinął głową i ścisnął jej dłoń.

- Obiecuję, Saro - powiedział.

Tym razem jechało mu się do Grillby inaczej. To była droga przez mękę, droga metamorfoz. Gunnar Nyberg zwał, po prostu. Odciał pępowinę. Opuścił Drużynę A. Być może zostanie za to zwolniony, być może nawet pociągnięty do odpowiedzialności, ale było mu wszystko jedno.

Dopilnuje, żeby Ludvig po sobie posprzątał.

Obok niego na fotelu pasażera leżały dwa laptopy z modemami i adapterem do zapalniczki samochodowej. Przydadzą się.

Zatrzymał się na stacji benzynowej i kupił jedzenia, piwa i kawy za tysiąc koron. Ale bez wiedeńskich bułeczek.

Upewniał się nawet, czy nie jest śledzony. Nie miał zaufania do Ragnara Hellberga.

Ujrzał świecące na żółto pole rzepaku, gdy skręcił do domku na obrzeżach Grillby w Upplandzie, zastał samochód Ludviga Johnssona na miejscu - ale jego już nie. Pewnie biegł gdzieś po okolicy. Nyberg sprawdził drzwi. Były otwarte. Wszedł do domu, ściskając mocno siatki, otworzył lodówkę i wrzucił wszystko, jak leci. Potem otworzył piwo i usiadł na werandzie. Słońce miło przyświecało.

Po godzinie przybiegł Ludvig Johnsson. Uśmiechnął się słabo, kiedy zobaczył Nyberga na werandzie. Nyberg dostrzegł, co się za nim kryje. Świadomość.

Niedobrze, kurwa.

- Za domem stoi beczka z deszczówką - powiedział. - Tylko się przemyję.
- To może poczekać.
- Tak. - Ludvig Johnsson usiadł na werandzie. - To może poczekać. Masz dla mnie piwo?
- Nie puszcę cię samego do domu. Samego też cię nie zostawię. Ani na sekundę.

Ludvig Johnsson wpatrywał się w niebo. Jego wzrok zdawał się rozplýwać w błękitcie.

- Kto wie? - powiedział tylko.

- Sara cię znalazła. „Policjanta”. Przez „brambd |< II I ci mówi.
- Sara. - Johnsson się uśmiechnął. - Mogłem siy .1.....

A Hellberg?

- Hellberg też wie. Na razie siedzi cicho. Czeka na mmc Nit-opłaca ci się mnie sprzątnąć.
- Chryste! - krzyknął Ludvig Johnsson. - Co ty gadas
- Gadam, że twoje dotychczasowe manewry kosztowi 11 \ życie ośmiu ludzi. Trzech zbrodniarzy wojennych z bylej Jugosławi, mężczyzny o nazwisku Lordan Vukotić, Eskila Carlstedt i. Svena Joakima Bergwalla, Rogera Sjöqvista i Dana Andersson.) To jeszcze można przeboleć. Ale w ostatnich dniach postrzelono dwoje moich kolegów i najbliższych przyjaciół. Paula Hjel-ma i Kerstin Holm. Znasz ich. Kerstin rozmawiała z tobą o maratonie na imprezie z okazji World Police and Fire Games, jeśli pamiętasz.

Ludvig Johnsson spotkał jego spojrzenie. Było puste. Nie było w nim nic.

- Co z nimi? - zapytał.
- Wyjdą z tego. Ale było blisko.
- Ja tylko chciałem znaleźć się tam, gdzie są krótsze zimy...

Przez chwilę siedzieli w cieniu. Słońce świeciło wzmocnione żółcią pobliskiego pola rzepaku. Wszystko było żółte. Kolor zdrady.

- Nie zamierzałem puścić go wolno - odezwał się Ludvig Johnsson. - Chciałem wyjechać, a potem dopilnować, żeby cały materiał dostał się w ręce policji. Liczyłem tylko na mały bonus.
- Kosztowny ten twój bonus.
- Wiesz przecież, że to ja rozkręciłem jednostkę do spraw pedofilii. To dzięki mnie pornografia dziecięca zaczęła być traktowana poważnie w tym t o l e r a n c y j n y m kraju. Wolność słowa aż do wyrzygania. Zginęli mi synowie. Widziałem cierpienie tych dzieci i zdawałem sobie sprawę, jakie możliwości daje Internet ich prześladowcom. Każde dziecko, które uratowałem,

stawało się w jakiś sposób moje. Wprowadziłem w to Sarę, byliśmy cholernie dobrym zespołem. Potem zjawił się Party-Ragge i dostał *all credit*. Właściwie niezbyt się przejąłem, tak to już jest na tym świecie, ale też nie miałem oporów, żeby zrobić z niego kozła ofiarnego.

- Dlatego idąc na spotkanie z gangiem Nedicia w Młynie, przykleiłeś sobie bródkę.

Johnsson parsknął śmiechem.

- Przyznaję, to było trochę dziecinne, ale potrzebowałem przykrywkę. Padło na niego. Ciężko się negocjowało z tymi typami. Siedzieliśmy w nieskończoność w Młynie, a ustaliliśmy tak naprawdę tylko miejsce spotkania. To nie miała być wymiana pieniędzy za materiał dochodzeniowy, chodziło o dwa klucze do skrytek bankowych i sprzęt do komunikacji. Z czasem mieliśmy wymienić się informacjami, o które banki chodzi. Dostyc to wszystko skomplikowane, ale pozwoliłem mu grać pierwsze skrzypce. Zawiniłem tylko tym, że przywłaszczyłem sobie supernowoczesne policyjne radio. Gdy ustaliliśmy, że spotkamy się w Siekli o drugiej w nocy, jakiś furiat rozbił kufel o głowę innego furiata. Pozbyłem się szybko jugoli, dziękując bogom za tę głupią bródkę. Zaczekałem, aż znikną z pola widzenia. Wtedy pojawili się bramkarze. Zamachałem legitymacją i wydostałem się na zewnątrz.

- Byliście podsłuchiwani. Nie sprawdziliście tego? W rogu siedziała grupa neonazistów. Podsłuchiwali was.

Ludvig Johnsson kiwnął głową.

- To dlatego? No tak, pokpiłiśmy sprawę, powinniśmy byli się rozejrzeć, ale ja najzwyczajniej w świecie za bardzo się bałem. To nie są chłopcy do zabawy. Trzy prawdziwe potwory z Bośni. Mogłoby im przyjść do głowy, żeby torturami wydobyć ode mnie tajemnicę, co jest moim zabezpieczeniem.

- Zabezpieczeniem?

- Klasyka. Kopia materiału dochodzeniowego znajduje się u mojego kolegi z dzieciństwa. Na wypadek mojej śmierci miała

zostać dostarczona policji, a Rajko Nedić zdemasł pedofil.

- Gdy wyszliście, cała grupa została sfotografowani i pedofila z Söder Torn. Ironia losu, można by powied/ui
- W takim razie wiedzieliście o mnie już od dawn.i'
- Twoje zdjęcie było niestety kiepskiej jakości. Wid.u było fragment brody, to wszystko.

Ludvig Johnsson się roześmiał.

- Nieźle - powiedział. - Szczęście w nieszczęściu.
- Gadaj.
- Dobra, dobra. To było jakoś w lutym. Udało mi się namierzyć serię ukrytych stron internetowych i zlokalizować grupę posługujących się pseudonimami pedofilów. Wsadziłem za kratki wszystkich - z wyjątkiem jednego. Pomysł przyszedł mi do głowy od razu, gdy zorientowałem się, że „brambo” to Nedić. Nie podejrzewałem, że obrobienie diabła z kasy może być takie niebezpieczne. Moje życie się posypało. Zostało mi tylko bieganie. Biegałem, żeby żyć. Jak pierwszy maratończyk. Coraz bardziej nienawidziłem zimy. To zimą moja rodzina zniknęła z powierzchni ziemi. Pieprzone szwedzkie drogi. Chciałem uciec. Umrzeć gdzieś w ciepłe. Miałem pomysł, żeby wyjechać na jakąś polinezyjską wyspę i zapisać się na śmierć, ja, który nawet nie sięgam po cięższe trunki. W każdym razie przekazałem materiał koledze mieszkającemu w Saffle i skontaktowałem się z Nedi-ciem. Zaskoczyłem go. Wydawało mu się, że w sieci jest bezpieczny. Podałem sumę, która dobrze brzmiała, dziesięć milionów, a on się zgodził. Kompletnie mnie zatkało. On się zgodził. Dziesięć baniek. Ile ten człowiek ma kasy? Ustaliliśmy, że mam się spotkać z jego ludźmi, żeby omówić szczegóły. Zaproponowałem Młyn, najbardziej oblegane miejsce w mieście. W jakiś sposób to się wydało.
- Najbliższy człowiek Nedicia nazywał się Lordan Vukotić. Wiedział o spotkaniu w Młynie. Kształcił się w Kumli na specjalistę prawa handlowego, w przyszłości miał prawdopodobnie zająć

się finansami imperium. Najwyraźniej wspominał o tym kumplom w kiciu i jeden z nich, Chorwat o nazwisku Risto Petrović, poinformował jednego ze swoich dawnych kolegów z Legii Cudzoziemskiej, byłego oficera o skrajnie prawicowych poglądach - Niklasa Lindberga. Wydaje się, że szefował nazistowskiej klicie w Kumli. Jej członkami byli również Sven Joakim Bergwall i Dan Andersson. Anderssona zwolniono w lutym; przebywał więc na wolności, gdy informacja o przekazaniu dziesięciu milionów przyszła w...

- To musiało być w maju - wtrącił Johnsson.
- W maju wychodzi ideologiczny motor, Bergwall. Może już wtedy Andersson zaczął zbierać drużynę, żeby rąbnąć te dziesięć baniek. Lindberg siedzi do dwudziestego czwartego czerwca, dzień wcześniej doszło do spotkania w Młynie, dnia następnego odbędzie się spotkanie na terenach przemysłowych Siekli. Wie, że Bergwall i koledzy będą was podsłuchiwać w Młynie, ale mimo to korzysta z okazji, żeby - mniej więcej w tym samym czasie - torturami wyciągnąć z Vukoticia wszystko, co ten wie. Następnego ranka zostaje wypuszczony. Koledzy odbierają go ciężarówką z Kumli. Już zza murów, posługując się zdalnym detonatorem, wysadza rannego Vukoticia w powietrze. Pożegnanie z Kumlą, powitanie z Nediciem, zatarcie śladów - trzy rzeczy naraz. Grupa sześciu mężczyzn o skrajnie prawicowych poglądach udaje się na tereny przemysłowe Siekli. Lindberg wysadza w powietrze samochód z trzema potworami z Bośni. Jeden z nich umiera na miejscu. Zabierają teczkę z kluczem do skrytki bankowej i radiem, na chwilę tracą koncentrację, gdy okazuje się, że w teczce nie ma pieniędzy, co z kolei wykorzystują zaprawieni w boju Bośniacy, wyczarowując broń z rękawów marynarek. Zabijają dwóch, Carlstedta i Bergwalla, i ranią jednego, Anderssona. Sami naturalnie również giną. Ale w tym czasie teczka znika. O transakcji wie też całkiem inna banda, Orfeusz i Eurydyka, dwoje zbiegów z imperium Nedicia. W trakcie strzelaniny udaje im się zabrać teczkę. Ich też nie

cieszy widok klucza i radia zamiast oczekiwań - gotowi dzielają się i ruszają w kraj w poszukiwaniu banku. Mn domyślać, gdzie ten bank może być. To znaczy, że blisko z Nediciem. W bandzie neonazistów zostają Lindl Sjóqvist, Kullberg i ranny Andersson. Kullberg jest inżynierem i konstruuje urządzenie, za pomocą którego lokalizują policyjne radio. Ruszają w ślad za tą osobą z bandy Orfeusza i Eurydyki, która ma teczkę z radiem. To Eurydyka. Po dwóch tygodniach pogoni dopadają ją. W Skövde. Jesteśmy na miejscu. Zabijamy Sjóqvista i Anderssona, a zatrzymujemy Kullberga. Ale Lindberg nam się wymyka. Podobnie Eurydyka. Hjelm i Holm obrywają.

Ludvig Johnsson patrzył zaskoczony na swojego dotychczas ociężałego kolegę.

- Rany - powiedział. - Kawał roboty. Kim są Orfeusz i Eurydyka?
- Nie wiemy i już to nas nie interesuje. Mamy natomiast klucz do skrytki. Czy wiesz, gdzie znajduje się bank?
- Nie, ale powinien być w pobliżu miasta. W pobliżu Sztokholmu. Moja skrytka z materiałem dochodzeniowym jest w mieście. W Handelsbanken przy Odenplan. Dlaczego mi to wszystko opowiadasz? Kryminaliście? „Policjantowi”?
- Bo po sobie posprzątasz. W samochodzie mam sprzęt komputerowy i komórki z ładowarkami. Wystarczy dla dwóch kolesi w chacie bez prądu i telefonu. Załadowałem twoją lodówkę jedzeniem. Będziemy tu siedzieć, aż to rozwiążemy!
- Ale co jeszcze zostało? - wybuchnął Ludvig Johnsson.
- Chwilowo olewamy Rajko Nedicia - powiedział Gunnar Nyberg dobitnie. - Sara się tym zajmie. Olewamy również Orfeusza i Eurydykę. Wypadli z gry. To, co zostało - naprawdę zostało - to Niklas Lindberg. Miał konkretne plany związane z tymi twoimi dziesięcioma bankami. Gustuje w detonowaniu skomplikowanych mikrobomb o ogromnej sile rażenia, a w pogoni za Eurydyką dokonał rabunków na sumę blisko jednego miliona.

Tych dziesięciu milionów raczej nie dostanie, chyba że uda się prosto do Nedicia, ale być może zadowolony się swoim łupem.

- Co myślisz? - zapytał Johnsson.
- Sądzę, że te pierwsze bomby były na próbę. Wysadził Vukoticia trochę dla żartu, a samochód w Siekli mógł zatrzymać bez użycia materiałów wybuchowych. Wysadza na próbę. Jak w Polinezji, ty wariacie. Detonuje próbki towaru. Owe dziesięć milionów zamierzał przeznaczyć na zakup tego płynnego materiału wybuchowego, który został opracowany przez aparthei-dowską służbę bezpieczeństwa RPA. Jest ona pod wpływem tej samej ekstremistycznej ideologii, z którą Lindberg zetknął się w Legii Cudzoziemskiej i która sprawiła, że współpracownik Nedicia, chorwacki faszysta Petrović, doniósł Lindbergowi. Materiał wybuchowy został przeschmuglowany do Kumli, a teraz ma zostać użyty do czegoś większego. Ty i ja dowiemy się, co takiego planuje Niklas Lindberg, i powstrzymamy go. Właśnie taki mam plan. Jesteś winien to mnie, Sarze i światu, ty dumny ośle.

Ludvig Johnsson patrzył z uwagą na Gunnara Nyberga. Widział coś dziwnego. Rodzaj skupionej energii. Absolutna świadomość celu, której istnienia nawet nigdy nie podejrzewał. Z drugiej strony nigdy nie był w Drużynie A.

- A ty co? - zapytał. - Urwałeś się Drużynie A?
- Jeśli sobie teraz poradzimy, może uda nam się obu uratować tyłki - powiedział Gunnar Nyberg i ruszył w stronę swojego starego porzewiałego renaulta.

KERSTIN Holm została przeniesiona do Szpitala Karolińska. Był wtorek, bolała ją głowa.

Czemu zresztą nie należało się dziwić. Widziała swoje zdjęcie rentgenowskie. Można by pomyśleć, że w głowie miała otwór, ale to tylko czaszka tuż nad uchem zrobiła się cienka jak skorupka jajka. Przezroczysta. Dan Andersson odstrzelił kawałek kości skroniowej. Fragment jej głowy został wdeptany w wilgotną trawę w Skóvde. Może zakiełkuje i któregoś dnia, ku zdziwieniu gości hotelowych, z trawy wyłoni się maleńka Kerstin Holm.

Choć może nie było to aż takie prawdopodobne.

Obróciła się w stronę Paula Hjelma, który siedział na brzegu łóżka i wyglądał tak jak każdy odwiedzający w szpitalu -
współczująco.

- Daruj sobie - powiedziała.
- Co konkretnie? - zapytał.
- Daruj sobie tę minę.
- Przepraszam.
- To nie musi nic znaczyć.
- Ale co?
- *Metamorfozy* Owidiusza. To może być czysty przypadek.
- Masz rację.
- Nie mów, że mam rację, tylko dlatego, że tu leżę i jedzie ode mnie szpitalem. Powiedz raczej, że nie mam racji. Postaw się.
- Nie masz racji.
- Dziękuję. Dlaczego to niby nie mam racji?
- Nie jedzie od ciebie szpitalem.

- Dlaczego nie mam racji?
- Bo nie możemy przestać o nim myśleć. Bo tak dziwnie zareagował na to z Orfeuszem. Bo czytał *Metamorfozy* Owidiusza w zatłoczonym Młynie. Bo zdaniem niektórych tylko udawał, że czyta. Bo mimo że czytał, wszystko widział - poza grupą, która siedziała najbliżej niego, tą, która rozmawiała po angielsku tuż przy jego uchu. Bo on jest jednym z trzech świadków, z którymi mimo wszelkich starań nie udało nam się ponownie skontaktować. Bo ta dwójka młodych korzysta nie z jednej, ale z dwóch metamorfoz Owidiusza, kontaktując się ze sobą. Orfeusz i Eurydyka oraz Filemon i Baucis.
- Sporo tego.
- Per Karlsson. To nie może zdominować śledztwa, ale uważam, że jego sprawę powinniśmy mieć w odwodzie.
- Zgadzam się. Co my tu mamy? Bezrobotny i niewykształcony Per Karlsson, lat dwadzieścia, przysłuchuje się rozmowie trzech mężczyzn z byłej Jugosławii z policjantem, dotyczącej ustalenia miejsca spotkania. Czy siedzi tam przez przypadek? Czy słyszy mimochodem - czy też znalazł się tam, żeby słyszeć? Skąd wie, że ci gangsterzy tam będą? On i jego ukochana korzystają z telefonów komórkowych z dostępem do Internetu, które są zarejestrowane na restaurację Rajko Nedicia o nazwie Thanatos, a Thanatos to królestwo śmierci. Czegoś tu brakuje. Możliwe, że Per Karlsson pracował na czarno w Thanatosie - na sali jako kelner albo na zmywaku, ale to nic nie wnosi. Dwa nowoczesne telefony komórkowe oraz informacja o spotkaniu w Młynie. To by sugerowało bliskie związki z Rajko Nediciem, człowiekiem, który nie dopuszcza do siebie nikogo.
- Chociaż to wciąż może być przypadek. Naprawdę przyszedł do Młyna, żeby poczytać. Słyszy rozmowę, wciąga go to. Więc udaje, że czyta, i nic nam nie mówi o sąsiednim stoliku. Bo dla niego to jak dar z nieba. Ileś tam milionów dla bezrobotnego biedaka. To też całkiem prawdopodobne.

- Ale potem wyruszają, każde w swoim kierunku, w poszukiwaniu skrytki. Dlaczego właśnie tam? Dlaczego właśnie Dalarna i Vastmanland, i - odpowiednio - Halland i Vastergótland? Nie będą chyba szukać po całej Szwecji? Czy to znowu nie wskazuje na jakieś związki z Nediciem?
- Być może. Przede wszystkim jednak musimy się zająć Niklasem Lindbergiem. Per Karlsson nie sprawiał wrażenia szczególnie groźnego. Poza tym wydaje się, że oni już wypadli z gry.
- Prawda. Kurwa, znowu mi się kręci.

Hjelm wstał i spojrzał na nią zdziwiony. Kręcił jej się przed oczami. Wyglądał tak bezradnie, jak tylko mogą wyglądać odwiedzający w szpitalu.

- Daj spokój - powiedziała Kerstin Holm i kręciła się dalej.

PRZEZ bramę prześwitywał raj. Ale mury były wysokie i chronione przez uzbrojonego cherubina.

Który w tym wypadku był kamerą, domofonem i metalicznym głosem:

- Nazwisko i sprawa.

Odechrząknęła i spojrzała na stojących za nią czterech hardych funkcjonariuszy. Wszyscy gapili się w kamerę. Jakby znaleźli się w *Mam talent*.

- Komisarz kryminalny Sara Svenhagen - przedstawiła się. - Z Rikskrim. Szukamy Rajko Nedicia.

- Pan Nedić jest w tej chwili niedostępny - odpowiedział głos.

- W takim razie chcielibyśmy rozmawiać z kimś, kto go zastępuje.

Zaległa cisza. Potem rozwarła się brama do raj. Cudowny ogród mienił się wszystkimi istniejącymi odcieniami kolorów, a promienie słońca wzmacniały koloryt miasta. Feeria barw oślepiła Sarę Svenhagen, od nadmiaru zapachów zakręciło jej się w głowie. Było naprawdę bajecznie. Eden.

Na powitanie wyszedł im niski mężczyzna około pięćdziesiątki, miał na sobie garnitur. Wyciągnął dłoń do Sary. Przywitała się.

- Nazywam się Ljubomir Protić - powiedział z lekkim akcentem. - Pracuję dla pana Nedicia. Czym mogę służyć?

- Nie ma go w domu? - zapytała Sara Svenhagen.

- Niestety nie - odparł uprzejmie Ljubomir Protić. - Czy mogę w czymś pomóc?

- To zależy od tego, kim jesteś.

- Jestem człowiekiem od wszystkiego, można powiedzieć.
- Myślałam, że był nim Lordan Vukotić. Ale on nie żyje. Wyraz twarzy Proticia był wciąż tak samo uprzejmy.
- Niestety, nic mi nie mówi to nazwisko.
- Czy jesteś blisko z Rajko Nediciem, Ljubomirze? - zapytała Sara.
- Jestem z nim bardzo blisko, pani Svenkragen.
- Svenhagen. I nie pani. Sara. Możesz do mnie mówić Sara, Ljubomirze. Czekają nas długie rozmowy. Oczywiście, że jesteś z nim blisko. Jeśli moje źródła nie kłamią, wyjechaliście razem z Jugosławii ponad trzydzieści lat temu. Rajko i Ljubomir, dwóch chłopców podróżujących samotnie autostopem przez Europę w drodze ku świetlanej przyszłości w Szwecji.

Ljubomir Protić spojrział na nią. Z jego twarzy powoli znikł uśmiech.

- Do czego pani zmierza? Nie mam nic więcej do dodania. Będę musiał, Niestety, państwa wyprosić.
- Chyba zapomniałam powiedzieć, dlaczego tu jesteśmy. Wydział do spraw pornografii dziecięcej. To nie ma nic wspólnego z bossem Nediciem. Tu chodzi o pedofila Nedicia.

Ważne było, jak teraz zareaguje.

Od rozmowy z Gunnarem Sara poświęciła sporo czasu na zdobycie informacji o imperium Nedicia. Wydział do spraw narkotyków dysponował licznymi danymi na temat jego powstania i struktury. Najważniejszą nową zdobyczą był Ljubomir Protić, który znał Rajko Nedicia praktycznie przez całe życie, ale dopiero teraz znalazł się w organizacji, jako prawa ręka Nedicia. Jeśli patrzeć z zewnątrz, wydawał się najsłabszym ogniwem - w zamian za to łączyły ich silne więzy przyjaźni.

Reakcja była bardzo czytelna. Lekko poblądł. Próbował zachować uprzejmą minę, ale kolor twarzy powoli zanikał. Właśnie na taką reakcję czekała.

Odwróciła się do funkcjonariuszy.

- Bierzcie go - powiedziała i ruszyła w stronę rajskiej bramy.

Ljubomir siedział w pokoju przesłuchań. Dziwnie się czuł. Tylko on i ściany. Wystarczy, że na nie chuchnie, a runą na niego. Czuł to. Próbował więc nie oddychać. Czuł, jakby z każdym wydechem uchodziło z niego życie.

Na koniec nie zostało prawie nic.

Siedział tu już od dwóch godzin. Nikt do niego nie przyszedł. Domyślał się jednak, że ktoś go obserwuje. Ktoś z wewnątrz. Na tym etapie wielki wiedział już z pewnością, że on tu jest. Nie widział dla siebie przyszłości.

Pamiętał nauki wielkiego. Mały poradnik na wypadek konfrontacji z policją. Bądź zawsze uprzejmy i pomocny. Zaprzeczaj wszystkiemu z zatroskaną miną. Kontroluj siebie i każdy grymas swojej twarzy. Nie odzywaj się bez potrzeby.

Wielki dał już mu do zrozumienia, że dostrzega w nim zagrożenie dla bezpieczeństwa. Na tym etapie rozumiał, co wielki ma na myśli. Dwie godziny na policji. Opowiedział już wszystko, co wiedział. Całe szczęście niczego nie wiedział.

Ale wielki nie miał pojęcia, na który wydział policji trafił. Do tych od pedofilów. A o tym Ljubomir wiedział naprawdę wszystko.

Otworzyły się drzwi i do środka weszła ostrzyżona na krótko policjantka. Nareszcie. Wyglądała niepozornie. Delikatnie. Delikatne kobiety zrujnowały już niejedno życie. Zebrała mocne karty. Czy uda mu się zachować spokój - jeśli zapyta o t o m i e j s c e ?

Zapytała od razu.

Sara Svenhagen położyła stertę papierów na stole ze słowami:

- Twój szef spodziewa się już pewnie, że wszystko nam wygadałeś, prawda? W tej chwili twoje życie i tak niewiele jest warte. Równie dobrze możesz nam wszystko opowiedzieć. Na przykład o pedofilskim gnieździe z izolowanymi ścianami, które wyglądają jak złote poduszki w burdelu.
- Czy naprawdę sądzi pani - zaczął Ljubomir, jakby recytował wyuczony na pamięć tekst - że tak łatwo zburzyć imperium? Czy nie sądzi pani, że to znacznie trudniejsze?

- Ależ owszem. Jeśli mówimy o handlu narkotykami. Wówczas jest rzeczywiście praktycznie nie do ruszenia. Tam wszystkie zabezpieczenia są na miejscu. Ale tu nie chodzi o handel narkotykami. Tu chodzi o wejście od tyłu. Przez seksualne eskapady Rajko Nedicia.
- Nie wiem, o czym mówisz, Saro - odparł Ljubomir. - Przykro mi.
- Oczywiście, że nie. Co sądzisz o pornografii dziecięcej, Ljubomirze? Co sądzisz o małych pochwach rozprutych po pępek rozbitymi butelkami po coca-coli? Co sądzisz o pięcioletnich chłopcach z odbytami tak rozszerzonymi, że kał sam się z nich wylewa?
- Na Boga... - powiedział Ljubomir, wbijając w nią wzrok.
- Pokażę ci setki zdjęć twojego pracodawcy w podobnych sytuacjach i obejrzyś każde z nich, nawet jeśli będę miała przybić ci powieki do czoła. Zrozumiano?

Ljubomir przyglądał się tej delikatnej, krótko ostrzyżonej kobiecie. Widział jej determinację i zrozumiał, że jest stracony. Będzie walczył, ale tylko dlatego, że tak mu wpojono. Rozplacze się. Ona zaprowadzi go w to miejsce, żeby zobaczył to, od czego przez całe życie odwracał wzrok. Wszystko wokół niego się zawali. Wiedział, że tak będzie, gdy patrzył w oczy Sary Svenhagen. Wiedział też, że to widziała.

- Rajko Nedić pod pseudonimem „brambo” był niezwykle aktywny w internetowym środowisku pedofilskim. Dopiero teraz udało nam się go zidentyfikować. W praktyce wypadł już z gry. Byłoby dobrze, gdybyś mógł opowiedzieć coś jeszcze, Ljubomirze. Jak to było? Czy był pedofilem, już kiedy przyjechaliście do Szwecji jako dwóch młodych chłopaków mających świat u stóp? Czy coś w jego dzieciństwie sprawiło, że stał się tym, kim jest dzisiaj?
- Chcę rozmawiać z adwokatem - powiedział Ljubomir.
- Dwie godziny temu też chciałeś. W tej kwestii nic się jednak nie zmieniło: nie wolno ci. Jedyne, co ci wolno, to obejrzeć te zdjęcia. Opublikował je w sieci twój pracodawca. W dziedzinie

handlu narkotykami jest najbardziej ostrożnym generałem na świecie, ale nie ma oporów, żeby całemu światu pokazywać, jak jego penis penetruje małe dzieci. Od dawna zajmuję się pedofilami, ale tej dziwnej, niepohamowanej potrzeby chwalenia się swoją perwersją nie zrozumieć nigdy. Jakby tracili głowę.

Popchnęła w jego stronę stertę papierów. Spojrzała na niego.

Przymknął oczy.

- Nie. Nie chcę.

- Owszem. Nie masz wyboru. Podsunęła mu przed oczy pierwsze zdjęcie. To była ona.

Oczywiście, że najpierw musiała być ona.

A potem więcej i więcej, i więcej, i chociaż płakał, było tego więcej i więcej, i więcej. I na wszystkich zdjęciach była ona.

Posypał się. Nie dało rady. Opadł na stół, a łzy zalały wydruki i płynęły po blacie, tworząc wielką, kolorową breję. Oblepiła mu twarz, a gdy podniósł głowę, wyglądał jak płaczący wymalowany pajac.

- Nie mogłem nic z tym zrobić - powiedział przez łzy. - Przychodziła do mnie za każdym razem i siadała mi na kolanach, nazywała mnie wujkiem Jubbe i zanosila się płaczem dalekim od płaczu. Patrzyła na mnie bez łez, nie mogąc wymówić słowa, bo nie miała na to żadnych słów, i za każdym razem myślałem, że to musi być ostatni raz, jak nie, to zabiję skurwysyna, ale tego nie zrobiłem, niczego nie zrobiłem, odwracałem wzrok, gdy siedziała mi na kolanach, powtarzając „wujku Jubbe”, co tak naprawdę znaczyło: pomóż mi, wujku Jubbe, dzieje się coś, czego nie rozumiem, a ty jesteś tak miły i możesz mi pomóc, ale ja nie byłem wcale miły, byłem najgorszy z najgorszych, bo odwracałem wzrok i niczego nie widziałem.

Sara Svenhagen przymknęła na moment oczy. Jej myśli nie dały się zwerbalizować. Potem podała chusteczkę Ljubomirowi Proticiowi. Wytarł łzy i spojrzał na chusteczkę. Kolory jak w rajskim ogrodzie.

- Kim jest ta „ona”? - zapytała Sara Svenhagen. Ljubomir spojrział na nią skrzywdzonym wzrokiem.
- Przecież to Sonja - odparł. - Moja mała Sonja.
- A Sonja to...?
- Córka Rajka. Kurwa, jego córka.
- I to ona jest na tych zdjęciach? Ljubomir się skrzywił. Potem pokiwał głową.
- Ile lat ma teraz Sonja Nedić? Dwadzieścia?
- Tak - powiedział Ljubomir. - Dokładnie dwadzieścia.
- Jak wygląda jej życie?
- Ma własny samochód i mieszkanie. Studiuje matematykę na uniwersytecie. Rok temu próbowała popełnić samobójstwo. Podcięła sobie żyły. Wzdłuż. Otarła się o śmierć. Ale gdy ostatnio widziałem ją w domu, sprawiała wrażenie szczęśliwej. Pamiętam, że pomyślałem: mam nadzieję, że kogoś spotkała, kogoś, kto ją uszczęśliwi, kto będzie mógł dać jej odrobinę dzieciństwa, którego nigdy nie zaznała. Naprawdę mam taką nadzieję.
- Czy możesz powiedzieć nam coś jeszcze?
- Rajko sam to przechodził w dzieciństwie. Wiem, bo siedziałem z nim wtedy tak jak po latach z nią. Jako dziecko. W małej wiosce we wschodniej Serbii. Jego też nie udało mi się pocieszyć. Dlatego właśnie zwialiśmy. Żeby zostawić to wszystko. Myślał, że będzie mógł zapomnieć o swojej przeszłości i stać się innym człowiekiem. Ale gdy tylko pojawiła się Sonja, to wróciło. Postępował jak jego ojciec. A ja tylko siedziałem. Znowu. Kurwa. Wujek Jubbe.
- A reszta rodziny?
- Ma dwójkę dzieci. Oparł się pokusie wobec syna, o trzy lata starszego od niej. Chłopak jest w tej chwili wewnątrz imperium. Ale Sonji nie mógł się oprzeć. A żona widzi jeszcze mniej. Znieczuła się zakupami. Rajko zaś uprawia swój ogród, żeby stworzyć raj, którego nigdy nie miał.
- Inne dzieci?

- Owszem. Nie wiem, skąd je bierze. Teraz, gdy Sonja jest już dorosła, pojawiają się inne dzieci. Może je kupuje.
- Coś jeszcze?
- Teraz i tak już jest za późno. Dam ci wszystko, co mam, Saro. Wyglądasz na mądrą kobietę, ale powinnaś wiedzieć, że tak naprawdę nie wiem zbyt wiele. Mogę zacząć od „konsultantów do spraw bezpieczeństwa”. Dwóch obrzydliwych Szwedów, byłych policjantów. Z Sapo. Nazywają się Gillis Dóós i Max Grahn.
- Resztę opowiesz ludziom z wydziału do spraw narkotyków. Czekają na ciebie za drzwiami. Chcę jeszcze tylko wiedzieć, gdzie znajduje się gniazdo. Mieszkanie z izolowanymi ścianami, które wyglądają jak złote poduszki w burdelu.

Ljubomir uśmiechnął się lekko zza kolorowej maski.

- On jest tam teraz. W t y m m i e j s c u .
- Żartujesz? - krzyknęła Sara Svenhagen. - I ty o niczym nie mówisz!
- Nie, to nie tak - powiedział Ljubomir. - Ono teraz służy do czegoś innego. To nie ma nic wspólnego z dziećmi.

Sara odetchnęła.

- Gdzie to jest?
- Przy Hornstull. Hornsgatan sto trzydzieści jeden. Czwarte piętro. Na drzwiach jest nazwisko „Ahlstróm”. Ale ma ze sobą co najmniej pięciu ludzi, bądź ostrożna, Saro. Mają cały arsenał.

Przez chwilę kiwała głową. Potem spojrzała na siedzącego przed nią mężczyznę. Coś zaświeciło w jego oczach. Sprawy, które przez lata były zamknięte i zaryglowane, zostały wypuszczone na światło dzienne. Być może w ten sposób spłacił choćby niewielką część swojego długu wobec Sonji Nedić. Moja mała Sonja.

Odchylił się na krześle i zamknął oczy.

Ljubomir mógł odejść w spokoju.

Znów był wujkiem Jubbe.

Wreszcie coś z tym zrobił.

PAUL Hjelm zabił.
Został postrzelony.

Gdy Kerstin Holm była, jak sądził, bliska śmierci, powiedziała, że go kocha.

Każde z tych zdarzeń mogło na zawsze zmienić jego życie. Musiał je wyprzeć. Żeby móc wejść w rolę prowadzącego przesłuchanie.

Hultin rozdzielił bowiem role.

- Że też, kurwa, Kerstin musiała zostać teraz postrzelona - powiedział ostrym tonem. - Weźmiesz ze sobą Jorge jako pomocnika. Wasza dwójka zajmie się Kullbergiem i Petroviciem.

W ten oto sposób dawni bohaterowie stali się specami od przesłuchań.

Jorge Chavez dostał napadu paniki w trakcie strzelaniny.

Szef wymierzył mu policzek.

Wzniósł swoiste mury odgradzające go od kobiety, w której się zakochał.

Również to starczyłoby na kilka metamorfoz. Również to należało wyprzeć.

Weszli do pokoju przesłuchań w dobrze izolowanej części komendy. W środku siedział niski, barczysty mężczyzna ze szczerbą w uzębieniu, zaklejonymi brwiami i siniakami na twarzy. Posłał im szyderczy uśmiech.

- Proszę, proszę - powiedział Agne Kula Kullberg. - Pan beksa.

Chavez poczuł, że robi mu się niedobrze. Usiadł. Hjelm stał przez chwilę, mierząc wzrokiem Kullberga. Chciał go rozgryźć. Próbował nie zwracać uwagi na ćmiący ból.

- Za to z waszego szefa jest kawał twardziela - dodał Kula.
- Słuchaj, Agne - zaczął Hjelm. - Jeśli mowa o beksach, my też widzieliśmy, jak płakałeś i zarzygałeś pistolet.

Usiadł. Zaczynali z równych pozycji. Teraz liczył się ciąg dalszy. Utaił Kuli nosa. Ten siedział ze wzrokiem wbitym w blat stołu.

- Powiesz nam, co planuje Niklas Lindberg - rzekł ze spokojem Hjelm.
- A wy ciągle o tym samym - powiedział Kula do stołu. - Skąd mam, kurwa, wiedzieć. Szukamy dziesięciu milionów. To były nasze plany.
- Więc to był zwykły napad, Agne? Bez towarzyszącej mu ideologii?
- Tak. Chodziło o kasę. Wyłącznie.
- Powiedz coś więcej o tym swoim gadzecie, Agne.
- Nie mów do mnie Agne.
- Dobrze, Agne. Gadaj.
- Dobra, w Siekli mieliśmy chwilę, żeby rzucić okiem na radio. Była tam kartka z częstotliwościami. Znając model nadajnika i częstotliwości, byłem w stanie złożyć urządzenie, które wychwyci sygnał wysyłany przez radio tego typu. Złapaliśmy kilka takich sygnałów na początku i pojechaliśmy w ślad za nimi E4. Potem sygnał zniknął. Dopiero w drodze na południe do Skanii przyszło nam do głowy, że musiał odskoczyć gdzieś na trasie. Prawdopodobnie na zachód. Więc zawróciliśmy na północ. W TroUhattan znowu złapaliśmy sygnał. W Fałkoping też. Skóvde wydawało się najbardziej logiczne. Na miejscu piszczało cały czas. Zaprowadził nas prosto do pokoju hotelowego.
- Nie szkoda ci na to twojego talentu?
- Mam nadzieję na dalszą edukację w Kumli. Potem stanę się wzorowym obywatelem.

- Dlaczego napadaliście na wszystko, co napotkaliście na d n > dze w czasie waszego rajdu przez zachodnią Szwecję?
- A dlaczego nie? Napadaliśmy na wszystko, co napotkaliśmy na drodze, bo tam było. Tylko dlatego. Byliśmy bandą rabusiów i goniliśmy za forszą. Dopóki nie mieliśmy teczki, musieliśmy zadowolić się drobnicą. Z czegoś trzeba w końcu żyć.
- Niekoniecznie. Wielu ludzi przy tym zginęło, Agne. Nie wydaje się, byś opłakiwał kumpli.
- To nie byli moi kumple. Zwykli koledzy.
- A Lindberg?
- Dobry dowódca. Nic więcej. Cholernie wytrzymały.
- W praktyce jednak byliście zorganizowaną bandą prawicowych ekstremistów. Chcesz powiedzieć, że nie kryje się za tym żadna ideologia?
- Nie jestem prawicowym ekstremistą.
- Ale, Agne, jesteś w bractwie strzeleckim razem z innymi prawicowymi ekstremistami, z których część to nasi starzy znajomi. Ludzie, o których mówiło się w związku ze śmiercią Palmego.
- Mówili tak zwolennicy teorii konspiracji w telewizji. Nie, jestem tam, bo lubię strzelać. Kręci mnie mechanika precyzyjna. I przestań mówić do mnie Agne.
- Dobrze, Agne. Potrzebujemy dwóch rzeczy: marki ciężarówki, koloru i numeru rejestracyjnego oraz informacji, gdzie w tej chwili przebywa Niklas Lindberg.
- Nic o tym nie wiem.
- Nie wiesz, jakim samochodem jechaliście, Agne?
- Zapomniałem. Sorry.
- Niklas Lindberg wyszedł z pokoju chwilę przed naszym przybyciem. Dlaczego?

Kula zamilkł. Pytanie wybiło go z rytmu.

- Dobra, Agne - powiedział Chavez. - Mamy dosyć jasny obraz. Stajesz na głowie, żebyśmy uwierzyli, że byliście bandą zwykłych rabusiów, którą interesowała tylko kasa. Dlaczego to takie ważne? I dlaczego nie potrafisz wymyślić jakiegoś

zgrabnego wytłumaczenia nieobecności Niklasa Lindberga? Czy nie mógł chociażby pójść rzucić okiem na pieniądze, które mieliście w ciężarówce?

- Coś w tym stylu - odparł znużonym głosem Kula. - Sytuacja była pod kontrolą. Danne i Rogge mieli zabawić się trochę z panienką. To nie w stylu Niklasa. Wyszedł, żeby sprawdzić, czy wszystko gra.
- Dobra robota, Agne - powiedział Chavez. - Bardzo zgrabne wytłumaczenie.
- A to było w twoim stylu, Agne? - zapytał Hjelm.
- Co? - zapytał Kula.
- „Zabawić się trochę z panienką”? Byliśmy świadkami gwałtu.
- A ty strzeliłeś Dannemu w plecy, tak. Gratuluję odwagi. W plecy. A potem jeszcze dwa razy w twarz, gdy leżał. Już wcześniej był ranny.
- Pytałem, czy to było w twoim stylu, Agne.
- Nie, to nie było w moim stylu. Nie miałem zamiaru jej zgwałcić. Ale ktoś musi stać na czatach.
- Znasz Risto Petrovicia?
- Nie.
- Szybka odpowiedź. Przyznasz, Jorge, że Agne szybciotko odpowiedział?
- Rzeczywiście, wyjątkowo szybko. Musisz przecież wiedzieć, że właśnie on dał cynk Lindbergowi o transakcji Nedicia?
- To działka Nicklasa. Ja nie miałem nic wspólnego z tym, co się działo w Kumli.
- Petrović jest zbrodniarzem wojennym, zrzeszonym faszystą, a Niklas jego kumplem z Legii Cudzoziemskiej.
- Serio?
- Serio, Agne. I to m i mówi, że wcale nie jesteście zwykłą bandą rabusiów, tylko neofaszystowską bojówką finansowaną przez wpływową skrajnie prawicową organizację, która prawdopodobnie odpowiada za śmierć Olofa Palmego.
- Żartujesz!

- Żartuję, Agne. Danne Kaszanka i ciesząca się dobrym zdrowiem apartheidowska służba bezpieczeństwa RPA jakoś nie idą w parze.
- Nie nazywam się Agne.
- Nie, Agne, zamach, który planujecie i którego Nicke z całą pewnością sobie nie odpuścił, to wasz pomysł. Ale żeby zdobyć ten łatwo wybuchowy płyn, potrzebne są kontakty w międzynarodowej siatce skrajnej prawicy. Szkopuł w tym, że im trzeba płacić. Nie czaisz, Agne, jakie z was płotki? Chcą od was pieniądze. Nie mają zamiaru sponsorować waszych żalonych ataków terrorystycznych.

Chavez zamilkł. Zrobili przerwę i przyglądali się Kuli Kullbergowi. Właśnie w tej chwili powinna zmienić mu się mina. Powinna mówić: „Jeszcze zobaczycie, fagasy”.

Kula patrzył w stół z miną „jeszcze zobaczycie, fagasy”.

- Dziękujemy - odezwali się chórem Hjelm i Chavez.
- Za co? - Kula spojrzał na nich spode łba.
- Za wskazówkę, której właśnie nam udzieliłeś, Agne - powiedział Hjelm. - Dziękujemy z całego serca.
- O co wam, kurwa, chodzi?

Na twarzy Kuli rysował się strach. Poruszył się niespokojnie. Fagas, pomyślał Chavez.

- Dlaczego powiedziałeś, że nie nazywasz się Agne, Agne?
- Czy może dlatego, że ty nie nazywasz się Agne, Agne?
- Bo ten, który nazywa się Agne, Agne, to mały grzdyl z twarzą w żwirze na boisku szkolnym.
- A Agnego zostawiłeś daleko za sobą, Agne.
- Ho, ho, jak daleko ci do kujona Agnego, najmniejszego w klasie.
- Ho, ho, kiedy to Agne dostał lanie od dużych chłopców.
- Ho, ho, kiedy to dziewczyny chichotały na widok łysego siusiaka Agnego.
- Ho, ho, kiedy to mały Agne zarzygał lufę pistoletu w Skóvde.

- Ho, ho, czemu to Agnemu nie stanął, gdy chciał zgwałcić czarnulkę w hotelu w Skóvde.
- Jesteś małe miki, Agne.
- Jesteś mniej niż zero, Agne. Nikt cię nie lubi, nikt cię nie chce, jesteś zwykłym robakiem.
- Wijącym się małym robakiem. Jak twój siusiak. Mały robaczek z jeszcze mniejszym robaczkiem. Agne siusiak.

Nagła cisza.

Postanowili olać Kulę. Obojętni. Znużeni.

- Idziemy na kawę? - zapytał Chavez.
- Czy ja wiem. Muszę jeszcze odebrać Lottę z przedszkola.
- Darujemy sobie? Straszna nuda. On jest nudny. Jak on się nazywa? Arne?
- Banarne?

Podeszli do drzwi, rozmawiając.

- Wiesz, co ma wspólnego sztokholmczyk i plemnik?
- *Nope.*
- Z bardzo niewielu wyrastają ludzie.
- Typowy żart góteborski. Masz jedynkę na Fullham-West Bromwich?
- A co, kurwa! Ale muszę jeszcze zahaczyć o monopolowy. Która godzina?
- Ta sama co wczoraj o tej samej porze.
- Wal się, czarnuchu. Testowałeś już te nowe podstawki pod piłeczki golfowe?
- Podstawki? Na wysoką trawę?
- Za to Damę Ednie cholernie dobrze idzie. Pewne uderzenie w siódemkę.
- Benny Björn, to brzmi jak imię dla konia.

Zamknęli za sobą drzwi i zajrzeli przez lustro weneckie. Kula sprawiał wrażenie wytrąconego z równowagi. Pocierał dziwnie czoło.

- Odebrać Lottę z przedszkola? - powiedział Chavez i zerknął.
- Albo Benny'ego Bjórna. Wszystko jedno.

Szarpnęli za drzwi i weszli do środka. Hjelm poszedł prosto do Kuli i krzyknął jakieś dziesięć centymetrów od jego twarzy:

- World Police and Fire Games!

Kula zeszytywniał. Nie dało się tego nie zauważyć.

- Nic mi o tym nie wiadomo - wydusił.

- Dziękujemy - odpowiedzieli chórem Hjelm i Chavez.

- Podstawki na wysoką trawę?! - wykrzyknął Ludvig Johns-son, nie przerywając czytania z ekranu komputera.

Gunnar Nyberg czytał na swoim. Zaśmiał się.

- Jorge nigdy nie cenzuruje swoich czystopisów - powiedział.

Czytali dalej. Gdy skończyli, odezwał się Johnsson:

- Dziwne przesłuchanie.

Nyberg wbił zęby w lodowate udko kurczaka i odchylił się na krześle.

- Są cholernie pewni - powiedział. - Trochę ortodoksyjni, ale wiedzą, co robią. Sam pochylam się nad świadkami jak niedźwiedź grizzly.

- Co myślisz?

- Wygląda na to, że trafili. Najpierw wyprowadzili go z równowagi, rozbili mur, potem przypuścili zdecydowany atak. Zgadza się. Dziś jest środa czternastego lipca. Otwarcie World Police and Fire Games nastąpi na stadionie w Sztokholmie równo o piętnastej w sobotę. Niech mnie diabli, Niklas Lindberg ma zamiar wysadzić kwiat policji w powietrze!

Jechali do małego mieszkania na przedmieściach Sztokholmu, w Tumbie. Zadzwonili do Larsa Viksjó jeszcze z samochodu i przekazali, że są w drodze. Korpulentny policjant z Narke zamienił się nagle w osobistego opiekuna Risto Petrovicia.

W przedpokoju siedziało trzech umundurowanych funkcjonariuszy.

- Dobry wieczór - przywitał się elegancko Chavez z pornoglinami. - Czy ostatnio zatrzymaliście jakieś śródziemnomorskie krewetki?

Pornogliny spojrzały na niego skwaszone.

Weszli do salonu. Lars Viksjó siedział, paląc niezgrabnie zwinętego papierosa, który rozsiewał po pokoju migotliwą mgiełkę tytoniu, a Risto Petrović leżał przed telewizorem, wciągając spaghetti. Hjelm pomyślał, że to scena z jakiegoś filmu, ale nie mógł sobie przypomnieć z którego. Najpewniej z kilku.

Kiwnęli w stronę Viksjó, przystawili dwa krzesła do stołu Petrovicia i usiedli.

- Jak na potencjalnego świadka koronnego powiedziałaś stanowczo za mało - odezwał się Hjelm po angielsku. - To twoja ostatnia szansa. Potem wracasz do Kumli. Wiesz, co cię tam czeka.
- Nasz kolega Gunnar Nyberg zadał ci pracę domową - powiedział Chavez. - Po pierwsze: twoje relacje z Niklasem Lindbergiem. Po drugie: wszystko, co wiesz o organizacji Rajko Nedicia. Po trzecie: co to za transakcja. Po czwarte: kto był odbiorcą. Po piąte: na co Lindberg ma zamiar wydać pieniądze. I wreszcie po szóste: gdzie w tej chwili znajduje się Lindberg i jego banda? Zaczniemy od tyłu i przeformułujemy szóstkę: Gdzie w tej chwili znajduje się Niklas Lindberg?
- Nie mam zielonego pojęcia. - Risto Petrović nawinął na widelec z pół kilo spaghetti.
- Nie znasz potencjalnych kryjówek?
- Przykro mi. Nie znam potencjalnych kryjówek. Nie znam zbyt dobrze Szwecji. Przyjechałem tu na konkretne zlecenie i praktycznie od razu trafiłem za kratki.
- W takim razie piątka. Na co Lindberg zamierza wydać pieniądze?
- Na zakupy. Do tego służą pieniądze.
- Dziękuję za podstawowy kurs gospodarki kapitalistycznej. To znaczy, że nie chce wydać pieniędzy na konkretny cel?

- Z tego, co wiem - nie.
- Czwórka. Do kogo miały trafić pieniądze?
- Już mnie o to pytali wasi koledzy.
- Do kogo?
- Do szwedzkiego policjanta. Nic więcej nie wiem. Szantażował Nedicia. Dziesięć milionów koron.
- O takich sumach dotąd nie słyszeliśmy. Masa pieniędzy. To znaczy, że policjant znalazł coś bardzo wartościowego. Coś, co mogłoby utopić całe imperium Nedicia.
- Tak - powiedział Petrović z ustami pełnymi spaghetti. - To bardzo możliwe. Ale nie wiem, o co chodzi.
- W takim razie trójkę też już mamy z głowy. Ale mieliśmy podzielić się robotą po połowie. Dwójka. Organizacja Rajko Nedicia.

Petrović kiwnął głową i skończył przeżuwać. Potem schylił się pod stół i wyciągnął stertę zapisanych ręcznie kartek.

Hjelm wziął je do ręki i przejrzał. Kawał roboty. Widać było, że się chłopak napracował. Pragnął jednego: utopić Nedicia.

- Dziękuję. Jestem pod wrażeniem. To zaczyna dobrze wyglądać.
- *Thank you* - powiedział Risto Petrović i zajął się nawijaniem spaghetti na widelec. Zwój po zwoju.
- Weźmy więc jedynekę. Jak właściwie wyglądają twoje relacje z Niklasem Lindbergiem?
- Spotkaliśmy się w Legii Cudzoziemskiej. Żaden z nas tak naprawdę tam nie pasował. Zaprzyjaźniliśmy się i dzięki temu wytrzymał tam rok. Potem wspieraliśmy się w Kumli. Miło było znów się zobaczyć. Pracowałem dla Nedicia i dałem cynk Nickemu, że Nedić chce dostarczyć dziesięć milionów koron jakiemuś policjantowi. Potem Lordan wspomniał o spotkaniu w Młynie. O tym też opowiedziałem Nickemu.
- Co z tego miałeś?
- Nic. Jesteśmy przyjaciółmi. Jak się przeżyło to, co przeżyliśmy w Legii, to się rozumie. Inaczej się nie rozumie.

Hjelm kiwnął głową i spojrzął na Chaveza. Chavez kiwnął głową i spojrzął na Hjelmą.

- W porządku - powiedział Hjelm. - Jeśli chodzi o ciebie, to mniej więcej wiemy, na czym stoimy. Chcesz za wszelką cenę utopić Nedicia i za wszelką cenę chronić Lindberga. Zżyliście się w ciężkich warunkach. Jesteście przyjaciółmi na sposób arabski. *Friends for life*. Papużki nierozłączki.

Jakimś cudem udało mu się powiedzieć to po angielsku.

- Znasz to? - zapytał Chaveza po angielsku.

- Przed chwilą to słyszałem - odparł Chavez po angielsku. - Jesteśmy tylko zwykłą bandą rabusiów. Jesteśmy tylko przyjaciółmi. Ten sam schemat.

- Ale teraz darujmy sobie gadkę o podstawkach.

- Okej. Nie ma co. Lepiej będzie, jeśli...

I Jorge Chavez przedarł stertę zapisanych ręcznie przez Petrovicia stron.

Petrović się zakrztusił. Kawałki spaghetti rozprysły się po pokoju, mieszając się z migotliwą mgiełką tytoniu rozsiewaną przez Viksjó, któremu opadła szczęka.

- Wydaje ci się, że siedzisz jako świadek koronny, żeby sy pać Rajko Nedicia? Otóż się mylisz. Mamy gdzieś Rajko Nedicia. Interesuje nas planowany zamach terrorystyczny na Stadion Olimpijski. World Police and Fire Games. Mów wszystko, co wiesz. W przeciwnym razie jedziesz prosto do Kumli na spotkanie z Zoranem Koco, Petarem Klovićem i resztą ludzi Nedicia.

Petrović przestał kaszleć. Kawałki spaghetti zwisały mu z ust niczym krwawe resztki. Obrazek jak z jednej z ostatnich scen *Szczęk*.

Jaws.

- A tu, kurwa, co jest napisane? - zdziwił się Ludvig Johnson. - To w nawiasie?

- „JC drze pap/mat PN” - przeczytał Gunnar Nyberg. - Najwyraźniej Jorge podarł zapiski Petrovicia o Nediciu.
 - Jak się z tego wytłumaczy?
 - Moim zdaniem on blefuje. Pewnie mają już kopię. Ale to zgrabne przejście. Ciekawe, co teraz.
-
- Sądzymy, że byłeś zdeklarowanym prawicowym ekstremistą jeszcze przed wybuchem wojny w Chorwacji - powiedział Hjelm. - Sveda po dawnej, skrajnie nacjonalistycznej organizacji Ustaša. Nienawiść do Serbów. Potem w czasie wojny przejąłeś się rolą komendanta paramilitarnej bojówki. Dzięki nowym kontaktom dostałeś fałszywe papiery i uciekłeś do Legii Cudzoziemskiej. Skorzystałeś z okazji, żeby włączyć bliskich ci poglądami legionistów do międzynarodowej sieci neofaszystowskiej. Między innymi Niklasa Lindberga, który potem zaczął wysadzać w powietrze i łać Kurdów, i w końcu trafił do więzienia. On z kolei budował sieć kontaktów w Kumli: neonazistowską klikę. Wciągnął między innymi znanego skrajnego prawicowca Svena Joakima Bergwalla, który zginął w czasie rzeźni w Siekli. Wasza trójka planowała większy zamach w Sztokholmie, a czy może być coś lepszego niż World Police and Fire Games? Wysadzić w powietrze gliny i strażników więziennych? Bezcenne. Wiedziałaś, że międzynarodowa sieć ma dostęp do odpowiedniego materiału wybuchowego. Hiperaktywny i łatwo wybuchowy płyn z elektronicznym mikrodetonatorem. Południowi Afrykanie stworzyli go z myślą o masowych spotkaniach ANC. Ale apartheid zlikwidowano, zanim zrobiono z tego płynu użytek. Przemyciłeś próbkę do Kumli i dałeś ją Lindbergowi, a potem dopilnowałeś, żeby Lindberga stać było na zakup odpowiedniej ilości tego materiału wybuchowego. Pieniądze miały pochodzić od twojego pracodawcy Rajko Nedicia, pieprzonego Serba, któremu udało się pogodzić dawnych wrogów w swojej narkotykowej organizacji. Prawdziwa organizacja pokojowa. Dwie pieczenie przy jednym ogniu.

Dobrze pomyślane. Lindberg jest na wolności i choć nie ma dziesięciu milionów koron, to dysponuje prawie milionem - i mimo początkowych przeszkód zamierza zrealizować swój plan. W czasie gdy ty, pod ochroną czterech policjantów, opychasz się spaghetti, sypiesz Nedicia i dostajesz świeżutką tożsamość od szwedzkiego państwa. Znowu dobrze pomyślane. Ale zapomniałeś o Drużynie A.

- O czym zapomniałem? - wybuchnął Risto Petrović.
- Nieważne. Nic takiego. Mała dygresja.
- Gdzie? Kiedy? Jak? - ryknął Chavez. - Gadaj, bo inaczej wyślemy cię prosto w ramiona Rajko Nedicia. Proste? G d z i e zostanie podłożona bomba? Z jakiego miejsca zamierza zdetonować ją Lindberg? K i e d y zostanie podłożona? Kiedy wybuchnie?
- Mylicie się - powiedział Risto Petrović, wycierając usta. - To nie takie proste.
- Dlaczego nie?
- Bo są sprawy, dla których warto umierać.
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Jak chcecie, możecie mnie odesłać z powrotem do Nedicia. To jest większe ode mnie. Ja jestem tylko małym trybikiem w wielkiej maszynie.

Hjelm i Chavez spojrzeli po sobie. A tak dobrze im szło. I nagle zatrzymało ich coś, czego się w ogóle nie spodziewali - idealizm. Chory czarny idealizm. Najgroźniejszego sortu.

- Odeślą go z powrotem? - zapytał Ludvig Johnsson.
- Nyberg spojrział na niego, przeżuując kolejne lodowate udko kurczaka.
- Nie sądzę - odparł. - Wciąż jeszcze może się przydać.
 - Nie wydaje mi się - powiedział Johnsson. - Nie będzie mówić. Odebrał nauki pokrętnego idealizmu. On naprawdę wierzy

w czystkę etniczną i czystość rasową. Słabym ogniwem jest Kullberg. Tu mamy wciąż szansę.

- O ile cokolwiek wie. Szczerze wątpię.
- A ja nie. Twój koledzy mają rację. I zgadzam się z tobą: są cholernie pewni. Że też ich nie znałem, gdy zbierałem ludzi do wydziału do spraw pedofilii. Mają rację, że cały plan został opracowany w Kumli. Trzech inteligentnych neofaszystów zaplanowało sprytny zamach: Petrović, Lindberg, Bergwall. Ale był jeszcze jeden inteligentny neofaszysta do dyspozycji: Kullberg. Nie sądzę, by go pominęli. Pozostali to piechota, mięso armatnie: Carlsson, Andersson, Sjöqvist. Ale nie Kullberg. On wie.
- Może. Jak sądzisz, co robi teraz Niklas Lindberg?
- Niedługo będzie dostawa. Kupuje materiały wybuchowe od owej skrajnie prawicowej organizacji. Ale wciąż jest wściekły, że nie położył ręki na tych dziesięciu milionach. To byłby dopiero wybuch. Za milion też będzie niezły, ale ja ci, kurwa, mówię - on sobie nie daruje tych dziesięciu baniek.
- Chcesz powiedzieć, że...?
- Tak. Moim zdaniem Niklas Lindberg uda się bezpośrednio do Rajko Nedicia.

On jest jasny, ona ciemna, siedzą spleceni w świetle słońca na schodach kościoła Hógalid. Nie są tu sami. Kilka młodych par siedzi splecionych na schodach i wygrzewa się w słońcu. Wyglądają jak wszyscy inni.

Przyroda wpuszczona do miasta. Zieleń rozrasta się we wszystkich kierunkach, ale niedaleko. Potem znowu asfalt. Asfaltowa dżungla.

Nie wiedzą, czy to oaza, czy raczej fatamorgana. Niedługo się przekonają.

Na jasnyniebieskim niebie nad Riddarfjarden tańczą lekkie welony chmur. Zmieniają się nieustannie. Przybierają nowe, równie ulotne kształty.

Taniec metamorfoz.

On patrzy na swoje czteroletnie reeboki w rozmiarze czterdzieści; są już nieźle rozchodzone. Zbyt dużo przeszły. Ona patrzy na swoje nowe białe sandały w rozmiarze czterdzieści, podnosi wzrok i spogląda w jego oczy. Usta jednoczą się w pocałunku. Lekka gra języków. Splot ciał.

Nie mogą przestać się dotykać. Już nigdy nie będą sami. Cokolwiek się teraz zdarzy, już nigdy nie będą sami. Umrą razem, gdy usta zarosną zielonymi liśćmi.

Ale wtedy będą już starzy.

Pójdą za bogami na szczyt góry.

Wstają i ruszają przez zieleń parku Hógalid. Na schodach zostaje „Expressen” z dwudziestego czwartego czerwca. Zakreślony długopisem nagłówek krzyczy: *Siostry, które rozplynęły się we mgle.*

Ale *Metamorfozy* Owidiusza chowa do kieszeni. Wydanie kuszonkowe.

Wielkie drzewo pochyła się nad nimi. Otacza ich opiekuńczym ramieniem. Jest tam jeszcze, gdy wychodzą na Hornsbruksgatan, skręcają w Lignagatan i po chwili są na Hornsgatan. Tam kierują się na prawo, w stronę Hornstull.

Zatrzymują się i stoją przez moment przed Förenings-sparbanken.

Ona rzuca krótkie, ukośne, wystraszone spojrzenie przez ulicę. Na wysokość czwartego piętra w budynku po drugiej stronie ulicy. Powtarza sobie, że ta czarna postać, której kontur widzi w oknie, to tylko wytwór jej wyobraźni.

Potem wchodzi do banku.

Wielki wygląda przez okno. Gorąco nie do zniesienia. Zielona mucha śmietnikowa zagustowała w jego pocie i nieustannie atakowała jego czoło. Już nawet jej nie odganiał. Znacznie gorsze muchy atakowały jego czoło. Od środka.

Tych nie da się przegonić.

Przeciek. Jeszcze przed dwoma tygodniami nie znał tego słowa. Nie było na nie miejsca w szwedzkim wokabularzu Rajko Nedicia. Teraz wracało do niego bezustannie.

Najpierw ten uciążliwy policjant Ludvig Johnsson, który trafił na coś, na co nikt nie miał trafić. Był gotów zapłacić każdą sumę, żeby tylko nie musieć o tym myśleć. Dobrze wiedział, jaki los czeka pedofila w więzieniu. To znaczy, że Risto Petrović zdradził. Świadek koronny. Może dałoby się jeszcze zmniejszyć straty. Jego ludzie nie wiedzieli wystarczająco dużo, żeby go zniszczyć, zwłaszcza ci, których ściągnął bezpośrednio z Bałkanów. Gorsza była zdrada Ljubomira. Chociaż on też nie wiedział zbyt dużo. To Lordan miał po nim wszystko przejąć. Ale ten nie żył. To była jego jedyna zdrada. I jeszcze dwa telefony komórkowe, które zniknęły

z restauracji. Instykt podpowiadał mu, że nie była to zwykła kradzież.

To też był przeciek. W jakimś sensie.

I właśnie wtedy widzi - i nie rozumie tego, co widzi, jakby połączenia neuronowe nie wystarczały, żeby zrozumieć. Widzi - swoją córkę. Widzi Sonję przed bankiem razem z jakimś chłop-tasiem. To się ze sobą nie łączy. Kwadratura koła. Stoi w pokoju z izolowanymi ścianami, które wyglądają jak złote poduszki w burdelu, i niczego nie rozumie. Skamieniał.

Dwa skradzione telefony komórkowe z restauracji Thanatos.

Nie zdąży zareagować. Nie zdąży dać sygnału swoim ludziom. Nie zdąży wydać rozkazu, żeby wkroczyli do banku. Drzwi wypadają. Seria stłumionych strzałów sieje śmierć w mieszkaniu. Jest zupełnie cicho, gdy padają na ziemię. Trzech z pięciu. Patrzy na swoje ciało. Żadnych dziur. Żadnych ukrytych ran postrzałowych, które dostrzega się dopiero, gdy jest już za późno.

Dwóch z jego ludzi zostało przy życiu, wyciągają do góry ręce. Obojętny wyraz ich twarzy nie zmienił się bardzo. Rozumie już, jakie są skutki stresu bojowego. Nie widzi miny mężczyzny. Twarz zakrywa złota kominiarka. Z tłumika pistoletu maszynowego unosi się smużka dymu. Mężczyzna zamyka za sobą drzwi. Jak gdyby przyszedł z wizytą. Mówi czystym angielskim ze szwedzkim akcentem:

- Znam te wasze sztuczki z rękawami marynarek. Proszę, żebyście ich nie zastosowali. Wtedy będziecie żyć. Wyjmijcie ostrożnie ukryte pistolety.

Robią, co każe. Mężczyzna odwraca się w stronę Rajko Nedi-cia. Pierwszy raz w życiu ktoś celuje do niego z broni.

- A pan, panie Nedić, niech zachowa spokój - nakazuje mu mężczyzna eleganckim szwedzkim. Dialekt, myśli rozkojarzony wielki. Bohuslan albo Vastergótland. Uddevalla, Trollhattan.

Na kanapie siedzi trup. Wygląda, jakby zasnął na posterunku, przebiega mu przez głowę absurdalna myśl. Reszta leży na

podłozie. Nie wierzy, że to się dzieje naprawdę. To nie może się dziać. Rzuca spojrzenie przez ramię, przez okno. Sonja z chłopakiem wchodzi do banku. Uśmiecha się. Krzywo. Nagle już wszystko rozumie.

- Siadajcie - mówi mężczyzna, wskazując na kanapę. Tych dwóch siada obok trupa i oddaje broń. Owija ich sprawnie i szybko grubą taśmą. Wyglądają jak dwie srebrne mumie.

Rajko Nedić czuje, jak czas płynie. Liczy, ile kosztuje każda sekunda. Sonja stoi wciąż i czeka, żeby dostać się do skrytki. Wciąż jest czas. Dziesięć milionów koron.

Dziesięć milionów lub córka.

Mężczyzna odwraca się do niego. Zza złotej zasłony wyzierają lodowato niebieskie oczy.

- Jak tu trafiłeś? - pyta Rajko Nedić. Musi zyskać na czasie. Musi myśleć, mówiąc. Myśleć o czymś innym.

Mężczyzna prycha. Jego spojrzenie się nie zmienia.

- Jechałem za wami z Danderyd - odpowiada lekceważąco, a potem dodaje, już wyraźniej: - Potrzebuję tych dziesięciu milionów.

- Ja też - mówi Rajko Nedić. - Sam nie mam do nich dostępu. Ale nie rozumiem - nie macie klucza?

- Dużo nie rozumiesz. Gdzie są pieniądze? W którym banku? I jaki jest numer skrytki?

Wielki nie czuje się taki wielki. Widzi przed sobą scenariusz, w którym mówi do mężczyzny: „Bank naprzeciwko. Właśnie w tej chwili są w nim chłopak i dziewczyna, wyciągają pieniądze”. Tamten biegnie. Wielki oswobadza swoich ludzi. Idą za nim. Wymiana ognia w banku. Jego naznaczeni wojną bohaterowie zabijają mężczyznę. A Rajko Nedić dostaje swoje dziesięć milionów.

Będzie musiał poświęcić swoją córkę.

Zabić ją po raz drugi.

I właśnie w tej chwili ściany uwalniają krzyk. Jasne, wysokie krzyki, nawarstwione w porowatych ścianach przypominających

złote poduszki w burdelu. Wyją prosto do uszu Rajko Nedicia. Rozwalają jego bębni. Mówi:

- Nigdy się nie dowiesz.

I po raz pierwszy w życiu wielki czuje się naprawdę wielki.

Mężczyzna patrzy mu przez ramię. Przez okno. Nie podoba mu się to spojrzenie. Może zobaczyć Sonję, gdy będzie wychodzić z banku. Może ją rozpoznać.

Jedyne, co mężczyzna widzi, to niewyraźne sylwetki ośmiu charakterystycznych postaci podążających w ślad za młodą, krótko ostrzyżoną dziewczyną. Skradają się wzdłuż Hornsgatan i podchodzą do bramy.

Mężczyzna wzdycha, związuje Rajko Nedicia mocną srebrną taśmą, wyjmując z kieszeni małą metalową puszkę, wciska ją *do* ust Rajko Nedicia i zakleja. Owija mu twarz jak mumii. Wielki czuje puszkę w ustach. Smak metalu. Nie ma możliwości, żeby ją wypluć.

- Obiecałem - mówi mężczyzna w koronie i znika.

Sara Svenhagen kroczy tuż za swoimi ludźmi. Na schodach spotykają krótko ostrzyżonego, dobrze zbudowanego mężczyznę o jasnoniebieskich oczach. Kiwa w ich stronę głową. Działamy kolegalnie, myśli Sara. Odpychają go na bok i idą do góry.

Wchodzą na czwarte piętro i przygotowują broń. Znajdują drzwi z nazwiskiem „Ahlström”. Zatrzymują się przed nimi.

Wtedy dostrzegają, że zostały wyważone. Nie są zamknięte. Tylko tak wyglądają.

Przyciskają się do ściany. Broń przy twarzy. Blisko ciała. Otwierają drzwi kopnięciem.

Widzą krew. Dużo krwi. Widzą trzy trupy. Dwie srebrne mumie na kanapie.

I jedną na kolanach przy oknie. Sara rozpoznaje Rajko Nedicia. Gdy zabezpieczają pokój, podchodzi do niego. Jest trupio

blady pod taśmą. Kiwa dziwnie głową. To jakiś gest. Sara wyciąga rękę w stronę taśmy. On potrząsa gwałtownie głową i powtarza ten dziwny gest.

Nagle rozumie.

Gest znaczy: u c i e k a j , kurwa.

Reaguje natychmiast. Wyrzuca ludzi na klatkę.

Kiedy znikają, wielki czuje się wielki po raz drugi w życiu. Potem jego głowa eksploduje.

Sara Svenhagen słyszy wybuch na klatce. Nie wie do końca, czy rozumie, co się dzieje. Wracają. Ostrożnie.

Rajko Nedić leży przy oknie. Srebrna taśma rozchyliła się przy ustach. Ze środka sączy się krew. Sara nie zważa na środki ostrożności. Podbiega i odrywa taśmę.

Język wypada na zewnątrz. Krwawa grudka.

Ktoś wyrwał Rajko Nedicowi język.

Sara Svenhagen robi kilka chwiejnych kroków w stronę okna. Musi zaczerpnąć świeżego powietrza. Nie daje się. Nie może otworzyć okna. Nie ma skąd zaczerpnąć świeżego powietrza.

Zielona mucha śmietnikowa atakuje jej czoło.

Wymiotuje na okno w mieszkaniu z dźwiękoszczelnymi ścianami, które wyglądają jak złote poduszki w burdelu.

Wychodzą z banku. Ściskają się za ręce. Mocno. Trzymają wypchaną po brzegi torbę.

Dziewczyna rzuca szybkie, nieśmiałe spojrzenie przez ulicę. Na wysokość czwartego piętra w domu naprzeciwko. Na oknie widać rzygowiny.

Uśmiecha się. Stylowe pożegnanie.

SARA Svenhagen była blada i wycieńczona. Siedziała na katedrze Hultina, wymachując nogami. Jego zdaniem to było urocze. Ale on był już przecież starym zgredelem.

To, co przed chwilą opowiedziała, nie było aż tak urocze. Ale wiele wyjaśniało. Zatrważająco wiele.

Stawili się wszyscy z wyjątkiem Gunnara Nyberga i Kerstin Holm. Była połowa lipca, chór nie wystąpi. Uczestnicy World Police and Fire Games nieoficjalnie startowali w kilku konkurencjach. Jutro o 15.00 miało się odbyć oficjalne rozpoczęcie. Nawet jeśli nie wystąpi tak wielu zawodników, jak planowano, i nawet jeśli organizatorzy dopuścili się takich zaniedbań, że byli teraz ciągnani po sądach, to i tak stadion w Sztokholmie miał zostać zabezpieczony przez policjantów ze wszystkich zakątków świata.

- A więc spotkaliście Niklasa Lindberga, gdy wchodziliście po schodach? - zapytał Arto Söderstedt.

- Tak - odparła Sara Svenhagen. - Chociaż nie wiedzieliśmy o istnieniu Niklasa Lindberga. Zbyt wysokie dzieliły nas mury.

Rzuciła spojrzenie w stronę Jorge Chaveza. Siedział blady i wycieńczony; spotkał jej wzrok. Wyglądał na głęboko zatroskanego.

- Czy Rajko Nedić coś powiedział? - zapytał Norlander.

Sara Svenhagen uśmiechnęła się gorzko. Ale to nie był uśmiech. To tylko wyglądało jak uśmiech.

- Nie. Nie może mówić. Już nigdy nie będzie mógł mówić.

- Ale żyje.

- Tak. Leży w Södersjukhuset. Próbują pozszywać mu usta. Języka nie udało się uratować.
 - Precyzyjnie umieszczony ładunek - powiedział Hjelm.
 - Czy ojciec wspominał coś o materiale wybuchowym? Spojrzała na niego ze złością.
 - Tak, tata powiedział, że to ten sam materiał. A Rajko Nedić został zatrzymany za napastowanie seksualne nieletnich i rozpowszechnianie pornografii dziecięcej. Wkrótce pewnie będziecie mogli uzupełnić listę oskarżeń.
 - Ciekawa sprawa z Gillisem Dóósem i Maxem Grahnem
 - odezwał się Söderstedt. - Ci byli funkcjonariusze Sapo, którzy nieomal utopili nasze wcześniejsze dochodzenie, dostarczali więc Nedicowi informacji o działaniach policji?
 - Nazywają siebie „konsultantami do spraw bezpieczeństwa”. Ale najwyraźniej niewiele wiedzieli.
 - Przeplacani konsultanci to znak naszych czasów - rzucił Söderstedt.
 - „Policjant” to zatem Ludvig Johnsson - stwierdził Hultin.
 - Gdy odkrył, że Nedić jest pedofilem, zaczął go szantażować. A teraz jest na wakacjach w sobie tylko znanym miejscu. Czy naprawdę nie ma nikogo, kto by wiedział, gdzie on może być?
 - Owszem - powiedziała Sara Svenhagen. - I właśnie tam teraz jest.
 - Gunnar, mój Gunnar. - Hultin kiwnął ze smutkiem głową.
 - Myślisz, że coś mu grozi? Uważasz, że Johnsson może coś zrobić Nybergowi, żeby się wywinąć?
 - Nie - odparła zdecydowanym głosem Sara. - Nie ma takiej możliwości.
 - Kolejny raz Gunnar Nyberg oddzielił się od Drużyny A. Tym razem jednak prawo nie stanę po jego stronie.
 - Postąpiłbyś inaczej? - powiedziała Sara i spojrzała Hulti-nowi w oczy.
- Hultin kiwnął ciężko głową.

- Raczej nie - przyznał. - Dlatego nie zamierzam wyciągać wobec niego żadnych konsekwencji. Przynajmniej na razie. Zobaczymy, jak to się rozwinie.
- Wydaje mi się, że oni prowadzą równoległe dochodzenie - powiedział Hjelm. - Gunnar przysiągł sobie, że Ludvig po sobie posprząta. A jeśli Gunnar coś sobie przysiągł, wtedy nie ma przebaczenia.
- To rzeczywiście możliwe. No nic. To wszystko i tak kwestie poboczne. Teraz ważne jest, żeby uratować wiele ludzkich istnień na World Police and Fire Games. Mamy tylko dobę z kawałkiem. Niedługo trzeba będzie sobie zadać pytanie, czy nie powinniśmy odwołać inauguracji. Świetna reklama dla Sztokholmu i wielce kompetentnej szwedzkiej policji. Staniemy się pośmiewiskiem całego świata. Lepiej byłoby tego uniknąć. Czy możesz podsumować efekty waszych przesłuchań, Paul?
- Za wszystkim stoi Risto Petrović. Ma kontakty z samą śmietanką środowisk skrajnie prawicowych. Te organizacje już niedługo wyposażą Niklasa Lindberga w odpowiednie ilości płynnego materiału wybuchowego. Za niecały milion koron. Zapowiada się niezły wybuch. Co prawda nie będzie to eksplozja za dziesięć milionów koron, ale i tak wystarczy. Stadion Olimpijski z dużym prawdopodobieństwem dołączy do kategorii minionych krajobrazów miejskich. W najgorszym wypadku mogą zginąć tysiące ludzi, głównie policjanci. Jak możemy więc dotrzeć do Lindberga? Są cztery sposoby: przez znajomych Lindberga, przez Kullberga, przez Petrovicia, przez skrajnie prawicową organizację - parasol. Ten czwarty sposób tak naprawdę jest niemożliwy, chodzi o wyśmienienie zakamuflowanej organizacji, z dużym prawdopodobieństwem obejmującej elity społeczne na całym świecie, które chcą zobaczyć czystkę etniczną w wielkiej skali. Ten trzeci jest trudny. Byłoby dobrze, gdybyśmy namierzyli słaby punkt u Petrovicia - coś, co by sprawiło, że zacznie myśleć jak człowiek, a nie jak głęboko zdemoralizowany przez wojnę sogopata. Ta druga to prawdopodobnie nasza najlepsza szansa. Wczoraj zmiękczyliśmy

Agnego. Nawet nie zauważył, że wydobyliśmy od niego informację o World Police and Fire Games. Wydaje mi się, że wciąż można z niego sporo wyciągnąć. Pierwszy jest trudny, ale możliwe, że zdążymy prześwietlić sferę znajomych Lindberga i znajdziemy jakąś, no cóż, dziewczynę, lub chłopaka bądź kogoś innego w jakiś sposób zaufanego. Hultin wyglądał cool. *Cool under fire.*

- Nie musicie już działać sami - powiedział. - Mórner sprzedał całą historię mediom. On sam nie czai więcej niż kilka procent, więc dostali siekaninę. Cztery, teraz już nazwane, incydenty: „Wybuch w Kumli” - jeden zabity, „Rzeźnia w Siekli” - pięciu zabitych, jeden ranny, „Strzelanina w Skóvde” - dwóch zabitych, dwóch rannych, „Masakra na Hornstull” - trzech zabitych, jeden ranny. Zaczyna to przypominać pole bitwy. Dorobiliśmy się jedenaśtu zabitych, a ponieważ wiemy, że „Svenska Dagbladet” ma w zwyczaju liczyć trupy, powinniśmy spróbować to powstrzymać. Nie wychylaliśmy się z Nediciem, z „policjantem”, z Orfeuszem i Eurydyką ani z zagrożeniem olimpiady policyjnej. Media robią, co mogą, żeby złożyć tę układankę, a rezultat wydaje się dosyć zabawny, jeśli jest się w nastroju do żartów. Czego o nas nie można powiedzieć. W każdym razie opatrzona nazwiskiem gęba Niklasa Lindberga trafiła na pierwsze strony gazet w kraju. To powinno ograniczyć choć trochę jego pole działania. Do waszej dyspozycji są wszyscy policjanci w kraju. Włóżcie policyjną pałkę w dłoń komendanta głównego policji, a nią zamacha. Moc w waszych rękach.

- Raczej w twoich - odezwał się Söderstedt.

Hultin całkowicie go zignorował.

- Moc w waszych rękach - powtórzył. - Dobrze z niej skorzystajcie. Rozdzielam zadania. Paul i Jorge prowadzą dalej przesłuchania. Naciskajcie wszystkie możliwe guziki. Chwyty poniżej pasa dozwolone. Arto i Viggo zbadają przeszłość Petrovicia. Szukajcie możliwych słabych punktów, rodziców, rodzeństwa, czegokolwiek.

Hultin otworzył usta. Ale ciąg dalszy nie nastąpił. Nie miał więcej ludzi. Chociaż?

- Mogę pomóc przy znajomych Lindberga - powiedziała Sara Svenhagen. - Jeśli zburzymy mury.

Kolejne spojrzenie w stronę Jorge.

- Dobra - powiedział Hultin ze spokojem. - Razem zajmiemy się kręgiem znajomych. Coś musimy znaleźć.

Jorge Chavez podniósł się z miejsca. Wyglądał wyjątkowo poważnie. Przygnieciony powagą chwili.

- Jeśli mowa o burzeniu murów - zaczął, jakby szykował się do przemowy. - Gdybyśmy z Sarą nie wzniesli tych murów między sobą, szybciej rozwiązalibyśmy tę sprawę. Szybciej namie rzylibyśmy „policjanta”, szybciej namierzylibyśmy Nedicia, a Sara nawet mogłaby rozpoznać Lindberga na klatce schodowej przy Hornsgatan 131. W pewnym sensie cieszę się, że tego nie zrobiła. Nie poddałby się bez walki. Moja przyszła żona znalazłaby się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Spojrzeni na siebie. W Centrum dowodzenia wytworzyła się próżnia. Nadgodziny zrobiły sobie przerwę. Ciężar spadł z barków. Ale tylko na chwilę.

W ciągu tej chwili Jorge Chavez powiedział:

- Już żadnych murów, Saro. Nigdy więcej. Pytam cię w obecności tych ludzi, którzy są mi najbliżsi: czy zostaniesz moją żoną?

Sara Svenhagen uśmiechnęła się słabo.

- Jeśli zatrzymamy Niklasa Lindberga - powiedziała.

Złączyli się w pocałunku na katedrze Hultina.

Nie miał nic przeciwko temu.

WIECZÓR. Pusty garaż podziemny gdzieś w Sztokholmie. Zaparkowany samochód. Do środka wślizguje się cień.

Na kierowcę padło nagle światło. Kamienna twarz. Nie obrócił się. I tak widział.

- Zdejmij to - powiedział po angielsku.

Niklas Lindberg ściągnął złotą kominiarkę. W ręku trzymał reklamówkę.

- Pieniądze? - skrzywił się mężczyzna. - Jak mogłeś dopuścić do straty tych milionów? To nie wróży dobrze.

- Przykro mi - powiedział Lindberg. - Dziewięćset dwadzieścia sześć tysięcy siedemset siedemdziesiąt koron.

Mężczyzna wziął reklamówkę. Przez chwilę ważył ją w ręce.

- Hm - zastanowił się. - W przyszłości musisz się bardziej postarać. Inaczej nie będziemy mieć z ciebie pożytku. Petrović wpadł.

- Wpadł?

- Policja przesłuchuje go na całego. Komisarze kryminalni Hjelm i Chavez. Znasz ich?

- Czarnuch? Nie.

- Nie. Odkryli wasz plan. Kiepsko to wygląda. Jeśli nas ze sobą skojarzą, nie będziemy zadowoleni.

- Risto trzyma język za zębami. Bez obaw.

- A KuUberg?

- Kula też. Spokojnie.

Mężczyzna przechylił głowę o kilka milimetrów. Wydawało się, że minęło pół roku, zanim powiedział:

- Spokojnie? Zostawiasz za sobą ślady i mówisz: spokojnie. Ja ci mówię: nie jest spokojnie. Zrozumiano?
- Nie puszcza pary z ust, obiecuję. To nie wystarczy?
- Zmieńmy temat. Czy próbki towaru były zadowolające?
- Pod każdym względem. Ładunek został podłożony?
- Jest tam, gdzie trzeba. Flaga jest na miejscu.
- Flaga? Przecież mówiliśmy o narożnym słupku?
- Musieliśmy zmienić plan. Zmieniły się okoliczności. Policja jest w stanie najwyższej gotowości. Mają psy, nie możemy ryzykować. Jak do tej pory wszystkie próby pokazały, że psy nie reagują na materiał wybuchowy, ale musimy mieć stuprocentową pewność.
- Która flaga?

Mężczyzna o kamiennej twarzy naprawdę się zaśmiał. Krótko. Powiedział:

- Materiał jest we fladze, która zostanie wniesiona podczas inauguracji. F l a d z e S z w e c j i . W jakimś sensie wydało nam się to najbardziej na miejscu.

- Zawszona flaga! - Niklas Lindberg roześmiał się.

Mężczyzna rzucił mu lodowate spojrzenie, więc zamilkł.

Podał mu kopertę. Otworzył ją i wyjął klucz, kartkę i małą, płaską czarną puszkę z czerwonym guzikiem. Przypominała podręczny kalkulator.

- Klucz do drzwi - powiedział mężczyzna. - Na kartce nowy kod; zmienili wczoraj. I detonator - wiesz, jak działa. Dlaczego pozbawiłeś Nedicia języka?

- Dawna obietnica. - Niklas Lindberg włożył wszystko do kieszeni i otworzył drzwi samochodu.

Mężczyzna położył dłoń na jego ramieniu.

- Jeszcze jedno. Istnieje ryzyko, że odwołają inaugurację. Jeśli tak się stanie, nigdy więcej się nie spotkamy. Mówię serio: n i -gdy. Jasne?

- Jasne - powiedział Niklas Lindberg dobitnie. - Nie zawiodę was. Podziwiam was od lutego osiemdziesiątego szóstego.

- Nie miałeś wtedy zbyt wiele lat - odparł mężczyzna, zwalnając uścisk.

Lindberg zamienił się w cień przechodzący w ciemność.

Przez krótką chwilę mężczyzna o kamiennej twarzy pozwolił sobie pomyśleć o lutym osiemdziesiątego szóstego. To było godne podziwu. Udało im się zmienić kraj. Niewidzialny zamach stanu.

Bomba eksplodowała w szwedzkiej fladze.

Czas uderzyć znowu.

Na dziś wystarczy nostalgii. Mężczyzna o kamiennej twarzy przekręcił kluczyk i odjechał.

Daleko.

- NIE odwołają - powiedział Gunnar Nyberg i odchylił się na krześle.

Siedzieli w świetle lampy naftowej i świec w starej upplandskiej zagrodzie z dziewiętnastego wieku. Przed nimi stały nowoczesne laptopy podłączone do Internetu i głównego komputera policji za pomocą telefonów komórkowych.

- Skąd wiesz? - zapytał Ludvig Johnsson i przeciągnął dłonią po łysinie.

- Narada - powiedział Nyberg i pokazał palcem na ekran. - Komendant główny policji, szef Rikskrim, minister sprawiedliwości, premier, szef Sapo oraz Mórner gadali przez pół nocy. Nie da się. Chodzi o prestiż. Co więcej, miałyby to międzynarodowe reperkusje. Służby bezpieczeństwa na całym świecie stałyby się pośmiewiskiem. Skoro nie potrafimy chronić samych siebie, jak możemy chronić innych? Byłby to śmiertelny cios dla policji takiej, jaką znamy.

- Jaki cios może być gorszy od wybuchu?

- Wiesz... Rozumują w ten sposób: Nie może wybuchnąć. Po prostu nie może wybuchnąć. Bardzo praktyczna argumentacja.

Ludvig Johnsson siedział nieruchomo. Zamknął oczy. Nie wiedział, czy za to również będą go obwiniać. Miał to gdzieś. Wszystko to była jego wina, czuł to, czuł to coraz bardziej.

Podjął decyzję.

- Chcesz piwo? - powiedział i wstał. Ubranie do joggingu kleiło mu się do ciała.

- Czemu nie? Więcej nie zdziałamy. Utknęliśmy. Kurwa, myślałem, że znajdziemy gdzieś jakąś szczelinę, ale się nie da. Nie da się, kurwa. Ja pierdołę.

Johnsson wrócił i postawił przed nim puszkę z piwem. Była otwarta. Johnsson otworzył swoją z sykiem i wziął kilka dużych łyków. Nyberg wlał w siebie połowę puszkę jednym haustem.

- Ludvig, kurwa - powiedział. - Lindberg uszkodził Nedicia. Nediciowi wyrwało język. Nie ma tu jakiejś wskazówki?

Ludvig Johnsson stał nieruchomo. Spojrzał w wielką nicość i pokręcił powoli głową.

- Nie ma wyjścia.

- Która godzina? - zapytał Nyberg.

Johnsson wziął łyk piwa i spojrzał na zegarek.

- Niedługo szósta. Szósta rano w sobotę siedemnastego lipca. Do inauguracji zostało dziewięć godzin.

Ludvig Johnsson już nie stał nieruchomo. Zaczął wirować powoli, lecz nieubłaganie. W końcu kręcił się po całym pokoju. A pokój zaczął składać się jak książka.

Nyberg runął na stojący w niewłaściwym miejscu plastikowy stół. Leżał na policzku, a pokój dalej się składał, póki nie został z niego mały kwadrat w wielkiej czerni.

- Przykro mi, Gunnar - usłyszał głos Ludviga Johnssona gdzieś bardzo daleko. - Teraz muszę sam zająć się sprzątaniami. Drugiej szansy już nie będzie.

Potem usłyszał „wooop!” i mały kwadrat zniknął.

Co prawda Agne Kula Kullberg wyglądał na lekko zmęczonego, ale jasności spojrzenia nie stracił. Drugi raz nie da się nabrać. Przejrzał ich sztuczki. Nie miał wyboru: musi trzymać język za zębami. Nie otworzy ust choćby nie wiem co.

Tak minęła blisko doba. Była jedenasta, a Paul Hjelm czuł, jak narasta w nim poczucie beznadziei.

Do otwarcia World Police and Fire Games na stadionie w Sztokholmie zostały trzy godziny.

To była dziwna doba. Nikt z drużyny nie spał. Söderstedt i Norlander dotarli do rodziców Petrovicia. Mieszkali w Niemczech i przez nich znaleźli brata, który zadarł z prawem. Spreparowali nakaz ekstradycji brata do Serbii i pojechali z dokumentem do Petrovicia do Tumbi. Lars Viksjó wyglądał, jakby od pół roku spał w ubraniu.

- Udowodniliśmy, że twój brat jest Serbem i powinien zostać odesłany z powrotem do Belgradu - powiedział Hjelms.

Petrović gapił się na nich, jego oczy przeskakiwały na zmianę z Hjelmsa na Chaveza. Potem głośno się roześmiał.

- Mój brat to wiejski głupek.

No to nici. A Petrović nie powiedział nic więcej. Był wyjątkowo uparty. Wrócili do aresztu i do jeszcze bardziej milczącego Kuli. Czuli się kiepsko.

Sara Svenhagen donosiła z Trollhattan, że udało jej się wydobyć od rodziców Lindberga i jego byłej żony trzy nieznane dotychczas adresy w Sztokholmie. Hultin i Norlander rozmawiali z ludźmi, którzy niczego nie rozumieli i którzy nigdy nie słyszeli o Niklasie Lindbergu. Byli otwarcie niemili. Szybko postanowili, żeby ich mocniej przycisnąć, ale na niewiele się to zdało. Ci niemili ludzie naprawdę niczego nie wiedzieli.

Söderstedt wymyślił nowy sposób na Petrovicia. Znalazł w Internecie zaskakująco oficjalną stronę międzynarodowej organizacji neofaszystowskiej. A gdyby tak zagrozić nagłośnieniem, że Petrović sypie policji, to co wtedy? Hjelms i Chavez poszli z tym do Petrovicia. Wydał się poruszony. Ale niewystarczająco. Nacisnęli już wszystko, co mieli. Nie pomogło. Zacisnął wargi.

Zastępy policji przeczesywały stadion i okolice. Założono, że Lindberg nie odważy się detonować bomby, będąc na trybunach. Co by oznaczało, że siedzi gdzieś niedaleko. Udali się do wszystkich mieszkań na Östermalm, z których widać było Sta-

dion Olimpijski. Było ich trochę, operacja „pukanie do drzwi” trwała w najlepsze. Jak do tej pory przyniosła kilka domów ale żaden z nich nie okazał się wiele wart. Wyglądało na to, że ludzie nie lubią swoich sąsiadów.

Mijała noc. Hjelm i Chavez przyciskali Kulę. Kompletna U . nadzieja. Milczał jak zakłęty.

Zaczęli na poważnie rozważać nielegalne chwytaki. Na wokandy/ir pojawiły się na chwilę tortury. Była to wyjątkowo nieprzyjemna chwila. Zauważyli to dopiero po fakcie. Jakby demokracja nagle rozplynęła się we mgle. Jakby eksplodowała szwedzka flaga.

W końcu wybiła godzina jedenasta. Siedzieli, patrząc bezwiednie na siebie. Z jednej strony Kula, z drugiej Hjelm i Chavez.

Martwy punkt.

- Zostały trzy godziny - powiedział znużonym głosem Hjelm.
- Jeśli na Stadionie Olimpijskim dojdzie do zamachu, nie zobaczysz nigdy światła dziennego inaczej niż przez kratki. Długo się będziesz jeszcze dokształcał.

Kula zamrugał do nich.

- Chcesz zmarnować sobie życie z powodu jednego marnego zamachu? - spytał Chavez równie znużonym głosem. - Czy naprawdę zabicie kilku strażaków z Wenezueli jest tyle warte?

Kula mrugał dalej.

- Kurwa! - krzyknął Chavez i wyszedł, zatrzaskując za sobą drzwi.

Hjelm został. Zadzwoił jego telefon komórkowy.

- Ostatnia szansa - usłyszał w uchu głos Hultina. - Odezwał się jeden z tych nieprzyjemnych typków. Mówił o jakiejś dziewczynie Lindberga w Gneście. Jedziecie?

- Tak - odparł Hjelm bez wahania.

Przywołał strażnika i dopilnował, żeby dobrze zamknął Agneta Kulę Kullberga. Pracujący tu od lat mężczyzna powlókł się z powrotem do swojego kontuaru przy wejściu do aresztu. Patrzył przez chwilę za Hjelmem. Cała noc, pomyślał, kręcąc z niedowierzaniem głową. Nie macie prywatnego życia, chłopaki? Nie macie

rodzin i przyjaciół? Spójrzcie na mnie, pracuję od dziewiątej do piątej i nie narzekam. Co z tego macie? To was uszczęśliwia? Po kilku minutach do kontuaru znowu ktoś podszedł.

- Do Agnego Kullberga, proszę - powiedział, pokazując legitymację.

Strażnik pokręcił głową.

- Że też wy nigdy nie odpuszczacie, chłopaki. - Proszę, niech się pan tu podpisze, panie inspektorze.

Ruszyli korytarzem, potem wpuścił go do Kullberga. Ma chłopak powodzenie.

Strażnik patrzył za mężczyzną przez kilka sekund. Dopiero teraz poczuł zapach starego potu. Nie mógł się chociaż najpierw wykapać? I zdjąć te prze poczone dresy?

Strażnik pokręcił głową i wrócił na swoje stanowisko, gdzie stał codziennie od dziewiątej do piątej. Zapracował na to.

Ludvig Johnsson podszedł do Kuli i pokazał mu legitymację. Potem bez słowa wbił mu w ramię strzykawkę.

Gunnar Nyberg budził się powoli do życia. Mały kwadrat pojawił się gdzieś w oddali i zaczął się rozkładać, póki nie wróciło mu całe pole widzenia. Chociaż wiele się zmieniło. Rozsadzało mu głowę, a gdy próbował wstać, sto czterdzieści sześć kilo opadło z powrotem na plastikowe krzesło.

Komputery się rozładowały, ekrany były czarne jak smoła. Sięgnął po pierwszą komórkę. Rozładowana. W drugiej jeszcze tliło się życie.

Gdy wybierał numer Hultina, próbował uporządkować myśli. Udało mu się podnieść ramię i rzucić okiem na zegarek. O Boże, pomyślał. Pięć po wpół do trzeciej. Wszystko stracone.

Zamiast panikować, starał się myśleć. W czasie ich wspólnego prywatnego śledztwa Ludvig Johnsson ucze pił się tylko jednego. Kula Kullberg jako słabe ogniwo.

- Hultin - usłyszał w swoim uchu.
- Gdzie jesteś? - zapytał Nyberg. Nie poznawał swojego głosu. Znał dobrze to uczucie.
- Gunnar? A ty?
- W Grillby. Nieważne. Mam coś.
- Jesteśmy na komendzie. Właśnie wróciliśmy. Byliśmy w Gneście i rozmawialiśmy z dziewczyną Lindberga. Zerwali pół roku temu, spotykali się tylko w Kumli. Nic nie mamy.
- Ludvig wybrał się w odwiedziny do Kuli. Sprawdźcie to.
- O kurwa. Jedziesz do nas?
- Jak tylko mi się uda najszybciej - powiedział Nyberg i się rozłączył.

Próbował znów się podnieść. Tym razem poszło lepiej. Cholera wie, czy uda mu się prowadzić samochód. Wiedział tylko, że już nigdy nie spotka Ludviga Johnssona. Tego był absolutnie pewien. Poczuł, jak smutek zalewa go niczym gorąca lawa.

Hultin, Hjelm i Chavez dopadli kontuaru w areszcie śledczym. Strażnik wydawał się zmęczony. Co, znowu? *Get a life, guys*. Tak, inspektor Ludvig Johnsson był tutaj. Ubrany w przepocony strój do joggingu. Tak, spędził u Kullberga blisko godzinę. Nie, nikt nie był tam od tego czasu.

Pobiegli korytarzem. Strażnik za nimi. Jego nogi dawno już nie biegały.

Wpuścił ich do środka.

Kula Kullberg siedział przywiązany do krzesła czterema skórzanymi paskami. Miał posiniąłą, napuchniętą twarz. Sterczały mu dziwnie paznokcie. Miał ściągnięte spodnie i usta zaklejone srebrną taśmą. Całe podbrzusze pokrywały siniaki.

Siedział z zamkniętymi oczami.

Hultin oderwał taśmę. Kula się ocknął. Spojrzał na nich przeżony.

- Nie zabijajcie - wydusił.
- Hjelm zjrzał mu w oczy. Miał dziwny wzrok.
- Jest pod wpływem narkotyków.
- O Boże - westchnął Chavez.
- Wygląda na to, że Ludwig wziął to do siebie - powiedział Hultin. - Dobra. Halo, Agne. Nie mamy zamiaru cię zabić. Spokojnie. Powiedz wszystko, co wyjawisz Johnssonowi. Wtedy uratujemy Lindberga.
- Mielicie rację - powiedział Kula i spojrzał dziwnie na Hjelm i Chaveza. - W szkole byłem kujonem. Agne Sragne. Przez całą szkołę miałem przezwisko Sragne. Nie mam na imię Agne, dupki.
- Co takiego powiedziałaś Ludwigowi Johnssonowi? - zapytał Hjelm. - Dalej, Kula.
- Powiedziałem, że dziewczyny nigdy nie chichotały na widok mojego łysego siusiaka. Nigdy. Ale pamiętam, jak związali mnie ręcznikami i lali po siusiaku, aż zrobił się niebieski. Zobaczcie, jaki jest teraz niebieski.
- To akurat sprawa Ludviga Johnssona, Kula - powiedział Chavez. - Nikt już nie nazywa cię Agne.
- Właśnie - zadyszał Kula. - Właśnie. Nazywam się Kula. Najtwardszy z najtwardszych.
- Kula! - krzyknął Hjelm. - Weź się w garść. Gdzie jest Nicke?
- Valhallavagen osiemdziesiąt osiem, no przecież. A wy co myśleliście, dupki?
- I już.
- Pobiegli przez komendę.
- Godzina? - zapytał Hultin.
- Pięć po - odparł Chavez.
- Brygada antyterrorystyczna! - krzyknął Hjelm. - Gdzie jest?
- Na stadionie - odpowiedział Hultin i wybrał numer. - Halo? Brygada antyterrorystyczna? Mamy adres. Valhallavagen osiem-

dziesiąt osiem. Pewnie na samej górze. Nie wolno mu wcisnąć guzika detonatora. Nic więcej się nie liczy.

- Jedziemy tam - zawołał Hjelm.

Siedział na balkonie. W rękę trzymał detonator z czerwonym guzikiem. Wodził po nim delikatnie palcem. Władza skupiona w jednym punkcie. Tak to powinno wyglądać. Tak jest prościej. Człowiek nie radzi sobie z demokracją. Jej czas był najkrwawszym okresem w historii ludzkości. Nie wymagało to komentarza. Proste i czyste życie. Tylko tego chciał. Do tego potrzeba było kilku ofiar.

Spojrzał w dół na Stadion Olimpijski. Leżał jak na dłoni. Naprawdę mieli środki. Był pod wrażeniem, nieczęsto mu się to zdarzało. W każdym razie nie od lutego osiemdziesiątego szóstego.

Rozpoczęła się uroczystość otwarcia. Był piękny słoneczny dzień, ale znad Gardet nadciągały już deszczowe chmury. Wkrótce miała się zmienić pogoda.

Naprawdę.

Najpierw muzyka - docierała do niego dziwnie zniekształcona. Potem zacznie się parada. Zapewne Szwecja pójdzie jako pierwsza. Flaga imploduje. Ten moment zbliżał się nieuchronnie. Wszywały się we flagę. W największą dumę.

Poczuł lekkie ukłucie w dłoni. Jak skurcz. Gdy spojrzał w dół, zobaczył osę uczepioną jego kciuka. Odłożył detonator na stół i zgniótł owada palcem wskazującym. Poczuł, jak ból przeszywa rękę.

Absurd, pomyślał i w tej samej chwili usłyszał kliknięcie.

Odgłos odbezpieczanej broni.

Spojrzał w głąb mieszkania. W drzwiach stał ubrany w strój do joggingu łysy mężczyzna. Mierzył do niego.

- Od piętnastu minut czekam, aż to odłożysz - powiedział Ludvig Johnsson.

- Osa mnie uządliła - poskarżył się Niklas Lindberg.

- Policjantów uratowała osa. Absurd.
- A nie?
- Jeden ruch w tamtą stronę i strzelam. Podejdz tutaj powoli.

Niklas Lindberg siedział bez ruchu. Pistolet miał wetknięty za pasek spodni. Nie zdąży po niego sięgnąć. Ale guzik detonatora? No cóż, czasem trzeba ofiar. Pośmiertnie przyzna się do winy.

Spróbował. Dłoń się poruszyła.

Ludvig Johnsson opróżnił magazynek. Ręka nie sięgnęła dalej niż kant stołu. Zsunęła się i zawisła w powietrzu.

Johnsson stał cicho i głośno oddychał.

Hanno, Micke, Stefanie - to dla was.

Wyszedł na balkon i podniósł ostrożnie czarną puszkę z czerwonym guzikiem.

Wtedy wypadły drzwi. Brygada antyterrorystyczna wtargnęła do środka.

Zobaczyli mężczyznę na balkonie. Natychmiast rozpoznali puszkę w jego dłoni. I zastrzelili go.

Trafili go tyle razy, że nigdy nie uda się ich policzyć. Ciało wygięło się, a oni strzelali dalej. Zawisło na balustradzie, a oni strzelali dalej. Strzelali jeszcze, gdy przecinało óstermalmskie powietrze jak kiepski spadochroniarz i gdy rozbiło się o Valhallavagen z głuchym, nieludzkim dźwiękiem.

Na stoliku na balkonie obok ciała Niklasa Lindberga leżał detonator.

Czerwonym do góry.

W dole na Stadionie Olimpijskim trwała inauguracja.

GUNNAR Nyberg śpiewał. Śpiewał, jakby chodziło o życie. Stał na przodzie chóru w pięknym budynku kościoła Kungsholms i naprężył całe ciało aż po kostki. Istniało ryzyko, że jego bas zagłuszy resztę chóru.

Nadchodzi czas kwitnienia.

I już.

Na pogrzebie Ludviga Johnssona śpiewał solo. Krótką arię Verdiego. Jeden z wielu numerów na pogrzebie bohatera. Inspektor Ragnar Hellberg dał wspaniałą przemowę, ani słowem nie wspominając o nieprawidłowościach. Wręcz przeciwnie, kierownictwo policji dorobiło się wreszcie swojego od dawna pożądanego bohatera. Historia została skrojona na potrzeby brukowej prasy, która, jakkolwiek by patrzeć, kierowała dramaturgią w tym kraju. Johnsson sam odnalazł Lindberga, unieszkodliwił go i jednocześnie został przez niego zastrzelony. Zginął śmiercią bohatera.

Bohater, który torturował podejrzanego.

Dwa dni po jego śmierci dostali kompletny materiał o rozpowszechnianiu pornografii dziecięcej przez Rajko Nedicia od przyjaciela Johnssona z dzieciństwa z Saffle.

Gdy Nyberg śpiewał, przez chwilę zdawało mu się, że w tylnych rzędach widzi czteroosobową rodzinę. Dwóch chłopców, matkę i ojca. Ojciec obejmował dzieci i żonę i zanosił się śmiechem. Śmiał się - ze wszystkiego i z niczego.

Gdy Nyberg śpiewał, zawsze dużo widział.

Jak to już się skończy, weźmie urlop. Pojedzie do Ósthammar i wprosi się na wizytę u swojej rodziny. Na bardzo długą wizytę.

W opasłych materiałach dochodzeniowych nie wspomniano o żadnych nieprawidłowościach związanych z Gunnarem Nybergiem.

Śpiewał, jakby chodziło o życie, patrząc na drugi koniec wielkiego chóru policyjnego. Stała tam Kerstin Holm z głową w bandażach. Uśmiechnęła się do niego. Odpowiedział jej tym samym.

Kerstin Holm śpiewała drugi alt. Wiązała pozostałe głosy, chociaż to, o czym śpiewała, wcale nie przypominało *Nadchodzi czas kwitnienia*.

Śpiewała, jakby chodziło o życie. Zaledwie kilka niezrozumiałych milimetrów dzieliło ją od śmierci. Śpiewała w podzięcie, chociaż nie wiedziała komu. Nawet tutaj, w kościele, nie wiedziała, komu powinna dziękować. I dlaczego.

Myślała jeszcze o Orfeuszu i Eurydyce. Razem z Paulem odwiedzili mieszkanie Pera Karlssona w Aspudden. Od dawna nikogo w nim nie było. Leżące na biurku *Metamorfozy* Owidiusza pokryła warstwa kurzu. Wśród wielu innych rzeczy znaleźli stary album szkolny z Samskolan w Danderyd i po dłuższej chwili odszukali klasę Pera Karlssona. Zdjęcie z siódmej klasy. Był małym chłopcem, o głowę niższym od drugiego najniższego w klasie chłopca. Sprawiał wrażenie nieprzejednanego. Z tyłu stała dosyć wysoka ciemna dziewczyna. Wyglądała na twardzielkę. Nazywała się Sonja Nedić.

Eurydyka zatrzymała się w hotelu w Skövde jako Sonja Karlsson. Potem przemieniła się w Baucis.

Córka Rajko Nedicia musiała więc zabrać te dwa telefony komórkowe z restauracji ojca na Óstermalm, musiała w jakiś sposób dowiedzieć się, że ojciec planuje grubą transakcję pieniężną i że miejsce spotkania zostanie ustalone w pubie Młyn na Södermalm, wieczorem dwudziestego trzeciego czerwca. Wysłała tam swojego ukochanego, Pera Karlssona. Orfeusza, który pieśnią wyprowadził ją z podziemi, Filemona, z którym dożyją starości. Dowiedzieli się, że spotkanie odbędzie się na terenach przemysłowych Siekli. Udali się tam, i gdyby tylko próbowali

napaść na bezwzględnych zbrodniarzy wojennych służących ojcu, z całą pewnością zostaliby zarżnięci. Tak się jednak nie stało. Paradoksalnie dostali teczkę - mniej lub bardziej w prezencie - od bandy neonazistowskich rabusiów. Uciekli, zabierając ją ze sobą. Ale w środku nie było pieniędzy, tylko klucz. Sonja nie miała pojęcia, w której skrytce bankowej zostały schowane, ale wiedziała, gdzie ojciec dostarcza narkotyki. Rozdzielili się i szukali każde na własną rękę. Dwie przypominające serpentyne drogi przez Szwecję.

Paul i Kerstin przetrzasnęli niewielkie mieszkanie Pera Karlssona. Dokoła wszędzie stały dziwne rzeźby z drewna we wszystkich możliwych kształtach, a garderoba była przerobiona na pracownię. Podłogę pokrywały opiłki żelaza, w koszu na śmieci znaleźli kawałek blaszki. Ktoś wyciął z niej klucz. Porównanie z kluczem do skrytki wykazało te same wgłębienia i rowki.

Po jakimś tygodniu od inauguracji World Police and Fire Games organizacja BRIS* podała, że na konto stowarzyszenia trafiła duża suma pieniędzy - dokładnie pięć milionów. Pieniądze wpłacono w Paryżu.

Filemon i Baucis znaleźli swoją skrytkę bankową.

Kerstin Holm śpiewała i po raz pierwszy w życiu poczuła, że sprawiedliwości stało się zadość.

Spojrzała w dół na siedzącego w pierwszym rzędzie z żoną Jana-Olova Hultina, otoczonego przez barwną rodzinę Chaveza. Ojciec Chaveza, Carlos, patrzył od czasu do czasu podejrzliwie na mężczyznę z wielkim nosem i w swoich okularach. Podobny facet rozwalił mu kiedyś brew w trakcie meczu weteranów.

Hultin tęsknił za swoim trawnikiem. Chciał jak Syzyf toczyć ręczną kosiarkę w górę i w dół zbocza, omijając nawet najmniejszy chwast zgodnie z troskliwie przestrzeganą zasadą *live and let Iwe*.

Barnens Ratt i Samhallet (szw.) - apolityczna i areligijna organizacja zajmująca się ochroną praw dziecka.

Potem będzie się kąpać w Ravalen, zrobi comeback do drużyny weteranów policji sztokholmskiej, pojedzie do Grecji i już nigdy więcej nie zastrzeli człowieka. Wystarczy.

Ale na emeryturę jeszcze długo nie pójdzie.

Coraz trudniej było odróżnić dobre ziele od chwastu.

Spojrzał na drugi rząd ławek, gdzie w przyciasnym fraku siedział Viggo Norlander w towarzystwie Astrid. Na jego ramieniu wisiała mała Charlotte o księżycowej twarzy. Ulane kre-dowobiałe mleko rozlało się po fraku Norlandera niczym mewia kupa. Dziewczynka zaczęła się wydzierać. Norlander poklepał ją ze spokojem po plecach i ani razu nie powiedział „Stul pysk”.

Norlander skierował wzrok w stronę dziwnego zbiorowiska białych głów. Jeszcze nigdy nie widział rodziny Soderstedtów w komplecie. Arto Söderstedt siedział z przylizanymi mokrymi włosami jak chłop z lat trzydziestych, śledząc spojrzenie Norlandera, które przebiegło po pięciu białych dziecięcych główkach, potem wspięło się na białą głowę matki i powędrowało dalej w górę na zaczesaną białą głowę ojca. Zobaczył schodki, zaśmiał się pod nosem i pokazał na swoje ramię. Norlander dotknął kleksa i pokręcił głową.

Söderstedt rozmyślał o pożyczce, którą był zmuszony zaciągnąć w banku, żeby zapłacić za swój nowiutki samochód rodzinny Toyota Pienie. Wiedział, że powinien był myśleć o czymś innym, ale chwilowo nie miał siły. Nie teraz. Myślał o tym, jak przyjemnie będzie usiąść za kierownicą. Przyszły wreszcie wakacje - rodzina miała samochód, ale nie stać jej było, żeby nim gdziekolwiek pojechać. Miał wrażenie, że zbliżył się do zrozumienia podstawowego społecznego paradoksu. Ale nie miał siły się nad nim zastanawiać. Nie teraz.

Nie w momencie gdy chór policyjny kończył *Nadchodzi czas kwitnienia*, a spod wybrzmiewającego basu wyłaniały się wszystkim dobrze znane pierwsze dźwięki *Marszu weselnego* Mendelssohna.

Młoda para sunęła korytarzem. On był ciemny, ona jasna, i nie dzieliły ich żadne mury.

Sara Svenhagen popatrzyła na ojca. Surowy główny technik kryminalistyczny Brynolf Svenhagen zanosił się łzami. Wcześniej zaczął, skonstatowała. Potem pomyślała o krzywych obrazach samotności, o tym, że widziała zbyt dużo jak na swój wiek, i o koszmarach nocnych, które powoli zaczęły ulatywać. Wielki brzuch świecił dalej. Myślała o swoim mentorze Ludvigu Johnssonie, o jego śmierci i o tym, jak jego stopy wydeptywały własną ścieżkę, którą nie dało się za nim pójść. Myślała o wirtualnym świecie, o lekkich krokach w cyberprzestrzeni i ciężkich krokach w rzeczywistości. Myślała o związku Erosa z Thanatosem, miłości ze śmiercią, myślała o szczególnej sprawiedliwości losu i o języku Rajko Nedicia. Myślała również o Jorge Chavezie, o tym, jak nieobliczalna jest miłość, o wszystkich okolicznościach, które do niej prowadzą. Spojrzała w jego oczy i uśmiechnęła się po raz pierwszy - pomyślała - całkowicie bez zahamowań.

Miesiąc miodowy w Chile, a potem powrót do nowej pracy. W Drużynie A.

Nie brzmiało najgorzej.

Jorge Chavez nie rozmyślał zbyt dużo. Najbardziej obawiał się, że liczna rodzina nie usiedzi spokojnie w chłodnym protestanckim kościele. Wydawało mu się, że Chilijczycy stanowili większość. W nieobliczalnej czarnogłowej masie aż się gotowało. Zaskoczyło go, że próbował zobaczyć tę scenę oczami Niklasa Lindberga. Dlaczego byli tacy niebezpieczni? Czemu zagrażali? Prawdopodobnie jedynie skrzywionemu obrazowi samego siebie. Szweda, który patrząc w lustro, widzi coś zupełnie innego niż inni. Tam, gdzie inni widzą człowieka, Niklas Lindberg widział nadczłowieka. Jak do tego doszło? Czy stało się to wtedy, gdy mały kujon Agne przeobraził się w Kulę, „najtwardszego ze wszystkich”? A może upraszczał?

Wtem uświadomił sobie, że nie o tym powinien myśleć, idąc do ołtarza ze swoją ukochaną. Zostało mu jeszcze kilka nawyków

kawalerskich, z którymi musiał się uporać. Po obu stronach zburzonego muru. Zaminowane niegdyś pole trzeba zabudować. Ale ostrożnie.

Był inny. Szczęśliwy. Tryskający szczęściem. To musiało wystarczyć. Na razie.

Dostrzegł Paula Hjelma, który siedział schowany w jednym z ostatnich rzędów. Sam. Paul uśmiechnął się do niego pogodnie, jakby można było dzielić się szczęściem. Jorge odpowiedział mu uśmiechem i przez chwilę wierzył, że to naprawdę możliwe.

Hjelm usiadł na samym końcu, bo był sam. Sam w swojej samotności. Nawet Mórner z przodu miał ze sobą żonę. Albo przynajmniej kochankę. Ale Cilla i dzieci zostali na Dalaró. Od jakiegoś tygodnia próbował się do nich zbliżyć, wrócił jak syn marnotrawny i powoli, bardzo powoli stawał się na nowo członkiem rodziny. Jeśli chcieli, mogli zostać - dlaczego nie? Nie ma z czego robić zagadnienia.

Po rzeźni w Siekli i tym, co po niej nastąpiło, trudno było z czegokolwiek robić zagadnienie. To mogło oznaczać dojrzałość - albo zmęczenie. Dzieląca je granica była zwykle bardzo cienka.

To, co wiedział na pewno, to że zabił.

Myślał o górskich szczytach. Rozlicznych górskich szczytach. Również tych zdobytych przez Drużynę A, która ostatecznie ustaliła swoją pozycję. Weszli na szczyt, bez potknięcia, ale oficjalna wersja wydarzeń została ufryzowana i zabrakło w niej kilku postaci - a wraz z nimi tego, wokół czego wszystko się obracało. Tego, co pozbawiło ich życia. Pieniądzy.

Zawsze te pieniądze.

Tym samym dotarł na kolejny szczyt. Filemona i Baucis:

*Jesteśmy bogami. Wasi bezbożni sąsiedzi poniosą zasłużoną karę.
Wy tylko unikniecie klęski, opuście więc wasz dom i idźcie za
nami na szczyt wzgórza.*

Uśmiechnął się przez chwilę i przypomniał mu się cytat z Szekspira ze *Snu nocy letniej*. „Idźcie, powtarzam, szukać gajowego. Piękna królowo, z tamtej góry szczytu. Ogarów moich usłyszysz muzykę. Z odgłosem echa dźwięcznie pomieszana”.

Wszedł na kolejny szczyt. Góry lodowej. Jego myśl przeniosła się na Conny'ego Nilssona. Mordercę z Młyna. Szczyt góry lodowej. Teraz widział znacznie więcej.

Rozrośnie się czy też zacznie topnieć?

Z neonazistowskiej klikki został tylko poharatany Kula Kull-berg. Jak bardzo niebezpieczni byli tacy jak on? Ilu ich było? Czy rzeczywiście stanowili prawdziwe zagrożenie demokracji? Czy - mniej widowiskowo niż w czasie rzeźni w Siekli - infiltrowali całe społeczeństwo? Czy ich system wartości mógł znaleźć kolejnych wyznawców? Czy był to tylko odwieczny podziemny strumień płynący pod naskórkiem codzienności?

Paul Hjelm wiedział tylko tyle, że nie wie.

Można było również odwrócić tok rozumowania. Gdyby Conny Nilsson nie rozbił głowy Andersa Lundstróma w pubie Młyn o godzinie 21.42 dwudziestego trzeciego czerwca, wówczas tajemnic rzeźni w Siekli nigdy nie udałoby się rozwikłać. To było jak przecięcie węzła gordyjskiego.

Próbował znaleźć sens moralny w tym fakcie. Nie potrafił. Ale nie zamierzał się poddawać.

Młoda para była na miejscu. Rozpoczęła się ceremonia zaślubin.

Ale nie słyszał zbyt wiele. Był gdzie indziej. Próbował zrozumieć sens. Zastanawiał się, czy taki istnieje. W końcu on, Paul Hjelm, nie znajdował się w dziele literackim.

Ale przez krótką chwilę miał wrażenie, że dostrzegł niewidzialny wzór.

Być może tym sensem jest metamorfoza. Ciągła, konieczna, wielka, nieuchronna, trudna do kontrolowania zmiana. Trzeba dążyć do tego, żeby trzymać nos nad powierzchnią wody, bez względu na pogodę.

Akt zaślubin dobiegł końca. Para młodych pocałowała się. Chór policyjny - pod przewodnictwem ryczącego basu - zaintonował radosną pieśń. A Paul Hjelm pomyślał: nowe tysiąclecie. Pomyślał: Szwecja. Pomyślał: ludzie.

A w środku słyszał - przez cały ten czas, bez przerwy - głos kobiety, która ostatnimi siłami powiedziała: „Paul, Kocham cię”.

Szukał spojrzeniem Kerstin, kolegi z chóru Gunnara, pary młodych Sary i Jorge, Jana-Olova, Arta, Vigga.

Pieśń odbijała się echem po ścianach kościoła i mieszała z własnym pogłosem, przekształcając się w chaotyczną muzykę. I przez krótką chwilę zdawało mu się, że zrozumiał *Elegie duinejskie* Rilkego.

Piękno bowiem jest jedynie przerażenia początkiem, który potrafimy jeszcze znieść, i podziwiamy je, bo gardzi łaskawie naszym unicestwieniem.

Paul Hjelm śpiewał.

Nie wiedział do końca co, ale śpiewał.

Nareszcie.

STRACIE język. Siedzi i czeka skulony. Jest małym, niemym zawiniątkiem. Słyszy coraz wyraźniej kroki, czeka bez słowa. Leży na podłodze i naciąga prześcieradło na głowę, jakby mogło go ochronić. Leży na podłodze, bo już nie potrafi spać w łóżku. Łóżka go przerażają. Słyszy, jak uchylają się drzwi w ten charakterystyczny sposób, który ma być bezdźwięczny, ale tak nie jest, przeciwnie - dźwięk odbija się w nim echem, i wie, że będzie się w nim odbijał do końca życia. Choćby było nie wiadomo jak długie. Prześcieradło zostaje zerwane, rozporek rozchyła się, słyszy surowy śmiech, a on płacze płaczem, który jest poza wszelkim płaczem, i nie może powiedzieć ani słowa, bo na to nie ma słów.

Nie ma języka.

Znalazł się w mrocznych głębiach Thanatosu.

CZERWIEN poranka wylewa się na połyskujące jasnoniebieskie morze. Błękit odcina się na tle gry kolorów. Na horyzoncie powietrze drży od gorąca, a nad wierzchołkami drzew unosi się lekka mgła. Nad niewielkim domem z kamienia zebrało się kilka chmur - nie zakrywają słońca, które zatrzymało się na wygiętej krawędzi ziemi.

Krawędź ta jest teraz doskonale widoczna. Wszystkie rodzaje pogody, wszystkie pory doby zdają się zebrane w jednym miejscu.

Na werandzie siedzi mężczyzna z książką. Jest gorąco, ale pada lekki deszcz. Krople uderzają o dach werandy i gdy podnosi wzrok znad książki, widzi unoszącą się między nimi mgłę.

Z domu wychodzi kobieta i staje obok, kładzie dłoń na jego ramieniu, on obejmuje ją w pasie.

Kobieta patrzy na spienioną powierzchnię wody. Dochodzi ją piskliwy, tajemniczy dźwięk. Teraz już rozumie, co to takiego.

To śpiewają delfiny.

